

Graham McNeill

ZWIASTUN NOCY

Warhammer 40,000: Ultramarines: Nightbringer

Tłumaczył

Marcin Roszkowski



PROLOG

60 Milionów lat temu...

Gwiazda dogorywała. Był to czerwony karzeł o średnicy półtora miliona kilometrów, który płonął od sześciu miliardów lat. Gdyby nie dziwny statek kosmiczny w kształcie półksiężyca, orbitujący opodal czwartej planety systemu i wysysający ze słońca ogromne ilości energii, pewnie płonęłoby ono jeszcze przez kolejnych szesnaście miliardów lat, nim ostatecznie zapadłoby się w sobie i zgasło.

Olbrzymie nadmiary energii wytwarzane były w szybko zachodzącej reakcji termojądrowej. Spalanie wodoru i helu zachodziło głęboko w rdzeniu słońca, a promieniowanie przedzierało się przez jego płaszcz i uciekało w przestrzeń kosmiczną. To nienaturalne zjawisko powodowało zakłócenia elektromagnetyczne w samym sercu gwiazdy, przechodzące kolejnymi falami strukturę jej powierzchni i korony.

Napięcia pola grawitacyjnego powodowały erupcję materii i plazmy, które na chwilę tworzyły miniaturowe słońca, widoczne jedynie w fotosferze gwiazdy, odległe od niej o ledwie dwieście tysięcy kilometrów.

Obszar aktywnego magnetycznie sztormu powiększył się niespodziewanie, eksplodując niczym gigantyczna kula ognia i ogarniając coraz bliższe powierzchni rejony słońca. Miliardy kilometrów kwadratowych zostały zamienione w istne piekło, którego jasność porównywalna była z koroną gwiazdy. Jęzory plazmy, ukształtowane za sprawą działania pól elektromagnetycznych, wystrzeliły niczym fontanny płomieni i światła, celując prosto w pokrytą runami piramidę, wznosząca się w centrum ogromnego statku kosmicznego. Dziwne symbole na burtach statku rozbłysły, kiedy przepłynęły przez nie energie konającej gwiazdy. Pancierz okrętu drżał coraz bardziej, w miarę jak wchłaniał kolejne fale promieniowania.

Każda kolejna porcja energii wydarta gwieżdzie skracala jej życie o kilkaset tysięcy lat, ale załoga statku nie dbala ani o jej los, ani o los mieszkańców orbitujących wokół planet. Galaktyki żyły i umierały na ich rozkaz. Całe systemy gwiazdne zostały wyniszczone tylko po to, aby dostarczyć im uciechy. Młode rasy ewoluowały tylko po to, aby zaspokajać ich żądze. Czymże mógł być los jednego, nic nie znaczącego systemu planetarnego dla istot

obdarzonych taką mocą?

Niczym obrzydliwa, metaliczna pijawka, zawieszony na orbicie czwartej planety statek wysysał energię życiową gwiazdy. Szereg pomniejszych piramid i obelisków wyrastających z kadłuba okrętu drżał pod wpływem fal ciepła, przechodzących przez metal i rozbłyskiwał światłem, kiedy ogromne ilości energii wchłaniane były przez stalowego kolosa.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, kręty strumień światła urwał się i statek znieruchomiał na chwilę. Potem z wolna zaczął się obracać dookoła własnej osi i opadać w niższe warstwy atmosfery. Płomieniste zorze pełgały wzdłuż krawędzi natarcia łukowatych skrzydeł, kiedy stalowy półksiężyc skierował się ku rozległym pustyniom, pokrytym czerwonym tlenkiem żelaza. Cień okrętu sunął po powierzchni planety, a poszarpane granie górskich szczytów, wydźwignięte ruchami tektonicznymi płaskowyże i pokryte szarym pyłem wulkany migąły jak w kalejdoskopie. Kiedy statek znalazł się w pobliżu celu swej podróży, zwolnił i zawisł ponad piaszczystym kraterem, okalającym niewielką plamę absolutnej ciemności. Ów punkt przybrał formę piramidy o szklistych, czarnych ścianach, której czubek zwieńczony był złotem. Błyszczące, obsydianowe mury, odbijające światło konającego słońca, były niewrażliwe na siłę wyjących wichrów, które smagały powierzchnię planety. Malutkie, beczułkowate istoty, których ciała pobłyskiwały w świetle dnia, pełzały po powierzchni ścian piramidy, wydając z siebie metaliczne piski i zgrzyty. Runy, takie same jak te na burtach lądującego statku kosmicznego, zabłysły nagle. Dało się słyszeć donośne buczenie. To aktywowane zostały potężne receptory.

Statek z gracją obniżył pułap lotu i znieruchomiał nad szczytem budowli, który zaczął się z wolna rozwierać jak kielich złotego kwiatu. Buczenie przybrało na sile, zmieniając się w rozdzierający uszy pisk. Niewielkie piramidy i obeliski na spodniej stronie kadłuba okrętu eksplodowały energią. Wijąca się i pełgająca kolumna czystej siły elektromagnetycznej uderzyła w głąb otworu, rozwierającego się na szczycie piramidy.

Z wnętrza budowli trysnęło białe światło, doszczętnie spalając mechaniczne istoty, które roily się na jej ścianach. Sama pustynia rozżarzyła się jasnym blaskiem, a jej piaski rozjaśniły promienie światła, układające się w zawile, geometryczne wzory. Dziwny statek trwał bez ruchu aż do chwili, w której oddał ostatnią cząstkę skradzionej gwiazdzie energii. Kiedy tylko złota kopuła ponownie się zamknęła, okręt ruszył w górę, aby powtórzyć cały proces. Jego panowie zamierzali najwidoczniej obrabować słońce ze wszystkich zasobów, czyniąc je zimną i martwą kulą gazów.

Kosmiczny złodziej ponownie usadowił się w pobliżu słońca, gotów dalej wysysać z niego życie. Dziwne urządzenia na jego kadłubie znowu ożyły, zbierając siły do kolejnego

ataku.

Kosmiczna pustka za statkiem zafalowała i wypaczyła się, kiedy przez jej zasłonę przedarła się flota obcych okrętów wojennych. Jeden po drugim statki o dziwnych kształtach opuszczały sztuczną, nienaturalną burzę spaczenia, przedzierając się do rzeczywistego wszechświata.

Żadne dwie jednostki floty nie były takie same; każdy okręt zbudowano wedle własnego wzorca i geometrii. Wszystkie łączyła jedna, zabójcza cecha. Jakby na polecenie wspólnego umysłu ta zbieranina pomknęła przez kosmos, strzelając ze wszystkich dział. Celem kanonady był stalowy półksiężyc, który już po chwili zatrzęsł się od wybuchów. Seria eksplozji szarpnęła kadłubem, a większość promieni lasera uderzyła w podstawę piramidy. Statek wierzgnął jak ranione zwierzę.

Jednak nie był całkowicie bezbronny.

Łuki grafitowego światła, generowanego przez baterie działek, smagnęły atakujące statki. Niewidzialne promienie potwornej energii rozbiły na atomy całą grupę napastników. Jednak pomimo wysiłków obrońców żadne starania nie były w stanie powstrzymać atakujących. Nieważne ilu z nich zostało zniszczonych, ich miejsce zajmowała jeszcze większa liczba wrogów. Załoga metalicznego półksiężyca doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli ich okręt nie zdoła zbiec, jego los wkrótce zostanie przypieczętowany. Wielki statek z wolna zaczął się obracać wokół własnej osi, a jego silniki rozjarzyły się dziwnym blaskiem.

Flotyła napastników skoncentrowała swój ogień na spłaszczonym szczycie wrogiego okrętu, wrywając w pancerz dziury i żłobiąc kadłub. Mechanizmy naprawcze próbowały zredukować uszkodzenia, ale toczyły z góry przegraną walkę. Kolejne fragmenty kadłuba wirując pofrunęły w kosmos, kiedy gnany odrzutem silników statek próbował uciec przed napastnikami. Czas zwolnił bieg, a gigantyczny okręt rozciągnął się jak guma, kiedy konająca gwiazda pochwyciła go siłą swojej studni grawitacyjnej. Zdawać by się mogło, że zranione słońce zemściło się na swoim oprawcy, uniemożliwiając mu ucieczkę

Z okropnym wyciem torturowanego metalu, który niósł się przez spaczoną przestrzeń, półksiężyc zbiegł się w jednym, oślepiającym punkcie światła i zniknął w nim bez śladu. Jego prześladowcy, podobnie jak wcześniej ofiara, zostali wciągnięci w pustkę, z której zapewne żaden z nich nie zdołał już się wydostać.

Gwiazda płonęła nadal, a piramida na czwartej planecie przez jakiś czas świeciła swoim własnym światłem, które jednak wkrótce przybladło i zgasło.

Niedługo potem piaski przykryły czubek budowli.

ROZDZIAŁ 1

41 Milenium...

Osiemnastu jeźdźców kluczyło brzegiem zamrożonego strumienia. Rumaki ostrożnie stawiały kopyta, nie chcąc poślizgnąć się na gładkim lodzie. Pomimo tego, że wędrowali nieśpiesznym tempem, a dodatkowo spowalniało ich liczące prawie sto sztuk stado łuskowatych groxów, Gedrik był pewien, że dotrą do osady na czas.

Obróciwszy się w siodle, obrzucił trzodę czujnym spojrzeniem, upewniając się, że zwierzęta pozostają w zwartej grupie.

Gedrik był wysoki i szczupły owinął się powycieraną, ale dobrze utrzymaną szubą, która wraz ze skórzanymi spodniami na podszewce i obszytymi futerkiem butami z miękkiej skóry chroniła go przed dojmującym chłodem. Na głowie miał czapę, także uszytą z futra, a twarz osłaniał szalem, dzięki któremu pasterzowi nie były straszne nawet najzimniejsze wiatry.

Zielony tartan, często spotykany element odzienia na Caernus IV, ojczystej planecie Gedrika, przewiązany był na jego piersi, a luźne końce sznura dyndały nieopodal rękojeści miecza. W lewej cholewie buta Gedrik nosił ukryty sztylet. Sześć lat temu własnoręcznie wykuł obydwie bronie z Metalu. Co zadziwiające, były one nadal tak samo ostre i lśniące jak tego dnia, kiedy nadał im kształt w kuźni. Kaznodzieja Mallein nauczył go jak władać mieczem, a Gedrik przyłożył się do lekcji i teraz w Czterech Dolinach nikt nie był w stanie dorównać mu w sztuce walki tą bronią.

Jego uzbrojenia dopełniała jednostrzałowa rusznica, którą przewiesił przez ramię. Gedrik wiedział, że od domu dzieli go niewielka odległość i już nie mógł się doczekać ciepła kominka oraz gorących pocałunków żony, Maeren.

Ostatni tydzień, który spędził w górach, zbierając stado na rzeź, był bardzo ciężki. Pogoda zdawała się zagać parol na ludzi, którzy odważyli się przemierzać turnie o tej porze roku i wyładowała na nich cały swój gniew, zsyłając zamiecie i burze śnieżne.

Wkrótce mieli być w domu i Gedrik już prawie czuł w ustach smak soczystego steku, który Maeren przygotowuje, kiedy Gohbar oprawi zwierzęta.

Słyszając dobiegające zza pleców zduszone przekleństwo, odwrócił się i uśmiechnął do

kuzyna Faergusa, który jechał za nim. Kiedy zrównali się ze sobą, Gedrik po raz kolejny przekonał się, że umiejętności jeździeckie kuzyna są godne pożałowania.

Najlepszym sposobem, aby opisać Faergusa, było porównać go do niedźwiedzia. Mężczyzna był szeroki w barach, a jego szyja przypominała pień drzewa. Toporne rysy sprawiały, że jego twarz miała niemiły wyraz, a wielokrotnie połamany w bójkach nos przypominał niekształtną bulwę. Całości obrazu dopełniała skołtuniona, kędzierzawa i czarna broda.

Nogi Faergusa były tak długie, że podczas jazdy stopy ustawicznie muskały pokrytą śniegiem ziemię, dlatego też Gedrik nie dziwił się, że kobyła cały czas nerwowo usiłuje pozbyć się jeźdźca z grzbietu. Uśmiechnął się pod nosem, puszczając mimo uszu komentarz krewniaka i popatrzył na drogę do domu, która biegła u podnóża emanujących majestatycznym pięknem Gór Gelroch.

Było już godzinę po zenicie, kiedy wreszcie oczom pasterzy ukazały się pierwsze zabudowania ich rodzinnej osady, Kresu Mortena. Niewysokie budynki przycupnęły nieopodal zakola mulistej rzeczki. Zdawały się zbijać w ciasną gromadę, jakby i one usiłowały dzięki temu zatrzymać choć odrobinę ciepła. Gedrik był w stanie dostrzec mieszkańców, kręcących się po niewielkim rynku, przemykających obok kaplicy Boskiego Imperatora i wspinających się na Metalowe Wzgórze. Kaznodzieja Mallein zapewne skończył lekcje w szkółce przykościelnej, a Gedrik oczyma wyobraźni widział swojego syna, Rouariego, jak z zapałem będzie opowiadał przy kolacji o skrzydlatych aniołach i heroicznym czynach Imperatora. Mallein umiał ze swadą przekazać wiedzę i zasiać w sercach młodych ludzi ziarno wiary.

Z komina kuźni unosił się dym, a na tyłach wioski Gedrik dostrzegał rzeźnika Gohbara, który szykował się do pracy, umacniając kamienne ściany zagrody nad brzegiem rzeczki.

Gedrik popędził wierzchowca, czując niespodziewany przypływ energii na myśl o Maeren i ciepłym posiłku. Tylko groxy jakoś nie chciały przyspieszyć, ale pokrzykiwania pasterzy i kilka ciosów elektryczną pałką Faergusa zmusiło je do truchtu.

Nagle jakieś poruszenie i nagły błysk przykuły spojrzenie Gedrika. Zmrużył oczy i osłonił je dłonią od ostrego światła. Był pewien, że coś poruszyło się po przeciwnej stronie wąwozu, tam gdzie rósł gęszcz wiecznie zielonych krzewów. Machinalnie zdjął sztucer z ramienia i załadował pocisk do komory.

- Kłopoty? - spytał Faergus, widząc, co robi jego krewniak.

- Nie jestem pewien. Wydawało mi się, że coś widziałem - odparł Gedrik, wskazując

podbródkiem na gęstwinę krzaków.

Faergus przyjrzał się uważnie chaszczom i, choć niczego nie spostrzegł, zdjął z ramienia swoją strzelbę.

- Nic tam chyba nie... - zaczął, gdy wtem zza krzewów i karłowatych drzewek wychyliło kilka metalicznych pojazdów.

Ich kształty były dziwnie nieregularne, krawędzie przechodziły w ostrza, a na otwartych pokładach roilo się od wojowników. Machiny pędziły w dół zbocza, kierując się ku osadzie. Z działek umieszczonych na forkasztelach padły pierwsze strzały, eksplodując pośród niczego się nie spodziewających mieszkańców Kresu Mortena.

- Na krew Imperatora! - zaklął Gedrik. Bez chwili wahania pozostawił za sobą trzodę i galopem popędził w dół zbocza. Nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, iż reszta jego towarzyszy uczyniła to samo. Dochodzące z wioski krzyki i głuchy terkot kanonady gnały ich do przodu, a serca ścisnął strach o najbliższych, napadniętych przez bezlitosnych obcych.

Nie zważając na niebezpieczeństwo, Gedrik jak szalony ruszył w dół oblodzonego zbocza i zmusił wierzchowca do galopu w kierunku osady. Byli jednak zbyt daleko; niezwykle pojazdy otoczyły wieś, a reszta dziwnych wojowników wkroczyła między budynki. Ludzie próbowali się ratować, biegli do domów albo szukali schronienia w sanktuarium poświęconym Imperatorowi. Pojazdy dotarły do pierwszych zabudowań i strzałami z broni pokładowej obracały je w perzynę.

Gedrik był tuż-tuż, kiedy nagle zobaczył kobietę, tulącą w ramionach dziecko. Czy to Maeren z Rouarim? - zadał sobie pytanie, kiedy na jego oczach huragan stalowych igieł poszatkował broniącego wejścia do kaplicy kaznodzieję Malleina. Wyjąc i skowycząc, wojownicy w obcisłych, czarnoczerwonych ubraniach zeskoczyli z pokładów swoich pojazdów i rozpoczęli masakrę, bez opamiętania strzelając do kobiet, dzieci i mężczyzn.

Z ust Gedrika wyrwał się głuchy okrzyk przerażenia, kiedy na jego oczach uciekający do świątyni ludzie zostali bezdusznie rozstrzelani. Konającymi jeszcze przez chwilę wstrząsały drgawki, ale potem i one ustąpiły. Ku niebu wzbijały się coraz gęstsze tumany czarnego dymu, w miarę jak kolejne budynki stawały w płomieniach. Krzyki umierających raniły uszy Gedrika jak ciosy noża, a wtórowała im słabnąca z każdą chwilą kanonada. Nieliczni obrońcy próbowali odeprzeć napastników, strzelając przez okna otoczonych domów. Przynajmniej najeźdźcy nie zajmą Kresu Mortena bez strat.

Gedrik i jego kompani znaleźli się na brzegu rzeki i zdążyli zauważyć, jak rzeźnik Gohbar z dzikim okrzykiem na ustach pędzi z halabardą w dłoniach na grupę obcych napastników. Ci wycelowali w niego swoją broń, a potem lawina metalowych ostrzy i

odłamków, która stanowiła amunicję ich karabinów, obrała jego ciało z mięsa aż do kości.

Gedrik spał wierzchowca, zmuszając go do jeszcze szybszego przemknięcia po moście. Niczym wichur minął generator młyna, który nie tak dawno własnymi dłońmi pomagał stawiać. Jedno spojrzenie na konającego Gohbara zmroziło serce Gedrika, Twarz rzeźnika napuchła i poczerwieniała, a język wysunął się z ust i obrzmiał. Przypominał tłustego, czarnego węża, który wypełził z gardła konającego.

Całe miasteczko stało w ogniu, a gorąco i gryzący dym sprawiały, że nie można było nawet zbliżyć się do budynków.

Kiedy Gedrik dotarł do rynku, jednym gwałtownym szarpnięciem osadził konia w miejscu. Dwa z atakujących pojazdów zawisły nieruchomo w powietrzu, a obcy ciągnęli w ich stronę kilku nieszczęsnych ludzi. Twarze napastników były blade i przypominały wykrzywione w okrutnym grymasie maski. Gedrik uniósł się w strzemionach, przyłożył strzelbę do ramienia i wziął na cel jednego z czerwono odzianych najeźdźców.

Jedno pociągnięcie za spust wystarczyło, aby obcy padł martwy na ziemię. Z jego szyi trysnęła fontanna krwi. Reszta jego kamratów rozpierzchła się w jednej chwili, a Gedrik spał konia ostrogami i ruszył do przodu. Jeszcze dwóch napastników zginęło za sprawą kul mężczyzny, a potem strzelba zacięła się i odmówiła posłuszeństwa.

Obcy odpowiedzieli dziką kanonadą, ale Imperator chronił Gedrika i ich pociski nie sięgnęły celu. Człowiek wpadł pomiędzy nich i, biorąc szeroki zamach, rozbił kolbą czerep najbliższego z napastników. Odrzuciwszy bezużyteczny już sztucer, Gedrik sięgnął po miecz. Błysk czerwieni ostrzegł go przed podstępny atakiem. Promień niesamowitego, ciemnego światła w jednej chwili zabił konia.

Gedrik zdołał oswobodzić nogi ze strzemion i zeskoczyć na ziemię, unikając uwięzienia pod konającym zwierzęciem. Grupa obcych ruszyła ku niemu, a klingi ich mieczy złowrogo pobłyskiwały w świetle zimowego słońca. Gedrik przetoczył się po ziemi i ruszył na wrogów, tnąc i siekąc szerokim ostrzem swojej broni.

Pierwszy z nich padł martwy, kiedy jego własne wyprute wnętrzności oplątały mu kolana. Pancerze obcych nie dawały ochrony przed zabójczo ostrym mieczem Gedrika, który ciął ciała jak masło. Drugi z wojowników, ugodzony w gardło, szybko dołączył do swojego towarzysza, ale jego kompan zdążył pchnąć bagnetem, przymocowanym do dymiącej lufy karabinu. Gedrik wykonał unik, ale cofając się stracił równowagę i wypuścił miecz z ręki. Napastnik wykorzystał okazję i natarł na niego jeszcze raz. Był przerażający w tej bezduszości, z którą próbował pozbawić człowieka życia.

Gedrik otrząsnął się z wywołanego strachem odrętwienia i ponownie natarł, mnąc w

ustach przekleństwo. Przetoczył się pod lufą karabinu i dobył sztyletu z pochwy ukrytej w cholewie buta. Dźgnął nim z całej siły i ugodził obcego w pierś. Szybko wyrwał ostrze z rany i pchnął ponownie. A potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Kiedy się opanował i rozejrzał dookoła, spostrzegł, że Faergus podąża jego śladem. Pociski z jego strzelby zmieniły ciała dwóch obcych w kupę poszarpanego mięsa. Olbrzym zatrzymał konia, słysząc, że Gedrik usiłuje przekrzyczeć hałas bitwy:

- Zabierz kogo się da do świątyni! Tam będziemy się bronić! - rozkazał Gedrik, wyciągając jednocześnie miecz z ciała zabitego obcego.

Faergus pokiwał twierdząco głową na znak, że rozumie polecenie, ale nim zdołał je wykonać, fioletowy płomień wystrzelony z któregoś pojazdu oblał i pochłonął jego mocarną postać. Olbrzym wrzasnął przeraźliwie, kiedy w przeciągu paru chwil jego ciało zostało strawione przez potworną energię, a na ziemię upadł tylko potrzaskany szkielet. Widząc potworną śmierć kuzyna, Gedrik poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Koń Faergusa potknął się i upadł, odsłaniając ziejącą w boku okropną ranę, znajdującą się dokładnie tam, gdzie płomień liznął ciało nieszczęsnego zwierzęcia.

Gedrik kilkoma susami pokonał schody prowadzące do świątyni i zaczął łomotać do jej drzwi, ile sił w płucach wzywając imię Maeren. Odpryskujące od ścian kawałki kamienia powiedziały mu, że coraz więcej najeźdźców gromadzi się pod świątynią, skupiając na niej swój ogień. Jeszcze raz mężczyzna przetoczył się, unikając wrogiego ognia, a potem wolno podniósł się na nogi. Na jego oczach mieszkańcy osady byli spędzani na rynek, gdzie czekała ich bezlitosna egzekucja. Całej tej scenie przyglądała się dziwna postać, stojąca na mostku jednego z pojazdów. Była zgrabna, szczupła i odziana w jodeitowozieloną zbroję, z którą kontrastowały białe włosy.

Postać machnęła niecierpliwie ogromnym toporem, a na ten znak najeźdźcy zaczęli rozstrzeliwać ludzi. Gedrik, widząc masakrę swoich przyjaciół i sąsiadów, wrzasnął przeraźliwie. Nie pragnął już niczego innego, jak tylko zatopić ostrze sztyletu w piersi wodza obcych, jednak wiedział, że nie ma szans zbliżyć się do niego nawet na odległość rzutu nożem.

Gedrik cofnął się jeszcze bardziej, kryjąc się w cieniu budynku. Ci ludzie, którzy znaleźli schronienie w świątyni, nie odważą się rozewrzeć wrót dla jednego człowieka, słusznie obawiając się, że obcy wykorzystają okazję i rozpoczną szturm. Jedyne szansa, jaka mu jeszcze pozostała, to sprawdzić, czy drzwi od refektarza nie zostały zamknięte.

Do uszu biegnącego mężczyzny dotarł niski głos dowódcy najeźdźców, który wydawał jakieś komendy, oraz basowe buczenie silników ich machin. Miał nadzieję, że ktoś

posłał ostrzeżenie do okolicznych wsi. Modlił się o to w duchu.

Małe, metalowe drzwiczki, które prowadziły na zaplecze budynku, okazały się być otwarte i Gedrik aż krzyknął z radości. Szczupakiem rzucił się do przodu i chwycił za metalową klamkę. Już miał przekroczyć próg, kiedy świątynia wyleciała w powietrze. Kule pomarańczowego płomienia wykwitły w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał budynek, a Gedrik, odrzucony siłą wybuchu, poleciał do tyłu. Ból przeszył jego ciało. Grzotnął bezwładnie o ziemię i leżał przez chwilę jak z przetrąconym karkiem. Ciało go paliło, a z głębokich ran sączyła się krew.

Jakiś cudem zdawał sobie sprawę, że na jego poparzone, zmaltretowane ciało pada śnieg, ale wcale nie czuł zimna.

Gedrik nie był głupcem, wiedział, że jest z nim fatalnie. Dopóki człowiek czuł ból, dopóty żył.

Nadludzkim wysiłkiem woli przeniósł spojrzenie na ruiny świątyni, z której zgłiszcz wzbijały się w niebo grube słupy dymu. Choć nie widział ciał zabitych, zdawał sobie sprawę, że nikt nie mógł przeżyć takiego wybuchu. Ogarnął go głęboki smutek.

Maeren, Rouari, Faergus, Mallein, Gohbar... wszyscy odeszli. Nie żyli, a on sam za chwilę również wyzionie ducha.

Ciałem konającego Gedrika szarpnął skurcz, a z umęczonej piersi wydobył się jęk, kiedy usłyszał szum silników statku najeźdźców. Próbował się podnieść, ale nie był w stanie, członki odmówiły mu posłuszeństwa. Gdzieś z oddali dochodziły do jego uszu dźwięczne, choć groźne głosy obcych. Próbował ich przekląć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Wrogowie oddalili się, wspinając się na zbocze Metalowego Wzgórza. Wojownik w zielonym pancerzu wskazał toporem stok, a jego podkomendni rozeszli się po nim. W ich głosach dało się wyczuć nutkę podniecenia, ale Gedrik nie potrafił zrozumieć sensu słów. Czy to dlatego jego osada została napadnięta, a jej mieszkańcy wymordowani?

Dla Wzgórza Metalu?

Gedrik usłyszał jeszcze syk płomieni i pary, w którą zmieniał się stopiony śnieg. Całe zbocze pojaśniało. Obcy smagali płomieniami wzgórze, przerywając jedynie wtedy, kiedy zbliżała się do nich zakapturzona postać w jaskrawoczerwonych szatach. Ta dziwna osoba wysiadła z jednego z latających pojazdów i uniosła dłoń. Obcy przerwali wypalanie, a odziana na czerwono postać z uwagą obserwowała efekt ich pracy.

Spod ziemi przebłyskiwał metal, skrząc się w promieniach zimowego słońca. Pod ziemią kryła się lśniąca, gładka ściana, do tej pory przywalona zwałami piasku i nawozu. Tam, gdzie metal liznęły płomienie i został on stopiony, stał falowała jak żywa tkanka. Z

wolna zaczęła odzyskiwać dawny kształt, jakby sama siebie naprawiała, a po chwili nie było już śladu po zadanych jej uszkodzeniach. Ściana zadrżała, a potem zastygła i wygładziła się, na powrót stając się przezroczysta i gładka. Gedrik z niedowierzaniem obserwował, jak zakapturzona postać opada na kolana, okazując cześć ścianie z metalu i chropowatym głosem zaczyna wyśpiewywać urywane psalmy na jej cześć.

Kilka chwil zajęło Gedrikowi zrozumienie, że zna słowa tej modlitwy. Choć nie pojmował ich sensu, to rozpoznawał kolejne wersy. Słyszał je dawno temu, kiedy pracował w kuźniach razem z Faergusem.

To była modlitwa do Wszechmesjasza, Boga-Maszyny.

Zamaskowana postać odwróciła się twarzą do obcych i wolnym ruchem odrzuciła kaptur. Gedrik dostrzegł, że większa część jej ciała została zastąpiona przez wszczepy. Z krtani, poniżej zaszytych ust, wystawał głośnik w żeliwnej oprawie, z którego dobywał się monotonny szum tła. Spod szat wylaniały się pęki kabli i znikały w pustym oczodole, a tam, gdzie normalny człowiek miałby uszy, odziany na czerwono renegat miał tylko metalowe dyski, pokryte siatką. Jego ciało było blade i rachityczne, ale pomimo różnorodnych deformacji oraz implantów bez wątplenia należał do rodzaju ludzkiego. Uświadamiając sobie, że los jego ziomków przypieczętował człowiek, Gedrik miał ochotę zawyc z rozpacz.

Pierwsze dreszcze agonii wstrząsnęły jego ciałem, kiedy próbował krzyknąć. Szczęśliwie chwilę później stracił przytomność i nie czuł bólu, jaki towarzyszył konaniu.

ROZDZIAŁ 2

W powietrzu dawało się wyczuć mróz, kiedy kapitan Uriel Ventris z Zakonu Ultramarines wspinał się po tysiącstopniowych schodach, prowadzących do kwater dowódcy. Hełm niósł pod pachą, a krok miał równy; serwomotory pancerza energetycznego szumiały cicho, ułatwiając długi marsz. Uriel już prawie nie czuł skutków rany, jaką sześć miesięcy temu odniósł na Thracii.

Schody wykuto w skale wiły się wzdłuż stromej ściany, zamykającej z jednej strony dolinę Laponis, gdzie znajdowała się Forteca Hery, bastion Ultramarines. Budowlę wzniesiono z wielkich bloków skalnych, które wydobyto w kamieniołomach w dolinie. Swobodną formę warowni cechowała zwartość, a wspierające blanki kolumny, pokryte wapnem i alabastrem, były prawdziwymi dziełami sztuki. Zgrabne balkony, połączane kopuły geotermiczne i szklane kładki podtrzymywane były przez łukowate podpory ze stali, emanujące zarazem siłą jak i przeczącą prawom fizyki ulotnością.

Forteca-klasztor Ultramarines była cudem inżynierii, który osobiście zaprojektował Pierworodny Zakonu, Roboute Guilliman, jeszcze w czasach Wielkiej Krucjaty, jaką dziesięć tysięcy lat temu poprowadził przez galaktykę Imperator. Od tamtych czasów Ultramarines sprawowali pieczę nad swoją twierdzą i poddanymi.

Forteca wznosiła się pośród najwyższych wzgórz otaczających dolinę Laponis. Śmiało wystrzeliwała spośród wysokogórskich jodeł, które porastały Zbocza Hery. Wiele setek metrów niżej woda spływająca z lodowców rozpryskiwała się kaskadami, tworząc tęcze, strzegące wąskiego gardła wąwozu. Uriel zatrzymał się na chwilę, spoglądając na pagórki i wspominając czasy, kiedy po raz pierwszy postawił stopę na ich zboczach. Ogarnęło go wtedy nagłe poczucie ulotności własnego żywota, a jego serce przepełniła nabożna cześć dla tego cudownego miejsca. Na ustach kapitana wykwitł uśmiech, kiedy zdał sobie sprawę, że te same uczucia nadal grają w jego sercu.

Uriel położył dłoń na rękojeści miecza, uświadamiając sobie, jak wielką odpowiedzialność oznacza oręż u jego boku. Spoglądając na bogato zdobioną i po mistrzowsku wykonaną pochwę, wrócił myślami do wydarzeń na Thracii. Doszło tam do krwawego buntu, w trakcie którego jego przyjaciel i dowódca, kapitan Idaeus, wręczył Urielowi ów miecz. Przekazał tym samym broń swojemu następcy, a potem bez wahania

poszedł w objęcia śmierci.

Oddział Idaeusa został obarczony zadaniem wysadzenia w powietrze mostu, dzięki któremu rebelianci mieliby sposobność otoczenia sił lojalistów. Kapitan oraz jego Ultramarines zostali zamknięci w kleszczach, kiedy przeważające siły buntowników natarły na przeprawę i usiłowały przechwycić przyczółki. Przez cały dzień i noc trzydziestu Kosmicznych Marines powstrzymywało natarcie prawie tysiąca ludzi, jednak kiedy na pomoc rebeliantom przyszli zdrajcy z Legionu Władców Nocy, sytuacja stała się beznadziejna.

Uriel wzdrygnął się, przypomniał sobie własny strach, kiedy ujrzał braci ukrzyżowanych na płytach pancerzy zdradzieckich czołgów. Wiedział, że widok umęczonych będzie mu towarzyszył do końca życia i nie przestanie go prześladować nawet na łożu śmierci. Władcy Nocy byli bliscy zwycięstwa, ale desperackie posunięcie Idaeusa, które kosztowało go życie, pozwoliło Ultramarines zniszczyć most i odeprzeć wroga.

Po raz kolejny Uriel poczuł smutek, kiedy powróciły wspomnienia o zmarłym przyjacielu. Stłumił je i ponownie zaczął wspinać się po schodach. Nie wypadało, aby dowódca Zakonu musiał czekać na swojego podwładnego.

Pokonując kolejne stopnie, Uriel zastanawiał się nad tym, jak bardzo są one wygładzone. Tyle lat i tylu ludzi musiało się po nich piąć w górę. Ciekawe, ilu? W końcu dotarł na szczyt i przystanął na chwilę, aby spojrzeć na drogę, którą przebył.

Jak okiem sięgnąć, dookoła rozciągały się pokryte śniegiem szczyty górskie. Tylko na zachodzie ustępowały miejsca błękitnemu poblaskowi, a genetycznie usprawnione oczy Uriela dostrzegały fale przyboju, bijące o skalistą linię wybrzeża, oraz bezmiar wód, jaki się poza nią rozciągał. Zaokrąglone i przykryte kopulastymi dachami budynki twierdzy Ultramarines wznosiły się dokładnie przed nim. Każdy z tych bastionów był twierdzą samą w sobie.

Uriel odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę budynku. Minął wiele bram i wspierających się na kolumnach krużganków, aż wreszcie dotarł do komnat Mistrza zakonu Ultramarines, Maernusa Calgara. Kiedy stanął przed błyszczącymi, mosiężnymi wrotami, te rozwarły się szeroko, a przez odrzwia wystąpiło dwóch Marines z Pierwszej Kompanii. Uzbrojeni w ceremonialne halabardy, odziani w święte pancerze Terminatorów, pełnili honorową straż. Na widok Uriela opuścili ostrza, zagradzając mu drogę.

Ventris, choć sam był imponującej budowy, przy Terminatorach sprawiał wrażenie niepozornego i drobnego. Strażnicy, rozpoznawszy kapitana, pozwolili mu przejść, a Uriel, mijając weteranów, skinął im z szacunkiem głową. Stanął w klimatyzowanym westybulu i odetchnął z ulgą. Odziani w błękitne tuniki słudzy Calgara pojawili się jakby znikąd, jak

duchy, i zabrali hełm kapitana, po czym bez słowa wskazali mu centralne atrium. Uriel podziękował im skinieniem głowy i zszedł po schodkach, uważnie omiatając spojrzeniem ogród. Z balustrad niewielkich balkoników zwieszały się sztandary, rzucając cień na wykładana kamyczkami posadzkę, szemrzącą fontannę i otaczające ją posągi sławnych Ultramarines. Uriel rozpoznał Sędziwego Galatana, poprzedniego chorążego Sztandaru Macragge, obok niego stała rzeźba kapitana Invictusa, bohaterskiego dowódcy Pierwszej Kompanii, który zginął broniąc fortecy Ultramarines przed Wielkim Pożeraczem.

Fontannę wykonano na kształt jeźdźca, dosiadającego masywnego rumaka. Lanca skierowana była groźnie ku niebiosom, a oblicze Konora, pierwszego Króla Wojennego Macragge, wyrażało wściekłą determinację człowieka zdecydowanego walczyć o dobro swego ludu. Pojawił się kolejny służący, który wniósł tacę z dwoma srebrnymi pucharami oraz glinianą karafką. Ustawił ją na kamiennym obramowaniu fontanny i cicho wyszedł. Uriel nerwowo bębnił palcami po rękojeści miecza, czując się tu zdecydowanie niezręcznie i nie na miejscu.

- Konor przerastał wszystkich swoich pobratymców - w uszach Uriela zabrzmiał głos, którego właściciel od wielu wieków nawykły był do władzy i okazywania mu posłuszeństwa.
- Nim osiągnął wiek dwudziestu jeden lat, opanował cały kontynent, dając początek wydarzeniom, które ukształtowały Roboute Guillimana człowiekiem, jakim winien był się stać.

Uriel odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Maernusem Calgarem, Władcą Macragge.

- Tę historię dobrze nam wpojono w Koszarach Agiselus, mój panie - powiedział Uriel, kłaniając się nisko.

- To zacne miejsce. Nasz Pierworodny także pobierał tam nauki.

Uriel nieznacznie się uśmiechnął, doceniając skromność swojego dowódcy. Tajemnicą poliszynela było, że i Calgar rozpoczął tam swoją edukację.

Dowódca Ultramarines był człowiekiem imponującej postury nawet jak na standardy Kosmicznych Marines. Odziany w błękitny pancerz mężczyzna emanował energią i wigorem.

Dwugłowy, złoty orzeł imperialny, który zdobił naramiennik, raz po raz pobłyskiwał, kiedy Calgar przechadzał się to w jedną, to w drugą stronę. W prawe ucho powbijane miał czarne kolczyki, oznaczające przebyte kampanie, a lewe oko zastąpiono sztucznym. Żeliwny mechanizm i zielona dioda połyskiwały w świetle lamp. Choć oblicze Maernusa Calgara nosiło ślady przeżytych lat i zdawało się być wyciosane z granitu, to jednak malowała się na nim przebiegłość i mądrość. Dowódca Zakonu liczył sobie grubo ponad czterysta lat, jednak energii miał więcej niż kilku o połowę od niego młodszych wojowników razem wziętych

- Ciesz się, że wreszcie się spotkaliśmy, bracie - powiedział Calgar, kładąc dłonie na naramiennikach zbroi Uriela. - Wspaniale widzieć cię w dobrym zdrowiu. Składam ci wyrazy uznania. Zwycięstwo na Thracii było wspaniałe.

Uriel skłonił się, przyjmując w milczeniu pochwałę dowódcy. Maernus także się pochylił i wziął do ręki dwa puchary. Napełnił je winem i jedno z naczyń podał Urielowi. W masywnych dłoniach starszego Kosmicznego Marine kielich wyglądał jak dziecinna zabawka.

- Jestem zaszczycony tymi łaskawymi słowami - odparł Uriel, kosztując chłodnego wina. Zamyślił się przez chwilę, spoglądając na swoje odbicie w kielichu. Jego orle rysy były regularne, twarz miała poważny wyraz, a oczy kolorem przypominały burzową chmurę. Kruczoczarne włosy nosił krótko przycięte, a łuk brwiowy ponad lewym okiem ozdabiały dwa złote guzy, oznaczające przebyte kampanie wojenne. Uriel był urodzonym wojownikiem, pochodził z nieprzyjaznych pieczar, wykutych pod powierzchnią planety zwanej Calth. Jego czyny zapewniły mu sławę bohatera pośród Ultramarines, a siła, wiara i oddanie zasadom Zakonu czyniły z Uriela przykładowego Kosmicznego Marine.

- Idaeus był dobrym wojownikiem i oddanym przyjacielem - powiedział Calgar, który zdawał się czytać w myślach Uriela.

- Zaiste - przytaknął Ventris, kładąc dłoń na rękojeści miecza. - Podarował mi tę broń, nim ruszył zniszczyć ów przeklęty most na Thracii. Powiedział, że miecz będzie lepiej służył mi niż jemu. Mimo to w dalszym ciągu nie wiem, czy jestem godny używać go w bitwie i dowodzić Czwartą Kompanią.

- Idaeus nie wybrał cię na swojego następcę tylko dlatego, że cię lubił, Urielu. Jego zdaniem zasługiwałeś na ten zaszczyt, jesteś godny bycia dowódcą, masz w sobie dość sił, żeby ukształtować kompanię na swój sposób.

Calgar odstawił kielich na kamienną podmurówkę, zmierzył Uriela wzrokiem i powiedział dobitnie:

- Znałem Idaeusa bardzo dobrze, kapitanie Ventris. - Uriel nie mógł nie zauważyć, że tymi słowami Maernus Calgar oficjalnie potwierdził jego nowy stopień, jak i tego, że był świadom jego niezbyt konwencjonalnych metod dowodzenia. - Służyłeś pod jego komendą przez wiele lat i podobnie jak ja wiesz doskonale, że nie przekazałby swojego oręża ani dowodzenia komuś, kto nie zasługuje na taki zaszczyt - Calgar zamilkł na chwilę, pozwalając, aby sens słów dotarł do Uriela, a potem znów zaczął mówić: - Wiedz jedno, synu Guillimana, ojciec naszego Zakonu spogląda na nas bez ustanku i wie, co się kryje w naszych sercach. Znam nasze silne strony, a także słabości. Podobnie jak ty odczuwam smutek po stracie Brata-Kapitana Idaeusa, ale nie jest słusznym płamić pamięć o nim żałobą i rozpaczą. Oddał

swoje życie, aby jego bracia mogli żyć i walczyć dalej, a wrogowie Imperium zostali pokonani dzięki jego poświęceniu. Wojownik nie może marzyć o bardziej chwalebnej śmierci. Kapitan Idaeus był twoim zwierzchnikiem i musisz wypełnić jego rozkaz. Struktura dowodzenia, która jest podstawą dyscypliny, nie może zostać naruszona, bowiem bez niej jesteśmy niczym. Porządek i posłuszeństwo rozkazom na polu bitwy decydują o zwycięstwie lub przegranej. Armia, która opiera się na dyscyplinie, zawsze odnosi zwycięstwa. Zapamiętaj to sobie.

- Tak uczynię.

- Jesteś pewien, że dokładnie rozumiesz to, co powiedziałem?

- Tak, panie.

- W takim razie nie będziemy dziś już przywoływać imienia kapitana Idaeusa. Zamiast wspominać, pomówimy o przyszłości. Mam dla Czwartej Kompanii pewną misję do wykonania.

Uriel odstawił kielich, czując, jak ogarnia go ekscytacja. Na samą myśl, że Imperator potrzebuje jego usług, ogarnęła go radość.

- Jesteśmy gotowi do boju, panie! - powiedział butnie.

Calgar uśmiechnął się szeroko, najwyraźniej oczekując takiej właśnie odpowiedzi.

- Wiem o tym, Urielu, wiem. Do moich uszu doszły wieści, iż pewien świat, odległy o kilka tygodni drogi od Ultramaru, potrzebuje naszej pomocy. Nazywa się Pavonis i cierpi z powodu napaści przeklętych eldarskich piratów.

Na twarzy Uriela pojawił się wyraz powagi, kiedy Calgar wymówił nazwę obcej rasy, która uparcie odmawiała uznania władzy boskiej ludzkości. Uriel kiedyś już walczył z nimi i zdołał poznać ich bluźniercze i niehonorowe metody prowadzenia wojny. Z kazań indoktrynacyjnych kapelanów wiedział, że eldarzy są dumni i arogancy, nie można im ufać, a już samo to oznaczało dla Uriela, że są wrogami, którym nie należy okazywać litości.

- Wytropimy ich i zniszczymy co do jednego, dokładnie tak, jak na to zasługują, mój panie!

Calgar nie odpowiedział, tylko nalał jeszcze trochę wina do obu pucharów, uniósł je do toastu i podając jeden Urielowi, rzekł:

- Wznoszę toast za bitwy i zwycięstwa, które nas jeszcze czekają, Urielu. Musisz wiedzieć, że jest jeszcze jeden powód, dla którego udajesz się na Pavonis.

- Cóż to takiego?

- Administratum jest bardzo zaniepokojone czynaniami obecnego gubernatora Pavonis. Władze planety nie uiściły należnych podatków i opłat, a zdaniem urzędników

imperialnych należy im przypomnieć o obowiązkach. Aby tego dokonać, na pokładzie naszego okrętu znajdzie się ich wysłannik, któremu mamy zapewnić bezpieczeństwo. Czynień cię osobiście odpowiedzialnym za tego człowieka, kapitanie.

Uriel pokiwał głową. Zastanowiło go co prawda, dlaczego jakiś gryziopiórek miał być ochraniający przez Kosmicznych Marines, ale oddalił od siebie tę myśl jako niepotrzebną. Skoro Calgar troszczył się o bezpieczeństwo urzędnika Administratum, zapewne miał ku temu jakieś powody, a do Uriela należało dokładne wykonanie rozkazów przełożonego.

- Admirał Tiberius zapewnił mnie, że jego flagowy okręt, "Vae Victus", jest gotów wyruszyć w każdej chwili. Oczekuję, że zaokrętujecie się do następnego zmięch. Na mostku będą jutro oczekiwały na ciebie kolejne informacje.

- Tak się stanie, mój panie - zapewnił Uriel, prawdziwie zaszczycony tym, że przełożony Zakonu złożył na jego barki tak odpowiedzialne zadanie. Prędeż dałby się zabić, niż dopuścił do sytuacji, w której to zaufanie zostałoby podważone.

- W takim razie nie zatrzymuję cię dłużej, kapitanie Ventris - powiedział Calgar, salutując Urielowi. - Nie zapomnij pomodlić się w świątyni Pierworodnego, a potem przygotuj swoich ludzi do drogi.

Wyciągnął dłoń i uściśnął Uriela. Chwycili się mocno za nadgarstki, jak wojownicy składający sobie przysięgę wierności.

Uriel skłonił się, a potem odmaszerował szybkim krokiem przez ogród, czując, jak serce wypełnia mu radość i energia. Calgar obserwował najmłodszego ze swoich kapitanów, mijającego spiżowe wrota i żałował, że nie może mu powiedzieć nic więcej. Podniósł kielich do ust i opróżnił jego zawartość jednym haustem.

Jego poprawiony genetycznie zmysł słuchu wykrył cichy szelest kotary. Maernus nie musiał odwracać głowy, żeby doskonale wiedzieć, kto stoi za jego plecami.

- Na barkach tego człowieka spoczywa ogromna odpowiedzialność, mój panie. Czy podoła temu brzemieniu? - spytał nowoprzybyły.

- Tak - odparł szeptem Maernus Calgar. - Wierzę w to z całego serca.

Uriel przemaszerował pomiędzy złotymi wrotami. Szedł wzdłuż procesjonau, mijając szeregi pielgrzymów w pokutnych szatach, nieświadom pełnych podziwu spojrzeń, jakimi obdarzali go pątnicy. Najwyżsi ze zgromadzonych sięgali mu zaledwie do pól piersi, ale podobnie jak zwykli ludzie on także czuł, że serce bije mu szybciej, kiedy zbliżał się do centrum Świątyni Prawości.

Podobnie jak Forteca Hery, tak i świątynia miała być zaprojektowana przez samego

Roboute Guillimana. Jej rozmiary, proporcje i wygląd przeczyły prawom fizyki, wzbudzając zachwyt i nabożną cześć we wszystkich, którzy przestępowali jej progi. Bogata ornamentacja jeszcze bardziej potęgowała wrażenie dostojności tego miejsca. Przed sobą Uriel dostrzegł kolorową poświatę: to promienie zachodzącego słońca przebijały się przez kolorowe, kuloodporne szybki witraży, przybierając barwy lazuru, złota i rubinu. Pielgrzymi rozstępowali się przed Urielem jak fale morza rozcinane przez dziób statku. Wybrańcy Imperatora mieli pierwszeństwo dostępu do sanktuarium Pierworodnego.

Kiedy Uriel wkroczył do komnaty, jak zawsze opanowało go uczucie własnej marności. Obecność Pierworodnego była inspirująca, zniewalająca i przytłaczająca zarazem, dawała się odczuć w całym pomieszczeniu. Uriel opuścił pokornie wzrok, nie mogąc zbyt długo spoglądać na ciało ojca Ultramarines.

Masywna postać założyciela Zakonu spoczywała na tronie z kamieni szlachetnych, spowita od dziesięciu tysięcy lat polem statycznym, które chroniło ją przed upływem czasu. U stóp Pierworodnego złożono różnoraką broń oraz tarczę, a za jego plecami górował pierwszy sztandar Macragge, który utkano z włosów tysięcy męczenników i którego drzewca dotykał podobno sam Imperator. Uriel poczuł, jak serce przepelnia mu duma a krew szybciej krąży w żyłach, kiedy spoglądał na dziedzictwo czynów, sięgających czasów Wielkiej Krucjaty. Opadł na kolano, po raz kolejny doceniając honor, jaki go spotkał wraz z możliwością służby w Zakonie.

Nawet przedśmiertny grymas Pierworodnego mówił wiele o nim samym. Musiał być człowiekiem odważnym i wytrzymałym. Gdyby nie rana na szyi, Uriel mógłby założyć się, że wódz ożyje, powstanie ze swego tronu i wyjdzie ze świątyni. Wściekłość zastąpiła dumę w sercu kapitana, kiedy spoglądał na tę śmiertelną ranę. Kropelki krwi zastygły w powietrzu, utrzymywane w nim przez generator pola statycznego, i lśniły jak rubiny. Życie odebrał Guillimanowi inny Pierworodny, Fulgrim, przeklęty zdrajca, z którego nasienia zrodziły się Dzieci Imperatora. Największą tragedią płynącą ze śmierci Pierworodnego było to, że nie dokończył swego ziemskiego dzieła, pozostawiając dziedzictwo w rękach ułomnych ludzi.

Uriel był świadom, że niektórzy pielgrzymi twierdzili, iż rany Roboute Guillimana zasklepiają się i któregoś dnia Pierworodny wstanie ze swego tronu, aby znowu poprowadzić swoich synów do bitwy. Jak taki cud mógłby się dokonać, skoro ciało założyciela Zakonu zamknięte było w polu statycznym, powstrzymującym upływ czasu? Żadna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy. Był to jednak problem, nad którym debatowali mistycy i prorocy, usiłujący przeniknąć zamiary Imperatora, a nie Kosmiczni Marines.

Za sobą czuł obecność setek wiernych, którzy wpatrywali się weń z równym

zachwytem, co w ciało Guillimana. Uriel był zakłopotany tą czią i nie czuł się jej wart. Wiedział, że większość z braci zakonnych uważa, że taki szacunek im się należy, jednak Idaeus wpoił mu nawyk myślenia, nie opierania się tylko na utartych schematach.

To zwykli ludzie, tłumnie zamieszkujący galaktykę, byli jej prawdziwymi bohaterami. Mężczyźni i kobiety, ci, którzy bez pomocy wszczepów i broni, praktycznie nadzy, dzień w dzień stawiali czoła bezlitosnej galaktyce i jej potwornościom, nie padając na kolana ze strachu i z dumą usiłowali ujarzmić międzygwiazdną pustkę. To dla nich właśnie stworzono Kosmicznych Marines. Istotą życia wybrańców Imperatora była służba tym zwykłym istotom ludzkim, na których barkach spoczywało przeznaczenie władzy nad galaktyką. Większość z nich poświęciła wiele miesięcy albo i lat, przebyła tysiące lat świetlnych, wydając na podróż majątek całego życia, byleby tylko pokłonić się przed Pierworodnym. A jednak, pomimo tych wszystkich poświęceń, pokornie trzymali się z dala, chcąc okazać szacunek synowi Ultramaru, który przybył złożyć wyrazy czci ojcu.

Klęcząc na kamiennej posadzce, Uriel modlił się w ciszy:

- Wybacz mi, panie, ale przybyłem przed twoje oblicze, szukając błogosławieństwa. Mam powieść moich ludzi na wojnę i chciałbym, byś zesłał na mnie odwagę i mądrość, żebym godnie przeprowadził ich przez bitewną zawieruchę.

Uriel przymknął oczy, pozwalając, aby majestat i spokój tej kaplicy ukoili jego duszę. Powoli zaczerpnął tchu, delektując się zapachem wiszących dookoła sztandarów oraz unoszących się pod kopułą wonnych olejków.

Uriel poczuł, jak dodatkowe receptory smaku, usytuowane na języku, zaczynają filtrować powietrze, a do jego mózgu spływają uzyskane w ten sposób informacje. Czuł wonie odległych światów, zapach dawno zaschniętej krwi, a w jego duszy pobrzmiwały echa dawno podjętych krucjat starożytnej przeszłości. Jedno wspomnienie następowało po kolejnym, ale jedno z nich zawładnęło wyobraźnią Uriela w sposób szczególny. Od tamtych wydarzeń minęło niecałe stulecie, a on sam miał wtedy ledwie czternaście lat. Zdarzyło się to miesiąc po tym, jak pierwszy raz oglądał na własne oczy świątynię na Herze.

Ile sił w nogach Uriel biegł w górę zbocza. Płuca paliły żywym ogniem, ale on niestrudzenie mknął pomiędzy drzewami wiecznie zielonej puszczy. Dość szybko przekonał się, że jest wytrzymalszy i sprawniejszy od większości kadetów, których wybrali Ultramarines i tylko Learchus był w stanie z nim konkurować. Jego samotna sylwetka majaczyła przed Urielem, który ze wszystkich sił próbował dogonić kolegę. Praca na skalnych farmach Calth i ćwiczenia w barakach Agiselus sprawiły, że jego ciało było wytrzymałe i silne, wiedział więc, że ma szansę dogonić prowadzącego młodzieńca.

Za swoimi plecami słyszał kroki Cleandera, jednak nie odważył się rzucić okiem w tył, aby sprawdzić, jak blisko znajduje się przyjaciel Learchusa. Odległość pomiędzy prowadzącym a Ventrisem malała z każdą chwilą i tylko kilka kroków dzieliło ich od zrównania się ze sobą. Uśmiechnął się do siebie, widząc, że Learchus nie potrafi zwiększyć dzielącej ich odległości. Wkładając w bieg całą swoją wolę i siłę, Uriel jeszcze bardziej przyśpieszył kroku. Głuche tupnięcia stóp pędzącego za nim Cleandera brzmiały w jego uszach coraz głośniejsze, ale Uriel nie zważał na nie, skupiając się na prześcignięciu prowadzącego.

Learchus zerknął za siebie, a na jego twarzy pojawił się wyraz rozpacz, który dla Uriela był sam w sobie ogromną nagrodą. Obydwaj doskonale wiedzieli, że Learchus przegrywa. Mimo to prowadzący zmusił się do jeszcze szybszego biegu, pracując nogami i rękoma ze zdwojoną mocą.

Uriel przebiegł po skosie w prawo, chcąc jak najszybciej zrównać się z rywalem. Mięśnie nóg paliły go żywym ogniem. Learchus dostrzegł kątem oka ten nagły manewr i zamiast przyśpieszyć, wyrzucił łokieć do tyłu.

Z nosa Uriela chlusnęła krew, a oczy zaszyły mu łzami. Nagle oślepiło go słoneczne światło, potknął się i zatoczył do przodu. Ktoś chwycił go od tyłu za barki i Uriel krzyknął wściekle, kiedy Cleander zepchnął go ze ścieżki. Runął jak długi, a spazm bólu przeszył go ponownie, kiedy uderzył złamanym nosem o kamień. Dosłyszał jeszcze złośliwy rechot i poczuł, jak ogarnia go nieopisana wściekłość.

Spróbował wstać na nogi, ale zakręciło mu się w głowie i znowu upadł. Machinalnie otarł dłonią krew, zalewającą twarz i brodę. Pomimo wszechogarniającego bólu i złości wiedział, że inni rekruci mijają go, biegnąc śladem prowadzących, którzy wspinali się na szczyt góry.

Czyjaś dłoń zacisnęła się na jego nagim ramieniu i pociągnęła go do góry. Przez zasłonę łez wściekłości i bólu Uriel dostrzegł masywną, krępą sylwetkę Pasaniusa, który wsparł go i pomógł utrzymać równowagę.

- Niech zgadnę - wysapał z trudem. - Learchus?

Uriel mógł tylko pokiwać głową. Cały czas spoglądał na szczyt góry, gdzie Learchus świętował właśnie swój tryumf.

- Dasz radę biec?

- Tak, poradzę sobie - przytaknął Uriel. - Pobiegnę tam i rąbnę go dokładnie w środek tej zdradzieckiej gęby...

Strząsnął dłoń Pasaniusa z ramienia i ruszył przed siebie, przy każdym kroku czując,

jak jego zranioną twarz przesywają igielki bólu. Krew w dalszym ciągu płynęła mu z nosa, a on przelykał ją, delektując się słonym smakiem i narastającą w duszy wściekłością. Minął innych młodych rekrutów, praktycznie ich nie zauważając i w myślach układał plan zemsty.

Uriel znalazł się w końcu na szczycie wzgórza i ruszył po płaskim, kamienistym wierzchołku wzniesienia. Muskając dłonią kamienie, odnalazł miejsce, w którym rozsiedli się Learchus i Cleander. Jak okiem sięgnąć, dookoła wszędzie ciągnęły się wysokie, poszarpane granie czarnych gór, ale Uriel nie był w nastroju do podziwiania piękna krajobrazu. Szedł ze wzrokiem utkwionym w Learchusa, a ten przyglądał mu się z niepokojem. Cleander, widząc, co się święci, wstał ze swego miejsca i wyszedł mu na spotkanie. Na jego twarzy malował się wyraz irytacji. Choć był młodszy od Uriela, przewyższał go głowę, a całe jego ciało przypominało jeden napięty supel mięśni.

Uriel przystanął i spojrzał mu prosto w oczy, a potem z całej siły rąbnął pięścią w splot słoneczny. Zaskoczony Cleander zgiął się w pół, a Uriel wyprowadził dwa kolejne ciosy od dołu, z których jeden trafił w szyję, a drugi w podbródek chłopaka. Trzecie uderzenie, wymierzone dokładnie w szczękę, zważyło Cleandera z nóg.

Chłopak upadł na ziemię, słabo jęcząc, a Uriel przeszedł obok niego i zbliżył się do Learchusa. Ten zerwał się na równe nogi i cofnął o krok, unosząc pięści w klasycznej postawie boksera.

- Jesteś oszustem - powiedział Uriel, zaciskając ręce.

- Wygrałem wyścig - odparł Learchus, wzruszając ramionami.

- Uważasz, że tylko to się liczy? Zwycięstwo?

- Oczywiście - odparł z pobłażaniem Learchus. - Jesteś głupcem, jeśli myślisz inaczej.

Krążyli wokół siebie, a ostatni z rekrutów dobiegali właśnie na szczyt góry.

- Czyżby w barakach Agiselus niczego nie wbili ci do łba, Learchusie? Zwycięstwo jest nic niewarte, jeśli osiągnie się je w niehonorowy sposób.

- Jak śmiesz mnie pouczać, ty świniarczyku! - zapienił się Learchus. - W ogóle nie powinno cię tutaj być! Jestem tutaj dlatego, że wywalczyłem sobie to prawo własnymi rękoma, a nie dlatego, że zasłużył na nie któryś z moich przodków!

- To, że zostałem wybrany, jest tylko i wyłącznie moją zasługą - odparł ponuro Uriel. - Lucian nie miał z tym nic wspólnego.

- Jesteś końskim łajnem! - wysyczał Learchus i wyprowadził niespodziewany cios w głowę Uriela. Ten uniknął pięści, złapał obydwoma dłońmi przedramię Learchusa, przyklęknął, obracając się wokół własnej osi i przerzucił go przez swój prawy bark.

Chłopak zdołał tylko krzyknąć, kiedy znalazł się w powietrzu. Jego wrzask zamienił

się w jęk bólu, gdy grzmotnął o ziemię, a powietrze zostało brutalnie wypchnięte z jego płuc. Uriel wykręcił ramię Learchusa do końca i poczuł, jak pod jego dłońmi kości pękają z trzaskiem, a nadgarstek wyskakuje ze stawu. Krzyk bólu zranionego chłopaka przeszył powietrze.

Uriel rozluźnił chwyt i wstał z ziemi. Powolnym krokiem wrócił na swoje miejsce i oparł się o kamień, dopiero teraz czując potworne zmęczenie.

Chłopcy zgromadzili się wokół poturbowanych, pomagając im wstać, a Uriel poczuł, że ogarnia go wstyd. Learchus był bardzo lubiany, a pobicie go z pewnością nie zwiększy sympatii kolegów do Ventrisa.

Niestety, co się stało, to się nie odstanie. Teraz musiał ponieść konsekwencje swoich czynów, nieważne jakie miałyby one być. Na twarz Uriela padł cień. Podniósł wzrok i zobaczył masywną sylwetkę Pasaniusa, który stał obok z niewesołym wyrazem twarzy.

- Nie powinieneś być tego robić, Urielu.

- Wiem. Żałuję tego, ale nie jestem w stanie cofnąć czasu.

- Learchus nigdy ci tego nie zapomni.

- Sądzisz, że mam go teraz przeprosić?

- Tak, ale to może nie być odpowiedni moment. Publicznie go ośmieszyles i nie sądzę, aby przyjął teraz przeprosiny. Porozmawiaj z nim, kiedy wrócimy do fortecy, a aptekarze nastawią jego nadgarstek

- Zrobię tak, jak radzisz, przyjacielu. Głupio postąpiłem, pozwalając, aby kierowała mną nienawiść.

- Dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę. Najwidoczniej w Agiselus wbili coś do tej pustej, chłopskiej głowy.

- Nie przeciągaj struny - ostrzegł Uriel. - Bo i tobie przyłożę.

- Zawsze możesz spróbować, ale będziesz musiał się bardziej starać niż przy tamtej dwójce.

Uriel roześmiał się głośno, wiedząc, że Pasanius ma rację. Choć liczył sobie dopiero piętnaście lat, był rosły niczym dojrzały mężczyzna. Pod opaloną skórą kryły się mocne węzły mięśni, a jego sprawności w zapasach czy boksie nie był w stanie dorównać żaden z rekrutów.

- Ruszajmy - powiedział Pasanius. - Sam dobrze wiesz, że Clausel o zmroku zamyka bramy fortecy, a wierz mi, nie mam ochoty spędzać kolejnej nocy pod gołym niebem w górach.

Uriel pokiwał głową i powoli wstał z ziemi. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że

pozwoił mięśniom ostygnąć po wysiłku i przeklinał w myślach swoją głupotę.

Jeden po drugim rekruci pomagali iść śmiertelnie blademu Learchusowi, którego twarz ściągnięta była grymasem bólu. Jego nadgarstek spuchł i był dwukrotnie grubszy niż zwykle. Ciało nabrało fioletowej barwy, a chłopak podczas zejścia z góry kilka razy o mały włos a nie stracił przytomności. Uriel zaoferował swoją pomoc, ale miny pozostałych rekrutów powiedziały mu, że powinien siedzieć cicho.

Kiedy dotarli do Fortecy Hery, Learchus powiedział aptekarzom, że pośliznął się w górach i upadł. W ciągu kolejnych dni pomiędzy Urielem a resztą rekrutów wytworzył się dystans, pustka, której nie potrafił zniwelować. Nawet fakt, że zdawał sobie sprawę z jej istnienia, nie pomógł w naprawieniu stosunków z kolegami. Podczas następnych lat okazało się, że tylko Pasanius pozostał jego wiernym przyjacielem.

Kłęczący w głównej sali świątyni Uriel otworzył oczy, otrząsając się z zadumy. Powstał z kolan i wyprostował się, spoglądając z góry na pielgrzymów. Rzadko wracał myślami do czasów, kiedy był jednym z kadetów, dlatego zaskoczyła go dzisiejsza fala wspomnień. Być może była to wizja albo znak zesłany przez boskiego Pierworodnego? Spojrzał w oczy Roboute Guillimana, szukając w nich potwierdzenia swoich przypuszczeń, ale ojciec Ultramarines siedział nieruchomo na swoim tronie.

Czując spoczywający na barkach ciężar odpowiedzialności, Uriel przeszedł przez komnatę i stanął przed niszą, która stanowiła wewnętrzne sanktuarium. Wyłożono ją płytami wytopionymi z czarnego kruszcu, na którym zielonkawym blaskiem połyskiwały żyłki jadeitu. Na tych żałobnych tabliczkach wypisano imiona wszystkich Ultramarines, którzy zginęli w boju. Tysiące imion ciągnęły się przez milenia historii Zakonu, otaczając wyryte w centrum: „Roboute Guilliman”. Uriel zastanawiał się, ile jeszcze nazwisk znajdzie się na tych tablicach, nim on i jego ludzie wrócą z Pavonis. Czy i po nim zostanie tutaj jedyny ślad?

Odszukał tabliczkę poświęconą Pierwszej Kompanii Ultramarines, która oddała swoje życie, broniąc północnej części fortecy Macragge przed hordą obcych, zwanych tyranidami. Od ich bohaterskiej śmierci minęło dwieście pięćdziesiąt lat.

Oczy Uriela wyłowiły jedno nazwisko, wyryte tuż pod napisem: „Kapitan Invictus, dowódca Pierwszej Kompanii”.

Starszy sierżant Lucian Ventris.

Przesunął delikatnie palcem po napisie, czując dumę z faktu, że nazwisko jego przodka znajduje się pośród bohaterów. Przypadkowe pokrewieństwo z jednym z herosów zakonu sprawiło, że Uriel uzyskał przywilej trenowania w koszarach Agiselus, jednak tylko

dzięki własnemu zacięciu i żelaznej woli stał się jednym z Ultramarines.

Uriel pokłonił się tabliczce upamiętniającej przodka, zasalutował wszystkim poległym bohaterom, obrócił się na pięcie i wyszedł ze świątyni.

Musiał przygotować swoją kompanię do walki.

ROZDZIAŁ 3

Dobytający się z tysięcy gardeł gwar był ogłuszający. Sędzia Virgil Ortega z korpusu Adeptus Arbites, strzegącego porządku na Pavonis, grzmotnął tarczą w twarz jednego z demonstrantów, a potem uderzył go jeszcze raz pałką elektryczną. Zewsząd napierała na niego masa ciał, ale on raz za razem zadawał ciosy, nie dbając o to, kogo dosięgają. Dłonie zaciskały się na jego mundurze i próbowały powalić na ziemię, ale stróże prawa bezwzględnie napierali na tłum, spychając go do tyłu. Z klębiącej się ludzkiej masy wyłonił się jakiś człowiek, ale Virgil powalił go na ziemię szybkim uderzeniem pałki. Demonstrant padł na ziemię ze zmiażdżonymi kośćmi twarzy. Ortega nie zważał na nic, nawet pełne wściekłości okrzyki buntowników nie robiły na nim żadnego wrażenia. Postawiono przed nim jedno zadanie: miał nie dopuścić, aby uczestnicy rozruchów znaleźli się w pobliżu gubernatora Shonai. Jeden z Arbitratorów padł ranny na ulicę.

Sędzia Sharben walczyła u jego boku, zręcznie unikając niezdarnych ciosów zadawanych lewarem. Krótkie pchnięcie pałki elektrycznej w kałdun napastnika zważyło go z nóg. Jak na żółtodzioba doskonale sobie radziła, nawet lepiej niż weterani z dziesięcioletnim doświadczeniem. Wszędzie dookoła sędziowie w czarnych pancerzach rozpędzali tłum mocnymi uderzeniami pałek, odsuwając buntowników od trybuny gubernatora.

Ta część placu zamieniła się w regularne pole bitwy, kiedy rozwścieczeni robotnicy z Wrót Brandona zaczęli się burzyć. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi, gubernator Mykola Shonai i starsi przywódcy karteli uznali, iż muszą osobiście porozumieć się z Kolektywem Robotniczym i publicznie ogłosić, że tak zwana „nowa dziesięcina” jest wprowadzona tylko tymczasowo.

Jak można było przewidzieć, ludzie nie byli przychylni nowym podatkowi, nawet okresowym. Zaczęło się od okrzyków niezadowolenia, potem ich miejsce zajęły obelgi i przekleństwa, a na koniec w ruch poszły kamienie i butelki. Większość z tych improwizowanych pocisków nieszkodliwie odbijała się od tarcz Arbitratorów, lecz nagle padł strzał i jeden z funkcjonariuszy, ranny w nogę, padł na beton ulicy.

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie. Coraz więcej pocisków zaczęło śmigać ponad głowami stróżów prawa, a Ortega dostrzegł jednego z członków kartelu, który zginął na miejscu, kiedy jego czaszkę roztrzaskała kula. Był już praktycznie martwy, gdy

postąpił jeszcze kilka kroków do przodu i zwałił się na panią gubernator, przewracając ją pod swoim ciężarem. Ortega nie wiedział, czy odniosła obrażenia. Nie miał czasu, aby rozglądać się dookoła i nie wiedział, czy Mykola Shonai żyje. Jedyne, co było w tej chwili ważne, to fakt, że jakiś skurwiel miał broń i doprowadził do rozruchów. Cóż, jeśli ci ludzie chcieli ostro pogrywać, Virgil Ortega nie miał nic przeciwko temu.

Strażnicy pani gubernator i szefów karteli wycofywali się, próbując ich ochronić przed zagrożeniem. Ortega szybko spostrzegł, że uciekając przed jednym niebezpieczeństwem, kierują się w stronę drugiego. Podążając ku bramom pałacu imperialnego nie wiedzieli, że czeka tam kolejna, duża grupa zbuntowanych robotników. Tłum zafalował jeszcze raz i przesunął się ku schodom wiodącym na trybuny. Adeptus Arbitres w dalszym ciągu byli w stanie powstrzymać ten ludzki żywioł, ale bez wsparcia pojazdów opancerzonych i działek wodnych ich wysiłki były z góry skazane na porażkę. W końcu masa naprze na nich z taką siłą, że nie zdołają utrzymać pozycji. Ortega wiedział, że musi szybko coś zrobić, gdyż w przeciwnym razie dojdzie do katastrofy.

- Sharben! - krzyknął ile sił w płucach. - Weź jednego człowieka i wsiadaj do wozu! Zgarnijcie po drodze panią gubernator i zawieźcie ją do pałacu! Szybko!

Sharben pokiwała głową. Jej twarz była niewidoczna za lustrzaną maską hełmu. Dziewczyna dobrze zrozumiała polecenie i pędem ruszyła ku czarnemu pojazdowi. Pozostali sędziowie, z Ortega na czele, powoli i metodycznie wycofywali się przed napierającym tłumem. Nawet najbardziej zacietrzewieni prowokatorzy obawiali się podejść zbyt blisko do Arbitratorów, gdzie czekały ich razy pałek elektrycznych.

Choć te rozruchy wyglądały poważnie, Ortega tłumił już znacznie groźniejsze zamieszki. Zawsze dbał o to, aby przemoc nie rozlała się po mieście niczym płonąca benzyna. Mechanizm zachowania tłumu zawsze był taki sam. Ludzie znajdujący się w środku nie mieli wyboru i musieli iść do przodu, w przeciwnym wypadku zostaliby zmiażdżeni przez demonstrantów napierających z tyłu. Jeżeli Sharben zdoła wyprowadzić gubernator poza obszar zamieszek, to sytuację da się opanować bez większych strat.

Ortega rozejrzał się dookoła i skinął na sierżanta Collixa.

- Collix, chcę, żebyście utrzymali tę linię i nie cofnęli się nawet o krok. Sharben i ja postaramy się wyciągnąć stąd panią gubernator.

- Tak jest, sir! - krzyknął sierżant i z powrotem zajął swoje miejsce w szyku.

Ortega odwrócił się szybko i wycofał, wsuwając pałkę za pasek. Nie był pewien zdolności przywódczych Collixa, ale był on najstarszym rangą sędzią, jaki pozostał na placu boju. Przełączywszy mikrofon w hełmie na częstotliwość sił bezpieczeństwa, rzucił prędko:

- Tu sędzia Virgil Ortega! Wzywam patrol sił bezpieczeństwa Primus! Pozostać na swoich pozycjach. Zmierzacie dokładnie w sam środek ogniska rozruchów. Zaraz zapewnimy wam transport, powtarzam, nie zmieniajcie waszych pozycji!

Nie czekając na odpowiedź, wyłączył komunikator i ruszył w kierunku notabli.

Zza pleców dobiegł basowy głos Collixa, który wykrzykiwał jakieś rozkazy, ale sens jego słów znikł pośród ryku tłumu. Wtem inny dźwięk zmusił Ortegę do przypadnięcia do ziemi. Był to odgłos pocisku wsuwanego do komory, niemożliwy do pomylenia z żadnym innym. Ortega odwrócił się i zobaczył, jak linia sędziów unosi naładowaną broń i gotuje się do strzału. Na Tron Imperatora! Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył na własne oczy. Arbitratorzy mieli zamiar strzelać do cywilów!

- Opuścić broń! - ryknął Ortega, ale było już za późno. Praktycznie z przystawienia cały szereg funkcjonariuszy wystrzelił w tłum. Pierwsze szeregi ludzi zachwiały się i upadły. Chmura dymu spowiła trupy, a zza jej zasłony dobiegły krzyki rannych. Ortega był pewien, że dosłyszał, jak z gardeł tych, którzy przeżyli, dobywa się ryk wściekłości. Tłum zafalował, a strzelby plunęły ogniem jeszcze raz. Ulicę zasłały kolejne ciała, ale napastników było coraz więcej. Pod stopami tłumu miażdżeni byli ci, którzy mieli nieszczęście upaść. Krew płynęła po kocich łbach, a jęki agonii zagłuszone zostały przez okrzyki gniewu.

Jak jeden mąż sędziowie zrobili krok do przodu i unieśli broń, ponownie celując w buntowników. Dwie kolejne salwy ugodziły tłum, zanim Ortega dopadł swoich podwładnych, krzycząc ile sił w płucach.

- Opuścić broń! Przerwać ogień! To cholerny rozkaz! Wykonać natychmiast!

Kiedy rozwiął się dym, sędziowie nadal stali z bronią w gotowości, spoglądając na setki zaścielających ulice ciał. Niektóre z nich były zmasakrowane, inne nie nosiły żadnych widocznych śladów przemocy. Krew płynęła między kamieniami brukowymi, jęki rannych ginęły w panicznych krzykach uciekających. Choć demonstranci się wycofywali, Ortega wiedział, że koszmar jeszcze się nie skończył.

- Do tyłu! - wrzeszczał na podkomendnych. - Wycofać się do pojazdów! Zarządzam natychmiastową ewakuację!

Ortega zaczął odciągać swoich ludzi, z których część dopiero teraz zrozumiała, jak straszliwie spustoszenie uczyniła ich broń. Powietrze wypełniła woń prochu, smród krwi, potu i uryny. Doświadczenie podpowiadało sędziemu, że za chwilę na placu rozpęta się istne piekło. Jego podwładni sprawnie wsiadali do czarnych transporterów opancerzonych Rhino, których silniki ryczały na pełnych obrotach. Niektóre z pojazdów zostały zmodyfikowane i z ich dachów groźnie spoglądały lufy armatek wodnych. Na rozkaz Ortegi bicze wody zaczęły

chłostać pierwszych nadbiegających wichrzycieli.

Żądny zemsty tłum zbliżał się do stróżów prawa i strumienie smagneły tych ludzi, którzy wysforowali się do przodu.

Niestety, działek było mało, a tłum nazbyt liczny. Wkrótce pięści i buty zaczęły uderzać w tarcze. Zdyscyplinowani Arbitratorzy wycofywali się równym szeregiem w kierunku transporterów, oczyszczając sobie drogę celnymi ciosami pałek. Ortega otworzył właz i poganiał sędziów, aby szybciej wsiadali do środka.. Kiedy ostatni z nich znikł we wnętrzu pojazdu, Virgil sam dał nura do środka i krzyknął do kierowcy:

- Zabierz nas stąd! Możemy jechać! Musimy znaleźć Sharben, najlepiej połącz się z nią przez radio. Ona ochrania panią gubernator!

Rhino przyspieszył, sprawnie prowadzony przez kierowcę, który zręcznie unikał ścigającego go tłumy. Kierowali się ku koszarom Adeptus Arbites, kiedy Ortega dostrzegł, że wieżyczka pojazdu, którym dowodziła Sharben, stoi w płomieniach niedaleko wrót pałacu imperialnego. Sędzia, który obsługiwał armatkę wodną, leżał nieruchomo na górnym pancerzu, a lewa gaśienica pojazdu została rozerwana. Wokół wraku tłoczyła się cizba buntowników, kołyszając nim to w prawo, to w lewo.

Ortega, który oglądał tę scenę z włazu na dachu, huknął pałką o owiewkę kabiny kierowcy i wskazał unieruchomiony pojazd.

- Podjedź równolegle do niego i zatrzymaj się obok. Potem bądź gotów ruszyć na mój znak.

Kierowca pokiwał głową, pokazując, że rozumie, i skierował pojazd ku unieruchomionemu transporterowi. Dowódca sędziów z obawą spoglądał na bujający się wrak.

- Tutaj Ortega, słyszysz mnie, Sharben?

- Tak, sir - usłyszał jej głos w słuchawkach. - Jeżeli jest pan gdzieś w pobliżu, to przydałaby się nam pomoc.

- Jesteśmy tuż obok. Trzymajcie się jeszcze przez chwilę i zaraz będzie po wszystkim. Znalazłaś panią gubernator?

- Tak jest, sir.

- Świetna robota. Zaraz was wyciągniemy.

Sędzia Jenna Sharben czuła, jak strużki potu znajdują sobie drogę pod skórzanym, czarnym pancerzem. Gorąco wewnątrz pojazdu robiło się nie do zniesienia. Było tylko kwestią czasu, kiedy jego pasażerowie żywcem się upieką. Transporter zatrzęsł się jeszcze

raz, a ludzie wewnątrz krzyczeli, doprowadzeni do hysterii. Sharben zmówiła krótką modlitwę do Imperatora, błagając go, aby Virgil Ortega rzeczywiście był w pobliżu. Może to i jest pozbawiony poczucia humoru i twardy jak skała sukinkot, ale nigdy jeszcze nie zostawił swojego podkomendnego na pastwę losu.

- Sędzio! - wrzasnął jakiś mężczyzna w czerni, którego nie rozpoznawała. - Jaki jest plan? Musimy zostać uratowani za wszelką cenę, dlatego żądam, abys odeskortowała nas w bezpieczne miejsce! Ta sytuacja jest nie do zniesienia!

Sharben zmierzyła go wzrokiem, dostrzegając plakietkę kartelu Vergen. W głosie człowieka pobrzmiwała irytująca pewność siebie bufona. Ledwie powstrzymała cisnące się na usta przekleństwo i powiedziała:

- Mój zwierzchnik jest już w drodze. Zostaniemy odtransportowani innym pojazdem.

- Jestem pewna, że nic naprawdę nam nie grozi - powiedziała z przekąsem gubernator Mykola Shonai. Jakby na przekór jej słowom pojazd zatrząsł się mocniej, a Jenna zdała sobie sprawę, że za chwilę zostanie przewrócony na bok.

- Trzymać się! - krzyknęła, chwytając za zwisającą na rzemyku rączkę. - Zaraz nas wywróca!

Z ogłuszającym hukiem Rhino przewrócił się na bok, a siła uderzenia cisnęła pasażerów na bok. Jenna zdołała pochwycić gubernator Shonai za skrawek ubrania i zapobiec bolesnemu upadkowi. Odciągnęła ją na bok, starając się nie zwracać uwagi na okrzyki radości, które dobiegły zza pancerza. Choć ludzie na zewnątrz nie mieli czym przebić chroniących pasażerów płyt, to sam ryk tłumu wystarczał, aby ich przerazić. Człowiek, którego gubernator nazywała Leotas, leżał obok nieruchomo, a z głębokiej rany z tyłu jego głowy ciekła krew. Pozostali pasażerowie transportera nie wyglądali na poważnie poranionych czy poobijanych.

Sharben rozluźniła zaciśniętą na klamrze dłoń i rzuciła się do niewielkiej szafki. Otworzyła ją i wyciągnęła podręczną apteczkę. Uklęka przy leżącym nieruchomo Leotacie, praktycznie natychmiast zdając sobie sprawę, że na pomoc jest za późno. Siła uderzenia złamała kark mężczyzny, podobnie jak kości jego czaszki. Spod posklejanych krwią włosów wystawały białawe fragmenty czerepu.

- Czy on... Czy on z tego wyjdzie? - spytała łamiącym się głosem gubernator Shonai.

- Nie - odparła głucho Jenna. - On nie żyje.

Shonai spojrzała na nią z niedowierzaniem i zasłoniła usta dłońmi.

Z zewnątrz dobiegł warkot silnika i Jenna odruchowo wypuściła z dłoni apteczkę. Unieruchomiony Rhino zostały uderzony z ogromną siłą, a kolizji towarzyszyła kanonada.

Kiedy Sharben odzyskała równowagę, dosłyszała, jak od strony burty, która obecnie była dachem, dobiegają odgłosy ciężkich kroków.

W interkomie zaskrzeczał głos Virgila Ortegi:

- Sharben! Otwórzcie włącz dla załogi, jesteśmy tuż obok.

Jenna rzuciła się ku drzwiczkom i puściła w ruch koło otwierające zamek. Z metalicznym szczękiem sztaby cofnęły się i włącz stanął otworem. Do wnętrza pojazdu wdarł się dym i słabe promienie słonecznego światła.

Ortega zatknął za pas elektryczną pałkę i krzyknął:

- Dawaj tutaj gubernator!

Jenna pomogła wstać Mykoli Shonai i wsparła ją, kiedy starsza kobieta przeciskała się przez włącz. Ortega chwycił ją za ręce i bez trudu wyciągnął na górę. Bezceremonialnie, jak worek ziemniaków, przekazał gubernator kolejnemu z sędziów i pomagał wysiadać następnym pasażerom unieruchomionego Rhino. Serie z bolterów pojazdów Adeptus Arbites zmusiły tłum do cofnięcia się od transporterów. Było to jednak tylko chwilowe zwycięstwo.

- No dalej! - krzyknął Ortega. - Nie mamy czasu do stracenia, pośpieszcie się!

Jeden po drugim przerażeni notable uciekali z pojazdu, wspomagani przez Ortęgę i Jennę. Sędziowie ochraniaли ich w trakcie przejścia, a serie z bolterów, mierzone ponad głowami ludzi, zapewniały chwilę spokoju. Kiedy wszyscy już byli bezpieczni, Jenna opuściła pojazd akurat w odpowiednim momencie, aby zobaczyć, jak Rhino z panią gubernator na pokładzie rusza z rykiem silnika ku majaczącej w oddali bryle pałacu imperialnego.

- Czas na nas, Sharben - mruknął Ortega, spoglądając na wyjący z wściekłości tłum, który właśnie zdał sobie sprawę, że oto zdobycz wymknęła mu się z rąk.

- Tak, sir - przyznała. Zeskoczyła z wraku i biegiem ruszyła ku kwaterom Adeptus Arbites. Armatki wodne, jeszcze silniejsze od tych, które montowano na pojazdach, osadzone były w bastionach i teraz siknęły w tłum, spowalniając jego napór. Uciekających sędziów ścigały jeszcze pełne wściekłości okrzyki, ale kiedy oboje znaleźli się w cieniu zabudowań, nikt nie był już w stanie uczynić im krzywdy.

Transportery Rhino, które znajdowały się pod komendą Ortegi, zaparkowały pośrodku placu i otaczali je teraz poturbowani funkcjonariusze.

Jenna Sharben zdjęła z głowy hełm i przeczesła dłonią krótkie, czarne włosy. Pot spływał jej po twarzy, a serce waliło jak młotem. Ortega mijał ponurych podkomendnych i szedł w kierunku Collixa. Zdjął hełm i wbił w sierżanta mordercze spojrzenie.

Ortega był niskim, przysadzistym mężczyzną, nie sprawiającym na pierwszy rzut oka

imponującego wrażenia. Niemniej jednak zawsze otaczała go aura pewności siebie i autorytetu. Teraz pot błyszczał na jego łysej czaszce i spływał po wydatnej brodzie.

- Sierzancie! Co tam się do cholery stało? Czy wydałem wam rozkaz otwarcia ognia?

- Nie, sir - odparł gładko Collix. - Wydawało mi się, że w tamtej sytuacji użycie broni palnej było jedynym sensownym rozwiązaniem. Pomyślałem, że gdyby był pan na miejscu, stwierdziłby pan to samo.

- Więc niech pan nie myśli, sierzancie. Nie wychodzi to panu. Szczególnie, kiedy próbuje pan wejść w rolę oficera wyższego stopnia.

- Zapewne.

- Nie próbujcie w to powątpiewać, Collix. Naszym zadaniem jest wprowadzanie w życie praw Imperatora, a nie masakrowanie jego poddanych. Czy to jasne?

- Tłum miał w głębokiej pogardzie te prawa, sir.

- Nie zgrywaj niewiniątka, Collix. Będę cię miał na oku.

Ortega przez chwilę nie spuszczał wzroku z podwładnego, a potem ruszył w stronę baraków. Nie odwracając się za siebie, krzyknął:

- Świetna robota, sędzio Sharben!

Jenna uśmiechnęła się do siebie, słysząc rzadkie słowa pochwały z ust Ortegi. Przez chwilę obserwowała go, ale szybko zniknął we wnętrzu budynku.

Usiadła na błotniku Rhino i oparła się o wibrujący pancierz, pozwalając ulecieć zmęczeniu i wspomnieniom dzisiejszego dnia. Była z siebie dumna: walczyła i zachowała się jak doświadczony Arbitrator, a nie żółtodziób, który ledwo co ukończył szkolenie. Metodycznie analizowała swoje poczynania i nie potrafiła w nich znaleźć ani jednego błędu.

Tak, nieźle się spisała.

- Powinna pani zezwolić, aby pałacowy chirurg opatrzył rany - powiedział Almerz Chanda, lekko muskając swędzącą, purpurową bliznę, która przecinała jego tonsurę. Należał do grona szczęśliwców, których z wraku Rhino wyciągnął patrol Adeptus Arbites, a w trakcie zamieszek odniósł zaledwie kilka pomniejszych obrażeń. Rana na głowie pani gubernator nie była ani groźna, ani głęboka, a medyk Arbitratorów pokrył ją syntetyczną skórą. - Pani gubernator?

Mykła Shonai była u kresu sił. Jeden z jej najbliższych przyjaciół nie żył, podobnie jak jej bratanek, który zginął od kuli przeznaczonej dla niej.

- Nic mi nie jest - powiedziała gubernator, która sprawiała wrażenie, jakby wyrwano ją z głębokiej zadumy lub obudzono ze snu. Ton jej głosu był znacznie bardziej szorstki niż

zamierzała, dlatego odwróciła się od pancерnej szyby i uśmiechnęła do doradcy. -
Przepraszam, Almerz. Jestem po prostu...

- Nie musi pani przepraszać. To był tragiczny dzień.

- Racja - przytaknęła gubernator. - Biedny Dumak. Biedny Leotas.... Umarli na długo przed tym, nim nadszedł ich czas.

Chanda pokiwał głową.

- Wszystkim będzie ich brakowało, proszę pani.

- Ta kula była przeznaczona dla mnie - ciągnęła dalej gubernator. - Dumak miał ledwie dwadzieścia lat. W przyszłym roku chciałam mianować go moim następcą. W odpowiednim czasie miał przejąć po mnie rządy.

- Oddał swoje życie, aby panią ocalić - przerwał ten dziwny monolog Chanda. - Spełnił swój obowiązek, jak przystało na każdego prawego członka kartelu Shonai. Będzie pamiętany jako bohater.

- A jak ludzie wspomną Leotasa?

- Jako serdecznego przyjaciela, którego przedwcześnie powołał do siebie Imperator.

Gubernator Mykola Shonai uśmiechnęła się, dziękując za te słowa otuchy i szepnęła:

- Jesteś prawdziwym przyjacielem, Almerz. Wybacz, ale chciałabym zostać przez chwilę sama.

- Jak pani sobie życzy - odparł Chanda i skłonił się nieznacznie, po czym wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi i pozostawiając gubernator Pavonis sam na sam z myślami.

Mykola Shonai spoglądała przez okno, czując, jak maska żelaznej damy ustępuje miejsca czarnej rozpacz. Jej przyjaciel i druh, Leotas Vergen, nie żył. Odszedł. Tak po prostu... Jeszcze tego ranka z przejściem opowiadał o małżeństwie swojej córki z synem Talouna, snuł plany kooperacji pomiędzy kartelami, a teraz był zimnym trupem. Kartel Vergen nie miał przywódcy, a marzenia o współpracy legły w gruzach wraz ze śmiercią ich twórcy.

Bez wątpienia Taloun był zadowolony z obrotu wypadków. Będzie próbował przeforsować to małżeństwo i dzięki niemu stanie się głową kartelu Vergen. Zapewne inni jego członkowie spróbują do tego nie dopuścić, ale znana z uporu córka Leotasa będzie chciała doprowadzić do końca plany zmarłego ojca. Shonai poczuła w sercu ukłucie smutku, kiedy zdała sobie sprawę, iż małżeństwo i łączące parę uczucia stały się teraz narzędziem w politycznej grze. Niestety, stwierdziła gorzko w duchu, tak właśnie wygląda życie na Pavonis.

Odegnawszy od siebie te niewesołe refleksje na temat smutnego losu młodych, Mykola ponownie wyjrzała przez okno, omiatając wzrokiem Plac Oswobodzenia.

Na Imperatora, cóż to był za straszny widok. Z nieba zaczęły kapać pierwsze krople deszczu i pod ich wpływem kałuże krwi spływały do studzienek ściekowych, niosąc ze sobą brud. Shonai zdawała sobie sprawę z tego, że jej kłopoty nie znikną równie łatwo. Na bruku, którym wyłożono plac, leżały trupy, otoczone przez grupki zawodzących z rozpacz, zapłakanych bliskich i przyjaciół. Jak do tego doszło? Gdzie popełniła błąd?

Jeszcze kilka lat temu Pavonis było spokojną planetą, która nie znała koszmaru wojen domowych i rebelii, trapiących resztę galaktyki. Podatki płacono na czas, a pobór do Gwardii Imperialnej zdarzał się rzadko. Pod każdym względem świat ten był typowym przykładem porządku i dyscypliny. Ludzie pracowali ciężko i w pocie czoła, ale ich wysiłek spotykał się z szacunkiem. O rozruchach słyszano jedynie z wieści, które docierały z sąsiednich światów.

Ale czasy się zmieniły.

Wszystkie kartki z notatkami i arkusze raportów, które zaścielały biurko Shonai, donosiły o rozruchach podobnych do tych, które widziała dziś na własne oczy. Złe wieści nadchodziły zewsząd: w Altemaxa robotnicy wzięli szturmem Imperialne Biuro do Spraw Wydatków i podpalili budynek. Buntownicy w Praxades zatrzymali statek kupca z innego świata i złupili jego ładownię. W tej chwili na biurku znajdowała się petycja, w której ów człowiek prosił ją o pokrycie poniesionych wskutek napadu strat.

W świątyniach kultu Imperatora doszło do pięciu zamachów bombowych, zorganizowanych przez Świątynię Starodawnych Obrządków. Zginęło trzydzieści osób i w nieodwracalny sposób uszkodzono infrastrukturę dwóch manufaktur. W getcie Jotusburga jeden z członków kartelu Abrogas został kilkakrotnie dźgnięty nożem i tylko szczęściu zawdzięczał fakt, że był jeszcze wśród żywych. Nigdy nie zostało wyjaśnione, co robił w tak podejrzanym miejscu. Jakby nie dość było tego, w pobliżu planety Caernus IV jeden ze statków wiozących zaopatrzenie został napadnięty przez eldarskich piratów. Łupieżcy od sześciu lat płądrowali szlaki żeglugi kosmicznej, wiodące w pobliżu układu Pavonis. Ten okręt wioził na swoim pokładzie materiały i dobra, które w znacznym stopniu miały zredukować horrendalny dług, jaki Pavonis musiało spłacić z racji nie uiszczonych podatków imperialnych.

Gubernator Shonai czuła, jak każde z tych niepowodzeń ciąży jej na duszy i zachodziła w głowę, jak to możliwe, że kiedyś działa się inaczej. Ze wszystkich sił próbowała uiszczyć podatki, jakie nakładało Administratum, ale nic więcej nie była w stanie wydusić z Pavonis.

Fabryki pracowały z pełną mocą, jednak te dobra, które wytwarzały, nie były w stanie załatać dziury w budżecie. Nowy podatek, który zamierzała wprowadzić, miał pomóc w

uregulowaniu należności i zatrzymać ich narastanie do czasu, kiedy rząd znajdzie sposób na wyjście z kryzysu. Na samą wieść o tym w większości miast wybuchły zamieszki. Mykola Shonai chciała osobiście wyjaśnić swoim poddanym, że te działania są podyktowane troską o ich wspólne dobro, ale nikt nie chciał jej słuchać. Wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że sytuacja ze złąj robi się jeszcze gorsza.

A teraz, w jej własnej stolicy, ktoś próbował ją zastrzelić. Nadal nie była w stanie uwierzyć w to, czego była dzisiaj świadkiem. Kiedy zagrzmiały pierwsze strzały, Dumak zerwał się na równe nogi, próbując odciągnąć ją w bezpieczne miejsce. Shonai zamknęła oczy, starając się odegnąć od siebie obraz eksplodującej twarzy młodzieńca. Runął jak długi na ziemię, ciągnąc ją ze sobą, a jego krew i mózg spłynęły na jej szaty.

Od tamtej pory minęło już kilka godzin, a Shonai umyła się, rozczesała włosy i oddała ubranie do prania. Założyła czyste szaty, ale nadal czuła na skórze lepkość krwi siostrzeńca. Żal ścisnął ją za gardło, kiedy pomyślała o młodszej siostrze i tragedii, jaką musi teraz przeżywać. A jeszcze tak niedawno widziała na jej twarzy dumę, kiedy wyjawiała jej w sekrecie plany uczynienia z Dumaka następcy gubernatora i głowy kartelu Shonai.

Kapłani i aptekarze wędrowali pośród tłumu, opatrując rannych i udzielając w imieniu Imperatora ostatnich namaszczeń. Mykola także pograżyła się na chwilę w modlitwie, prosząc o łaskę dla tych, którzy odeszli. Czuła smutek, jednak wiedziała, że jej obowiązkiem jako imperialnego gubernatora było utrzymanie porządku i dyscypliny. Jak miała wypełniać swoje zadania, skoro cała planeta zdawał się wyślizgiwać jej z dłoni? Nieważne jak bardzo starała się utrzymać kontrolę nad sytuacją, jej działania skazane były na porażkę.

Ciężkim krokiem podeszła do biurka i opadła na obity zielonym sukнем fotel. Jej wzrok padł na papiery zaścielające pulpit. Każdy z dokumentów był raportem z rozruchów, informacją o ilości zabitych i poniesionych stratach. Zebrała dokumenty na jeden stos i odsunęła na bok. Przeczyta je później. Musiała się teraz zająć znacznie ważniejszymi sprawami: politycznym przetrwaniem.

Przyglądziła siwe włosy i przetarła zmęczone oczy. Jej twarz pokrywała siateczka zmarszczek, a Mykola Shonai czuła, jak każde z przeżytych sześćdziesięciu dwóch lat ciąży jej niczym kamień młyński zawieszony u szyi. Obowiązki gubernatora imperialnego całej planety nie należały ani do łatwych, ani przyjemnych.

Pociągnęła za gruby, jedwabny sznur, który zwisał obok biurka i zapatrzyła się na stojącą nieopodal kominka rzeźbę swojego praprapradziadka, Forlanusa Shonai, który trzy stulecia temu położył podwaliny pod stworzenie potęgi rodziny. Zaczynał skromnie, ale jego niewielka manufaktura szybko przerodziła się w jeden z najprężniejszych karteli

przemysłowych na Pavonis. Jak stary Forlanus poradziłby sobie z problemami, z którymi przyszło się borykać Mykoli?

Z zamyślenia wyrwało ją ciche stukanie do drzwi. Czterech ubranych na czarno mężczyzn z broszami kartelu Shonai czekało na jej zaproszenie. Grupie przewodził Almerz Chanda i to on jako pierwszy skłonił się w pas, kiedy przekroczyli próg gabinetu. Na ich twarzach malował się ponury wyraz, a gubernator bez trudu była w stanie odgadnąć powód ich złego humoru.

- Witam panów - zaczęła, nim którykolwiek z nich zdążył zacząć biadolić nad stratą, którą poniosła. - Jak bardzo źle przedstawia się sytuacja?

Pytanie najwidoczniej zbiło ich z tropu i żaden nie kwapił się z udzieleniem odpowiedzi. Shonai zmierzyła ich wzrokiem i dodała ostro:

- Kiedy o coś pytam, oczekuję odpowiedzi, a nie wykrętów.

- To nie były najgorsze rozruchy, jakich możemy się spodziewać, pani - powiedział najmłodszy stażem z doradców. Nazywał się Morten Bauer, a jego szczupła twarz była pełna entuzjazmu. Shonai poczuła coś na kształt matczynej opiekuńczości, gdy spoglądała w naiwne oczy chłopaka. Zastanawiała się, czy młody człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że jej rządy mogą właśnie dobiegać końca.

- Nie mydl mi oczu, Morten. Potrzebuję konkretnych informacji. Ilu jest zabitych? - spytała.

Chłopak wertował dane, przemykające po ekranie czytnika, po czym odpowiedział:

- Jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby podać dokładne liczby, proszę pani, ale szacowane są na ponad trzystu zabitych i dwa razy więcej rannych. Po stronie Adeptus Arbites straty są nieznaczące, poległo dwóch funkcjonariuszy.

- Nie było tak źle, jak w Altemaxa - dodał starszy mężczyzna, który z pewnością najlepsze dni życia miał już za sobą. - Tam sędziowie pacyfikujący zamieszki stracili prawie cały regiment.

Człowiek, który to mówił, nazywał się Miklas Iacovone i odpowiadał za publiczny wizerunek urzędu gubernatora. To właśnie jego pomysłem było wystąpienie przed Kolektywem Robotniczym i teraz mężczyzna desperacko próbował umniejszyć skalę zamieszek, które miały miejsce. Jego słowa, zamiast udobruchać panią gubernator, odniosły wręcz przeciwny skutek.

- Miklas, jeśli myślisz, że wykręcisz się od odpowiedzialności, mówiąc mi, że w innych miastach były większe straty i zwalając winę na służby porządkowe, to rzeczywiście jesteś idiotą. - warknął Almerz Chanda. - Nie potrzebujemy obrzucać się nawzajem błotem.

- Próbuję jedynie znaleźć pozytywną stronę dzisiejszych wypadków - bronił się Iacovone.

- Nie ma czegoś takiego jak pozytywna strona tych zamieszek - odparł Chanda. - Pogódź się z tym.

Gubernator Shonai złączyła dłonie i wyciągnęła się w fotelu. Osobiście uważała, że Iacovone miał trochę racji, jednak nie chciała spierać się publicznie ze swoim głównym doradcą. Zamiast tego zwróciła się do ostatniego z gości, Lelanda Corteo.

- Jak dzisiejsze wypadki wpłyną na stanowisko senatu? Szczerze i bez ogródek.

Analitik polityczny westchnął ciężko i z zakłopotaniem pogładził długą, szarą brodę. Wyjął z woreczka przy pasie fajkę i marszcząc krzaczaste brwi spojrzał pytająco na panią gubernator. Shonai kiwnęła przyzwalająco głową, a Corteo zapalił i dopiero wtedy odpowiedział:

- Cóż, pani gubernator. Rozwój sytuacji widzę w następujący sposób... - przerwał, aby zaciągnąć się tytoniem. - Jeśli wypadki będą nadal toczyły się tym torem, co w chwili obecnej, to tylko kwestią czasu pozostanie, kiedy któryś z karteli wezwie do uchwalenia wotum nieufności.

- Ośmielą się? - spytał zdziwiony Morten Bauer. - Kto mógłby wystąpić przeciwko władzy pani gubernator?

- Nie bądź głupcem, drogi chłopcze. Pomyśl przez chwilę: Taloun, de Valtos, Honan... Każdy z nich dysponuje odpowiednią bazą i zapleczem, aby przetrwać zamieszki, nawet jeśli będą trwały przez kilka miesięcy.

- A stoimy na krawędzi anarchii - przyznał ponuro Miklas Iacovone. - Nasza większość w senacie jest powiązana siecią wzajemnych układów i traktatów handlowych, które zawarliśmy z pomniejszych kartelami. Musimy zdawać sobie jednak sprawę z tego, że inni wielcy gracze stosują bardzo intensywny lobbing i próbują przeciągnąć ich na swoją stronę.

- Sprzedajni tchórze! - sapnął Bauer.

- Raczej oportuniści - odparł spokojnie Corteo. - Nie możemy ich zresztą za to winić. Dziesięć lat temu nasz kartel uczynił dokładnie to samo, kiedy sprzymierzył się z Vergenami i do spółki pokonaliśmy Talounów.

- To była zupełnie inna sytuacja! - zaperzył się młodzieniec.

- Och, przestań bredzić, chłopcze. Sytuacja była identyczna. Taka jest polityka, gra toczy się wedle tych samych zasad, jedynie nazwiska graczy ulegają zmianie.

- Gra? - zaperzył się Bauer.

- Panowie! - wtrącił Chanda, zanim Corteo zdołał odpowiedzieć. - Ta dyskusja prowadzi nas donikąd. Gubernator potrzebuje rady, a nie sporów.

Przywołani do porządku doradcy umilkli, zawstydzeni tą uwagą. Gubernator Shonai oparła się łokciami o blat biurka i spojrzał na nich zmęczonymi oczyma.

- Co powinniśmy zrobić? Nie mogę liczyć na wsparcie mniejszych karteli, większość z nich siedzi w kieszeni de Valtosów, Talounów i Honanów. Nam brakuje środków, a musimy utrzymać ich wszystkich w ryzach.

Corteo wydmuchnął chmurę sinawego dymu i odparł:

- Obawiam się, że musimy przyjąć do wiadomości, iż być może nasz czas przewodzenia kartelom może dobiec przedwczesnego końca.

- Nie jestem gotowa pogodzić się z tą myślą - odparła Shonai.

- Z całym szacunkiem, pani gotowość nie ma tutaj nic do rzeczy - odparował Corteo. - Płacisz mi pani za mówienie prawdy. Robiłem to samo dla pani ojca i jeśli chcesz, abym upiększał fakty, to zamiast mnie pytaj Miklasa. Jeśli nie potrzebujesz trzeźwej oceny, to doprawdy nie wiem, po co mnie trzymasz na służbie.

Shonai uśmiechnęła się, uspokajając doradcę gestem dłoni. Kiedy wszyscy zamilkli, powiedziała:

- Masz całkowitą rację, Lelandzie, choć w dalszym ciągu nie godzę się z myślą, że nie jesteśmy w stanie nic zrobić.

Odsunęła krzesło i wstała ze swego miejsca. Lepiej jej się myślało, kiedy wolnym krokiem okrążała salę, rzucając czujne spojrzenia ku rzeźbie Forlanusa. Podeszła i pogładziła głowę przodka, a potem odwróciła się do doradców.

- Dziękuję za twoje słowa, Lelandzie. Jeśli zatem przyjmiemy, że głosowania za wotum nieufności nie jesteśmy w stanie uniknąć, to ile mamy czasu, zanim wniosek zostanie postawiony przed Senatem? A jeśli tak się stanie, to o ile możemy odwlec głosowanie?

Corteo przez chwilę rozważał pytanie.

- To, czy jesteśmy w stanie odwlec głosowanie, nie ma żadnego znaczenia. Liczy się to, abyśmy stawili im czoła na naszych warunkach, jako że nie jesteśmy w stanie zablokować tych wniosków.

- Masz rację, ale muszę wiedzieć, ile mamy czasu.

- W najlepszym wypadku miesiąc, choć najprawdopodobniej wniosek zostanie zgłoszony szybciej - ocenił Corteo. - Powinniśmy się zastanowić nad obraniem odpowiedniej strategii politycznego przetrwania.

- Jakież sugestie, panowie? - spytał Almerz Chanda.

- Musimy przywrócić porządek lub przynajmniej sprawić takie wrażenie - zasugerował Morten Bauer.

- Racja - zawtórował mu ucieszony Iacovone, rad z faktu, że może się wreszcie zająć czymś konstruktywnym - Należy pokazać, że dokładamy wszelkich starań, aby rozprawić się z terrorystami, zwłaszcza ze Świątynią Starodawnych Obrządków. Słyszałem, że podłożyli kolejną bombę w hangarze kuźni w Praxades i zabili ponad tuzin robotników. Coś straszego...

- Możemy także obiecać, że położymy kres aktywności eldarskich piratów - dodał Bauer.

Corteo pokiwał głową i przytaknął:

- Tak... Tak... Dobrze powiedziane, drogi chłopcze. Dzięki takiemu posunięciu być może uda się podzielić naszych przeciwników. W tej materii moglibyśmy pozyskać wsparcie de Valtosa. On ma znacznie więcej powodów, aby nienawidzić tych eldarów, niż ktokolwiek inny.

Shonai energicznym krokiem przechadzała się wokół pokoju, rozważając różne warianty rozwoju wypadków. Kasmir de Valtos z pewnością poprze każdy plan, który choć w drobnej części da mu okazję do pomszczenia krzywd, jakich zaznał z rąk eldarów. Obcy wiele lat temu porwali go i torturowali. Ale czy można mu zaufać? Jego kartel był poważnym konkurentem do pozycji pierwszego i Shonai wiedziała, że de Valtos miał ogromne ambicje. Nawet swoje okaleczenia potrafił obrócić na własną korzyść, przekonując do siebie robotników.

W propozycji Bauera była jednak logika. Taloun uzna każdą propozycję skierowaną do de Valtosa za próbę rozbicia opozycji. Aby zapobiec takiemu obrotowi sprawy, sam przystanie do koalicji i wyśle swoje statki do walki z piratami.

Jeśli jego statki przyczynią się do zwycięstwa, tym lepiej. Wyeliminowanie rabusiów zabezpieczy szlaki handlowe, którymi płynęły dobra i towary, dzięki którym możliwa będzie spłata długów wobec Administratum. Tym samym ciężar należności zostanie zdjęty z ludzi i uspokoi nastroje przynajmniej na kilka miesięcy.

Shonai wróciła do biurka i usiadła za nim. Spojrzała na Chandę i powiedziała:

- Byłoby dobrym pomysłem, gdybyś zdołał zaaranżować spotkanie z de Valtosem. Jestem pewna, że z radością usłyszysz o planach eliminacji eldarskich piratów.

- Natychmiast wyślę posłańca - powiedział Almerz Chanda. Pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł z pokoju. Shonai zwróciła się do reszty doradców:

- Musimy trzymać rękę na pulsie, przyjaciele. Dzisiejsze wypadki pokazały, że

powinniśmy znacznie ostrożniej podejmować kolejne działania - powiedziała, spoglądając na Miklasa Iacovone. - Straciliśmy twarz, na szczęście nie aż tak, by nie zdołać jej znów odzyskać. Zawsze możemy zwalić winę na buntowniczy tłum i nieporadność stróżów prawa.

- Poczynię odpowiednie przygotowania - obiecał Iacovone, który bardzo pragnął odzyskać łaski pani gubernator.

- Dobrze, Miklasie. Niech ten dzień czegoś cię nauczy.

Leland Corteo zakasłał znacząco, sięgając po kolejną porcję tytoniu.

- Nie zgadzasz się z tą propozycją, Lelandzie?

- Szczerze powiedziawszy, tak. Mierzi mnie propozycja aparaczyka, który kosztem lojalnych sług Imperatora chce zatuszować swoją nieudolność. - Nabił ponownie fajkę i kontynuował. - Zrzucenie winy na Adeptus Arbites może nam przynieść same szkody. Rola kozła ofiarnego nie przypadnie im do gustu.

Dalsza rozmowa została przerwana przez powrót Amerza Chandy, który wmaszerował do biura pani gubernator i położył na biurku czytnik danych. Kiedy przesunął go w stronę Mykoli Shonai, na jego obliczu malował się strach.

- Właśnie otrzymaliśmy tę wiadomość z Komnaty Głosów.

- A cóż to? - spytała gubernator, rozpoznając w głosie doradcy nutę niepokoju. Komnatą Głosów nazywano naładowane psychicznie pomieszczenie, gdzie pałacowi astropaci wysyłali i odbierali wiadomości z innych światów. W Imperium, rozciągającym się w całej galaktyce, telepatia była jedynym skutecznym sposobem komunikacji. Zwykłymi metodami wiadomości docierałyby na miejsce przeznaczenia wiele tysięcy lat po ich nadaniu. Wyraz twarzy Chandy mówił, że te wieści nie należą do rutynowych raportów.

- Nie wiem, co to za wiadomości, bowiem zostały zakodowane przez serwitora odbiorczego i tylko pani osobisty klucz genetyczny może uruchomić ich odszyfrowanie. Poza tym, wiadomość nosi pieczęć Administratum o poziomie dostępu Omicron.

Shonai odebrała czytnik i przyłożyła kciuk do pola identyfikacyjnego. Jakikolwiek wiadomości przekazywano tą drogą, jedno było pewne: nie wróżyły nic dobrego. Już dawno pojęła, że kiedy Administratum zaczyna się interesować światem pogrążonym w takich kłopotach, oznacza to poważne problemy dla rządzących. A za Pavonis odpowiadała ona.

Poczula ukłucie w opuszku palca, kiedy miniaturowa igła wysunęła się, aby pobrać odrobinę jej krwi. Na krawędzi czytnika zaczęły migotać światełka, kiedy duch we wnętrzu maszyny porównywał kod genetyczny zawarty w krwi z tym, który zapisano w pamięci.

Czytnik przez chwilę buczał i trzeszczał, a potem wypluł z siebie długą wstęgę zadrukowanego papieru. Shonai oderwała ją niecierpliwie i rzuciła czytnik na blat biurka.

Założywszy kruche okulary, zaczęła szybko czytać. W miarę jak jej spojrzenie ześlizgiwało się w dół, czuła, jak opuszczają ją siły.

Oddała wydruk Chandzie, który również szybko go przeczytał i ostrożnie oddał pani gubernator.

- Może nie będzie tak źle, jak pani przypuszcza? - spytał z nutką nadziei w głosie.

- Nie oszukujmy się, dobrze wiesz, co to oznacza, Almerz.

Corteo wstał ze swego miejsca i podszedł do biurka, trzymając fajkę w zębach.

- Czy mogę poznać treść wiadomości? - spytał.

Mykola Shonai pokiwała głową.

- Wygląda na to, że już wkrótce odwiedzi na specjalny wysłannik. Będzie to adept Administratum, który ma przeprowadzić dochodzenie, dlaczego nie wpłaciliśmy do skarbcza należytej sumy z danin i czemu nie potrafimy utrzymać pokoju na planecie należącej do Imperatora. Jeśli nie kartele, to Administratum doprowadzi nasze rządy do końca.

- Ten skurczybyk Ballion, to na pewno on na nas doniósł - syknął Iacovone.

- Założę się, że zrobił to za namową Talouna - dodał Leland Corteo.

Shonai tylko westchnęła. Prosiła przedstawiciela Administratum na Pavonis o więcej czasu, ale on także musiał się wywiązywać ze swoich obowiązków. Choć rzeczywiście mogło być też tak, że uległ namowom jej politycznych wrogów.

- Czy adept może usunąć panią gubernator z urzędu bez formalnego procesu? - spytał Morten Bauer.

- Ma najwyższe upoważnienia - odparł ponuro Chanda.

Gubernator Shonai wzięła do ręki dokument i jeszcze raz uważnie przeczytała ostatnich kilka wersów.

- Co ważniejsze, Almerz, adept przybywa w towarzystwie Aniołów Śmierci. Na Pavonis lecą Kosmiczni Marines.

ROZDZIAŁ 4

Ciężki krążownik „Vae Victus” mknął przez kosmiczną pustkę. Na poznaczonym wyrwami i bliznami pancerzu okrętu Ultramarines migotały odbite promienie odległych słońc. Statek przypominał lewiatana, bestię, której nadano gotyckie kształty i zaopatrzone w silniki. Antena umieszczona na szczycie podobnego do katedry mostku kapitańskiego dumnie wskazywała kierunek lotu. Sama budowla wyrastała mniej więcej pośrodku kadłuba, w równej odległości zarówno od tarana, jak i ziejących płomieniami dysz wylotowych.

W każdej burcie osadzono wieżyczki dział laserowych oraz kazamaty i hangary lądowisk, skąd można było wystrzelić eskadry Thunderhawków lub torped abordażowych. Ponad nimi znajdowały się setki stanowisk broni mniejszego kalibru oraz wyrzutnie konwencjonalnych torped, wszystkie bogato zdobione rzeźbami.

„Vae Victus” był starym okrętem. Zbudowany został prawie trzy milenia wcześniej w stocznicach Calth. Już na pierwszy rzut oka widać było artyzm sztukników: ozdobne, gotyckie łuki tworzyły silną, zwartą konstrukcję, zdolną ochronić przed poważniejszymi uszkodzeniami wyrzutnie pocisków i lądowiska. Okręt był jednocześnie piękny, funkcjonalny i praktyczny.

W czasie swej długiej służby pod banderą Ultramarines krążownik wielokrotnie przemierzył galaktykę wzdłuż i wszerz, tocząc boje zarówno z ludźmi, jak i z obcymi. W trakcie bitwy o Macragge okręt zwał się w bezpośrednim boju z bionicznym potworem Tyranidów, a podczas starć ze zbuntowanym kapitanem Ghenasem Malkorhem zniszczył jego flagową barcę. To właśnie „Vae Victus” przypisano zadanie ostatecznego ciosu orkowemu wrakowi, „Porywaczowi Vice”, a ostatnio, w trakcie Krucjaty Appolyońskiej, okręt zniszczył obronę orbitalną zbuntowanej Thracii.

Jego pancerz był poznaczony wieloma bliznami, które upamiętniały każdy ze stoczonych bojów. Mechanicy Ultramarines naprawili uszkodzenia, honorując jednocześnie mieszkającego głęboko w mechanicznym sercu ducha okrętu i upamiętniając jego chwalebne czyny.

Mostek „Vae Victus” był obszernym pomieszczeniem o wysokości co najmniej piętnastu metrów. Jego wnętrze rozświetlały świece, a u podstaw wyniosłej nawy dowodzenia

stały szeregi maszyn myślących, które szumiały i buczały, pobłyskując lampkami i tajemniczymi runami. Do każdego z aparatów podłączony był serwitor: pół-człowiek, pół-maszyna, do głowy którego wszczepiono porty elektroniczne, za pomocą których został sprzężony z maszyną. Głównym elementem komnaty było obserwatorium, jednak obecnie ekran holograficzny był czarny. Przed dziobem okrętu znajdowała się jedynie kosmiczna pustka. Mniejsze ekrany, usytuowane w rogach komnaty, pokazywał dane na temat prędkości, kursu i niewielkich fragmentów materii, które wychwyciły w pobliżu okrętu jego sensory.

Szeroka nawa u swego końca rozdzielona była przez łukowy transept, a po jego obydwu stronach znajdowały się stanowiska obsługi sensorów i maszyny liczące systemu celowniczego artylerii. Każde z nich obsługiwane było przez Kosmicznego Marine, na którego błękitny pancerz narzucona została prosta juta.

Mimo że powietrze zostało przefiltrowane i oczyszczone, to nadal było ciężkie od woni pachnideł i płonących olejków, które w kadzielnicach trzymali zakapturzeni kapłani techniki. Ich obowiązkiem było wychwalanie psalmami ducha maszyny, a echo ponurego śpiewu odbijało się od mostka i kopulastego sklepienia komnaty nawigatora.

Dowódca „Vae Victus” stał przed pulpitem kapitańskim i obserwował pomieszczenie. Jego czujne spojrzenie omiatało wykresy taktyczne, analizowało kąt podejścia okrętu do Pavonis, a także chronometry mierzące prędkość, z jaką poruszał się statek.

Admirał Lazlo Tiberius jeszcze raz obrzucił spojrzeniem mostek, szukając choćby najdrobniejszego uchybienia od ustalonego porządku, ale ku swemu zadowoleniu nie znalazł niczego takiego.

Tiberius był potężnie zbudowanym Kosmicznym Marine o ciemnej, ogorzałej twarzy. Liczył sobie prawie czterysta lat i przez całe życie walczył w kosmosie. Jego oblicze znały bliźny. Na początku bitwy o Circe żywy okręt Tyranidów staranował mostek „Vae Victus” i wtedy Tiberius ledwie uniknął śmierci. Czaszka admirała była łysa, a pomarszczona skóra upodabniała ją do piłki. Ozdobny napierśnik pancerza energetycznego znały guzy i pieczęcie, oznaczające stoczone bitwy. Pośrodku znajdowało się złote słońce Bohatera Macragge.

Admirał ponownie zerknął krytycznym okiem na wykresy, szacując czas, potrzebny jego krążownikowi do wejścia na orbitę Pavonis. Z zadowoleniem stwierdził, że wyliczenia komputera prawie dokładnie zgadzają się z jego przewidywaniami.

Admirał Tiberius bardziej ufał swoim obliczeniom niż kalkulacjom maszyn myślących i z reguły się nie mylił.

Tuż obok stanowiska kapitana zakapturzony technik badał przestrzeń kosmiczną przy

pomocy niezwykle czułych urządzeń sensorycznych. Pod jego palcami połyskiwały klawisze, a na monitorze wyświetlały się rzędy kolorowych, tajemniczych run. Tiberius doskonale wiedział, że okręt kosmiczny jest tak sprawny, jak jego załoga. Na nic przenikliwość kapitana i jego zdolności przywódcze, jeśli podwładni nie będą mieli wystarczająco jasnych rozkazów lub nie będą ich wykonywać bez wahania.

Na szczęście Tiberius dysponował jedną z najlepszych załóg, jakie służyły we flocie Ultramarines. Raz za razem w ogniu bitwy jego podwładni udowadniali, że działają jak doskonale naoliwiona maszyna. Choć „Vae Victus” brał udział w wielu trudnych, wręcz desperackich starciach, to zawsze wychodził z nich z podniesionym czołem. Działo się tak dzięki jego załodze. Jej doskonałe wyszkolenie brało się stąd, że Tiberius stawiał każdemu z podwładnych, od marynarza na najniższym pokładzie po najwyższych rangą oficerów, wysokie wymagania i egzekwował je z żelazną konsekwencją. Niemalą rolę odgrywała też charakterystyczna dla Ultramarines lojalność, z jaką służyli swoim dowódcom.

I oto po raz kolejny wyruszali w bój, a Tiberius czuł, jak ogarnia go radość i podniecenie, kiedy tylko pomyślał, że znów będzie miał okazję ukarać wrogów Imperatora płomiennym mieczem odkupienia. Minęło wiele lat, odkąd „Vae Victus” po raz ostatni walczył z eldarskimi piratami. Choć Tiberius nienawidził ich z całego serca, to nie mógł odmówić im szacunku, jakim darzył ich mistrzostwo w strategii nagłych i niespodziewanych ataków z zaskoczenia.

Doświadczenie podpowiadało mu, że zdrazieccy eldarzy nie będą skorzy do angażowania się we frontalne starcie. Ich ulubioną taktyką było pozostawanie pod osłoną pól holograficznych, które chroniły ich delikatne okręty. Cichaczem i po kryjomu zbliżali się do celu, a potem swoją bluźnierczą magią mamili urządzenia celownicze przeciwnika. Tiberius wiedział, że pierwszym sygnałem zbliżającej się napaści były eksplozje rozrywających kadłub torped i wybuchy silników, których zniszczenie pozostawiało ofiarę na pastwę piratów. Potem na nic już nie zdawały się działa laserowe i wyrzutnie torped, szybkie okręty eldarów okręzały wroga, zadając mu jeden śmiertelny cios za drugim.

Tiberius poprzysiągł sobie, że jego okrętu nie spotka taki los.

W mrocznej pustce, sześć godzin drogi przed „Vae Victus”, elegancki i śmiercionośny kształt statku kosmicznego oderwał się od masywnej asteroidy i przemknął na tle odległego słońca. Dziób okrętu był długi i cienki, żagle słoneczne miały kształt półksiężyców, a umieszczone na rufie silniki nieziemski kształt. Całość okrętu spinał wiotki, zaokrąglony mostek dowodzenia, na którym rezydował jego kapitan.

On to, we własnej osobie, spoglądał na ekran holograficzny „Jeźdźca Burzy” i kręcił z niedowierzaniem głową. Sygnał powrotny sonaru przyniósł niespodziewane rezultaty. Oto wreszcie przeciwnik godny uwagi! Adeptus Astatres! Archon Kesharq z Loży Złamanego Ostrza znudził się już napadaniem na ociężałe statki handlowe, mamieniem systemów obrony planetarnej i mordowaniem mieszkańców prymitywnych kolonii mon-keigh. Kesharqa nie cieszyły łupy, nawet krzyki i wrzaski torturowanych nie przynosiły mu ulgi od poczucia straty, spowodowanego postępującym tępieniem zmysłów.

Poza tym, cóż to za wyzwanie dla kogoś takiego jak on, mordować te prymitywne, gadające małpy?

Cienka strużka krwi spłynęła z kącika jego ust. Kesharq uniósł głowę i naciągnął skórę, po czym ułożył ją w fałdę na zakładkę i przypiął szpilą do karku. Jego plany znacznie wykraczały poza ten jeden statek i zapomniany przez galaktykę system. Zaczynał się obawiać, że układ z keyrzak był pomyłką.

Teraz czekała go wreszcie walka z przeciwnikiem godnym jego umiejętności.

Trzy pokłady poniżej mostka kapitańskiego „Vae Victus” kaplica Czwartej Kompanii rozbrzmiewała głosami modlących się Kosmicznych Marines. Główna komnata była na tyle wysoka i szeroka, żeby pomieścić wszystkich zgromadzonych braci. Nawa, wyłożona czarnym, polerowanym marmurem, kończyła się ołtarzem i drewnianą amboną.

Witraże, które zdobiły górne części ścian kaplicy, wykonano ze zbrojonego szkła i stali, osadzonych w łukowatych framugach z marmuru. Każdy z tych obrazów potrafił natchnąć serce oglądającego go człowieka bożą bojaźnią i podziwem. Sylwetki wojowników zdawały się ożywać i przez wieczność toczyć ciężkie boje, a wszystko to za sprawą lamp, których światło pełgało po szybkach. Każdy witraż przedstawiał inny rozdział z długiej i burzliwej historii Imperium. Wprawny obserwator mógł dostrzec odniesienia do Epok Wojny Domowej, Odstępstwa, jego oczy z pewnością nie mogłyby się oderwać od postaci Imperatora, wstępującego jak bóg w niebiosa, czy też odnoszącego zwycięstwo nad wrogami. U stóp witraży wisiały sztandary, upamiętniające niezliczone kampanie i krucjaty, w których brała udział Czwarta Kompania. Każda z chorągwi była świadectwem spuścizny odwagi, honoru i cnót, których historia sięgała dziesięć mileniów wstecz.

W migotliwym świetle lamp i świec kompania stała w pozycji „spocznij”. Kosmiczni Marines wpatrywali się w kamienną podłogę, w ciszy odmawiając słowa modlitwy. Dziękowali Imperatorowi za to, że ocalił Ziemię i swoim przykładem wskazał im, jaką ścieżkę życia powinni obrać. Delikatny szmer ucichł, kiedy rozwarły się obite żeliwem wrota

prowadzące do kaplicy i weszło przez nie dwóch mężczyzn. Jak jeden mąż wszyscy bracia Marines stanęli na baczność.

Kapitan Czwartej Kompanii, Uriel Ventris, odziany w pancerz energetyczny, na który zarzucił biały płaszcz, maszerował pomiędzy szpalerami swoich podkomendnych. Towarzyszył mu Kapelan Kompanii, Judd Clausel. Odziany w tradycyjną, czarną zbroję, której złote i spżowe zdobienia połyskiwały w świetle lamp i świec, sprawiał niesamowite wrażenie. Potęgował je dodatkowo hełm w kształcie trupiej czaszki, który przypięty był do paska zbroi. Obok niego przyczepiona była książka, grube tomiszcze w twardej oprawie, wykonanej ze skóry orka.

Judd w lewej ręce niósł kadzielnicę, w której tliły się zioła, niosące ze sobą zapach górskich wyżyn Macragge. Kapelan zaciskał prawą dłoń na crozius arcanum, broni i oznace jego funkcji. Była to masywna buława, której głownię wykonano na podobieństwo dwugłowego orła imperialnego. Jego rozpostarte skrzydła były ostre jak brzytwa, a w wieńczącą broń złotą czaszkę wprawiono dwa krwawe rubiny, aby przypominały wiecznie czujne ślepie.

Clausela otaczała aura władzy i potęgi. Ten człowiek wiedział, że zasługuje na szacunek i domagał się, aby mu go okazywać. Wrażenie to potęgował fakt, iż Kapelan był wyższy i potężniejszy nawet od Uriela, a jego bystrym oczom nie umykał żaden szczegół. Jego ludzkie oko bez przerwy szukało oznak słabości u braci, podczas gdy masywne, czerwone, mechaniczne ślepie wpatrywało się nieruchomo przed siebie.

Jego czaszka była całkiem łysa, jeśli nie liczyć długiej kity włosów na samym czubku głowy, która zapleciona w warkocz spływała na kark i plecy Kapelana. Jego grubo ciosana twarz pokryta była siatką zmarszczek i blizn, a usta zamarły w groteskowym grymasie, który zdawał się być szyderczą drwiną z uśmiechu. Błyszczące niezłomną siłą oczy i wykrzywione usta sprawiały, że ci Marines, którzy napotkali wzrok Kapelana, pokornie opuszczali wzrok.

- Na kolana! - zakomenderował Clausel i posłuszni jego rozkazowi bracia natychmiast opadli na podłogę. Odgłos nakolanników stukających o kamienie przetoczył się przez kaplicę niczym huk gromu. Uriel zbliżył się do Kapelana i odebrał od niego kadzielnicę oraz crozius arcanum, po czym z pokornie spuszczoną głową ruszył o krok za nim.

- Radujcie się, bowiem nadszedł dzień szczęścia! - ryknął Clausel. - Dzisiaj spotkał nas rzadki zaszczyt: zaniesiemy światło Imperatora tam, gdzie zalegają ciemności, kładąc kres poczynaniom tych, którzy sprzeciwiają się sługom Jego woli. Pamiętajcie, że nie jesteśmy jeszcze w pełni Kompanią. Wielu naszych braci poniosło śmierć na Thracii, ale wiemy, że ich poświęcenie nie poszło na marne. Zajęli swoje miejsce u boku Imperatora, a opowieści o ich

odwadze, honorze i czynach będą powtarzane po wieki wieków.

Clausel uniósł w górę zaciśniętą pięść, a potem z całej siły uderzył nią w napierśnik.

- De mortuiis nil nisi bonum! - wykrzyknął, odbierając kadzielnicę od Uriela.

Kapelan szybkim krokiem ruszył od ołtarza ku klęczącym Marines. Sypnął na ich pochylone głowy miękki popiół z kadzidła, kreśląc dłońmi ochronne znaki na ich pancerzach i odmawiając Litanię Czystości. Kiedy pobłogosławił ostatniego z żołnierzy, wrócił do stóp ołtarza i zagrział:

- Ceremoniał Bitwy został odprawiony, mój kapitanie.

- Twoje słowa czynią nam wielki honor, Kapelanie. Czy będziesz łaskaw zaintonować modlitwę?

- Tak się stanie.

Kapelan wszedł po kilku stopniach i stanął na podstawie ołtarza. Ukląkł i ucałował podłogę, odpinając od pasa Katechizm Prawości. Potem wstał i zaczął odmawiać modlitwę. Ultramarines przyłączyli się do niego.

- Boski Panie ludzkości. My, twoi niegodni słudzy, wnosimy dziękczynienie za każdy nowy dzień, który dajesz nam zobaczyć. Zbierając siły przed kolejną bitwą, radujemy się, że oto dałeś nam szansę, abyśmy sprawdzili nasze umiejętności i przysłużyli się Twojej sprawie. Świat Pavonis trapiiony jest przez zdradę i buntowników. Cierpi także pod jarzmem obcych najeźdźców. Z Twoją pomocą i łaską, mądrość i władza Imperium już wkrótce zostanie przywrócona na tej udreżonej planecie. Dziękujemy Ci za tę łaskę i nie prosimy w zamian o nic, poza jeszcze jedną szansą, abyśmy mogli Ci służyć. Tak się modlimy w Twoje imię, niech nam Guilliman dopomoże!

- Niech nam Guilliman dopomoże! - odpowiedziało mu echo głosów Kosmicznych Marines.

Clausel splótł ramiona na piersi i odsunął się na bok, ustępując miejsca Urielowi. Kapitan Ventris stanął naprzeciwko swoich podwładnych i obrzucił ich uważnym spojrzeniem. Po raz pierwszy w życiu miał się zwrócić do podkomendnych i czuł, że ogarnia go zdenerwowanie. Skarcił się w duchu za to uczucie. On, który od ponad stulecia walczył z najbardziej przerażającymi wrogami ludzkości, miałby się bać przemawiać do swoich braci?

Jeszcze raz obrzucił spojrzeniem zgromadzonych Marines Czwartej Kompanii, najlepszych żołnierzy na świecie. Nieznacznie kiwnął głową sierżantowi Pasanusowi, którego olbrzymia sylwetka odcinała się od tłumu. Jego przyjaciel nie przestał rosnać nawet po operacjach, które z ludzi uczyniły ich Kosmicznymi Marines, i był najsilniejszym bratem w całym Zakonie. Jego ogromna postura sprawiała, że ponad dwumetrowi Ultramarines

wyglądali przy nim jak dzieci. Tech-marines byli zmuszeni wykonać dla Pasaniusa nowy pancerz energetyczny, bowiem w żaden standardowy model sierżant się nie mieścił. W końcu wykorzystali części zniszczonego pancerza Terminatora i zdołali wykuć odpowiednią zbroję.

Pasanius kiwnął nieznacznie głową, a Uriel poczuł, że wraca mu pewność siebie. Starszy sierżant był niczym skała, na której nowo wypromowany kapitan mógł się oprzeć, zawsze wierny i lojalny. Uriel był wdzięczny losowi za to, że ma przy sobie choć jednego prawdziwego przyjaciela. Za Pasaniusem dostrzegł inne znajome twarze. Szlachetne rysy sierżanta Learchusa oraz jego nieodłącznego kompana, Cleandera, cechował spokój i pewność siebie.

Dawno już minęły czasy, kiedy dzieliła ich dziecinna rywalizacja. Każdy z nich po wielokroć uratował drugiemu życie, ale jak dotąd nie zbliżyli się do siebie, by zadzierzgnąć więzy przyjaźni czy braterstwa, które spajały resztę Zakonu.

Uriela bolał fakt, że nie potrafił jeszcze znaleźć wspólnego języka ze swoimi ludźmi, tak jak umieli to uczynić inni dowódcy. Idaeus był urodzonym przywódcą, który w trakcie bitwy bardziej polegał na swojej inteligencji niż księgach Codex Astatres, elementarza Kosmicznych Marines. Święty elementarz został napisany przez samego Roboute Guillimana. Idaeus prowadził swoich podwładnych z instynktowną łatwością, której Uriel nie potrafił w sobie wypracować. Ventriss wyprostował się z wolna, myśląc o radzie, jakiej zapewne udzieliliby mu teraz Idaeus. Musiał być sobą, a Czwarta Kompania należała do niego.

- Spocznij! - krzyknął, a jego podkomendni wykonali rozkaz. - Znacie mnie wszyscy. Przez sto lat walczyłem u waszego boku. Z mądrością, która płynie z tego doświadczenia, mówię wam, iż jestem wdzięczny Imperatorowi i naszemu Pierworodnemu, że oto będziemy mieli okazję pokazać siłę naszej wiary.

Uriel zamilkł na chwilę i powolnym gestem oparł dłoń na rękojeści idaeusowego miecza, podkreślając tym gestem fakt, że to właśnie kapitan wybrał go na swego następcę.

- Wiem doskonale, że dowodzę wami od niedawna i niektórzy z was chętnie widzieliby na moim miejscu kogoś innego - ciągnął dalej, obrzucając Kosmicznych Marines czujnym spojrzeniem. Zamilkł na chwilę, ostrożnie dobierając słowa, a potem powiedział: - Kapitan Idaeus był wielkim człowiekiem, a chwila, w której ujrzałem jego śmierć, była najczarniejszym momentem w moim życiu. Nikt bardziej ode mnie nie żałuje, że on odszedł, a ja żywy stoję na jego miejscu. Niosłem światło Imperatora w każdy zakątek galaktyki, walczyłem na śmiertelnych statkach Tyranidów. Na powierzchni planet, których widok potrafi odebrać zmysły, zabijałem straszliwych wojowników Chaosu. Na skutych lodem pustkowiach pokonałem orków. Miałem honor walczyć u boku największych wojowników

Imperium, dlatego zapamiętajcie sobie jedną rzecz, którą teraz wam powiem! Ja jestem kapitan Uriel Ventris, dowódca Czwartej Kompanii, służę Ultramarines i prędzej szczepę, niż splamię honor mego Zakonu! Jestem zaszczycony, że należę do tego zacnego bractwa i mam u mego boku najlepszych żołnierzy, jakich widziała galaktyka. Nie byłbym w stanie wybrać lepszej jednostki niż Czwarta Kompania. Każdy z jej członków, nieważne czy żywych, czy martwych, jest bohaterem i zapisał się w annałach historii złotymi zgłoskami. Wszyscy możemy być z tego dumni! Salutuję wam, wojownicy!

Wykrzykując te słowa, Uriel wy dobył miecz Idaeusa z pochwy i unióśł go wysoko do góry, aby wszyscy mogli go zobaczyć.

Po ostrzu przebiegły fale bursztynowego światła, pomiędzy którymi przeskakiwały niewielkie łuki elektryczne.

Kosmiczni Marines zerwali się na równe nogi i zaczęli uderzać zaciśniętymi pięściami o napierśniki pancerzy. Ogluszający huk wypełnił kaplicę, odbijając się z wielokrotnionym echem od ścian.

- Jesteśmy Ultramarines! - ryknął Uriel, przekrzykując zgiełk. - Żaden wróg nie jest w stanie dotrzymać nam pola, dopóki nasza wiara w Imperatora pozostaje czysta i niezachwiana.

Zbliżył się do drewnianego blatu i rzucił okiem na przemyślnie wbudowany w jego powierzchnię ekran monitora. Nie musiał czytać wyświetlonych na nim danych, znał je bowiem na pamięć, ale poczuł się lepiej, wiedząc, że ma pod ręką źródło wiedzy.

- Naszym celem jest planeta, zwana Pavonis. Powierzono nam zadanie sprowadzenia jej mieszkańców na ścieżkę właściwą dla wiernych sług Imperatora. Pavonis zaniechało płacenia podatków, skąpiąc Imperium tego, co mu się słusznie należy. Aby naprawić tę sytuację, powierzono nam zadanie ochrony agenta Administrtrum, który ma poinstruować rządzących planetą, jak lepiej powinni wykonywać swoje obowiązki. Co gorsza, zarządcy Pavonis zdają się uważać, iż prawa Imperatora ich nie dotyczą. Naszym obowiązkiem jest pokazanie im, że są w błędzie. Niech błogosławiony będzie nasz Pierworodny!

- Niech będzie błogosławiony! - odpowiedział mu chór Kosmicznych Marines.

Uriel zamilkł na chwilę. W głębi duszy nie był zadowolony z faktu, że tak mało wie o człowieku, którego życie powierzono mu pod ochronę. Jak do tej pory nie widział jeszcze adepta na własne oczy. Urzędnik całą podróż spędził w swoich komnatach, otoczony przez tłum skrybów, doradców i pomocników.

Już wkrótce będzie musiał wychynąć ze swojej kryjówki, od Pavonis dzielił ich tylko jeden dzień drogi. Mówiąc niskim, poważnym tonem, Uriel przeszedł do drugiego punktu

odprawy:

- Jest wielce prawdopodobne, iż w wyniku błędów popełnionych przez władców Pavonis, do głosu doszła grupa znana jako Świątynia Starodawnych Obrządków. Ci heretycy ośmielili się rozpocząć kampanię terroru, podkładając bomby i zabijając niewinnych ludzi, a wszystko po to, aby zmusić świat do powrotu do czasów sprzed powstania naszego chwalebne Imperium.

Pomruk niedowierzania przeszedł przez szeregi Marines.

- Do tej chwili za sprawą owych zdradzieckich ataków zginęło trzystu pięćdziesięciu dziewięciu poddanych Imperatora. Ładunki wybuchowe poczyniły niepoliczalne szkody w Jego fabrykach i manufakturach. Zamachowcy zabijają Jego kapłanów i palą poświęcone Mu świątynie. Razem zdołamy ich powstrzymać. Niech błogosławiony będzie nasz Pierworodny!

- Niech będzie błogosławiony!

- Jednakże, bracia, to nie jest jedyne utrapienie, jakie dręczy Pavonis. Wróg zagraża planecie także od zewnątrz. Niczym złowrogi bicz smagający ciało, obcy, eldarscy piraci nękają szlaki handlowe, rabując to, co się słusznie należy Imperatorowi. Ich bezczelność i zuchwałość nie zna granic. Razem pokażemy im, że to niedopuszczalne. Niech błogosławiony będzie nasz Pierworodny!

- Niech będzie błogosławiony!

Uriel zszedł z podium i rzucił na odchodnym:

- Wracajcie do swoich cel, moi bracia. Okażcie szacunek swojej broni i pancerzom, bo będą was chroniły w nadchodzących dniach. Imperator czuwa nad wami.

- I nad tobą, kapitanie - zagrzmiął Pasanius, występując z szeregu i składając głęboki pokłon.

Z początku niechętnie, reszta kompani także złożyła mu pokłon, idąc za przykładem sierżanta. Jeden po drugim Kosmiczni Marines przyjmowali do wiadomości, że mają oto nowego dowódcę, któremu są winni posłuszeństwo, i klękali u stóp ołtarza.

Jako ostatni z klęzek podniósł się właśnie Pasanius i posłał kapitanowi dyskretny uśmiech.

Uriel odpowiedział kiwnięciem głowy, ciesząc się, że ma przy sobie takiego druha.

Archon Kesharq zerknął na swojego zastępcę.

- Uruchomić główne zasilanie, ale zróbcie to powoli. Urządzenia maskujące mają być gotowe na mój znak - cedził wolno słowa, a głos obrzydliwe bulgotał mu w gardle.

- Tak, straszliwy panie.

Kesharq rozmasował gardło i wypluł na nasączoną wonnościami chusteczkę skrzep krwi. Ostatnimi czasy nawet mówienie sprawiało mu spore trudności. Wrzucił zabrudzoną chustkę do ustawionej obok fotela spluwaczki i przeklął w duchu Asdrubala Vecta, życząc mu życia pełnego Tysiącrotnych Cierpień.

Rany, wечно nabiegłe krwią i ropą, miały się nigdy nie zagoić. Haemonculus Vecta zadbał o to z perwersyjną dokładnością, kiedy Kesharq uwięziony był w salach tortur swego wroga. Jego wielotygodniowa kaźń odbywała się w podziemiach pod pałacem Sekty. Choć plan przewrotu był opracowany w najdrobniejszych szczegółach, spalił się na panewce. W jakiś sposób Vect dowiedział się o wszystkim i zanim spiskowcy zdołali wykonać choć jeden ruch, zostali pochyceni i uwięzieni.

Potem nastąpiły miesiące niekończących się katuszy. Kesharq nie pragnął już niczego innego, jak tylko zapomnienia i wiecznego snu. Błagał o nie, ale haemonculus utrzymywał go na granicy pomiędzy życiem i śmiercią, raz po raz obdarzając nowymi i nieznanymi dotąd rodzajami bólu i cierpienia.

Kesharq spodziewał się, że szczególnie w tych kazamatach, ale Vect nakazał go uwolnić i ponownie odziać w pokutny wór, w jaki zmieniła się jego skóra. Kiedy założono ją na gołe mięśnie i odkryte ścięgna, niedoszły buntownik odżył. Pamiętał, jak ujrzał przepiękną twarz Vecta, którą wykrzywił złośliwy uśmiezek. Kesharq próbował zamknąć oczy, ale powieki oderwano mu już wiele tygodni temu.

- Pewnie się spodziewasz, że tutaj umrzesz? - spytał władca Sekty Czarnego Serca. Nie czekając na odpowiedź, pan mrocznych eldarów z wolna pokręcił głową i ciągnął dalej. - Tak się nie stanie. Nie okażę ci takiej łaski.

Vect przesunął opiłowanym paznokciem po gołych zębrach Kesharq, z satysfakcją obserwując pojawiający się na jego twarzy grymas bólu.

- Byłeś skończonym głupcem, Kesharq. Planowałeś mnie zabić, chwaliłeś się swoimi zamiarami, a ja dowiedziałem się o nich wcześniej, nim ty zdołałeś uknuć swój plan.

Vect westchnął cicho, bardziej z irytacji niż ze złości.

- Zdrada i występki, to rozumiem, czasem nawet je wybaczam. Nie toleruję za to bezmyślności czy nieudolności. Jednak twoja głupota, połączona z rozdętym ego, sprawiły, że przekroczyłeś wszelkie granice. Zabić cię to za mało. Dlatego postanowiłem, że pozwolę ci żyć, abyś pamiętał o swoich błędach i smakował gorzki porażki. Wypędzam cię z Camomrragh i skazuję na błąkanie się po pustkach przestrzeni międzygwiazdnej, wśród niebezpieczeństw i wrogów.

Kesharq nie wierzył z początku w słowa władcy Sekty, podejrzewając, iż chce on

rozbudzić w nim nadzieje, a potem niespodziewanie pozbawić go życia.

Vect jednak nie skłamał. Niecały tydzień później Kesharq i jego nieliczni pozostali przy życiu poplecznicy, wyśmiewani i upokorzeni, zostali wygnani z miasta mrocznych eldarów. Archon poprzysiągł sobie, że któregoś dnia zemści się na Asdrubalu, ale jego pan wyśmiał te słowa. Wspomnienie jego głosu paliło Kesharqą do tej pory niczym żywy ogień.

Już wkrótce nie będzie mu tak do śmiechu, obiecywał sobie w duchu archon. Nagroda, zdobycz, potęga czekały na niego, majacząc w zasięgu ręki. Wystarczyło tylko po nią sięgnąć, oszukać durnego keyrzak i posiąść ją na wieki. Jedyne, co musiał robić, to rozprawić się ze statkiem Adeptus Astatres, który niespodziewanie zagroził misternej intrydze, jaka zawiązała się wokół Pavonis.

Ofiara była tak blisko, że Kesharq był już prawie w stanie posmakować krew Kosmicznych Marines w swoich pozbawionych czucia ustach. Wstał z kapitańskiego fotela i poszedł do głównego ekranu. Pomimo tego, że skóra luźno zwisała z jego kości i nie trzymała się mięśni, jego kroki były nadal pełne gracji niczym ruchy tancerza. Przez plecy miał przerzucony ogromny topór o dwóch ostrzach. Jego podzielona na segmenty, jadeitowozielona zbroja połyskiwała w świetle lamp, dodatkowo podkreślając bladeść jego oblicza. Martwe, białe włosy spływały na ramiona Kesharqą, ale na szczycie głowy utrzymywała je tylko karmazynowa opaska. Archon zwilżył nieruchome gałki oczne oparami z atomizera zamontowanego na przedramieniu i spojrzał raz jeszcze na monitor.

Krok w krok za panem ruszyły groteskowe bestie, których ciała stworzono z pozszywanych jakby na oślep fragmentów martwych istot. Ożywione czarnoksięską magią, obdarzone przerośniętymi kłami i pazurami, łąsiły się do niego niczym wierne psy łowcze. Dzieła haemonculusa, który nadał im kształt, ocierały się pieszczotliwie o nogi Kesharqą, bezmyślnie sycząc, a z ich żółtawych zębów skapywały na podłogę ogromne krople jadowitej śliny. Każdy, kto zbliżył się do nich i ich pana, stawał się obiektem pozorowanego ataku, który czasem mógł się przerodzić w prawdziwą napaść.

Ofiara była już prawie w zasięgu dział „Jeźdźca Burzy” i Kesharq czuł, jak ogarnia go podniecenie. Krew pulsowała mu szybciej w żyłach, kiedy pomyślał o bólu, jaki zada wojownikom trupiego boga. Nieświadomie uśmiechnął się, unosząc kąciki ust i zacisnął dłonie w pięści. Jednego z Astatres zachowa przy życiu, aby jako jego maskotka wił się w ustawicznej agonii. Wybraniec będzie mógł do woli oglądać, jak jego bracia, męczenni i torturowani, będą zdychać jeden po drugim.

- Straszliwy archonie, wrogi okręt znalazł się w naszym zasięgu. - wysyczał zastępcę.
- Doskonale - odparł Kesharq, uśmiechając się pod skórą. - Włączyć zasilanie broni i

uruchomić urządzenia maskujące.

Wrogi okręt był jeszcze zbyt daleko, żeby go zobaczyć, ale w swojej wyobraźni archon czuł już jego bliskość. Usiadł z powrotem w fotelu i zsunął pokrowiec, który okrywał głównię topora. Lubił spoglądać na swoje odbicie w czarnej tafli onyksowego ostrza. Za każdym razem, kiedy zatapiał je w ciele ofiary, czuł rozkosz i pozwalał, aby żądza krwi rosła w nim z nową mocą.

- Sterujcie tak, abyśmy znaleźli się przed nim od sterburty - rozkazał.

Przesunął delikatnie palcem po ostrzu topora, ale nic nie poczuł.

- Czy mamy zgodę, aby wejść na pokład, panie admirale?

Tiberius odwrócił się od biurka i jego wzrok padł na dwóch mężczyzn w szatach Administratum, którzy stali u wejścia na mostek. Z trudem powstrzymał grymas złości. Ze wszystkich sił starał się, aby cywile nie kręcili się po mostku, ale adept nosił ze sobą pieczęci najwyższego uprzywilejowania, dlatego Kosmiczny Marine nie mógł pozwolić sobie na nieuprzejmość i odesłać gryziopórka do jego kabiny.

Tiberius pokiwał głową i odszedł od swojego stanowiska, wychodząc na spotkanie gościom, którzy szli przez główną nawę mostka dowodzenia. Pierwszy z nich był sędziwym starcem, który idąc wspierał się na lasce z kości słoniowej. Drugi, znacznie młodszy, dobiegał być może czterdziestki, a jego twarz była nie wyróżniającą się niczym szczególnym maską urzędasza. Tiberius pomyślał, że mężczyzna wygląda jak każdy inny sługa Administratum, jakiego miał okazję spotkać w życiu.

Starszego mężczyznę ta wyprawa nie dość, że wyraźnie nudziła, to jeszcze przysparzała mu dodatkowych znojów. Jego towarzysz z kolei tryskał entuzjazmem i okazywał żywą ciekawość.

- Stokrotne dzięki, admirale. To bardzo miłe, że pozwolił nam pan wtargnąć do swojego sanktuarium, królestwa, jak by to pewnie pan wolał określić. Bardzo, bardzo dziękujemy.

- Czy jest coś jeszcze, co mogę dla pana uczynić, adepcie Barzano? - spytał Tiberius, już znudzony potokiem słów, które wylewały się z ust gościa.

- Och, proszę, panie admirale. Nie bądźmy tacy oficjalni, niech pan mi mówi Ario - zaszcebiotał Barzano. - Ja i mój sekretarz, Lortuen Perjed, chcieliśmy jedynie obejrzeć mostek tej wspaniałej jednostki. To nasza ostatnia szansa, zanim dotrzemy na Pavonis. Przyznam szczerze, że do tej pory byliśmy tak bardzo zajęci, że nie mieliśmy czasu w ogóle rzucić okiem na, że się tak wyrażę, okolicę.

Szybkim krokiem podszedł do wyświetlacza, który obecnie pokazywał planetę Pavonis, okrążającą płomienną kulę słońca. Przez kilka chwil dumał nad tym widokiem, a potem zaczął oglądać stacje robocze, które obsługiwali serwitorzy. Rzucił okiem na Tiberiusa i Lortuena Perjeda, dając do zrozumienia, że chciałby, aby mu towarzyszyli.

Skryba wzruszył ramionami i podążył za swoim panem, który zaglądał właśnie przez ramię serwitorowi. Twarz obserwowanego była całkowicie obojętna. Prawda była taka, że pozbawiona wyższych odruchów istota w ogóle nie zarejestrowała obecności urzędnika. Serwitorzy byli ludźmi, których poddano lobotomii, a potem podłączono do maszyn, by w nieskończoność wykonywali jedną i tę samą czynność.

- Fascynujące, po prostu fascynujące - powiedział Barzano, kiedy podszedł do niego Tiberius. - Czym się zajmuje ten serwitor?

Admirał opanował zniecierpliwienie i wyjaśnił:

- Ta stacja monitoruje zmiany temperatury w rdzeniu silnika plazmowego.

- A tamta?

- Reguluje dopływ tlenu i jego recykulację do pokładów działonowych.

Barzano nie wysłuchał do końca wyjaśnienia i ruszył w kierunku przedziału, gdzie Kosmiczni Marines i ich serwitorzy obsługiwali urządzenia nawigacyjne. Kiedy wszedł do środka, obróciło się ku niemu kilka twarzy, ale on pokręcił głową i szepnął:

- Udawajcie, że mnie tutaj nie ma. Nie zwracajcie na mnie w ogóle uwagi.

Zatrzymał się przy okrągłym stole pośrodku komnaty i obserwował, jak na jego blacie migają przeróżnymi barwami kolorowe plamki. Potrząsnął z niedowierzaniem głową, dziwując się nad ilością rozmaitych danych taktycznych, jakie na raz wyświetlało to urządzenie.

- To niesamowicie ciekawe, panie admirale - powiedział pełnym zachwyty tonem.

- Miło mi, że to pana interesuje, adepcie Barzano, ale...

- Proszę mi mówić Ario.

- Adepcie Barzano - ciągnął nieugięcie Tiberius. - To jest okręt wojenny, nie...

- Panie admirale - przerwał mu Philotas, pierwszy oficer „Vae Victus”.

Tiberius podszedł do niego i spojrzał na potwornie skomplikowany wykres danych, którym towarzyszyły setki świecących run i migających światełek.

- Coś się stało?

- Mamy nowy kontakt, panie admirale. Sześćdziesiąt tysięcy kilometrów przed nami - wyjaśniał Philotas, przesuwając palcami po klawiszach i dostrajając urządzenia kontrolne. - Wykryliśmy zużycie energii i kontrolowany wyciek plazmy w naszym średnim zasięgu.

- Cóż to może być? - spytał Tiberius. - Okręt?

- Tak mi się wydaje, panie admirale. Zbliża się do nas kursem zero-trzy-dziewięć.

- Zidentyfikujcie go. Chcę znać klasę i typ. I dowiedzcie się, w jaki sposób uniknął naszych skanerów dalekiego zasięgu. Nie podoba mi się, że podszedł tak blisko i pozostał niezauważony!

Philotas kiwnął głową i ponownie zajął się swoimi urządzeniami pomiarowymi. Barzano także uważnie obserwował mapę taktyczną i milcząco wskazał na oznaczenie niezidentyfikowanego statku na planie. Wokół niego wyświetlane były rzędy cyfr i zakodowanych danych, które opisywały jednostkę.

- Czy nawiązaliśmy kontakt? - spytał.

- Tak, adepcie Barzano, nawiązaliśmy - mruknął niechętnie Tiberius. - Niestety, nie mam czasu opowiadać panu o zawiłościach manewrowania okrętem kosmicznym.

- Panie admirale? - wtrącił się Philotas.

- Tak?

- Zdołaliśmy zidentyfikować sygnaturę reaktora plazmowego. To „Śmiałek”, okręt obrony planetarnej Pavonis.

- Wróg znajduje się w zasięgu lanc energetycznych, straszny archonie.

Kesharq przesunął językiem po martwych wargach i poczuł, jak spływa po nich krew. Ogarnęło go podniecenie, dłonie drżały z ekstazy. Tak! Głupcy połknęli przynętę, biorąc „Jeźdźca Burzy” za jednego ze swoich.

- Skierować energię do lanc dziobowych i utrzymywać ją w rezerwie. Chcę im zadać jeden, śmiertelny cios.

- Tak się stanie, straszny archonie.

Tiberius wrócił na swoje miejsce i rozkazał:

- Łącznościowiec, nawiązać kontakt ze „Śmiałkiem” i przekazać moje pozdrowienia dla jego kapitana.

- Tak, panie admirale.

Tiberius spoglądał na ekran holograficzny, ale zamiast kształtu zbliżającego się statku widział jedynie poblask korony gwiazdnej. Z irytacją obejrzał się za siebie i zobaczył, że Barzano spogląda na banki danych logicznych okrętu.

- Czy coś się stało, adepcie?

Barzano machnął tylko ręką, zbyt zajęty danymi, aby móc rozmawiać z admirałem.

Tiberius stwierdził, że ma dość tego impertynenta. Ruszył w jego stronę, aby wyprosić go z mostka, kiedy urzędnik nagle poderwał się i ruszył po schodach w kierunku pulpitu dowodzenia.

- Panie admirale, proszę natychmiast podnieść tarcze i przekierować energię do uzbrojenia - powiedział głosem, w którym nieoczekiwanie zabrzmiała władza i autorytet.

Tiberius splótł ramiona na piersi i spojrzał na niego z odrobiną ledwie skrywanej pogardy.

- A czemuż miałbym to uczynić, adepcie Barzano?

- Ponieważ - syknął niecierpliwie Barzano - zgodnie z zapisami i raportami floty Ultima Segmentum, „Śmiałek” został niszczoney ponad pięć lat temu.

Tiberius zbladł, zdając sobie momentalnie sprawę z tego, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się jego okręt i załoga.

- Prawo na burt! - wykrzyknął. - Podnieść tarcze próżniowe, skierować całą moc do przednich akceleratorów!

- Ognia! - wrzasnął archon Kesharq, gdy dostrzegł, że masywny taran okrętu Kosmicznych Marines obraca się prosto ku nim. Statek zatrzęsł się, kiedy dziobowe baterie wystrzeliły lance ciemnej energii. W ciągu kilku sekund pokonały one dzielącą obie jednostki odległość i uderzyły w krążownik. Ekran rozjarzył się blaskiem tytanicznych wybuchów, które wstrząsnęły ofiarą mrocznych eldarów.

Pierwsze ładunki rozbłysły niczym słońca, kiedy tarcze próżniowe okrętu zaczęły się zapadać pod naciskiem ogromnych ilości energii. Kolejne wybuchy poznały dziób statku, a z jego rozdartego pancerza trysnęły płonące jezory tlenu.

Kesharq ryknął z radości, widząc, jakich zniszczeń dokonała jedna salwa. Nawet z tak wielkiej odległości bez trudu widział wielkie spustoszenia, które pozostawiły za sobą promienie lasera. Od kadłuba zostały oderwane grube na metr płyty adamantium, a ogromne płachty stali wisiały bezwładnie, jakimś cudem trzymając się jeszcze burt okrętu.

Strugi gazów, wyciekające przez podziurawione poszycie, krystalizowały się w chwili zetknięcia z kosmiczną próżnią i tworzyły zbite kule materii. Przez głębokie rany w burtach archon widział zatrzaskujące się grodzie hermetyczne. Bez wątpienia w pierwszym ataku śmierć poniosły setki ludzi, a już za chwilę tysiące ich pobratymców z krzykiem przerażenia na ustach dołączą do nich w piekle. Kosmiczna pustka wdzierала się w głąb okrętu Adeptus Astatres, pochłaniając segment za segmentem.

Kesharq roześmiał się w głos.

- Cała naprzód! Zajdziemy ich od tyłu i zniszczymy silniki.

Mostek kapitański „Vae Victus” zatrząsł się w posadach, kiedy seria eksplozji targnęła okrętem. Kosmiczni Marines, serwitorki i zwykli członkowie załogi upadli na podłogę, ścięci z nóg niespodziewanym wstrząsem. Huk eksplozji i echa wtórnych detonacji niosły się po pokładach jak grom, zwiastujący nadciągającą burzę.

Na mostku rozbrzmiały dzwonki alarmowe, a światła zmieniły swoją barwę na czerwoną. Cała jednostka została postawiona w stan gotowości bojowej. Zespoły naprawcze i ratownicze rzuciły się, aby gasić pożary i opatrywać poparzonych przez wybuchy pary, a dym przesłonił blask monitorów. Kilku serwitorów runęło jak rażonych gromem, a ich bezwładne ciała walały się po podłodze.

Tiberius stanął na równe nogi i pogłodził rozcięty policzek. Zmodyfikowana genetycznie krew zdążyła już zaschnąć i zasklepić ranę, ale admirał nie zwracał na nią uwagi, tylko krzyknął:

- Chcę raport o uszkodzeniach! Natychmiast!

Podbiegł do stanowiska kontroli ognia i odciągnął na bok obsługującego je serwitora. Cyborg był martwy, jego skóra miała dziwny, szarawy odcień, a wokół wijących się w jego ciele kabli widać było czarny nalot. Kiedy okręt został trafiony, wyładowania elektryczne musiały wypalić jego mózg. Kontrolki terminala, podobnie jak serwitor, spaliły się i były martwe. Maszyny logiczne okrętu z trudem próbowały ustalić poziom uszkodzeń, ale doświadczenie podpowiadało Tiberiusowi, że „Vae Victus” jest poważnie ranny. Okręt mógł jeszcze walczyć, ale jego los zależał teraz tylko i wyłącznie od sprawności załogi, nie od grubości pancerza.

- Tarcze próżniowe są przeładowane, mamy ubytki poszycia na pokładach od siódmego do dziewiątego - raportował pierwszy oficer. - Nie możemy czasowo nawiązać łączności z bombardami dziobowymi. Główny hangar przyjął na siebie bezpośrednie trafienie, ale nadal funkcjonuje. Mieliśmy szczęście. Ostatnia salwa ledwie nas musnęła. Nagły zwrot uratował nas od niechybnej zguby, admirale.

Tiberius zmiął w ustach przekleństwo, doskonale wiedząc, że to nie jemu należą się podziękowania. Szybkim krokiem wrócił na swoje miejsce, rozmyślając nad sytuacją. Ostrzeżenie Barzano przyszło w ostatniej chwili i to dzięki niemu okręt w ogóle jeszcze istniał. Kosmicznym Marines ledwie wystarczyło czasu, żeby podnieść tarcze próżniowe, kiedy zdradziecki wróg zadał „Vae Victus” niespodziewany cios.

Przepełniony wściekłością Tiberius spoglądał na główny ekran, śledząc zgrabny,

czarny kształt, przemykający wzdłuż burty krążownika. Wrogi okręt, od którego smukłej sylwetki wyraźnie odznaczał się słoneczny żagiel, porzucił bezpieczną kryjówkę i próbował zadać śmiertelny cios.

- Eldarzy! - syknął Tiberius, zachodząc w głowę gdzie, na dziewięć piekieł, zdołali skryć się piraci, że urządzenia pomiarowe nie wykryły ich na czas. - Nasłuch! Chcę natychmiast pełen skan i raport o naszym otoczeniu. Muszę wiedzieć, gdzie teraz się kryją. Na Terre, wszystkie baterie sterburty, strzelać bez rozkazu!

Philotas pokiwał głową i przekazał dalej rozkazy admirała.

- Niech ktoś wyłączy wreszcie ten alarm! - warknął rozsierdzony Tiberius.

Nagle mostek opanowała cisza, zakłócana jedynie sykiem pary, skrzypieniem uszkodzonych mechanizmów i jękami rannych serwitorów. Przez pokład przeszło kolejne drżenie, kiedy baterie na prawej burcie otworzyły ogień, ale bez centrum koordynującego ich wysiłki szanse na trafienie wrogiego okrętu były minimalne.

Tiberius otarł z czoła pot zmieszany z krwią i spojrzał na adepta Barzano, który, wspierając swojego skrybę, kuśtykał z trudem ku stanowisku dowódcy. Perjed krwawił z rany na głowie, więc Ario kazał sędziwemu pomocnikowi usiąść, a sam wrócił do admirała.

- Moje podziękowania, adeptcie. Ostrzegłeś nas w samą porę - krzyknął Tiberius. Potem wezwał do siebie pilota, ale nie byli w stanie nic odczytać z chaotycznych danych, jakie wyświetlał ekran taktyczny. Przeklęta magia obcych! Tak naprawdę każdy z wyświetlanych na monitorze punktów mógł być wrogią jednostką.

Tiberius jedno widział na pewno: musiał ocalić swój okręt, ale jak miał tego dokonać, skoro nie był w stanie podjąć żadnej decyzji? Nawet zły ruch byłby lepszy niż bierne czekanie na śmierć.

- Sternik! Prawo na burt, otworzyć ogień ze wszystkich baterii!

- Admirale, nie! - krzyknął Barzano. - Wydaje mi się, że mamy do czynienia z okrętem mrocznego odłamu eldarów. Czytałem o takich statkach i wiem, że nie wolno nam się od niego oddalać!

Tiberius zawahał się przez chwilę. Nie przywykł do tego, aby ktoś wydawał mu polecenia lub go pouczał, zwłaszcza na mostku jego własnego okrętu. Jednak to dzięki przestrodze adepta mógł jeszcze czymkolwiek dowodzić.

- Dobrze, adeptcie Barzano. Czas ucieka, więc co pan chce, abym uczynił?

- Musimy zbliżyć się do przeciwnika i oddawać jedną salwę burtową za drugą, mając nadzieję, że dopisze nam szczęście i przebijemy się przez jego pole holograficzne.

- Wykonać! - rozkazał Tiberius. Sternik skinął głową na znak, że zrozumiał polecenie.

- Uruchomić silniki korekcyjne na dziobie, obieramy nowy kurs zero-dziewięć-zero.

Kesharq obserwował na monitorze, jak poraniony okręt obraca się dookoła własnej osi. Uszkodzony taran chwiał się to na prawo, to na lewo i nagle, ku zdziwieniu archona, zaczął się niebezpiecznie przybliżać. Kesharq zaklął szpetnie, zdając sobie nagle sprawę z tego, iż ktoś na pokładzie statku Adeptus Astatres musiał znać możliwości i taktykę jego jednostki. Wskazawszy na ekran, ryknął ile sił w umęczonych płucach:

- Niech ogień pochłonie wasze dusze, macie utrzymać statek za rufą krążownika!

Mostek zadrżał, kiedy w przestrzeni wokół okrętu mrocznych eldarów zaczęły eksplodować pociski. Choć wrodzy artylerzyści nie mogli dokładnie namierzyć „Jeźdźca Burzy”, to kwestią czasu pozostawało, kiedy któryś z pocisków dosięgnie w końcu celu. A wtedy sprawy przybiorą fatalny obrót. „Vae Victus” ze wszystkich sił próbował dotrzymać tempa zwrotu i namierzyć „Jeźdźca Burzy”, ale w tym starciu mógł być tylko jeden zwycięzca.

- Dziobowe wyrzutnie torped są gotowe, archonie!

- Cała naprzód - wrzasnął Kesharq - Ognia!

- Namierzylismy torpedy na kursie kolizyjnym, panie admirale! - ostrzegł Philotas, spoglądając na admirała.

- Niech to diabli, prawo na burt! Wieżyczki obronne, strzelać bez rozkazu.

- Baterie dziobowe! Prowadzić ostrzał punktu, z którego wystrzelono torpedy! - krzyknął Barzano.

- Wykonać jego rozkaz! - potwierdził Tiberius.

Mostek zatrzęsł się ponownie i admirał musiał się chwycić relingu, żeby nie upaść znów na podłogę, kiedy „Vae Victus” wykonał kolejny, niespodziewany zwrot.

Sześć torped mknęło przez kosmos, a ich systemy maskujące ze wszystkich sił starały się utrudnić namierzenie pocisków systemom obronnym krążownika. Gdy tak lawirowały przez gwałtowną nawałę huraganowego ognia praktycznie niemożliwym było, aby któraś z nich nie została strącona. Dwa pociski eksplodowały, kiedy artylerzyści zdołali je w końcu trafić. Kolejna, zwiedziona wybuchem flary, zmieniła kierunek lotu i uderzyła w taran „Vae Victus”, nie czyniąc krążownikowi żadnej szkody. Ostatnie trzy przemknęły przez ogień zaporowy średniego zasięgu i runęły w stronę burty imperialnego okrętu.

- Trzy torpedy zestrzelone! - krzyknął ochryplym głosem Philotas.
- Czyli zostało jeszcze drugie tyle. Zniszczyć je!
- Systemy obronne krótkiego zasięgu już je namierzają.

Przez ogromny bulaj w suficie mostka dowodzenia widać było jasne eksplozje pocisków artylerii obronnej i przypominające lodowy ogon komety smugi kondensacyjne torped. Cała załoga mostka spoglądała w ciszy na pędzące ku „Vae Victus” pociski. Każdy z patrzących miał wrażenie, jakby mierzyły one dokładnie między jego oczy.

Nawet opanowani Kosmiczni Marines wstrzymali oddech, kiedy ostatnia linia obrony krążownika otworzyła ogień, usiłując strącić pędzące ku okrętowi głowice.

Każde działko obrony bezpośredniej obsługiwane było przez podłączonego do niego serwitora, wyposażonego w niezależny system celowniczy, który pozwalał mu samodzielnie namierzyć zbliżający się pocisk. Choć torpedy zaprogramowano tak, aby wykonywały uniki, to w ostatniej fazie lotu, kiedy musiały się kierować dokładnie na cel, były najbardziej narażone na wrogi ogień. Ich prędkość spadała z każdym przebytym metrem, a wykonywanie manewrów, które mogłyby je uchronić przed zestreleniem, stało się niemożliwe. Zmasowany ogień działek rozbił jedną z torped w pył.

Pojedynczy pocisk z innego stanowiska obronnego musnął eldarskie wrzeciono i choć siła wybuchu była zbyt mała, żeby zniszczyć torpedę, uszkodziła żyroskopowy system nawigacyjny. System uznał, że „Vae Victus” znajduje się dokładnie ponad nim i zmienił kurs. Eksplozja pocisku nastąpiła trzysta kilometrów od okrętu.

Ostatnia z torped ustawiła się w pozycji, z której mogła dokonać ostatecznego ataku i ruszyła do przodu. Wszystkie działka obrały ją na cel i kiedy była niecałe dwieście metrów od okrętu, rozniosły ją na kawałki.

Setki pocisków wgryzły się w metalową osłonę torpedy, która eksplodowała jasną kulą płomienia. Odłamki stalowego pocisku sunęły jednak dalej i kilka z nich uderzyło w pancierz, niszcząc jedną z wieżyczek obronnych, czaszę anteny sensorycznej i kilka urządzeń zewnętrznych.

Atak torpedowy się zakończył.

* * *

Tiberius oparł się o blat biurka i odetchnął ciężko, widząc, jak ostatnia torpeda eksploduje w kuli płomieni i odłamków. Dla niego był to najwspanialszy widok w życiu. Mostek wypełniły śmiechy, okrzyki radości i westchnienia ulgi, przemieszane z cicho

odmawianymi modlitwami do Imperatora.

- Dobra robota, panie admirale - powiedział Barzano, wzdychając ciężko i ocierając pot z czoła. - Udało nam się...

- Tym razem, Ario - zaznaczył Tiberius. - Nie chwalmy jednak dnia przed zachodem słońca. - Gestem ręki wezwał oficera działonowego i spytał: - Jesteśmy gotowi odpowiedzieć ogniem?

- Na pański rozkaz.

- Świetnie - odparł z nieprzyjemnym uśmiechem Tiberius. - Czas im pokazać, że jeszcze mamy kły.

Kesharq nie mógł uwierzyć własnym oczom. Z sześciu zabójczych torped, które jego okręt wystrzelił w kierunku nieruchawego kolosa, żadna nie sięgnęła celu. Przez chwilę przeżuwał tę porażkę w milczeniu, zastanawiając się nad niesprawiedliwością losu, kiedy nagły wstrząs rzucił nim o fotel. Przez cały okręt przeszła fala drgań, wywołana przez pobliską eksplozję. Światła zamrugały i zgasły, a ze zniszczonych urządzeń zaczęły buchać kłęby dymu.

- Straszny archonie, zostaliśmy trafieni - krzyknął jego zastępca.

- Dziękuję za tę celną uwagę - warknął Kesharq. - Gdybym przez przypadek zginął w bitwie, poinformuj mnie o tym, dobrze? Jak poważne odnieśliśmy uszkodzenia?

Dowódca mrocznych eldarów wstał z pokładu, owijając się fałdami skóry, które rozsunęły się pod wpływem uderzenia.

Informacje spłynęły na niego jak lawina, a każda była gorsza od poprzedniej.

- Straciliśmy zasilanie pól holograficznych!

- Główny maszt jest uszkodzony, a niektóre z przewodów zostały przerwane.

- Nieszczelność pancerza na pokładzie sal tortur. Wszyscy więźniowie, którzy oczekiwali na kaźń, nie żyją.

Kesharq wiedział, że ta bitwa jest już skończona. Odarty z ochrony pól holograficznych „Jeździec Burzy” był bezbronny wobec siły ognia i systemów celowniczych Adeptus Astatres. Ofiara okazała się zycznym przeciwnikiem i Kesharq obiecał sobie, że drugi raz go nie zlekceważy.

- Wycofujemy się - rozkazał. - Wracamy do bazy, musimy naprawić okręt. Rozprawimy się z nimi przy innej okazji.

- Wrogi okręt się wycofuje! - zakomunikował Philotas, a Tiberius odetchnął z ulgą.

- Bardzo dobrze - stwierdził admirał. - Obrac kurs na Pavolnis, a kiedy znajdziemy się

w zasięgu zabezpieczonych środków łączności, poinformujcie flotę o zdolnościach eldarskiego pirata do maskowania swojej obecności i podawania się za jednostkę Imperialną.

- Tak, admirale.

Tiberius potarł się dłonią po łysej czaszce, analizując przebieg bitwy. Bez dwóch zdań ta potyczka nauczyła go pokory: zostali zaskoczeni i tylko łut szczęścia sprawił, że wyszli cało z opresji. Zaznaczył w komputerze pokładowym, że musi odbyć trzydziestodniowe repetytorium z taktyki walk przeciwko eldarom, aby ukarać się za własną krótkowzroczność i głupotę. Dopiero potem zszedł na dół po schodach i stanął obok adepta Barzano, który ocierał krew z czoła Perjeda. Widząc stojącego nad sobą Kosmicznego Marine, Ario uśmiechnął się szeroko.

- Świetnie się pan spisał, admirale. Pańska szybka decyzja i doświadczenie ocaliły nam skórę.

- Nie żonglujmy słowami, adepcie Barzano.

- Ario.

- Dobrze... Ario. To dzięki twojemu ostrzeżeniu żyjemy.

- Być może - przyznał Barzano. - Ale jestem pewien, że pan by sobie sam doskonale poradził bez mojej pomocy.

Tiberius spojrział na niego uważnie, unosząc brwi.

- Jak to możliwe, że urzędnik Administratum wie tak dużo o obcych statkach kosmicznych?

Barzano wzruszył ramionami i odparł z rozbijającym uśmiechem:

- Cóż, Lazlo... Sporo podróżuję, spotykam wielu interesujących ludzi i umiem słuchać. No i mam pamięć do szczegółów, więc wiele wynoszę z takich spotkań. - Przerwał na chwilę, jakby się zamyśliwszy, ale potem kontynuował: - Poza tym w moim fachu człowiek uczy się wielu, nierzadko zaskakujących, rzeczy. Choć, panie admirale, najbardziej dręczy mnie pytanie, skąd piraci wiedzieli, że przybywamy? Jak nas znaleźli? Nasz kurs przebiegał przez szlaki, które nie są zbyt ucześnie.

- Racja.

- Skąd zatem wiedzieli, że będziemy w tym akurat miejscu o tym właśnie czasie? O naszym przybyciu wiedziała jedynie gubernator Pavonis.

- Podejrzewasz ją o współpracę z piratami?

- Mój drogi admirale. Jestem biurokratą. Ja podejrzewam wszystkich - roześmiał się Barzano. Nagle spoważniał i dodał: - Niestety masz rację. Lojalność pani gubernator jest jedną ze spraw, które bardzo mnie martwią.

Nim Tiberius zdołał odpowiedzieć, Lortuen Perjed uniósł poznaną plamami wątrobianymi dłoń do czoła i głośno jęknął. Barzano pomógł mu wstać i skłonił się Tiberiusowi.

- Panie admirale, mam nadzieję, że mi pan wybaczy, ale muszę odprowadzić moją skrybę do felczera. Zgodzi się pan, że musimy się jeszcze spotkać, prawda?

Tiberius kiwnął mu głową na pożegnanie, niepewny, co właściwie adept miał na myśli. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej podejrzewał, że Barzano przewidział zasadzkę na „Vae Victus”. Z jakiegoż innego powodu zjawiłby się u niego właśnie w tym momencie? A kiedy doszło do najgorszego, czy nie wiedział, jak się poruszać po mostku dowodzenia?

Ciekawe, jakie jeszcze niespodzianki przyniesie ta podróż?

ROZDZIAŁ 5

Ośmiokątna sala operacyjna była tak zimna, że oddech znajdujących się w niej osób od razu zamieniał się w parę. Dwie z nich, zawiadujące całą operacją, poruszały się po zacienionym pomieszczeniu z niewiarygodną elegancją i gracją. Światło było mocno przyćmione, bowiem oczy Chirurga nie były przyzwyczajone do jasnego blasku, a wszyscy doskonale wiedzieli, że jego najlepsze dzieła powstały w mroku.

Metalowy blat oznaczony był kanalikami. Do nóg i podłogi przymocowany został grubymi bolcami, a otaczały go dziwne urządzenia pełne ostrzy, skalpeli, pił i długich igieł. Trzecia istota, która znajdowała się w pokoju, nagi człowiek, mężczyzna, leżał nieruchomo na blacie. Nie krępowały go żadne paski ani więzy, bowiem Chirurg potrzebował całkowitej swobody ruchów. Tylko środki uspokajające trzymały leżącego w miejscu, gdzie spoczywał nieruchomo, oczekując na swój los.

Chirurg wstrzyknął mu do żył dokładnie odmierzoną dawkę substancji paralizujących. Chodziło o to, żeby ofiara nie była w stanie się poruszyć, ale jednocześnie czuła każdy ruch ostrza.

Gdzie będzie miejsce dla sztuki, jeśli Szlachetny nie będzie w stanie odczuć jej maestrii?

Chirurg ubrany był w czerwony fartuch i grube, gumowe rękawice, których palce kończyły się drobnymi skalpelami. Jego ukryta w cieniu asystentka obserwowała te przygotowania z mieszaniną zachwytu i znudzenia.

To, czego Chirurg za pomocą swoich instrumentów dokonywał z ludzkim ciałem, widziała już wielokrotnie. Choć były to istne cuda, ją interesowały obecnie tylko własne rozkosze. Chirurg skinął na nią i ruszyła przez środek sali, naga, wyciągnięta jak struna, przeskakując na palcach z uśmiechem pożądania igrającym na pełnych ustach.

Chwyliła dłońmi krawędzie stołu i wypchnęła ciało w górę, kołysząc nim to do przodu, to w tył. Uniosła nogi i znalazłszy się w pionie, przeszła na rękach nad nieruchomym człowiekiem i opuściła się tak, że usiadła na nim okrakiem i spojrzała mu głęboko w oczy.

Tak jak się spodziewała, zobaczyła w nich strach. Uśmiechnęła się do siebie. Groza zawsze ją pociągała i odpychała zarazem. Ta ludzka małpa mogła myśleć, że ona, która poznała tysiąc i dziewięć Rozkoszy Ciemności, radowała się jego przerażeniem. Jakaś jej

część poczuła odrazę, kiedy zdała sobie sprawę z tego, iż rzeczywiście strach człowieka sprawia jej radość. Tylko ogromny wysiłek woli sprawił, że nie rzuciła się na tego żalosego człowieczka, aby zagryźć go na śmierć, wydłubać oczy i pozbawić rozumu. Wzdrygnęła się, a rozciągnięta na blacie ofiara wzięła to za spazm rozkoszy. Kobieta wyciągnęła się do przodu, przesuając językiem po odsłoniętej klatce piersiowej, czując jak skóra człowieka marszczy się pod jej dotykiem. Dotarła do szyi i delikatnie ją przegryzła, zatapiając w skórze zaostrome kły. Poczwała, jak do jej ust i gardła wlewa się zepsuta krew.

Mężczyzna zajęczał, kiedy ostre niczym brzytwy kły pozostawiały krwawe ślady pocałunków na szczęce, a pazury wyżłobiły głębokie bruzdy wokół żeber. Z ran unosiły się delikatne opary, a napięte mięśnie lędźwi powiedziały jej, że mężczyzna jest gotowy, aby rozpocząć zasadniczą część gry.

Spojrzała przez ramię na Chirurga i skinęła głową. Choć mężczyzna nie był w stanie wykonać najdrobniejszych ruchów, ona czuła, jak ogarnia go przerażenie. Uniosła się i z gracją gimnastyczki przerzuciła ponad nim swoje ciało, lądując za jego głową. Splunęła krwią na podłogę i obserwowała. Chirurg wbił pierwsze z ostrzy w brzuch mężczyzny, a potem z niesamowitą zręcznością i znanstwem otworzył trzewia i, mięsień po mięśni, zaczął obierać kości z tkanki.

Operacja trwała ponad trzy godziny, w trakcie których Chirurg fachowo przeprowadzał wiwisekcję człowieka. Organy wewnętrzne leżały naokoło, poukładane w eleganckie stosiki. Jakże łatwo było zdejmować kolejne warstwy ciała, pozostawiając jedynie wrzeszczący bezgłośnie, nagi szkielet. Pokusa była wielka, ale Chirurg wiedział, iż archon Kesharq byłby wściekły, gdyby dowiedział się, że keyrzak zmarł tak szybko.

Całej procedurze towarzyszył szum obcej maszynierii: pompki tłoczyły tlen, a w szklanych tubach o przedziwnych kształtach z sykiem i bulgotem gromadziła się krew oraz inne płyny ustrojowe. Inne urządzenia tłoczyły do wciąż żyjącego ciała potrzebne dla jego przetrwania fluidy. Metalowa konstrukcja, przypominająca kilka połączonych ze sobą szubienic, przesunęła się ponad stół, podtrzymując jednocześnie szklisty, podobny do żuka przedmiot, w którym zdawał się pulsować ogień. Z jej go podbrzusza wystawały czarne, chitynowe igły, bez ustanku dżgające odsłonięte fragmenty żywej tkanki. Szybciej niż mogło nadażyć nieuzbrojone oko, zbierały z ciała osadzone na nim złogi odpadów, narośle i nowotwory, na nowo układając arterie i splatając mięśnie z nerwami.

Kiedy ślepe, pracowite roboty skończyły wykonywać swoje zadanie, Chirurg zaczął na nowo składać ciało, żmudnie odtwarzając jego układ, aż na powrót stało się całością.

Jak dotąd tylko głowa człowieka pozostała nietknięta, ale jego usta wykrzywił niemy

krzyk cierpienia i bólu. Ostre jak brzytwa odnóża metalowego pająka obniżyły się z wolna, a organiczne podbrzusze istoty zawisło kilka centymetrów ponad twarzą mężczyzny, obrzydliwie pulsując. Czarne igły ponownie wystrzeliły, tym razem obierając sobie za cel oblicze człowieka i wdarły się przez nos, uszy, usta i oczy w głąb, aż do mózgu. Spazmy agonii wstrząsnęły jego ciałem, kiedy każdy nerw, naczynie krwionośne, a nawet rdzeń kręgowy były naprawiane, oczyszczane i leczone.

Wreszcie cały zabieg dobiegł końca. Opuchnięty i wilgotny organizm został oderwany od ciała człowieka, a następnie złożony na metalowej tacy przy końcu stołu operacyjnego. Kiedy zaczęły nim wstrząsać przedśmiertne drgawki, Chirurg rozciął jego ciało piłą do kości, a pancerz istoty zmienił kolor z czarnego na matowobrazowy. Nim istota szeszła do końca, wy dobył z jej wstrząsanych drgawkami trzewi oślizłe, żółte jajko. Kiedy następnym razem ta istota znów okaże się potrzebna, to właśnie z niego zostanie wyhodowana nowa.

Chirurg skinął głową nagiej kobiecie i ta zbliżyła się, by pomóc mężczyźnie usiąść. Jego ruchy były niezgrabne i bardzo powolne; kobieta wiedziała, że człowiek przechodzi potworne katusze, które jednak wkrótce miną.

W milczeniu zebrała jego ubrania i nałożyła mu na tors bluzę z ciemnoniebieskiego płótna ze srebrnymi obszyciami. Człowiek wsparł się na hebanowej lasce i wolno, krok za krokiem powlókł do wyjścia. Przystanął obok drzwi i nie oglądając się za siebie, rzucił:

- Idziesz w końcu czy nie?

Kobieta przekrzywiła zadziornie głowę, a jej jadownicie piękne usta wykrzywiły się w uśmiechu. Mężczyzna obrócił się w jej stronę, jakby wyczuwał, że z niego drwi. Wbił w nią pełne złości spojrzenie, a ona wyczytała z jego oczu ogrom cierpienia, jakiego doznawał. To odkrycie przeppełniło ją poczuciem zadowolenia. Następnym razem trzeba będzie co najmniej sześciu z tysiąca i dziewięciu Rozkoszy Ciemności, żeby zadowolić tego człowieka.

ROZDZIAŁ 6

Statek zaczął podchodzić do ostatniej fazy lotu ku Wrotom Brandona, stolicy Pavonis. Uriel oparł głowę o wibrującą gródź Thunderhawka i złożył dłonie do modlitwy.

Każdy z jego podkomendnych siedział w pełnej nabożeństwa ciszy, a ich myśli podążały ku chwale Imperatora. Po drugiej stronie przedziału pasażerskiego zajął miejsce adept Ario Barzano, a wraz z nim podróżowała niewielka armia urzędników i popleczników. Uriel pokręcił głową z niedowierzaniem, zastanawiając się, ilu osób może potrzebować człowiek, aby wykonywały za niego codzienne czynności?

W ciągu wszystkich długich lat szkoleń, jakie przeszedł w koszarach Agiselus, Urielowi wpojono żelazną dyscyplinę i nawyk polegania jedynie na sobie. Dlatego też dziwnym było dla niego obserwowanie kogoś, kto potrzebował innych ludzi, aby wykonywali za niego całą brudną robotę. Dzieci Ultramaru od najmłodszych lat były uczone, żeby sumiennie przeżyć swoje życie. Wiedziały, że należy być zdyscyplinowanym, odpowiedzialnym i prostym człowiekiem.

Barzano uważnie słuchał mężczyzny, który wcześniej przedstawił się jako Lortuen Perjed. Energicznie kiwał głową, przytakując każdemu słowu starego człowieka. Uważnie obserwował jego wyciągnięty palec wskazujący, którym ten gestykulował i podkreślał znaczenie poszczególnych słów. Przez krótką chwilę Uriel zastanawiał się, kto tak naprawdę dowodzi grupą adepta Barzano.

Uriel porzucił myśli o adepcie i wyjrzał przez grubą szybę bulaja, osadzonego w burcie Thunderhawka. Ostatnie chmury, zasłaniające do tej pory widok, znikły, a przed oczyma Kosmicznego Marine rozciągnął się krajobraz Pavonis.

Widok był tak wyraźny jak mapa holograficzna. Pierwszym wrażeniem, jakie odniósł Uriel, było zdziwienie, kiedy ogarnął spojrzeniem bezkresne przestrzenie.

Pavonis okazało się być planetą kontrastów. Pośród rozległego, pełnego zieleni krajobrazu ciągnęły się industrialne manufaktury i fabryki. Otoczone przez porty, magazyny i punkty przeładunkowe, które łączyły je w jedną sieć, przypominały dziwny świat, całkowicie nie przystający do zieleni natury, która je otaczała. Po tych molochach ze stali i betonu poruszały się żółte dźwigi i suwnice, przenosząc ogromne cysterny z paliwem, bele surowców i inne dobra, potrzebne do podtrzymywania produkcji w działających bez przerwy,

monstrualnych kuźniach. Z wysokich kominów i przetworników ciepła w powietrze były kłęby żółtawego dymu, a niezdrowo wyglądająca mgła stała się tuż przy ziemi, oblepiając budynki swoimi wilgotnymi mackami.

Jednak przed dziobem pędzącego w przestworzach Thunderhawka rysowało się zupełnie inne oblicze Pavonis. Z dala od fabryk, wyrastające z głębi puszczy, wznosiły się wysokie góry, a u ich stóp Uriel dostrzegał eleganckie, gustownie zaprojektowane posiadłości, które musiały zapewne należeć do rządzącej kasty Pavonis. Jej członkowie kontrolowali produkcję w fabrykach i czerpali zyski z handlu wytwarzanymi tam dobrami. Thunderhawk przeleciał ponad dachami rezydencji, wprawiając w zdziwienie i strach stado włochatych i rogatych zwierząt. Wyszkolone oko Uriela zdążyło wychwycić jeszcze wykładaną kamyczkami posadzkę ganku, a potem pałacyk zniknął w oddali.

Thunderhawk wyrównał lot i skierował się wzdłuż biegu rzeki, ominął szerokim łukiem wysokie klify, zza których wyłoniły się wreszcie Wrota Brandona. Lądownik nabral wysokość i zatoczył krąg wokół miasta, dając pasażerom możliwość podziwiania jego architektury. Metropolia została zbudowana na planie gwiazdy, a otoczona była przez punkty obrony przeciwlotniczej i wyrzutnie pocisków raketowych. Wewnątrz tego pierścienia mieściły się poczerńiałe miasteczka, skupione wokół manufaktur. Skąpane w gorących promieniach słońca, otoczone kłębami dymu i gorącego powietrza, stanowiły wyraźny kontrast dla rozległych, zadbanej i zbudowanych z jasnego kamienia Wrót Brandona. Architektura miasta była połączeniem tradycji i nowoczesności: liczące sobie tysiące lat budynki sąsiadowały z wieżowcami i kopułami ze stali i szkła. Ulice wyłożono eleganckim, równym brukiem oraz otoczono parkami pełnymi drzew i kwietników.

W centrum miasta wznosił się Pałac Imperialny, siedziba gubernator Pavonis. Otaczał go rozległy plac, oddzielający siedzibę władzy od konglomeratu szkła i stali oraz nadający jego szerokim bramom jeszcze więcej majestatu. Sam Pałac piął się dumnie ku niebu, a jego blanki i umocnienia zostały zaprojektowane wedle wzorca Wysokiego Gotyku, stylu architektonicznego popularnego kilka tysięcy lat temu. Uskrzydłone gargulce z brązu otaczały masywną dzwonnice, której zwieńczenie stanowiła kopuła z kutego złota, wysadzanego drogocennymi kamieniami.

Uriel dostrzegł, że dzwon bije, jednak ryk silników Thunderhawka zagłuszył jego dźwięk. W cieniu wieży znajdowało się wiele rozległych budynków, stadion lekkoatletyczny, zacieniony park oraz urokliwe jezioro. Jasne było, że władcy Pavonis lubili żyć w luksusie. Uriel zastanawiał się, czy ci ludzie byli zdolni poświęcić ten dobrobyt dla spraw swoich poddanych? Czy już coś takiego zrobili, czy też zupełnie nie dbali o los zwykłych ludzi?

Wytrawne spojrzenie Uriela wyłowiło jeszcze jeden szczegół, który mógł być niedostrzegalny na pierwszy rzut oka. Choć pałac sprawiał wrażenie eleganckiej, spokojnej rezydencji, to tu i ówdzie ukryte były awaryjne wyrzutnie statków ratunkowych i stanowiska obronne, rozmieszczone tak przemyślnie, że umożliwiłyby długą i uporczywą obronę centrum władzy imperialnej. W przypadku powstania czy wojny Pałac stałby się naturalnym centrum oporu, skupiającym siły chroniące planetę.

Thunderhawk zaczął z wolna opadać, kierując się w stronę kręgu mrugających światełek, oznaczających lądowisko. Położone ono było w niewielkim parku, tuż poza murami Pałacu. Na krawędzi drzew znajdowały się dwa budynki: stanowisko obserwacyjne i zbiornik paliwa, teraz chronione przez tarczę kinetyczną.

Kiedy lądownik znajdował się dziesięć metrów nad ziemią, Uriel zwolnił uprząż, przytrzymując go dotąd w fotelu i zerwał się na równe nogi. Reszta Kosmicznych Marines natychmiast poszła w jego ślady, zabierając swoje boltery z zasobników, w których umieszczono je na czas lotu.

Pasanius i Learchus przesunęli się wzdłuż szeregu braci, sprawdzając ich pancerze. Zapaliła się zielona lampka, oznaczająca gotowość do desantu.

- Wszyscy gotowi? Waszym zadaniem jest opanowanie perymetru!

Sierzanci po raz ostatni sprawdzali i przygotowywali ludzi do wykonania zadania, a Uriel na chwilę przyklęknął przed niewielką kapliczką Pierworodnego i zmówił szybko Modlitwę Bitwy oraz Katechizm Wojownika. Położył dłoń na pochwie miecza i wstał, zajmując miejsce na czele kolumny Marines.

Z sykiem dekompresji i jękiem maszynierii rampa opadła, uderzając w płytę lądowiska. Nim zdążył przebrzmieć huk, dwa oddziały Ultramarines wyskoczyły z wnętrza Thunderhawka i zajęły pozycje, zabezpieczając statek. Ich boltery szukały wroga, a opancerzone głowy obracały się, gdy oczy Marines czujnie badały okoliczne drzewa.

- Ale się rwą do walki, nie sądzisz? - powiedział rozbawiony Barzano, jakimś cudem przekrzykując ryk silników Thunderhawka.

Pasanius uniósł swój masywny miotacz płomieni, kierując go w stronę, w którą spoglądał Uriel. Wymienili pełne irytacji spojrzenia; adept obydwu im działał na nerwy.

Tarcza, chroniąca do tej pory budynki lądowiska, opuściła się i z poczekalni wyszedł zażywny mężczyzna, odziany w czarne szaty adepta Administratum. W rękach niósł kilka czytników danych oraz identyfikator genetyczny.

Jak jeden mąż Kosmiczni Marines wzięli go na cel swoich bolterów. Prerażony człowieczek uniósł ręce do góry i krzyknął:

- Nie strzelać! Proszę nie strzelać. Jestem tutaj, żeby przywitać adepta Barzano.

Barzano, Lortuen i Uriel podeszli do niego, a dwóch Marines ruszyło za nimi bez słowa, formując ich straż osobistą. Grubas spocił się ze strachu, widząc dwóch masywnych Ultramarines, zbliżających się do niego z bronią w ręku.

Barzano podszedł do adepta i uściśnął jego pulchną dłoń, poklepując go jednocześnie po ramieniu.

- Pan musi być adeptem Ballionem Varle. Miło mi pana poznać. Jak pan już zapewne wie, nazywam się Ario Barzano, dlatego oszczędźmy sobie zbędnych formalności. Proszę się nie martwić tymi zacnymi chwatami, to Ultramarines. - Barzano podprowadził adepta bliżej i skinął dłonią w kierunku Uriela. - To kapitan Ventris, który dowodzi Kosmicznymi Marines. Przybyli tu, aby dopilnować, żeby nic złego nie wydarzyło się już więcej na Pavonis. Obydwaj mamy szczerą nadzieję, że do niczego takiego nie dojdzie, prawda?

Adept Ballion Varle pokiwał twierdząco głową, w dalszym ciągu spoglądając z niedowierzaniem na Ultramarines. Uriel wątpił, aby ten przelęknięty człowiek był w stanie zrozumieć, co Barzano do niego trąkocze.

Ten wyjął z rąk oniemiałego Balliona identyfikator genetyczny i przycisnął palec do czytnika. Maszyna zaczęła szumieć, a po chwili wydała z siebie przyjemny dźwięk. Na ten odgłos! Varle oderwał wreszcie oczy od ogromnych wojowników i spojrzał na ekran.

- No, teraz przynajmniej wiemy, że nie jestem oszustem - uśmiechnął się szeroko Barzano. - Rozumiem, że odebrał pan moją wiadomość?

- Tak, adeptcie. Muszę przyznać, że jej treść była dla mnie dość... zadziwiająca.

- Nie ma potrzeby się martwić, prawda? Wszystko jakoś się ułoży, dlatego nie należy sobie zaprzętać głowy niepotrzebnymi problemami.

- Tak, ale jeśli pani gubernator dowie się, że nie poinformowałem jej o pana wcześniejszym przybyciu, będzie... - zaskamlał Varle.

- Będzie? - podsunął Barzano.

- Będzie... bardzo niezadowolona - dokończył zmartwionym tonem adept.

- Świetnie! Po prostu pysznie! Zatem mamy za sobą dobry początek.

- Przykro mi, adeptcie Barzano, ale nic nie rozumiem - wyznał Varle.

- Nie masz za co przepraszać, przyjacielu. Nic nie rozumiesz, bo nie musisz. Wiesz, gierki w gierkach, pułapki w pułapkach, mój drogi.

Lortuen Perjed zakasłał znacząco, stukając końcówką laski o metalową rampę Thunderhawka. Barzano machnął do niego ręką i z westchnieniem wyznał:

- No tak... Znowu paplam bez sensu. Zawsze się tak dzieje, ilekroć spotkam kogoś

nowego. A teraz przejdźmy do interesów. Chciałbym najpierw odwiedzić Pałac Imperialny, co o tym sądzisz?

- Wydaje mi się, że pani gubernator nie spodziewa się pana tak wcześnie.

- A zatem... - powiedział Barzano, ale przerwał, pokazując na przerwę w linii drzew.

Uriel podążył za jego wzrokiem i dostrzegł odkrytą karocę, podążającą ku nim od bram miasta. Ciągnięta przez konie pewnie zmierzała w stronę otoczonego przez drzewa lądowiska.

Kareta unosiła się na platformie antygravitacyjnej, podobnej do tych, które montowane były w śmigaczach, używanych przez Zakon na polu walki. Na bocznych burtach pojazdu widniał herb, przypominający kształtem łuskę artyleryjską.

Uriel wiedział, że taki pojazd musiał kosztować niewielką fortunę, bowiem technologia antygravitacyjna nie należała do tanich. Konie, które ciągnęły pojazd, musiały zostać doń zaprzęgnięte z przyzwyczajenia lub dla uhonorowania tradycji, bowiem i bez nich karoca sprawnie by się poruszała. Kiedy pojazd dotarł na miejsce i zatrzymał się, wzbijając obłok kurzu, wysiadł z niego przystojny mężczyzna, odziany w czarne, eleganckie ubranie oraz niebieską, aksamitną pelerynę. Jego stroju dopełniał kapelusz z piórem. Mężczyzna ile sił w nogach pośpieszył ku płycie lądowiska, z szerokim uśmiechem witając niespodziewanych gości.

Lortuen Perjed wysunął się zza pleców Barzano i Uriela i stanął obok nich, mierząc nowoprzybyłego czujnym spojrzeniem.

- Vendare Taloun - szepnął. - Jego rodzina zarządza kartelem, produkującym pociski artyleryjskie dla Gwardii Imperialnej. Gubernator Shonai pozbawiła go stanowiska dziesięć lat temu i teraz to on stoi na czele opozycji w senacie Pavonis. Krążą pogłoski, że zorganizował zamach na własnego brata po tym, jak jego wyznaczono na głowę rodu.

- Są na to jakieś dowody? - szepnął Barzano, zanim Taloun się do nich zbliżył.

- Jak do tej pory nie.

Barzano pokiwał głową, nie oglądając się za siebie, i ruszył na spotkanie nowoprzybytemu. Uriel z kolei dostrzegł, że na twarzy adepta Varle pojawił się wyraz czystego przerażenia, kiedy stanął obok Barzano. Kosmiczny Marine położył dłoń na rękojeści miecza.

Vendare Taloun złożył Urielowi i Barzano dworski ukłon, ściągając z głowy kapelusz i zamiatając nim ziemię. Wyprostował się, a adept uściśnął jego dłoń i potrząsał nią energicznie raz za razem.

- Poznać pana to prawdziwy zaszczyt. Zaiste, niespotykany honor! Nazywam się Ario

Barzano, ale jestem pewien, że pan to wie. No dalej, wsiadajmy do tego wspaniałego pojazdu i ruszajmy do miasta, dobrze?

Maniery Barzano musiały zbić z tropu Talouna, który jednak szybko się opanował i z uśmiechem odparł:

- Ma pan rację, adeptcie - wskazał zapraszającym gestem na powóz i spytał: - Czy twoi towarzysze zechcą jechać z nami? Wydaje mi się, że mamy jedno czy dwa wolne miejsca.

- Sądzę, że Uriel i Lortuen zechcą się do nas przyłączyć. Adeptcie Ballion, bądźże porządnym człowiekiem i zorganizuj jakiś posiłek i coś do picia dla chłopców, którzy tutaj zostaną, dobrze? Świetnie, ruszajmy.

Kiedy Barzano i Vendare Taloun wysforowali się do przodu, Lortuen Perjed wyszeptał do ucha Uriela:

- Przynajmniej już wiemy, że nie można ufać Ballionowi.

- Nie rozumiem - odparł Ventris, obserwując, jak zażywny człowieczek znika we wnętrzu poczekalni. Minę miał niewyraźną, jakby srogo się na czymś zawiódł.

- A skąd Taloun mógłby wiedzieć, że przybędziemy wcześniej, niż to zaplanowano?

Uriel zastanawiał się przez chwilę, a potem odparł:

- Skoro podejrzewaliście, że może nie być godny zaufania, to czemu powierzyliście mu tajemnicę naszego wcześniejszego przylotu?

- Barzano przewidział, że najprawdopodobniej lokalny adept wszedł w konszachty z którymś z miejscowych notabli i siedzi w jego kieszeni. Teraz wiemy przynajmniej, kto go opłaca.

Uriel był zupełnie zbity z tropu, a na widok jego zaskoczenia Perjed uśmiechnął się uprzejmie.

- To dość częsta przypadłość, spotykana w wielu podobnych światach wschodniego ramienia galaktyki. Te planety przez wiele lat były odcięte od kontaktu z Administratum.

- Na Ultramarze taki stan rzeczy byłby nie do pomyślenia.

- Zapewne tak, ale niestety jesteśmy bardzo daleko od Ultramaru.

Jenna Sharben grzotnęła tarczą w poźólką twarz jednego z napastników i wepchnęła go z powrotem w falującą tłuszczę. Cele w transporterze Rhino były już pełne, a kolejne wozy miały się pojawić wkrótce. W tej chwili jedyne, co sędziowie mogli zrobić, to utrzymywać pozycje, trzymać tarcze ciasno jedna przy drugiej i spychać tłum z drogi, która prowadziła do bram pałacu.

Prawie pół tysiąca demonstrantów zgromadziło się na placu, kiedy zaczął bić dzwon, a

pewne było, że już wkrótce nadciągną następni. Jenna przeklinała w duchu głupca, który kazał uderzyć w ten cholerny gong. U zarania dziejów na Pavonis jego bicie wzywało senatorów na obrady, a teraz uderzano weń jedynie z okazji ważnych wydarzeń.

Głupi zwyczaj, stwierdziła ponownie Jenna, jeszcze mocniej napierając na tłum swoją tarczą. Doskonale wiedziała, że senatorów wzywano na sesję bardziej dyskretnymi, bezpośrednimi środkami. Na głos dzwonu przybyli jedynie rozwścieczeni robotnicy, chcący wyładować swoją złość na tych, którzy mieli przejeżdżać drogą do pałacu.

- Utrzymać ludzi w ryzach! - krzyczał sierżant Collix zza podwójnej linii sędziów.

A co my tutaj do cholery robimy? - pomyślała Jenna. - W ciszy i spokoju urządzamy sobie pogawędkę z robotnikami? Wszyscy słyszeli o jego wyczynach na Placu Oswobodzenia, gdzie tylko błyskawiczna reakcja sędziego Ortegi sprawiła, że zamieszki nie skończyły się hekatombą. Collix kazał otworzyć ogień do tłumy, ale Ortega wycofał sędziów i zapobiegł większemu rozlewowi krwi. Jakie jeszcze błędy popełni ten głupiec i ilu niewinnych ludzi będzie musiało za nie zapłacić?

Zdając sobie sprawę, że taki sposób myślenia jest bardzo niebezpieczny, Jenna odegnała od siebie te myśli i skupiła się na spychaniu tłumy na pobocze. Grzmotnęła jednego z demonstrantów krawędzią tarczy w twarz, złamała mu nos i posłała krwawiącego i łkającego na ziemię.

Tłum zawrzał z nową siłą, a Jenna zaryzykowała jeden szybki rzut oka za siebie. Drogą do bram jechała zaprzęgnięta w konie antygravitacyjna karetka. Tłum zafalował i zaatakował z nową siłą, a pod jego naporem linia sędziów niebezpiecznie się wygięła.

Jenna ze wszystkich sił parła do przodu.

* * *

Solana Vergen rozciągnęła się na skórzanej kanapie, jednocześnie zerkając ukradkiem w niewielkie lusterko. Musiała się upewnić, czy rzeczywiście wygląda jak pogrążona w żalobie córka. Tak, oczy były odpowiednio zaczerwienione, jakby całą noc płakała, a bladość dodawała jej powabu i czyniła ją jednocześnie słabą, kruchą, ale i intrygująco pociągającą. Dla pewności przeciągnęła jeszcze po włosach srebrnym grzebieniem z rączką z kości słoniowej, a następnie wyjrzała przez okno w drzwiach karocy. Przejeżdżała właśnie przez Plac Oswobodzenia.

Widok zgromadzonych robotników wywołał jedynie ziewnięcie i grymas znudzenia na jej twarzy. Ci brudni i śmierdzący robole rzucali w jej stronę wyzwiskami, kiedy mijała falujący tłum, kierując się ku wrotom pałacu. Co oni sobie wyobrażali? Na co liczyli? Nagle

Solana zdała sobie sprawę, że spora część robotników nosi żółto-zielone uniformy jej kartelu. Dlaczego nie są w pracy? Czemu leniuchują na placu, zamiast w pocie czoła pracować w manufakturze? Czy nie zdają sobie sprawy z tego, że teraz pracują dla niej?

Śmierć ojca, który dał się zastrzelić w zeszłym tygodniu, nie oznaczała, że ludziom wolno porzucać zajęcie. Solana zakonotowała sobie, aby skontaktować się z nadzorcą i zebrać nazwiska tych, którzy nie stawili się dziś w pracy. Da tym obibokom nauczkę, kiedy wyrzuci ich z pracy razem z ich przełożonym. Z pewnością nie pozwoli, aby lenie gnieździły się w fabrykach.

Już wkrótce wszyscy się przekonają, że nie jest tak miękka i uległa jak jej ojciec. Na jego wspomnienie ledwo zdusiła śmiech. Szczególnie rozbawiło ją, jak na pogrzebie Vendare Taloun lał krokodyle łzy nad grobem niedoszłego teścia swego syna. Czy ten kretyń naprawdę mógł pomyśleć, że jej planowane małżeństwo z jego synalkiem było tylko sprawą przypadku? Bez wątplenia miał nadzieję osadzić go na czele kartelu Vergen, ale srogo się przeliczył, stwierdziła z uśmiechem Solana.

Informacje, które wyciągnęła od niedoszłego męża, kiedy leżał w ciemności, zaspokoiliśmy swoje zwierzęce żądze, z pewnością zainteresują przywódców innych karteli..

Doradcy rodziny Vergen byli przerażeni jej decyzjami dotyczącymi produkcji, ale nie dbała o ich zdanie. Przecież głową kartelu Shonai i gubernatorem całej planety też była kobieta. Solana podsunęła szybę jeszcze bardziej w górę i położyła dłoń na podłokietniku, krytycznie spoglądając na jedwabną rękawiczkę.

Tak, przyszłość niosła dla kartelu Vergen sporo gruntownych zmian.

Taryn Honan nerwowo stukał grubymi placami w szybę karocy, czując, jak każdy wybój na drodze przeszywa jego ciało bólem. Koła powozu stukały na bruku, a każdy ich obrót był dla pasażera nowym cierpieniem.

Przeklął pod nosem, że nie pozwolono mu wydać pieniędzy jego własnego kartelu na karetę antygravitacyjną. Czy zarząd nie potrafił dostrzec faktu, że to byłaby dobra inwestycja? Przecież to poniżające, przybywać na spotkanie w pałacu gubernatora w rozklekotanym powozie, nędznym zwłaszcza w porównaniu z pojazdem takiego Talouna lub de Valtosa.

Taryn miał nadzieję, że któregoś dnia szczęście się do niego uśmiechnie i zdobędzie podobną do nich pozycję, a co za tym idzie szacunek i uwielbienie mniejszych karteli. Postanowił, że podczas obrad senatu będzie uważnie obserwował tych dwóch i podąży za nimi, bowiem na końcu tej wspólnej drogi na pewno oczekują zyski. Z pewnością uznają go

za jednego ze swoich, jeśli będzie ich stale popierał, czyż nie? A może wprost przeciwnie, uznają go za tchórzeza bez zasad, który szuka tylko okazji do łatwego wzbogacenia się? Taryn przygryzł dolną wargę, zastanawiając się, co zrobiłby na jego miejscu zarząd.

Jego spokój minął w okamgnieniu, kiedy przypomniał sobie spojrzenia członków rady, raz po raz odrzucających jego wspaniałe pomysły na nowe rodzaje zyskownych interesów. To było nie w porządku, że jako jedyny z przywódców karteli musiał odpowiadać przed radą nadzorczą. Wiedział, że wszyscy się z niego śmiali. Drwili z niego nawet tacy, którzy mieli zaledwie jedną fabrykę i ledwo co uzyskali miejsce w senacie.

Racja, popełnił kilka błędów, ale kto ich nie robił? Kilka z zawartych przez niego traktatów handlowych rzeczywiście nie poszło całkowicie po jego myśli, ale tak się już zdarza w interesach. A to, że jego kochanek zdobył dostęp do karty kredytowej i narobił kolosalnych długów, nim uciekł frachtowcem z Pavonis, to nie jego wina. Czy to dlatego ukarano go, odbierając mu uprawnienia i przekazując je radzie nadzorczej?

Honan miał nadzieję, że chłopak był na jednym z tych frachtowców, które zostały napadnięte przez eldarów i został zamęczony na śmierć. Uśmiechnął się na całą szerokość swego rumianego oblicza i oblizał uszmkowane usta, widząc oczyma wyobraźni agonię męskiej kurtyzany.

Ta myśl sprawiła, że jeszcze mocniej chwycił hebanową łaskę.

Kasmir de Valtos ziewnął szeroko i skrzywił się, czując jak śmierdzące powietrze wdziera mu się do płuc. Zamknął oczy i pozwolił się nieść antygravitacyjnej karocy, która elegancko sunęła przez ulice miasta, wioząc pasażera do Pałacu Imperialnego. Przez chwilę zastanawiał się, czego ta suka Shonai mogła właściwie chcieć, ale szybko odegnał tę myśl. Kogo to w ogóle obchodzi? Uśmiechnął się pod nosem, zastanawiając się, czy gubernator zamierza może oficjalnie wezwać do tej absurdalnej krucjaty przeciwko eldarskim piratom. Czy ona naprawdę miała nadzieję, że jego kartel tak łatwo da się wciągnąć w awanturę? Czyżby spodziewała się, że Taloun nie przejrzy jej niezdarnej intrygi?

Jeśli miała nadzieję, że zdoła go przeciągnąć na swoją stronę za pomocą tak prymitywnej sztuczki, to była jeszcze głupsza niż de Valtos przypuszczał.

Swego czasu Mykola Shonai była godnym przeciwnikiem, ale tamte dni bezpowrotnie minęły. Po ambitnym polityku nie pozostał już nawet ślad. Stara, zmęczona kobieta, która ledwie była w stanie utrzymać resztkę władzy, nie zdawała sobie sprawy z tego, że do urzędu gubernatora ustawia się długa kolejka.

A na jej czele znajdował się Kasmir de Valtos.

Wyciągnął zza pazuchy srebrną papierośnicę i zapalił jednego ze skrętów, które

znajdowały się w środku. Kasmir doskonale wiedział, że palenie bardzo szkodzi na płuca, ale tylko się roześmiał, uświadamiając sobie ironię tego faktu.

Po tym, co wiele lat temu eldarzy zrobili z nim na pokładzie tego piekielnego statku, każdy najdrobniejszy haust powietrza mógł rozsadzić mu płuca. Ale niech piekło pochłonie cały świat, jeśli z tego powodu miał się obywać bez swoich ulubionych nałogów.

Kasmir de Valtos zawsze robił to, na co miał ochotę i wara innym od jego zwyczajów.

Vendare Taloun uśmiechnął się szeroko, odsłaniając rząd idealnie białych zębów. Obserwujący go Uriel przypomniał sobie szczerzące się hormagaunty, które zabijał na Ichar IV. Choć kapitan Ventriss znał tego człowieka od zaledwie kilku minut, już instynktownie go nie lubił.

- Adeptcie Barzano, pan Ballion Varle opowiadał mi, że pański okręt został zaatakowany podczas podróży na Pavonis. To niedobry znak. Gubernator musi coś wreszcie zrobić, żeby zapewnić bezpieczeństwo szlakom handlowym.

Uriel zauważył, że Taloun nawet nie próbuje ukryć swoich konszachtów z agentem Administratum ani tego, jakie informacje od niego uzyskał. Zapewne zdawał sobie sprawę, że Barzano i tak już się wszystkiego domyślił. Ciekawe, czy uznał, że i tego adepta będzie można łatwo kupić?

- Tak, mój drogi Talounie, to bardzo niedobry znak. - zgodził się Barzano. - Zostaliśmy napadnięci przez piratów, ale na szczęście zdołaliśmy ich odpędzić.

- Miło mi to słyszeć - przytaknął Taloun. - Słyszeliśmy straszne opowieści o tych obcych.

Uśmiechnął się do Uriela i poklepał jego opancerzone kolano, po czym dodał:

- Ale skoro mamy tutaj wojowników dzielnego Zakonu Ultramarines, to chyba nie musimy się niczego obawiać, prawda?

Uriel obrzucił go lodowatym spojrzeniem, dając do zrozumienia, że nie podoba mu się ta przesadna przyjacielskość.

- Miło mi słyszeć, że pokłada pan w nas taką wiarę, Mistrzu Taloun - powiedział, używając tradycyjnego tytułu, zarezerwowanego dla głowy Gildii. - Jeśli Imperator nam pobłogosławi, to oczyścimy Pavonis z plagi obcych i przywrócimy tu jego ład i porządek.

- Ach, gdyby to było takie proste, kapitanie Ventriss - westchnął Taloun. - Niestety obawiam się, że poczynania naszej pani gubernator zawiodły nas w ślepą uliczkę i zwykła eliminacja piratów nie wystarczy, aby postawić ekonomię Pavonis na nogi. Jej dziesięcina boleśnie dotknęła nas wszystkich, a mnie szczególnie ciężko. Niecałe dwa dni temu musiałem zwolnić prawie dwa tysiące ludzi, żeby zmniejszyć koszty produkcji i zachować płynność

finansową. Ale czy ona myśli o mnie? Nie. - Uriel powstrzymał się od komentarza i pozwolił, żeby słowa mężczyzny spłynęły po nim jak woda po kacze. - A co z dodatkowymi siłami porządkowymi, które miały chronić fabryki przed Świątynią Starodawnych Obrządków? Przez ich bomby straciłem prawie siedem roboczogodzin! - kontynuował Taloun.

Uriel zastanawiał się, czy ten gad choć trochę dbał o ludzi, którzy zginęli w wybuchu? Czy w ogóle dostrzegał ten problem?

- Czy możemy przestać rozmawiać o polityce i cieszyć się podróżą? - spytał nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Taloun pokiwał twierdząco głową, ale Uriel wyraźnie dostrzegł błysk wściekłości w jego oczach. Bez wątpienia nie przywykł do tego, by ktoś go uciszał bądź wchodził mu w drogę.

Uriel zignorował go i skupił się na krajobrazie, którzy migał po obydwu stronach drogi. Miejskie mury były wysokie i mocne. Na całej długości wbudowano w nie urządzenia do tłumienia eksplozji granatów i generatory pola ochronnego. Z tego, co przeczytał wcześniej o Pavonis, Uriel wiedział, że praktycznie każdy element uzbrojenia czy wyposażenia obronnego był produkowany przez jeden lub drugi rodzimy kartel. Miasta Ultramaru nie potrzebowały takich technicznych cudów, żeby się obronić. Nie, ich siła opierała się na czymś znacznie bardziej niezawodnym. Odwaga, siła i ludzie, będący ucieleśnieniem cnót wojownika, stanowiły najmocniejszą linię obrony, a ludzie zamieszkujący osady rodzinnej planety Uriela stanowili ucieleśnienie tego, co w ludzkości najszlachetniejsze.

Od dziecka szkoleni do walki i zaznajamiani z naukami Błogosławionego Pierworodnego, nie załamywali się w obliczu wroga, nie poddawali rozpaczcy i nie rozplýwali w zgubnych luksusach.

Z zamyślenia i wspomnień wyrwało Uriela taktowne pokasywanie Perjeda. Powóz mijał własne spiżowe bramy miasta.

Widziane z ziemi budynki, które wzniesiono wewnątrz murów, sprawiały znacznie mniej imponujące wrażenie, ale za to były bardziej funkcjonalne. W przeciwieństwie do tych, które budowano na Macragge, pozbawiono je ornamentacji, skupiając się jedynie na ich praktyczności. Budowle z rodzinnej planety Uriela, choć surowe w formie, łączyły w sobie prostą estetykę z obronnością. Domy na Pavonis wzniesiono jak najmniejszym kosztem, nie dbając o ich walory estetyczne. Uriel pomyślał, że to wielka szkoda, iż skąpstwo właścicieli zmusiło architektów do porzucenia myśli o wznoszeniu pięknych konstrukcji. Tu i ówdzie można było dostrzec kobiety i mężczyzn, czyszczących ściany budowli z tłustawego nalotu,

który się na nich osadzał. Był to skutek bliskiego sąsiedztwa ogromnych fabryk. Co dziwne, większość tych ludzi ubrana była a białe uniformy, zupełnie tak, jakby miał być niewidoczni przy pracy.

Karoca mknęła przez wyłożone brukiem ulice, omijając ubranych na czarno przechodniów, którzy na jej widok ściągali z głów ozdobione piórami kapelusze i kłaniali się nisko. Echo bicia dzwonu z wieży pałacu imperialnego niesło się przez ulice.

Taloun od czasu do czasu machał ręką któremuś z kłaniających się im przechodniów, a Uriela uderzyła swoboda, z jaką to czynił.

- Jest pan znany w tej części miasta? - spytał Barzano.

- Tak, zaiste. Mam w stolicy wielu przyjaciół.

- Przypuszczam, że większość z nich należy do pańskiego kartelu?

- Oczywiście. Zwykli ludzie rzadko się tutaj pojawiają. Chodzi o opłaty. Niewielu stać na to, żeby przekroczyć bramy miasta. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy nowa dziesiącina wyciska z nas wszystkich ostatnie grosze.

- Ludzie muszą płacić za wejście do miasta?

- Tak, naturalnie - Taloun spojrział na swoich gości, jakby pomyślał, aby wstęp do stolicy był darmowy, nie mieścił się w jego głowie.

- Ile wynosi taka opłata?

- Nie jestem pewien - odparł, wzruszając obojętnie ramionami. - Członkowie karteli nie muszą wносить opłat, ale ja i tak co roku oddaję część moich zysków na konto przejazdów.

Barzano wychylił się przez burtę karety, jakby chciał z bliska obejrzeć bruk. Potem usiadł z powrotem na swoim miejscu i spytał:

- Z czego zatem opłacana jest konserwacja budynków? Czyżby Imperium za nią płaciło?

- Nie, nie, nie - odparł pośpiesznie Taloun. - Jestem pewien, że pieniądze na ten cel idą z podatków lokalnych.

- Innymi słowy, wszyscy mieszkańcy płacą na utrzymanie stolicy, ale tylko nieliczni mogą się nią nacieszyć, tak? No chyba, że jeszcze raz zapłacą za coś, co tak naprawdę im się słusznie należy?

- Można to tak określić - odparł wymijająco Taloun. - Ale jak dotąd nikt się nie skarżył.

- No nie wiem - wtrącił Uriel, pokazując na rozgniewany tłum, który zebrał się na placu tuż przed bramami pałacu imperialnego. - Oni nie wyglądają na w pełni zadowolonych z życia.

Jenna obserwowała, jak ostatnia karetka zbliża się do bram pałacu i aż syknęła na jej widok z wściekłości. Tego tylko brakowało, żeby nie była zadaszona ani chroniona polem siłowym. Czy ci głupcy nie zdawali sobie sprawy z tego, co się dzieje na ulicach? Powozy, które przejeżdżały przez Plac Oswobodzenia, były obrzucane kamieniami i butelkami, a tylko łaska Imperatora sprawiła, że do tej pory nikt nie został ranny.

- Dlaczego to robicie? - wykrzyczał Jennie w twarz usmarowany brudem mężczyzna. - Wspieracie reżim pełen skorumpowanych złodziei i kłamców!

Nagle u jej boku znalazł się sierżant Collix, który jednym ciosem elektrycznej pałki powalił mężczyznę na ziemię i odciągnął jego zakrwawione, nieprzytomne ciało za linię sędziów. Kątem oka Sharben dostrzegła, że cisnął mężczyznę do celi w transporterze i zatrzasnął drzwi.

Słowa demonstranta były jawną oznaką rebelii, ale ku swemu zaskoczeniu Jenna zdała sobie sprawę, że mogą być prawdziwe. Pięć lat temu Sharben opuściła bramy Schola Progenium, a sześć miesięcy temu ukończyła szkolenie arbitorskie i takie myśli dotychczas były jej obce. Przecież gdyby było tak, jak mówił ten mężczyzna, jej zwierzchnicy osądziliby rządzących Pavonis i gdyby oskarżenia znalazły potwierdzenie, usunęli ich z urzędów.

Naparła jeszcze raz na tarczę, usiłując wraz z innymi sędziami zepchnąć tłum z drogi, ale zdała sobie sprawę, że demonstranci sami się cofnęli. Wszyscy wpatrywali się w coś za jej plecami. Rozejrzała się czujnie dookoła, upewniając się, że to nie jest żaden podstęp, a potem zaryzykowała rzut oka za siebie.

W karocy Talouna jechał odziany w niebieski pancerz olbrzym oraz dwóch ludzi, których nie rozpoznawała. Choć nigdy jeszcze w swoim życiu nie widziała Kosmicznego Marine, to znała ich dobrze, głównie za sprawą świętych obrazków, plakatów i afiszy, które często rozlepiane były w jej rodzinnych świątyniach, Verdan III. Choć słyszała opowieści o tym, że są istnymi wielkoludami, nigdy nie brała ich na serio. Teraz przekonała się, że plotki nie kłamały. Na naramienniku pancerza dostrzegła alabastrowobiały emblemat Zakonu Ultramarines, a kiedy Kosmiczny Marine spojrział w jej stronę, przeniknęło ją drżenie strachu.

Karetka szybko zniknęła za bramą, a wraz z nią olbrzym. Siłą woli Jenna zmusiła się, aby zwrócić twarz ku rozgniewanemu tłumowi, szykując się na kolejną porcję kłopotów, ale i tu czekała ją niespodzianka.

Potęga Imperium, która niespodziewanie przybrała realną formę Kosmicznego Marine, odebrała demonstrantom wolę walki. Najpierw pojedynczo, potem dwójkami, piątkami i większymi grupkami, zaczęli się rozchodzić. W miarę jak opowieść o potężnym wojowniku Imperatora roznosiła się po okolicy, ludzie chyłkiem zaczęli zmykać do

domów. Tylko kilku najbardziej zatwardziałych wichrzycieli próbowało zebrać wokół siebie grupę popleczników, ale ich wysiłki zostały udaremnione razami pałek elektrycznych. Większość z nich, pobita i nieprzytomna, szybko trafiła do więziennych cel.

- Widziałas, jaki był wielki? - spytał jeden z sędziów, który stał obok niej. - A więc to prawda, Kosmiczni Marines są z nami Pavonis.

Tak, pomyślała Jenna, są z nami.

Kopuła Sali Senackiej Rady Wspólnego Handlu wyłożona była płytami z brązu, które z biegiem lat pokryły się patyną sadzy i rdzy. Pod jej sklepieniem znajdowała się sala, która w tej chwili wypełniona była krzyczącymi i gestykułującymi ludźmi, należącymi do różnych karteli Pavonis. Najniżej położone miejsca zostały zarezerwowane dla dwudziestu czterech przywódców największych karteli planety. W większości przypadków, poza rozpoczęciem roku finansowego, rzadko kiedy wszystkie miejsca były pełne.

Jak do tej pory szesnaście foteli zostało zajętych. Głowy najbogatszych karteli: Shonai, Vergen, de Valtos, Taloun, Honan i Abrogas, przybyły na miejsce, ostentacyjnie obnosząc się z udawaną przyjaźnią.

Krzesła za nimi zajęli inni członkowie rodzin lub dalsi krewni, a najdalsze miejsca należały do ludzi związanych z kartelem jeśli nie więzami krwi, to szczególnymi kontaktami. Kupcy ci dysponowali niezależnymi głosami, ale zwykle postępowali tak, jak chcieli ich pryncypałowicie. Takiego tłumu, jaki zebrał się tego dnia w sali, dawno już tutaj nie widziano. Harmider spowodowany kłótniami, swarami i okrzykami był tak wielki, że nie zdołał go opanować nawet sam Moderator Transakcji. Jedni się kłócili, drudzy godzili, a jeszcze inni wykorzystywali okazję, aby ubić interesy z wybranym przez siebie kartelem. Uriel zauważył, że adept Ballion Varle zajął miejsce w łożu popleczników Talouna. Goście oraz obserwatorzy bez formalnego zaproszenia zajmowali prostą, drewnianą ławkę na końcu sali. Stamtąd Uriel, Ario Barzano i Lortuen Perjed mieli baczenie na to, co się dzieje w sali.

Ventris czuł, że spojrzenia sporej części sali koncentrują się właśnie na nim, ale zmusił się, aby je ignorować. Skupił całą uwagę na tym, co działo się na parkiecie.

- Nic nie słyszę ani nie widzę - marudził Barzano, opierając się o żeliwną barierkę.

- Wydaje mi się, że o to właśnie chodzi - odparł Perjed. - Władze wielu światów nie lubią, kiedy ktoś obserwuje, jak załatwiają swoje wewnętrzne sprawy. Nawet ktoś taki jak... pan.

- Doprawdy? Cóż, wkrótce się o tym przekonamy.

Uriel rozumiał złość Barzano, który nie mógł usłyszeć ani słowa z tego, co mówiono.

Na szczęście jego słuch, wzmocniony genetycznie i wyostrzony do maksimum, był w stanie wyłować spośród hałasu każdy szmer.

- A cóż to za wielkolud, ten w czerni? - spytał Barzano, wskazując na korpulentnego mężczyznę, stojącego pośrodku sali i dzierżącego laskę, zakończoną kulą z żelaza.

- To Moderator Transakcji - tłumaczył Lortuen Perjed. - pełni funkcję marszałka zgromadzenia, zatwierdza uchwały i udziela głosu.

- Nie wydaje mi się, żeby dobrze mu szło wypełnianie tego ostatniego zadania. Co on w ogóle tam mamrocze?

- Apeluje o spokój - wyjaśnił Uriel.

Barzano i Perjed spoglądali na niego przez chwilę ze zdziwieniem, a potem najwidoczniej przypomnieli sobie o wzmocnionym genetycznie słuchu Kosmicznego Marine.

- To na nic - mruknął Barzano. - Może i słyszysz, co oni tam szepczą, ale niestety ja nie mogę polegać na informacjach z drugiej ręki. Nie obraż się, proszę, mój drogi przyjacielu, ale jesteś kiepskim źródłem informacji.

- Nie zamierzam - zapewnił Uriel. - Samodzielnie pozyskana wiedza jest najcenniejsza.

- Otóż to. Chodźmy zatem i włączmy się do akcji.

Po tych słowach wstał i poprowadził ich w dół po kamiennych schodkach. Drogę zastąpiło im kilku muskularnych mężczyzn, ubranych w ciężkie, obszywane futrem szaty. Ich piersi ozdabiała grube, złote naszyjniki, będące oznaką funkcji woźnego. W dłoniach dzierżyli zakończone mosiężnymi gałkami kostury, a ze sposobu, w jaki to robili, znać było, że wiedzą, jak się z nimi obchodzić. Praktykę tę zdobyli najwidoczniej „uspokajając” uczestników co bardziej zażartych dyskusji. Jedno spojrzenie na kapitana Ultramarines przekonało ich jednak, że tym razem należy ustąpić miejsca, nie obstając zbyt mocno przy pilnowaniu ładu i porządku. Kilka chwil później Barzano, Uriel i Lortuen Perjed zajęli miejsca w rzędzie przeznaczonym dla głów karteli, rozsiadając się wygodnie w skórzanych fotelach.

Moderator Transakcji uderzył kilkakrotnie swoją laską o podłogę i spojrzał na trzech nowoprzybyłych. Na samą myśl o tym, że może przyjść im wyprosić intruzów, woźni wzdrygnęli się nerwowo. Coraz więcej głów zwracało się w kierunku adeptów i Kosmicznego Marine, a zaciekawione spojrzenia padały to na nich, to na Moderatera Transakcji.

Uriel splótł ramiona na piersi i wbił wzrok w spoconego mężczyznę. Napięcie zostało rozładowane przez Vendare Talouna, który wstał ze swojego miejsca i skinął laseczką na Moderatera.

- Proszę o pozwolenie na zabranie głosu.

Moderator popatrzył na niego jak wyrwany z głębokiego snu, a potem skinął przyzwalająco głową.

- Udzielam. Głos zabiera pan Vendare Taloun.

- Dziękuję. Przyjaciele, członkowie karteli i kupcy! Z wielką przyjemnością chciałbym powitać adeptów Ario Barzano i Lortuena Perjeda, a także kapitana Uriela Ventrisa, reprezentującego Zakon Ultramarines. Ci szlachetni panowie przybyli na Pavonis z woli samego Imperatora, aby pomóc nam w znalezieniu remedium na straszliwe plagi i nieszczęścia, które trapią nas od kilku lat. Uważam, iż naszym obowiązkiem jest ich powitać i zaoferować wszelką pomoc w czasie pobytu na Pavonis.

Słowa Talouna spotkały się z oklaskami i okrzykami pochwały. Wykorzystując tę chwilę zamieszania, Perjed szepnął do Uriela i Barzano:

- Bardzo sprytne posunięcie. Teraz wszystkim się zdaje, iż to jego wpływy sprawiły, że się tutaj znaleźliśmy. Dzięki temu wychodzi na mądrego męża stanu, który potrafi spoglądać na świat z szerszej perspektywy niż gubernator. Tym samym krytykuje ją, unikając bezpośredniego ataku.

- Racja - przytaknął Barzano, mrużąc oczy. - Niezły ruch.

W czasie, kiedy cichła burza oklasków, Uriel obserwował ludzi, siedzących w pierwszych rzędach foteli. Najbliżej marszałka zajmowała miejsce pani gubernator i jej doradcy. Było ich dwóch: jeden wysoki i szczupły mężczyzna stał za nią, szepcząc jej coś do ucha, zaś drugi, o długiej, siwej brodzie, siedział wygodnie w fotelu, paląc spokojnie fajkę. Co chwila wyjmował ją z ust i włączał się do rozmowy.

Urielowi spodobał się sposób, w jaki zachowywała się Mykola Shonai. Pomimo zamieszania i wrzawy, jaka panowała w sali senatu, zachowywała spokój i godność, a z jej oczu biła wielka siła.

Taloun zajął na powrót swoje miejsce, a wzrok Uriela przyciągnął siwy mężczyzna o poznaczonej bliznami, popalonej twarzy, którą znaczyły łąty syntetycznej skóry. Zdawał się nie być zainteresowany zabieraniem głosu, tylko przez cały czas wpatrywał się w Gubernator Shonai z nieskrywaną nienawiścią w oczach.

- To Kasmir de Valtos - powiedział Perjed, zauważając zainteresowanie Uriela. - Statek tego nieszczęśnika został napadnięty przez eldarskich piratów. Potwornie go okaleczyli, ale jakimś cudem zdołał zbiec z niewoli.

- Co mu zrobili?

- Nie wiem dokładnie. Raporty określają jego przejścia jako „potworne” i nie mówią

nic więcej na ten temat.

- Czym się zajmuje jego kartel?

- Produkuje silniki i pancerze do czołgów Lemman Russ, a także pociski dużego kalibru. De Valtos nie nadzoruje bezpośrednio produkcji, pozostawiając ją swoim ludziom.

- Czemu to mówisz. Lortuen? - spytał Barzano.

- Zapiski Administratum mówią, że pan de Valtos zwracał się z co najmniej siedmioma prośbami do urzędów Imperium, wnioskując o zezwolenie na prace archeologiczne na terenie tego systemu. Wiele spośród najcenniejszych eksponatów w Galerii Pavonis pochodzi z jego osobistej kolekcji. Zdaje się, że de Valtos jest wielkim miłośnikiem antyków i mecenasem sztuki.

- Doprawdy? - zachichotał Barzano. - No to wiele nas łączy.

Uriela zastanowiło dziwnie ostre spojrzenie, które Perjed rzucił adeptowi i to, że ten ostatni nie znał tak podstawowych faktów. Odegnawszy od siebie te myśli, wskazał na długowłosego brodacza, który siedział w pobliżu de Valtosa i Talouna. Jego oczy były szkliste, a nawet mimo zmieszanych zapachów wielu zgromadzonych w sali ludzi Ventris był w stanie wyczuć bijący od niego aromat tytoniu, być może zmieszanego z jakąś substancją odurzającą.

- A kto to jest? Co o nim wiecie?

Perjed obrzucił mężczyznę nieprzyjaznym spojrzeniem i skrzywił się pogardliwie.

- To, kapitanie Ventris, jest Beauchamp Abrogas. Nie znajdziesz bardziej żalosego przedstawiciela rasy ludzkiej w najbardziej nawet zapadłym zakątku po tej stronie Śladu Ofelioańskiego Pielgrzyma. To śmieć, który nie byłby w stanie przeliterować własnego imienia, nawet gdybyś mu je do połowy napisał i wepchnął pióro w dłoń.

Złość w głosie starszego adepta zaskoczyła Uriela i Perjed odgadł, o czym myśli Kosmiczny Marine, dlatego pośpiesznie dodał:

- Proszę o wybaczenie, ale uważam, iż to odrażające indywidualium marnuje wszystkie talenty, jakimi obdarzył go Imperator. A jeśli istnieje coś, czego szczerze nienawidzą urzędnicy Administratum, to właśnie marnotrawstwo, mój drogi kapitanie.

Uriel przeniósł spojrzenie na centralną część sali, gdzie Moderator zdołał już przywrócić porządek. Wskazywał właśnie na upudrowanego mężczyznę w złotawej peruce, która kaskadami spływała po jego ramionach, kiedy wrzasnęła nań długowłosa blondynka. Jej głos był tak wysoki i piskliwy, że Uriel skrzywił się, słysząc jego wibrujący dźwięk. Rzucił zaciekawione spojrzenie Perjedowi, który tylko wzruszył ramionami:

- Zajmuje miejsce przeznaczone dla głowy kartelu Vergen, co może oznaczać, że jest

jego córką. Nic o niej nie wiem.

Zdaniem Uriela kobieta była dość atrakcyjna, jednak jej twarz szpecił niezmienny wyraz arogancji i niewzruszonego przekonania o własnej wyższości. Zaciśnęła dłonie na żeliwne barierce, jakby chciała znaleźć oparcie, po czym raz jeszcze wrzasnęła:

- Domagam się od senatu, aby uznał moje prawo do zabierania głosu w imieniu kartelu Vergen! Jestem córką Leotasa Vergena i żądam, abyście mnie wysłuchali!

Moderator jawnie ją zignorował, a dwóch woźnych ruszyło w jej stronę. Spojrzenie prowadzącego obrady padło na tłustawego człowieka:

- Udzielam głosu... szanownemu Tarynowi Honanowi

Salwa głośniego śmiechu odbiła się od ścian sali, kiedy do zebranych w ławkach ludzi dotarł sens tych słów. Wywołany do przemowy mężczyzna ledwie zniósł to upokorzenie, uderzając się w pierś pięścią i głośno chrząkając. Potem przemówił wysokim, nosowym głosem:

- Wydaje mi się, że przemówię w imieniu nas wszystkich, kiedy zechcę powitać naszych szlachetnych gości na Pavonis i zaprosić ich, aby skorzystali z gościny w moich wiejskich rezydencjach.

- Czy rada nadzorcza zezwoliła na tę propozycję, Honan? - wykrzyknął ktoś z przeciwnej strony sali. Żartowi towarzyszyły śmiechy i brawa, a Uriel dostrzegł, że Vendare Taloun potarł nerwowo nos, jakby bardziej zakłopotany tym przejawem niespodziewanego poparcia, niż z niego ucieszony.

Honan na powrót zajął swoje miejsce w ławie i nerwowo splótł ręce na brzuchu, zawstydzony i rozzłoszczony tym jadowitym atakiem na jego osobę. Kobieta ponownie wrzasnęła na Moderadora, ale ten zastukał kilkakrotnie laską w wyłożoną kafelkami podłogę i wykrzyknął:

- Jeśli zakończyliście panowie te powitania, pozwólcie, że przejdziemy do pierwszego punktu obrad, czyli nadzwyczajnego wniosku, który został zgłoszony przez kupca Talouna.

Gubernator Pavonis zerwała się na równe nogi i, biegnąc ku centrum sali, krzyknęła:

- Moderadorze, to niedopuszczalne! Pozwalasz, aby Taloun torpedował w ten sposób posiedzenie? To ja zwołałam obrady i do mnie należy prawo pierwszego głosu!

- Wniosek nadzwyczajny posiada pierwszeństwo nad normalnym trybem zabierania głosu - wyjaśnił cierpliwie Taloun.

- Znam zasady procedur i porządek obrad - warknęła Shonai.

- Czyli mogę rozumieć, że pozwoli mi pani wykonywać moje obowiązki, pani gubernator? - spytał z lekceważącą uprzejmością Moderator Transkacji.

- Już ja doskonale wiem, co się tutaj wyprawia, Vendare. No dalej, rób co chcesz, niech cię piekło pochłonie.

- Jak pani sobie życzy - odparł tym samym tonem Taloun. Wstał ze swojego miejsca i rozpostarł ramiona, idąc w kierunku centrum sali, po czym ujął w dłonie kostur, podany mu przez Moderatora Transakcji.

Uwolniony od tego brzemienia, Moderator zerknął na czytnik danych i oświadczył poważnym tonem:

- Kupcze Taloun, zgłosiłeś wniosek nadzwyczajny, jednak nie podałeś jego tytułu. Działając zgodnie z paragrafem szóstym konwencji proceduralnej, zobowiązuję cię do uzupełnienia braków w formie trzy-dwa-cztery kreska dziewięć. Czy uczynisz to w tej chwili?

- Składam najszczerze przeprosiny, ale uznałem, że podanie do publicznej wiadomości tematu mojego wystąpienia mogłoby wznieść niepotrzebny zamęt. Obiecuję panu, że kiedy je zakończę, uczynię zadość wszelkim kwestiom proceduralnym.

Moderator pokiwał głową i pozostawił podium tylko dla Vendare Talouna.

Ten przez chwilę stał w milczeniu, obserwując salę, a potem kilkakrotnie stuknął laską o podłogę.

- Przyjaciele! Żyjemy w niespokojnych czasach - zaczął swoją przemowę, ale musiał przerwać, bowiem zagłuszyły go oklaski.

Taloun uśmiechnął się i pokiwał głową, zgadzając się ze swoją publicznością, a potem uniósł ręce do góry, prosząc o ciszę, - Jeszcze nigdy w historii naszej planety nie staliśmy w obliczu takich zagrożeń, jak w chwili obecnej. Obcy piraci grabią nasze statki, Świątynia Starodawnych Obrządków podkłada, bomby pod nasze fabryki, niszcząc sprzęt i zabijając robotników. Handel, zamiast przynosić zyski, ledwie pozwala nam przeżyć, koszty rosną, podatki odbierają większość uczciwie zarobionych pieniędzy, a nasze oszczędności kurczą się w zastraszającym tempie.

Jego słowa spotkały się z odpowiedzią w postaci kiwających głów i okrzyków poparcia, które już zaczęły przeradzać się w harmider, kiedy kupiec ponownie przywołał zgromadzonych do porządku, stukając kilkakrotnie laską o podłogę. Uriel był pod wrażeniem oratorskich zdolności Talouna.

- Co robi pani gubernator, aby zakończyć ten kryzys?

Okrzyki „nic”, poparte znacznie bardziej dosadnymi i obscenicznymi komentarzami, zaczęły dobiegać od strony ludzi zgromadzonych w ławach senackich, ale Taloun ponownie je uciszył i kontynuował:

- Nie ma na tej sali nikogo, kto nie odczułby na swojej skórze ciężkiego buta jej finansowego reżimu. Mój własny kartel ledwie daje sobie radę z opłaceniem kolejnej dziesięciny, a wiem, że wasza sytuacja jest podobna. Panie de Valtos, zostałeś pan napadnięty przez eldarskich rabusiów, poniosłeś z ich rąk straszliwe rany, ale gubernator nawet nie kiwnęła palcem, żeby cię pomścić! Pani Vergen... twój rodzony ojciec został zamordowany o rzut kamieniem stąd, ale gubernator nawet nie zareagowała! Panie Abrogas, twój krewny omal nie zginął na ulicy swojego rodzinnego miasta. Co zrobiła pani gubernator? Nic.

Solanę Vergen ogarnęło wzruszenie, kiedy Taloun wspomniał smutny los jej ojca. Wybuch płaczu uniemożliwił jej odpowiedź, a Beauchamp Abrogas nawet nie zauważył, że ktoś wymienił jego imię.

- Moi przyjaciele - kontynuował Taloun. - Nasz świat znalazł się w poważnych tarapatkach. Już zlatują się ścierwojady, aby ucztować na zwłokach, jakimi niedługo stanie się Pavonis. A pani gubernator nie jest łaskawa ruszyć nawet palcem!

Ryk aplauzu skwitował słowa Talouna. Uriel zobaczył, że dwóch doradców Mykoli Shonai powstrzymuje ją przed rzuceniem się na mównicę, kiedy ten zwrócił się do Moderadora Transakcji. Nagle zapadła cisza, kiedy wszyscy z zapartym tchem oczekiwali na puente przemowy.

- Panie Moderatorze - zaczął Taloun. - Zgłaszam wniosek, aby senat głosował dzisiaj nad wotum nieufności dla gubernator Shonai i usnął ją z zajmowanego stanowiska!

ROZDZIAŁ 7

Magos Dal Kolurst, tech-kapłan Urobku Tembra, kopalni głębinowej na Pavonis, sprawdził po raz kolejny mapę, którą miał zapisaną na czytniku danych. Nadal nie mógł ocenić, czy odwiert prowadzony jest w dobrym, czy w złym miejscu. Blask wyświetlacza nadawał jego twarzy upiornego, zielonkawego blasku. Magos uważnie spoglądał na sufit i ciągnący się na nim rząd kul jarzeniowych oraz kabli doprowadzających zasilanie. Podążył wzrokiem wzdłuż ich linii i jego spojrzenie padło na transformator, którego ciche buczenie odpowiedziało mu, że urządzenia działają poprawnie.

Tak, wszystko zdawało się być w jak najlepszym porządku. Wszechmesjaszowi zostały złożone wszelkie odpowiednie ofiary, a wtyczki pasowały do gniazd jak ulał.

Skoro tak się rzeczy miały, to dlaczego stał pocąc się samotnie w kompletnych ciemnościach, które rozpraszał jedynie wąty blask ekranu czytnika?

Jeszcze raz popatrzył się na mapę, ponownie porównując dane z otoczeniem. Szyb Secundus, tunel siedemdziesiąt dwa i rozwidlenie trzydzieści sześć. Kolurst doskonale wiedział, że wszystko jest na swoim miejscu i nie mógł zrozumieć, dlaczego nie pali się tutaj światło. Czemu coś nie działa, skoro wszelkie dane mówią, że kopalnia jest w stu procentach sprawna? W korytarzach powinno być jasno jak w dzień.

Westchnął ciężko, wiedząc, iż będzie musiał się zwrócić do Zarządcy Lasko z prośbą o kolejny generator. Ta petycja na pewno mu się nie spodoba, zwłaszcza w czasach, kiedy kartel starał się drastycznie ograniczyć koszty własne. To był już trzeci agregat, który zepsuł się w ciągu miesiąca, a Kolurst nie potrafił zrozumieć, co się z nimi dzieje. On i jego bracia w wierze starannie wybrali każdy z nich. Osobiście je sprawdzili, odmawiając modlitwę do Wszechmesjasza i kreśląc Runę Aktywacji na ich powierzchni. Tymczasem generatory pracowały przez kilka dni, najwyżej tydzień, a potem z niewyjaśnionych przyczyn zaczynały się psuć.

Jeden po drugim generatory przestawały dostarczać kulom jarzeniowym prąd i do głębin kopalni znów powracała ciemność. Kolurst osobiście sprawdzał każde z uszkodzonych urządzeń i zawsze natrafiał na ten sam objaw: moc była przetwarzana i rozsyłana do kolejnych ogniw łańcucha energetycznego jednak za sprawą jakiegoś dziwnego przypadku pomijane były pewne rejony kopalni. Co się działo?

Magos aż podskoczył ze strachu, kiedy usłyszał za sobą dziwny, metaliczny chrzęst. Skierował światło lampy w tamtą stronę, szukając źródła dźwięku.

Pustka. Niczego tam nie było. Tylko piasek z wolna usypywał się z niewielkiej dziury w ścianie. Kolurst odetchnął z wolna i otarł pot, który skraplał mu się na czole. Pokręcił głową i ponownie skupił się na transformatorze. Zaczął oglądać go raz jeszcze, kiedy...

Do jego uszu ponownie dobiegł jakiś dziwny odgłos. Kolurst jeszcze raz omiół korytarz światłem lampy i omal nie krzyknął, dostrzegając na krawędzi pola widzenia jakieś metaliczne odbłaski.

Coś błyszczącego przemknęło wzdłuż tunelu i zniknęło za rogiem.

- Halo? - zawołał, walcząc z drżeniem głosu. - Czy jestem tam kto?

Nikt nie odpowiedział na jego wołanie, ale też Magos nie spodziewał się żadnej odpowiedzi.

Powoli, krok za krokiem, zaczął zbliżać się do zakrętu. Usłyszał ciche stukanie, jakby metalowe tubki wkręcały się jedna w drugą.

Ciche terkotanie czytnika danych sprawiło, że jego serce prawie wyskoczyło z piersi. Magos zamknął oczy, próbując się uspokoić. Pozwolił, aby głupie opowieści górników zrobiły na nim wrażenie i teraz miał nauczkę. Ci łatwowierni głupcy nastraszyli go i bał się zajrzeć w ciemność. Jeszcze raz spróbował odegnać od siebie strach, jednak bez skutku.

Na powierzchni łatwo było zbywać te opowieści śmiechem. Teraz, w ciemnościach dziesiątki tysięcy metrów pod ziemią, sprawy miały się zupełnie inaczej.

Pot spływał mu po policzkach i zbierał się na końcu nosa. Głupota, przecież to po prostu tylko...

No właśnie, co?

Spojrzał na ekran czytnika i stuknął weń kilka razy. Monitor zafalował i zrobił się czarny. Magosowi chciało się wyć. Czuł się tak, jakby zły los postanowił prześladować pechem jego, kopalnię i cały kartel.

Niesamowity, metaliczny dźwięk ponownie dobiegł do jego uszu, a Kolurst znów zadrzał. Pomimo tego, że w kopalni panowało potworne gorąco, oblał go zimny pot. Magos zaczął się cofać w kierunku szybu windy, a dziwny, terkoczący odgłos powoli przybierał na sile.

Kolurst nerwowo przełknął ślinę, czując, jak serce łomocze mu w piersi szalonym rytmem.

Lampa na jego ramieniu zamigotała i zgasła, pozostawiając po sobie jedynie słaby poblask.

Niespodziewanie Kolurst poczuł, że zbliża się ku niemu wiele niedużych, terkoczących obiektów. Zrobił jeszcze jeden krok w tył.

Za nim też coś się poruszyło.

Resztkę poświaty jego naramiennej lampy znikła bezpowrotnie.

Przerażony Magos Dal Kolurst jęknął cicho i rzucił się ucieczki.

Dopadli go, nim zdążył zrobić dwa kroki.

ROZDZIAŁ 8

W sali obrad zawrzało. Choć wielu obecnych spodziewało się propozycji Talouna, to nikt nie przypuszczał, że zostanie ona wygłoszona w tak ostrych słowach. Głosy z setki gardeł wyrwały się w tej samej chwili, a Uriel zauważył, że tylko pani gubernator zachowała spokój i siedziała nieruchomo, spoglądając na podium w centrum sali. Zdawało mu się, że jej najgorsze obawy właśnie stały się rzeczywistością.

Taloun stał pośrodku sali, milczący i nieruchomy jak posąg, trzymając przed sobą kostur niczym broń. Moderator raz po raz nakazywał ciszę, a woźni wyłuskiwali z ławek co bardziej krewkich kupców i uciszali ich ciosami swoich pałek.

W końcu Vendare Taloun uniósł ręce do góry, jeszcze raz apelując o ciszę i ludzie z wolna się uspokoiili, a harmider ustąpił miejsca pomrukowi podniecenia. Okrzyki poparcia i niezadowolenia zostały zastąpione przez niespokojny szmer, ale i on ucichł, kiedy Taloun ponownie uderzył kosturem o podłogę.

- Kto pomiędzy zgromadzonych tutaj głów karteli wesprze mój wniosek?

Ze swojego miejsca powstał Kasmir de Valtos i ciężko oparł się o żeliwną poręcz. Jego twarz szpecił dziki, złośliwy uśmiech, jaki mógł się zrodzić tylko z przeczucia mającej się wkrótce dopełnić zemsty. Obserwując jego dłonie, Uriel spostrzegł, że i one pokryte są białawymi płatami sztucznej skóry.

Kasmir de Valtos musiał być człowiekiem wielkiej odwagi, skoro zdołał się wyrwać z niewoli eldarskich oprawców.

- Ja, Kasmir de Valtos, ogłaszam, że popieram wniosek szlachetnego Talouna!

Vendare Taloun skłonił się nisko i odparł:

- Składam moje podziękowania, kupcze de Valtos.

Zza miejsca zajmowanego przez gubernator dobiegły okrzyki dezaprobaty i złości.

Moderator odebrał swój kostur, uniósł go do góry i machnął nim kilkakrotnie, kiedy Taloun wracał na swoje miejsce? Gdy te działania nie przyniosły rezultatu, główny woźny uderzył nóżką laski o ziemię, przywołując zgromadzonych do porządku.

- Wotum nieufności dla gubernatora zostało oficjalnie złożone przed senatem. Popiera je dwóch przywódców karteli, dlatego chcę spytać pozostałych o zdanie. To, czy będziemy nad nim głosować, czy je odrzucimy, zależy od waszej decyzji, panowie.

Moderator udał się na swoje miejsce i usiadł na ozdobnym siedzisku. Pociągnął za długi, jedwabny sznur. Uniosła się kurtyna, zasłaniająca do tej pory sporych rozmiarów ekran: umieszczony na tylnej ścianie sali.

- To powinno być całkiem interesujące - szepnął Barzano. Teraz się naprawdę przekonamy, kto z kim trzyma.

Z wolna ikony oznaczające poszczególne kartele zaczęły pojawiać się przy opcjach za odrzuceniem wniosku lub jego głosowaniem.

Barzano szturchnął Perjeda, a ten szybko skopiował układ głosów na swój własny czytnik danych. Co nikogo nie zaskoczyło, herby de Valtosów i Talounów jako pierwsze zablęły przy opcji głosowania za wotum nieufności. Zaraz za nimi pojawiła się ikona oznaczająca kartel Honan, co zostało skwitowane głośnym wybuchem złośliwego śmiechu.

Wszystkich zaskoczyła jednak następna ikona, która pojawiła się po stronie buntowników. Kartel Vergen, do tej pory wiernie wspierający panią gubernator, opowiedział się teraz po stronie jej przeciwników. Uriel spojrzął na ławki rodziny i zobaczył, że jakiś mężczyzna, przeraźliwie gestykulując i tłumacząc coś zażarcie, spiera się z dziedziczką fortuny. Ta machnęła na niego tylko dłonią, ignorując jego próby przemówienia jej do rozsądku.

- No proszę - mruknął Perjed. - Cóż za niespodzianka.

- Czemu? - spytał Barzano.

- Kartel Vergen był bliskim sojusznikiem rodziny Shonai od ponad dziesięciu lat, czyli od kiedy ci ostatni przejęli władzę. Krążyły plotki o tym, że gubernator Shonai i Leotas Vergen byli bardzo bliskimi przyjaciółmi, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Wygląda na to, że córeczka Leotasa nie zamierza podtrzymywać tych więzi.

Gubernator Shonai patrzyła na Solanę z nieukrywaną nienawiścią, gotowa zetrzeć jej z twarzy pyszałkowaty uśmiezek jednym ciosem pięści.

Ktoś trzepnął w głowę Beauchampa Abrogasa, który ocknął się z drzemki i na chybił trafił nacisnął klawisz głosowania. Ku zdziwieniu wszystkich, jego ikona pojawiła się przy opcji progubernatorskiej. Jęk zawodu wyrwał się z ust jego podwładnych, którzy nie ukrywali nawet wstydu z powodu głupoty swojego przywódcy.

Kiedy głosy najważniejszych rodzin zostały oddane, do działania przystąpiły mniejsze kartele. Zwykle głosowały tak, jak nakazywała sytuacja, obierając tę opcję, która zapowiadała dla nich największe zyski. W końcu sytuacja stała się jasna: kartel Shonai, przegrał.

Lortuen Perjed pokiwał głową, wprowadzając ostatnie dane do pamięci swojego komputera.

- Gubernator poniosła w tej bitwie klęskę i teraz wotum nieufności będzie głosowane przez wszystkich członków senatu. Osobiście uważam, że wynik nie powinien się zmienić, bowiem żaden z członków kartelu nie odważy się głosować przeciwko swojemu zwierzchnikowi.

- Czyli ot tak, po prostu, gubernator został obalony? - spytał Uriel.

- Nie do końca - uśmiechnął się Barzano, wstając ze swojej go miejsca.

- Co ty robisz? - spytał Perjed.

- Zamierzam wyteńczyć moje legislacyjne muskuły. Urielu, czy mógłbyś mi towarzyszyć?

Perjed chwycił rąbek szaty Barzano i syknął:

- Urzędnik Administratum się tak nie zachowuje.

- Właśnie - odparł z przewrotnym uśmieszkiem Barzano.

Uriel ruszył śladem adepta, szybkim krokiem pokonując kilka metrów, dzielących ich od podium. Bez trudu usunął z drogi woźnych, którzy usiłowali ich zatrzymać, a Barzano otworzył wahadłowe, drewniane drzwiczki i stanął pośrodku sali. Zebrani w pomieszczeniu senatorowie wydali z siebie okrzyk zdziwienia, przytłoczeni i onieśmieleni obecnością Kosmicznego Marine. Moderator Transakcji spojrzał na nich znad czytnika danych, gdzie przeliczane były głosy, a na jego twarzy malował się wyraz gniewu i irytacji.

Złość odebrała mu zdrowy rozsądek, bowiem podszedł do adepta i warknął:

- To wbrew wszelkim przepisom. Nie możesz ot tak sobie wchodzić tutaj i łamać zasad, wedle których odbywają się prace w senacie.

- Wręcz przeciwnie - odparł Barzano, wyciągając zza pazuchy czerwoną pieczęć Administratum i unosząc ją nad głowę, aby każdy mógł ją zobaczyć. Uriel obrzucił czujnym spojrzeniem senackich woźnych, ale żaden z nich nie zamierzał interweniować w obronie naruszonych zasad postępowania.

Barzano schował pieczęć na swoje miejsce i zwrócił się do zebranych przedstawicieli Pavonis.

- Dzień dobry wszystkim. Nazywam się Ario Barzano i przybyłem tutaj jako przedstawiciel boskiego Imperatora Ludzkości. Moim zadaniem jest sprowadzić ten świat z powrotem pod jego władzę, wykorzenić wszelką korupcję i rozwiązać problemy, które trapią Pavonis. Stoi za mną najwyższy autorytet Administratum, wraz z prawem do forsowania jego woli.

Uriel nie mógł nie zauważyć wyrazu twarzy niektórych przywódców karteli, kiedy z

ust Barzano padło słowo „korupcja”. Adept rozpostarł ramiona, jakby zamierzał objąć całą salę, i kontynuował:

- Wasze głosowanie zostało unieważnione, panowie. I panie - dodał, kłaniając się nieznacznie Solanie Vergen, która odpowiedziała zalotnym uśmiechem i trzepotaniem rzęsami. Rozzłoszczone głosy ucichły jak ręką odjął, kiedy na filigranową postać Barzano padł cień Uriela. - A teraz, moi przyjaciele, ja i gubernator Pavonis mamy kilka spraw do przedyskutowania. Życzę wam wszystkim miłego dnia. Możecie się rozejść.

Barzano złożył głęboki ukłon i skinął na Lortuena Perjeda, aby do nich dołączył. Starszy adept zbliżył się i chwycił Barzano za łokieć.

- To było bardzo nieodpowiedzialne posunięcie - powiedział, czerwieniejąc na twarzy.

- Wiem - przytaknął Ario, wrywając rękę z uścisku i kierując się ku łożu gubernatora.

Mykola Shonai siedziała oszołomiona tym nieoczekiwanym zwrotem sytuacji. Nieobecnym wzrokiem spoglądała na maszerującego ku niej mężczyznę. Wstała ze swojego fotela i podała mu dłoń, mówiąc:

- Jestem panu bardzo wdzięczna, adepcie Barzano. Nie spodziewałam się pomocy z pana strony.

- Lubię czasem mieć huczne wejście, pani gubernator - powiedział, kłaniając się dwornie. - Niech mi pani nie dziękuje, bo jedynie odwlekłem w czasie coś, czego nie będzie można uniknąć.

Shonai pokiwała głową, jednak na jej twarzy nadal malowała się wdzięczność.

- Mimo wszystko bardzo dziękuję.

- Doskonale. A teraz, nim doprowadzimy Moderadora Transakcji do ataku apopleksji, czy moglibyśmy porozmawiać w bardziej prywatnym miejscu?

- Oczywiście.

Kiedy znaleźli się w gabinecie pani gubernator, Barzan i Perjed usadowili się w fotelach, a Uriel stanął za nimi. Mykola Shonai usiadła za swoim biurkiem, u boku mając Almerz Chandę i Lelanda Corteo. Dym z fajki tego ostatniego snuł się leniwie pod sufitem, wypełniając całe pomieszczenie słodki aromatem.

- Zacznę od tego, adepcie, że nie spodziewałam się, abyś pozwolił mi pozostać na stanowisku gubernatora - powiedział Shonai.

- I nadal tego nie uczyniłem - odparł Barzano. - O twojej przyszłości zadecyduje śledztwo i analiza jego wyników.

- Dlaczego zatem nie pozwoliłeś, aby głosowano nad wnioskiem Talouna?

Almerz Chanda chrząknął i wtrącił:

- Z pewnością adept Barzano nie zamierza wdawać się w szczegóły tej sprawy, prawda?

- Nie, Almerz. Muszę wiedzieć. Adeptcie Barzano, niech mi pan powie, dlaczego?

- Spodobało mi się pani zachowanie w sali obrad, podobnie jak i Urielowi - wyjaśnił Barzano. Ventris spojrzał na niego, zaskoczony. Nie zdawał sobie sprawy, że tak łatwo można było odczytać jego uczucia. Adept Barzano okazał się być czujnym obserwatorem, co sprawiło, że szacunek Uriela dla tego rozgadanego człowieczka wzrósł jeszcze bardziej. - Poza tym, moja droga pani, inni kandydaci wydawali mi się bardziej... hmm, jak to powiedzieć?

- Dwulicowi, fałszywi i niegodni zaufania?

- Mniej więcej coś w tym rodzaju - roześmiał się Barzano. - Ale, poważniej mówiąc, Administratum nie lubi mieszać się bezpośrednio w wewnętrzne sprawy poszczególnych światów, i takich sytuacji staramy się unikać jak ognia. Niemniej jednak usunięcie pani ze stanowiska gubernatora nie miałoby żadnej wartości politycznej.

- Innymi słowy, moja kadencja została czasowo przedłużona?

- Dokładnie tak. Powiem szczerze, pani gubernator: nie sprawdziła się pani na tym stanowisku. Jako imperialny zarządca planety nie potrafiła pani opłacić podatków, które się słusznie należą Imperium. Nie umie pani zapewnić podległemu sobie światu pokoju i stabilności. Z tych właśnie powodów zostałem tutaj przysłany, aby ocenić i naprawić tę sytuację.

- To wszystko prawda, ale borykamy się z własnymi problemami, a niedawne wypadki, które...

- Przeszłość mnie nie interesuje, gubernator Shonai - przerwał jej Barzano, a Uriela zaskoczył ostry ton adepta. Lortuen Perjed także wyglądał na zaskoczonego i aż pochylił się w stronę Ario, w skupieniu obserwując dalszy rozwój sytuacji. - Moją uwagę szczególnie zaprzęta natomiast pani nieudolność w zwalczaniu Świątyni Starodawnych Obrządków, organizacji, która w moim mniemaniu jest heretyckim kultem. Co więcej, martwi mnie brak postępu w działaniach zmierzających do eliminacji eldarskich piratów, którzy plądrują statki handlowe, a nawet ośmielili się zaatakować okręt, którym tutaj przybyłem. Za ich sprawą zginęło wielu poddanych Imperatora. Najbardziej zaś interesuje mnie fakt, że o żadnym z tych wypadków nie doniosła pani urzędnikom imperialnym. Wyjaśnienie tej zagadki będzie podstawą do moich dalszych działań.

- Czego pan ode mnie oczekuje, adeptcie? Adeptus Arbitres i lokalne służby porządkowe próbowały wykryć i zniszczyć komórki Świątyni Starodawnych Obrządków, ale oni są niczym cienie. Nie udało nam się odkryć, w jaki sposób są zaopatrywani w broń i amunicję - warknęła Shonai. - Co do eldarskich piratów, to nasze okręty nie mają z nimi najmniejszych szans. Niektóre jednostki liczą sobie ponad dwa tysiące lat i nie widzę sposobu, w jaki mogłyby dorównać w boju piratom.

Barzano ze spokojem wysłuchał tej tyrady i rozsiadł się wygodniej w fotelu, najwidoczniej zadowolony z tego, jak przedstawiono mu sprawę.

Shonai oparła się dłońmi o blat i pochyliła do przodu, spoglądając mu w oczy.

- Przyznaję, że nie postąpiłam mądrze, kiedy nie wezwałam od razu pomocy Administratum, ale byłam przekonana, że rozwiążę nasze problemy własnymi siłami. Nie chciałam angażować sił Imperium, które mogą być potrzebne zupełnie gdzie indziej. Jeśli jestem czegokolwiek winna, to zbytnej wiary w swoje możliwości rozwiązania tego kryzysu.

- Racja - przyznał Barzano. - Ale wierzę, że pani administrację można uzdrowić. Proponuję, abyśmy przeszłe niepowodzenia i pomyłki odłożyli na bok i potem wspólnie rozwiązali ten problem, czyniąc to tak szybko, jak to tylko możliwe. Zgadza się pani?

- Tak - odparła szybko gubernator. - Co mogę zrobić?

- Pierwszym etapem każdej operacji jest zebranie informacji. Muszę poprosić o nieograniczony dostęp do banków danych i maszyn myślących. Włączając w to pani prywatne aparaty logiczne, pani gubernator.

- To nie do pomyślenia! - Wykrzyknął Almerz Chanda. - Wykorzystuje pan sytuację i przekracza swoje kompetencje!

- Och, doprawdy? Czyżby był pan w posiadaniu jakichś danych, które chciałby pan zataić? Ma pan jakiś rejestr łapówek? Korszachty z xenos lub coś podobnego? - zażartował Barzano, choć Uriel zastanawiał się, czy tylko drwił, czy może próbował wysondować doradcę pani gubernator.

- Nic z tych rzeczy - oburzył się Chanda. - Ale to spore naruszenie protokołu, grzebać w archiwum zarządcy całej planety, jakby była zwykłym przestępcą.

Mykola Shonai położyła dłoń na jego ramieniu i uspokajająco je ścisnęła.

- Nic złego się nie dzieje, Almerz. Nie mam nic do ukrycia. Adeptcie, dostanie pan wszystko, czego pan zażąda. Czy będę mogła jeszcze jakoś pomóc?

- Nie chciałbym korzystać z gościnności któregoś z karteli, gdyż to mogłoby być uznane za znak, że sprzyjam jednej z frakcji. Jestem pewien, że takie propozycje niedługo się pojawiają, dlatego proszę o przydzielenie rezydencji dla mnie i osób z mojego otoczenia, które

czekają na lądowisku u bram miasta. Byłbym wdzięczny, gdyby zapewniła im pani transport i później przysłała kogoś, kto pokaże mi, gdzie mogę się zatrzymać.

- Uczynię to bezzwłocznie - powiedziała pani gubernator, gestem polecając wykonanie zadania Chandzie, który natychmiast opuścił gabinet. - Coś jeszcze?

- A i owszem. Jestem pewien, że w trakcie śledztwa będę musiał współpracować z Arbitratorami, dlatego proszę o przysłanie mi oficera łącznikowego.

- To im się nie spodoba - zauważył Leland Corteo.

- Nie dbam o to, co im się podoba, a co nie. Upewnijcie się, że kogoś przysła.

Leland skrzywił się, słysząc oschły ton adepta, ale posłusznie zanotował jego polecenie.

- Skoro mamy już gdzie mieszkać, myślę, że czas zabrać się za sprawę piratów. Chciałbym, aby „Vae Victus” podjął obowiązki patrolowe tak szybko, jak to tylko możliwe. Czy będziesz mógł tego dopilnować, Urielu? Na ciebie składam też obowiązek informowania pani gubernator o wsparciu, którego będziesz ewentualnie potrzebował.

Uriel wyprostował się i postąpił krok do przodu.

- Aby rozprawić się z najeźdźcami, będziemy potrzebować pełnej dokumentacji i planów napadniętych osad, a także list załadunkowych i danych technicznych ograbionych statków. Dodatkowo konieczne będzie sporządzenie dokładnej mapy systemu, na której zaznaczone zostaną miejsca i daty poszczególnych rajdów. Dzięki temu z pewną dokładnością będziemy w stanie zlokalizować leże piratów i ustalić maksymalnie efektywną trasę patroli.

- Osobiście tego dopilnuję, kapitanie Ventris.

Uriel skinął głową i cofnął się o krok.

- Kiedy będziemy mogli rozpocząć przeczesywanie systemu? - spytał Barzano.

- Tech-marines nawet w tej chwili doglądają napraw statku i kiedy tylko potrzebne nam informacje zostaną przekazane na pokład „Vae Victus”, będziemy w stanie podjąć nasze obowiązki.

- Wspaniale - odparł Barzano, pocierając szczękę. - Chcę, abyś wrócił na pokład okrętu i dopilnował zniszczenia tych obcych. Nie mogę osobiście nadzorować tego zadania, dlatego składam je na twoje barki, kapitanie.

- Mam wracać na statek, adeptcie? Zostałem obarczony odpowiedzialnością za pańskie bezpieczeństwo i dałem słowo Maernusowi Calgarowi, że nie stanie się panu żadna krzywda.

- I tak będzie, zwłaszcza, że pozostawisz przy mnie sierżanta Learchusa, który będzie moim osobistym ochroniarzem. Czyżbyś wątpił w jego umiejętności?

- Nie, skądże. Learchus sprawdził się na polu bitwy niejedną raz i jest doświadczonym weteranem. Brał udział w wielu kampaniach wojennych. Całkowicie mu ufam.

- W takim razie i ja bez obaw składam moje życie w jego rękach.

Nagle Uriel zdał sobie sprawę, że Barzano sprytnie wyprowadził go w pole. Learchus był doskonałym żołnierzem i prędzej dałby się posiekać na plasterki niż dopuścił, aby człowiekowi, którego miał chronić, stała się krzywda. Odwołanie go na pokład „Vae Victus” równałoby się śmiertelnej zniewadze. Co więcej, choć Uriel obiecał Maernusowi Calgarowi, że będzie chronił adepta Barzano, to pozostając przy nim, pozbawiłby swoich żołnierzy dowódcy. Choć wcale mu się to nie podobało, to jako kapitan Czwartej Kompanii musiał nauczyć się pokładać zaufanie w swoich oficerach.

Skłonił się adeptowi Barzano i powiedział:

- Dobrze wybrałeś swego obrońcę. Learchus i jego oddział nie pozwolą, aby stała ci się krzywda, a sam sierżant pochodzi z rodziny, która ceni sobie honor ponad życie. Nie zawiedzie cię.

- Podobnie jak ty, Urielu. Jestem tego pewien.

- Dopóki oddycham, dopóty będę wypełniał swoje obowiązki.

Ario Barzano przetarł zmęczone oczy i wyprostował zgarbione od wielu godzin plecy. Oparł się wygodnie o poręcz fotela, czując, jak z każdym uderzeniem serca nasila się ból głowy. Jego poszukiwania były bardzo owocne, ale zaczynały go już nużyć. Niekończący się ciąg zdrad, fałszywych przyjaciół, sojuszy zrywanych jeszcze przed ich zawarciem i zwykłej, ludzkiej wredności, przez który przekopywał się od dwóch dni, działał mu na nerwy. Odsunął się od biurka i sięgnął do barku. Wydobył z niego karafkę z uskavarem, silnym i aromatycznym winem, które szczególnie upodobali sobie mieszkańcy Pavonis.

Pokoje, w których rozlokował się wraz ze swoją świtą, były bardzo ponure i ciemne. Choć świece płonęły praktycznie bez przerwy, ich blask nie był w stanie rozproszyć panującego mroku. Stopione ogarki zaczęły pełgać i Ario zapalił kilka kolejnych świec, zastanawiając się, jak skutecznie zwalczyć Świątynię Starodawnych Obrządków. Mykola Shonai nie skłamała, mówiąc, że próba rozpracowania organizacji przypomina chwytanie cienia. Prawda była taka, że łatwiej było złapać palcami płomień świecy niż dowiedzieć czegoś o tej tajemniczej grupie.

Sekta objawiła się po raz pierwszy, kiedy ogromna eksplozja zniszczyła jedną z manufaktur kartelu Honan. Pożary, które towarzyszyły wybuchowi, strawiły pobliskie magazyny i przyczyniły się do zwiększenia strat. Z początku uważano, że przyczyną eksplozji

było naruszenie procedur bezpieczeństwa, ale jakiś czas później na biurku pani gubernator znalazła się zakodowana depesza, w której członkowie sekty oznajmili, że wypowiadają wojnę skorumpowanym i chciwym władcom Pavonis, oraz zapowiedzieli kolejne zamachy.

Rzeczywiście, wkrótce potem każdy z karteli ucierpiał z rąk tajemniczych terrorystów, a siły bezpieczeństwa okazały się bezradne wobec ich ataków. W każdym z zamachów ginęło nawet po kilkuset ludzi i choć na skalę galaktyczną były to liczby bez znaczenia, Barzano doskonale wiedział, że każdy człowiek był małym trybikiem w ogromnej maszynie Imperium. Jeśli zniszczy się ich wystarczająco dużo, runie cała konstrukcja.

Adept nie był ani trochę zaskoczony faktem, że siły bezpieczeństwa nie potrafiły pochwycić terrorystów. Sposób, w jaki działali, nie pomagał im w wykonaniu zadania. Prawdę mówiąc, siły te składały się z tępych osiłków, którzy potrafili jedynie bić i poniżać robotników, wymuszając na nich dyscyplinę. Kilkanaście rozrzuconych po całym kontynencie garnizonów Adeptus Arbites nie było w stanie im dopomóc, bowiem ich głównym zadaniem, któremu i tak ledwie byli w stanie podołać, była egzekucja praw imperialnych. W fabrykach i otaczających je miastach prawo stanowiły kartele.

Rządzący nimi ludzie nie byli lepsi od zwykłych kryminalistów. Przypominali gniazdo rozwścieczonych żmij, które ustawicznie na siebie wzajemnie polowały. Jediną organizacją, z którą mogli konkurować pod względem intryganctwa, było Administratum. Barzano uśmiechnął się do siebie, kiedy nasza go ta gorzka refleksja. W swej historii każdy z karteli sprzymierzył się z którymś z innych, przedkładając krótkotrwałe i szybkie zyski nad tradycje, czy nawet uprzedzenia. Z dokumentów wyłaniał się ponury obraz Pavonis, którego polityczne funkcjonowanie opierało się na zdradzie i korupcji. Barzano nie potrafił tego zrozumieć. Czterdzieste pierwsze milenium chyliło się ku końcowi, a ludzie, którym zagrażały wszystkie inne rasy wszechświata, nie potrafili się zjednoczyć i marnotrawili siły na walki pomiędzy sobą.

Jak galaktyka długa i szeroka, orki dokonywały rzezi każdej napotkanej na swojej drodze planety, a niedawne walki na Armageddonie dobitnie świadczyły o tym, jak niebezpieczni byli zielonoskórzy. Na wschodnim krańcu galaktyki rosła nowa potęga i tylko kwestią czasu było, kiedy Imperium Tau wchłonie Pavonis.

Tak, galaktyka była nieprzyjaznym miejscem i Imperium tylko dzięki jedności mogło mieć nadzieje na przetrwanie. Każdy inny scenariusz przypominał igranie z ogniem. Każdy urzędnik imperialny składał przysięgę, w której zobowiązywał się bronić ludzkości zarówno przed wrogami z zewnątrz, jak i tymi kryjącymi się pośród jego mieszkańców. A co uczynili władcy Pavonis, żeby uchronić świętość domeny Imperatora?

Barzano ponownie się pochylił i włączył monitor terminala. W lewym dolnym rogu migotała runa, oznaczająca nadejście wiadomości. Zignorował ją, wiedząc, że to kolejne zaproszenie do posiadłości jednego z karteli. Tego typu propozycje przychodziły zewsząd: zapraszano go do skorzystania z gościnności poszczególnych domów, na drinka, do udziału w polowaniu lub zakosztowania znacznie dziwniejszych rozrywek. Każdy z domów postawił sobie za cel przeciągnięcie adepta na swoją stronę. Barzano grzecznie wszystkim odmawiał.

Przewinął w dół listę informacji, jakie zdobył przez ostatnie dwa dni.

Jeśli chodzi o mniejsze kartele, nie doszukał się w ich poczynaniach niczego innego jak tylko zwykłego ciągu sojuszy, zdrad, fałszywych obietnic i łamania wcześniej zawartych umów. Przywódcy większych rodów byli jednak znacznie ciekawszym przypadkiem.

Przy pomocy zabójczego koktajlu nielegalnych narkotyków, na które przeznaczał sporą część rodzinnej fortuny, Beauchamp Abrogas zabawiał się niszczeniem swojego centralnego systemu nerwowego.

Taryn Honan był nikiem innym, jak tylko tłustym głupcem, który trwonił ogromne pieniądze na kochanków i nie dałby sobie rady z zarządzaniem kilkoma bezmyślnymi serwitorami.

Barzano nie miał zbyt wielu informacji o Solanie Vergen, ale przeczuwał, że jej żal po śmierci ojca był udawany. Sposób, w jaki zmieniła stronę w trakcie głosowania nad wotum nieufności, spektakularny i całkowicie absurdalny zarazem, stawiał pod znakiem zapytania jej poczytalność i zdolność do logicznego myślenia.

Także osoba Kasmira de Valtosa pozostawała zagadką. Większość czasu spędzał w którejś ze swoich posiadłości, poszukując antyków i pamiątek przeszłości. Nawet ślepiec zauważyłby zapiekłą nienawiść, jaką darzył gubernator Shonai, choć Barzano nie był w stanie dociec, skąd się ona brała. To był zdecydowanie jeden z kierunków nowego śledztwa. Poza tym Barzano dostrzegał łączność pomiędzy tym człowiekiem a mrocznymi eldarami, choć nie było to coś, na czym można zbudować współpracę. Jak człowiek, który o mało nie został przez nich doprowadzony do śmierci katuszami, byłby w stanie sprzymierzyć się ze swymi niedawnymi oprawcami? Przecież ledwie uszedł z życiem.

Gubernator Shonai jako pierwsza została oczyszczona z zarzutu zdrady. Od początku Barzano był przekonany, że jest ona uczciwą osobą. Poza tym jej druga, sześćdziesięcioletnia kadencja dobiegała powoli końca, a konstytucja Pavonis zabraniała jej piastować tę funkcję po raz trzeci z rzędu. Utrzymując obecny stan rzeczy, mogła stracić wszystko, co dotychczas zyskała, a nie malowały się przed nią żadne profity. Barzano doskonale zdawał sobie sprawę, że ludzie dopuszczali się znacznie gorszych zbrodni, mając na uwadze mniejsze zyski, ale

podobne sprawy były dla niego chlebem powszednim i miał nosa do ich rozwiązywania. Lubił myśleć o sobie, że potrafi na pierwszy rzut oka rozpoznać kłamcę, a Mykola Shoriai raczej nim nie była.

Prawda była taka, że ją podziwiał. Robiła wszystko, co w jej mocy, aby uczynić swój świat lepszym. Niestety, dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło, jak mówiło stare przysłowie. Tylko szczerze intencje, poparte odpowiednimi czynami, dawały zadowalające rezultaty. A tych na Pavonis brakowało.

Z kolei Vendare Taloun...

On był człowiekiem ulepionym z zupełnie innej gliny. W ciągu ostatnich dziesięciu lat dwa razy próbował zdobyć fotel gubernatora i za każdym razem przegrywał. Działo się tak za sprawą sojuszu karteli Shonai i Vergen. Vendare Taloun mógł zdobyć wszystko, a teraz nagroda zdawała się być w zasięgu jego ręki. Barzano miał pewien sekret: kiedy tylko spotykał się z takimi kłopotami jak te na Pavonis, zawsze zadawał sobie następujące pytanie: kto najwięcej zyska na obecnej sytuacji? W tym chaosie, na który składali się eldarscy piraci łupiący statki, terroryści podkładający bomby i polityczna zawierucha, kartel Taloun wyróżniał się spośród innych.

Po pierwsze, ilość ataków bombowych na jego manufaktury była mniejsza niż w przypadku innych karteli, nie licząc Shonai. Barzano już dawno przestał wierzyć w przypadki. Co więcej, początek pirackich rajdów i pierwsze zamachy Świątyni Starodawnych Obrządków dziwnym trafem zgrały się w czasie, co już samo w sobie zdawało się adeptowi co najmniej podejrzane. Barzano poznał się na przebiegłości Talouna, więc wiedział, że obmyślenie takiego prostego planu nie byłoby dla niego specjalnym wyzwaniem.

Ario odsunął od siebie monitor i jednym haustem opróżnił kieliszek. Jutrzejszy dzień nie zapowiadał się lekko. Ciekawe, co też przyniesie? Nakazał łączniczce Adeptus Arbitres, aby przybyła w cywilnym ubraniu i zastanawiał się właśnie, czy ta kobieta ma prywatne życie. Zdawała się być osobą, która żyje swoim powołaniem i Ario aż się uśmiechnął, zdając sobie sprawę, że są do siebie bardzo podobni.

Zza drzwi dobiegały ciche, niskie głosy Ultramarines, które przywiodły mu na myśl kapitana Ventrisa. Jaka szkoda, że nie mógł powiedzieć mu prawdy. Z doświadczenia wiedział, że wtedy dowódca Kosmicznych Marines ze sprzymierzeńca mógłby stać się źródłem niespodziewanych kłopotów.

Barzano rzucił okiem na sejf w ścianie, ukryty za portretem człowieka, zwanego Forlanusem Shonai. Tam, w bezpiecznej skrytce, znajdowała się bardzo ważna skrzyneczka.

Zwalczył w sobie chęć, aby ją otworzyć i jeszcze raz sprawdzić zawartość.

Na litość Imperatora, lepiej, żeby Pavonis nie potrzebowało skorzystania z tej zawartości.

Dla Uriela jasnym było, że admirał Tiberius ledwie znosi obecność miejscowego pilota na mostku „Vae Victus”. Na szczęście stary Ultramarine miał dość taktu, żeby tolerować tę niegodność, wiedząc, że jest ona konieczna. Najkrótsza droga na Caernus IV, miejsce ostatniego rajdu eldarskich piratów, prowadziła przez pas asteroidów, którego przebycie bez pomocy miejscowego pilota mogłoby się zakończyć tragicznie.

Minęło sześć nerwowych godzin, w trakcie których „Vae Victus” został przeprowadzony przez labirynt zamrożonych brył lodu i kosmicznego śmiecia. Uriel gorąco modlił się do Imperatora, Roboute Guillimana i wszystkich świętych, aby ta podróż zakończyła się szczęśliwie.

Mapa, którą dostarczyła gubernator Shonai, okazała się bardzo pomocna. Zaznaczono na niej miejsca i daty wszystkich ataków. Uriel nie doceniał skali działalności eldarów, dopóki nie zobaczył mapy na własne oczy. W ciągu sześciu lat piraci dokonali ponad stu napadów, a każdy z nich oznaczał zrównaną z ziemią osadę czy zrabowany statek, którego załogę albo wymordowano, albo wzięto do niewoli. Uriel z uznaniem myślał o Kasmirze de Valtosie, który znalazł w sobie dość sił i odwagi, żeby uciec z niewoli tych okrutnych obcych.

- Sternik, wykonać zwrot na kierunek zero-dwa-pięć, nachylenie trzydzieści stopni w dół! - zawołał pilot. - No dalej, mój piękny, zmieścisz się, zmieścisz.

Uriel obrzucił spojrzeniem ekran i dostrzegł wyrwę pomiędzy asteroidami, w stronę której zmierzał okręt. Z zapiętym tchem obserwował, jak dwie bryły skalne, każda z nich kilkanaście milionów razy cięższa od „Vae Victus”, prześlizgnęły się elegancko obok burt okrętu. Tiberius także obserwował ten spektakl z bladą twarzą, zaciskając ręce na krawędziach swojego pulpitu. Knykcie mu pobieleły, a oblicze ściągnął wyraz najwyższej troski. Choć ledwie zdołał zaakceptować fakt, że to obcy pilot będzie nawigował jego okręt przez pole asteroidów, to nie dał się przepędzić ze swojego miejsca na mostku.

- Czy musisz przelatywać tak blisko tych cholernych skał? - warknął w końcu. Jego cierpliwość najwidoczniej się wyczerpała i postanowił dać upust złości. - Jeśli draśniemy którąś z nich, będzie po nas!

Pilot, mężczyzna imieniem Krivorn, pochodzący z Kuźni Altemaxa, uśmiechnął się, odsłaniając pozółtkłe zęby.

- To? - parsknął śmiechem. - Ha! Daje twoim chopaczkom luzu. To łatwa droga. Mogiem cię zabrać przez Aleję Rozbitków. Wtedy byś zobaczył, co to znaczy sobie polatać!

- Aleja Rozbitków? - spytał Uriel. - Nie jest zaznaczona na twojej mapie.

- Bo jej faktycznie nie ma. Wpadłem na pomysł nazwy po tym, jak prawie straciłem tam statek.

- Prawie straciłeś statek? - wybuchnął Tiberius.

- Ta, ale to nie była moja wina. Lecieliśmy se szczęśliwi, jak ork na grzybni, kiedy nagle jak znikąd pojawił się przed nami ogromny wrak. Przysięgam! W jednej chwili go nie było, a w następnej już nas ściągało na sterburkę.

- Zapewne popełniłeś jakiś błąd, pilocie.

- Ja? Mowy nie ma, proszę pana. Sprawdziałem urządzenia na kilka sekund przed tym, jak się pojawił. Sternik, nowy kierunek: trzy-dwa-cztery, dziesięć stopni w górę.

- I co to było? - spytał Uriel, zdziwiony faktem, że pilot ucina sobie z nimi pogawędkę, kontrolując jednocześnie kurs okrętu.

- Nie wiem, nigdy się nie dowiedziałem. Pewnikiem jeden z tych kosmicznych wraków, o których się tyle słyszy - odparł Krivorn. - Pierwszy, ale pewnie nie ostatni. Wielu żeglarzy mówi, że takie wraki często się pojawiają w pobliżu Pavonis. Nazywają je półksiężycami, ze względu na kształt. Sternik, nowy kierunek: zero-zero-zero, cała naprzód

Uriel także słyszał o takich statkach, których przeznaczeniem było błąkać się po mroźnych pustkowiach kosmosu. Nikt nie potrafił przewidzieć, gdzie się pojawią ani dokąd zmierzają. Zdarzało się, że wychodziły z Immaterium zupełnie niespodziewanie i bez ostrzeżenia, a potem w równie dziwny sposób powracały tam, skąd przybyły. Sama myśl o tym, że taka obrzydliwość mogła znajdować się w pobliżu przepelnia serce Uriela złością.

- Dostyc tych nonsensów - przerwał Tiberius. - Ile czasu będziemy jeszcze przedzierać się przez ten pas i kiedy dotrzemy na Caernus IV?

Krivorn błysnął pieńkami zębów w szerokim uśmiechu i skłonił się nisko Tiberiusowi:

- Właśnie opuściliśmy pas asteroidów, mój panie. Jeśli będziemy podróżować z tą prędkością co teraz, na orbitę planety wjedziemy za godzinę. Witamy na Caernusie IV

Kasmir de Valtos czuł, jak jego trzewia skręcają się w spazmie bólu i zwymiotował czerwonawą od krwi maź do spluwaczki, ustawionej na kredensie. Pot wystąpił mu na czoło, kiedy kolejne skurcze brzucha przeszywały jego ciało i wywoływały na przemian fale zimna i gorąca. Kiedy nadszedł kolejny atak torsji, pociemniało mu przed oczyma. Zawartość żołądka powędrowała do góry wzdłuż przełyku i ponownie zwymiotował do posrebrzanego naczynia.

Przekłęci eldarzy. Nie było dnia, żeby jego ciało nie buntowało się przeciwko wpływowi trucizn i toksyn, które do niego wprowadzili. Tylko codzienne zastrzyki z serum i

środków wspomagających przemianę materii uchroniły go przed większością z wywoływanych przez jady efektów, choć i tak bez przerwy odczuwał potworny ból i cierpienie.

Kasmir podniósł się z wykładanej terakotą podłogi prywatnej łaźni i jeszcze ciaśniej owinał szlafrokiem. Był przeraźliwie chudy i nawet fałdy podomki nie były w stanie ukryć tego faktu. Kiedy poczuł, że spazmy minęły, umył twarz. Dokładnie wypłukał wnętrze ust i gardło, próbując pozbyć się kwaśnego smaku, jaki towarzyszył wymiotom, a potem wytarł się do sucha puchatym ręcznikiem. Grzebieniem z kości słoniowej przeczesał białe włosy.

Spoglądając w lustro zastanawiał się, dlaczego jego życie potoczyło się tak, a nie inaczej. Jak do tego doszło? Odpowiedź była prosta, wszystko zaczęło się tego feralnego dnia, kiedy jego ekspedycja archeologiczna odkryła pieczarę pod miastem Cthelmax. Tam znajdowały się inskrypcje heretyckiego opata, Corteswaina.

Gdyby tylko nie zdołał ich odczytać i przetłumaczyć...

Gdyby tylko nie uwierzył w słowa przepowiedni.

Gdyby tylko nie natknął się na eldarów.

Podążył za głosem serca i wróżby, która przywiodła go dokładnie w to miejsce, w którym znajdował się teraz. Uniósł chudą dłoń i dotknął twarzy. Pokryta płätami sztucznej, syntetycznej skóry, była jedynie nędzną kopią ciała, które niegdyś posiadał. Gdyby nie widział swojego odbicia w lustrze, nie wiedziałby w ogóle, że dotyka swojej twarzy. Kiedyś był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn na Pavonis i spotykał się z największymi pięknosciami planety. Te czasy bezpowrotnie minęły. Rozgrzane do białości ostrze eldarskiego oprawcy sprawiło, że Kasmir de Valtos był teraz bladym cieniem samego siebie.

Od spotkania z eldarami wiele razy myślał o popełnieniu samobójstwa, ale zabrakło mu odwagi, żeby wprowadzić te zamiary w czyn. Słowa Corteswaina zbyt mocno pobrzmiwały w jego duszy i wkrótce de Valtos przekonał się, że największym przekleństwem człowieka jest nadzieja.

Z jakiej innej przyczyny postępowałby tą drogą, jeśli nie z jej powodu?

De Valtos cisnął grzebień w kąt i wrócił do sypialni. Urządzono ją znacznie skromniej, niż można byłoby przypuszczać. Brak luster i zbytków mógłby zadziwić niejednego gościa. De Valtos zrzucił z siebie szlafrok i wszedł do automatycznej garderoby. Wybrał swój ulubiony strój: komplet w kolorze ciemnego błękitu z wąskimi rękawami i wysokim kołnierzem. Zacisnął zęby, kiedy ubranie wsuwane było na jego ciało i zapinane na piersi. Ból, pamiątka po tym, co uczynił obcy kat, towarzyszył mu bez ustanku. Mimo wszystko musiał się śpieszyć, gość już wkrótce przybędzie i nie wypadało się spóźnić.

Nieważne, że miał go w głębokiej pogardzie, a jego zaufanie uważał za idiotyczne. Najśmieszniejsze było to, że niegdyś podzielał jego poglądy.

Ale czasy się zmieniły, a teraz jego obowiązki wybiegały daleko poza bilans zysków i strat, stopień wydajności produkcji i zatrudnienia.

Dopełnieniem ubrania były buty ze skóry carnodona. Przysiadł na krańcu zakrwawionego łoża i delikatnie wsunął je na nogi, czując, jak coś chrzęści w jego stopach. Skrzywił się tylko i poprawił kołnierzyk. Do westybulu dobiegł cichy dźwięk dzwonka i de Valtos zrozumiał, że jego gość już przybył. Jak zwykle na czas. Ubrany i przygotowany do wyjścia wstał i szybko pozbierał walające się po materacu noże, szpikulce i piły. Zerknął na zmalretowane ludzkie ciało, które leżało na łożu i musnął je palcem, uważając, aby nie umaczać go we krwi.

Schował narzędzia tortur do czarnej, skórzanej torby i wsunął ją pod łóżko. Spojrzał jeszcze raz na trupa, czując wzbierające wewnątrz niezadowolenie. Ten egzemplarz nie dostarczył mu żadnej satysfakcji. Już wkrótce będzie musiał powtórzyć cały zabieg, inaczej nie będzie w stanie uspokoić szalejących w jego duszy żądz, popędów i władających nimi demonów.

Wyobraził sobie Solanę Vergen, rozciągnięta na łożu i bezbronną, a na samą myśl o tym serce zabiło mu szybciej.

Kasmir de Valtos obrócił się na pięcie, wyszedł z sypialni i ruszył ku szerokim, wykładanych marmurem schodom, prowadzącym z westybulu do holu, gdzie czekał jego gość.

Idąc w cieniu, dostrzegł go jako pierwszy. Gość stał, nerwowo przebierając nogami i czekał.

Słyszając kroki, Almerz Chanda spojrzął na półpiętro.

Kasmir de Valtos uśmiechnął się szeroko.

Jenna Sharben bez munduru czuła się jak ryba wyciągnięta z wody. Po raz chyba setny przeklinała Ortegę za to, że to ją właśnie oddelegował do niańczenia tego cholernego adepta. Ubrana była w praktyczną i przylegającą do ciała tunikę z niebieskiego płótna o długich, luźnych rękawach, a pod pachą miała kaburę z pistoletem automatycznym. Stała w pozycji „spocznij” i rozglądała się ciekawie dookoła.

Zawsze była dumna z tego, że potrafi odgadnąć osobowość człowieka po wyglądzie jego mieszkania. To, co ludzie lubili i czego unikali, czy nawykli do porządku czy życia w bałaganie, wszystko można było stwierdzić, oglądając ich mieszkanie.

Rozglądając się ciekawie po wnętrzu gabinetu adepta skonstatowała jednak, że nie potrafi postawić jednoznacznej hipotezy. Na biurku poustawiane były stosiki książek, jednak ułożono je w kolejności alfabetycznej i formatami. Jasne było, że zostały sprowadzone przez obecnego lokatora apartamentów i to on je układał. Jakby dla kontrastu z tym porządkiem, na wieku kufra zalegał stos niedbale rzuconych ubrań, podobnie jak na poręczach i oparciach kilku foteli. U stóp łóżka ustawiono żelazną skrzynkę, zamkniętą na zamek z czytnikiem genetycznym, a na biurku leżał otwarty dziennik adepta. Obok stała na wpół opróżniona karafka uskavaru, a w kieliszku przy łóżku znajdowały się niedopite resztki alkoholu.

Kim tak naprawdę był adept?

- Napatrzyła się pani? - dobiegł głos z drugiego końca gabinetu.

Odruchowo sięgnęła do kabury z pistoletem. Dostrzegła mężczyznę ubranego w czerwien kartelu Taloun, nieogolonego i wyraźnie zmęczonego, który żuł tytoń, spoglądając na nią z zaciekawieniem.

Sharben już chciała spytać, co tutaj robi, ale zdała sobie sprawę, że to właśnie adept, który przedstawił jej się poprzedniego wieczora. Zmiana, jaka w nim zaszła, była oszałamiająca.

- Teraz już tak - odparła, kiedy ruszył w jej stronę.

Barzano uśmiechnął się szeroko i wyjaśnił:

- Dzisiaj zamierzam być Gulyanem Kordą, technikiem secundus ze Smołowni trzysześć-dwa, należącej do Vendare Talouna. Co pani o tym myśli?

Jennie zabrakło słów. Gdyby nie wiedziała, że jest inaczej, byłaby gotowa przysiąc, iż adept pochodzi z Pavonis. Miał odpowiedni akcent, ubranie i podobnie apatyczny wyraz twarzy, jak robotnicy z manufaktur kartelu. Włosy zaczesał do tyłu i jakimś sposobem zaokrąglił policzki.

Jakby czytając w jej myślach, Barzano wyjął z ust dwa waleczki waty, a potem mrugnął okiem i umieścił je z powrotem na miejscu.

- Myśli pani, że ujdę za miejscowego?

- Bez trudu. Po co pan to robi?

- Cóż, nie wydaje mi się, aby ktokolwiek chciał rozmawiać z obcym, a już szczególnie z agentem Administratum, o buntowniczych nastrojach, jakie panują na Pavonis. Mam rację?

Jenna pokiwała głową. Nagle zrozumiała, dlaczego kazał jej przyjść ubranej w cywilny strój. Chciał się wmieszać w tłum i poznać nastroje robotników. Tylko kim miała być ona? Ochroniarzem? Przewodnikiem? A może obydwoma naraz.

- Co pan planuje, adeptcie Barzano?

- Chcę powęszyć w dystryktach robotniczych, nic więcej. Daję słowo. - Pokazał ręką na książki i terminal. - Można zbierać informację z archiwów, ale zawsze lubię osobiście sprawdzić, co się święci. Mam rację? Cóż... dzisiaj pan Gulyan Korda, niedawno zwolniony z pracy w kartelu Taloun, będzie kręcił się pośród podobnych mu życiowych rozbitków, narzekając na gubernator, która wpędziła nas w nieliczne kłopoty.

- A jakie zadanie przeznaczono dla mnie?

- Ty, moja droga, będziesz moim ochroniarzem - wyszeptał Barzano, widocznie bawiąc się swoją nową rolą. - Widzisz. kiedy Gulyan opuszczał swoich pracodawców, zabrał ze sobą dowody dość kompromitujących praktyk.

- Naprawdę?

- Tak. Jestem prawie pewien, że tak właśnie zrobił.

- A czego dotyczą te kompromitujące informacje?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - roześmiał się Barzano. - Ale to na pewno bombowy materiał.

- A co z Kosmicznymi Marines na zewnątrz? Nie wyjdiesz ze swoich apartamentów, nie alarmując tych olbrzymów. Pójdą za tobą wszędzie, jak psy.

- Wiem, wiem. Ale oni zostają.

- Ale jak zamierzasz opuścić pałac, nie informując ich o tym?

- Przecież mnie nie zobaczą. Będziesz tylko ty i dość nieciekawie wyglądający człowiek, którego wyprowadzisz na zewnątrz. Wierz mi, to łatwiejsze, niż ci się wydaje. Nasi Marines będą pewni, że adept Barzano nie opuścił swojego gabinetu.

Jenna Sharben pokręciła głową.

- Naprawdę, nie uważam, żeby to był dobry pomysł - westchnęła.

ROZDZIAŁ 9

Uriel spoglądał na popalone ludzkie truchło i zastanawiał się, jak to możliwe, żeby tlił się w nim jeszcze płomyk życia. Gdy tylko ujrzał umęczone ciało, wezwał aptekarza kompanii, aby ten opatrzył rany nieszczęśnika. Felczer, który dbał o zdrowie mieszkańców wioski, uczynił wszystko, co w jego mocy, ale brakło mu środków i umiejętności, by ukoić cierpienia tego biedaka.

Aptekarz Selenus delikatnie unióśł nogę nieszczęśnika i ostrożnie odwinął spowijające ją bandażę. Powoli, metodycznie oddzielał przesiąknięty krwią i ropą materiał od strzępów ciała, które jeszcze trzymały się kości. Pracował bez pośpiechu, nie przejmując się ani marnym oświetleniem, jakie zapewniało kilka ogarków, ani potwornym smrodem gnijącego mięsa, gangreny i wszechobecnej śmierci.

Caernus IV był planetą, gdzie miał miejsce ostatni atak eldarskich piratów. Z informacji, jakich dostarczyła gubernator Shonai, wynikało, iż jeden ze świadków rajdu zdołał przeżyć.

Patrząc na mężczyznę, którego miejscowy konował nazywał Gedrikiem, Uriel czuł głęboki żal i współczuł mu, że nie dołączył do swoich bliskich, którzy spoczywali już w grobach.

Ultramarines przybyli na Caernusa IV w poszukiwaniu informacji. Uriel odnosił wrażenie, że Gedrik ma im do przekazania jakiejś ogromnie ważne wieści.

Sierzant Pasanus pochylił się nad konającym i spytał cichym głosem:

- Sądziś, że przeżyje? Będzie miał siłę, żeby rozmawiać?

- Selenus mówi, że nie ma dla niego nadziei. Ale ten człowiek jest twardy, to urodzony wojownik. Już dawno powinien być martwy, ale coś nadal trzyma go przy życiu.

- O czym myślisz?

- Nie wiem, Pasanusie. Powiedziano mi, że nie pozwolił, aby podano mu Imperatorską Łaskę. Cały czas powtarzał, że oczekuje aniołów, dla których ma ważny dar.

- Ale co to może oznaczać? - nie dawał za wygraną Pasanus. - Czy ból odebrał mu zmysły?

- Nie - szepnął Uriel. - Wydaje mi się, że chodziło mu o nas.

- Ale skąd on miałby wiedzieć, że przybędziemy?

Uriel wzruszył ramionami i milczał przez chwilę.

- Powiada się, że ci, którzy czują już na gardle uścisk śmierci, czasem jednak trzymają się życia, natchnięci przez Imperatora. Ich wola jest tak silna, że sprawia cuda. Być może należy w to wierzyć.

Pasanius nie wyglądał na przekonanego.

- Zawsze powtarzałem, że mieszkanie pod ziemią na Cath nie wyszło ci na dobre, kapitanie. Uważasz, że to, iż ten biedak żyje, jest dowodem na łaskę imperatora?

- Nie wiem. Być może. Wedle apokryfów święta Capilene żyła jeszcze trzy dni po tym, jak kula ugodziła jej serce. Wyzionęła ducha dopiero po zwycięskim szturmie na pozycje wyznawców Chaosu, którzy okopali się wokół świątyni na świecie noszącym teraz jej imię. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć ponad wszelką wątpliwość, ale mam przeczucie, że coś trzyma tego człowieka przy życiu. Nie jestem w stanie tego wyjaśnić, To po prostu... intuicja.

- Zaczynasz mówić jak Idaeus - mruknął Pasanius. - Ilekroć miał któreś ze swoich przeczuc, wiedziałem, że zaraz wpakujemy się w nieliczne tarapaty.

Aptekarz Selenus powstał od łoża cierpiącego i uklonił się Urielowi.

- Bracie kapitanie, nic więcej nie mogę dla niego uczynić. Opatrzyłem jego rany świętymi olejkami, aby nie wdarły się do nich wraże jady. Założyłem czyste bandaże, ale każdy wysiłek jest daremny. Ten człowiek wkrótce umrze, a ja nie jestem w stanie temu zapobiec.

- Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy i świetnie się spisałeś, bracie - odparł Uriel. Kiedy aptekarz odwrócił się, aby odejść, położył dłoń na jego naramienniku i dodał - Pamiętaj, Selenusie. Pomoc okazana potrzebującym nigdy nie jest zmarnowanym wysiłkiem. Wracaj do swoich braci. Chcę porozmawiać teraz z tym chłopakiem. Wierzę, że czekał na nasze przybycie, żeby przekazać nam ważne wieści.

Selenus kiwnął głową i odpowiedział:

- Jak sobie życzysz, bracie kapitanie.

Zginając się w pół, aptekarz wyszedł, a Pasanius i Uriel przyklękli przy łożku Gedrika. Kapitan zdjął hełm i przeczesał opancerzoną rękawicą krótkie włosy. Pochylił się nad chłopakiem, próbując nie oddychać. Smród spalonego mięsa był nie do zniesienia.

Oczy młodzieńca zadrgały, kiedy wyczuł obecność Kosmicznego Marine. Z trudem zaczerpnął tchu i nadludzkim wysiłkiem obrócił głowę w stronę Uriela. Zakaszłał, a popękane wargi drżały, kiedy z trudem wypowiadał słowa:

- Wiedziałem, że przybędziecie - zachrypiął.

- Tak, jesteśmy na miejscu. Nazywam się Uriel Ventris i jestem kapitanem Ultramarines.

Gedrik uśmiechnął się z trudem i szepnął:

- Widziałem was, kiedy spoglądałem w gwiazdy na nocnym niebie.

- Dostrzegłeś mnie? - spytał Uriel, spoglądając na Pasaniusa. Sierżant, jak zwykle pragmatyczny do bólu, tylko wzruszył ramionami.

- Tak - jęknął Gedrik. - Widziałem was i Śmierć Światów. Światło i ciemność, dwa zwiastowania tego samego anioła.

Uriel nie rozumiał, co chłopak ma na myśli. Śmierć Światów, Światło i Ciemność? Czyżby Pasanius miał rację sadząc, że młodzieniec postradał zmysły z powodu cierpień, których zaznał?

- Czy wiesz, czemu zostaliście napadnięci? Możesz mi cokolwiek o tym opowiedzieć?

- Przyszli po metal. Człowiek-maszyna wyrwał jego serce i teraz on umiera.

Uriel nie wiedział, co o tym myśleć. Caernus IV był rolniczym światem i zgodnie z danymi z archiwów Segmentum nie było na nim żadnych złóż metali, a już na pewno nie takich, dla których warto byłoby dokonać rzezi całej osady.

- Nie rozumiem Gedriku. Jaki człowiek-maszyna? Cyborg? Serwitor? O co chodzi z tym metalem?

- Metal, który płynie. Teraz umiera. Mój miecz... Sam go wykułem, a on umiera.

Pasanius podniósł skórzaną pochwę, która leżała obok posłania i chwycił za owiniętą drutem rękojeść. Wyciągnął zardzewiałą broń i przyjrzał się jej uważnie, zbliżając ją do płonącej świecy.

Widok ostrza miecza wprowadził Kosmicznych Marines w osłupienie. Jego kontur otaczała blada, niebieskawa poświata, która była na tyle silna, by przyćmić blask świec. Jedyne krawędzie ostrza pozostały metalicznie srebrne. Pośrodku znajdowała się brązowa plama, pulsująca i podrygująca niczym jakiś obrzydliwy grzyb. Lśniący metal poprzecinany był żyłkami czerni, które z wolna rozprzestrzeniały się po całej powierzchni broni, szerząc rozkład i zepsucie. Kiedy Uriel przeciągnął dłonią po ostrzu, płatki zetlełej stali posypały się na podłogę.

- Gedriku, co się dzieje z mieczem?

- Umiera. Białowłosy i człowiek-maszyna przyszli i zabili Wzgórze Metalu, a teraz mój miecz umiera - załkał Gedrik. - Nie wiem, dlaczego. Podzielilibyśmy się nim, podzielili...

- Białowłosy? Przybył z człowiekiem-maszyną?

- Tak, był w zмовie z kapłanem maszyn.

Uriel i Pasanius spojrzeli na siebie, w tej samej chwili dochodząc do podobnego wniosku. Kapłan maszyn. To mogło oznaczać człowieka należącego do Adeptus Mechanicus, ale jakim cudem taki ortodoks zgodziłby się współpracować z obcymi? Sam pomysł zdawał się być majakiem szaleńca.

- Chyba nie ma na myśli... - zaczął Pasanius.

- Na pewno nie - zgodził się Uriel. - Gedriku, zapewne się pomyliłeś...

- Nie! - syknął konający, rzucając na boki głową. - Aniele, ranisz mnie, mówiąc coś takiego. Śmierć Światów i Ten, Który Zwiastuje Ciemność czeka, aby narodzić się w tej galaktyce. Jeden powstanie albo żaden, a decyzja należy do ciebie.

- Cóż to ma znaczyć? Czy... ten anioł powiedział ci, o co tutaj chodzi? Proszę, Gedriku.

Gedrik westchnął, a powietrze zarzęziło mu w gardle. Jego oczy wywróciły się do góry i zdołał tylko wyjęczeć:

- Sprowadźcie kapłana, proszę... chcę się wyspowiadać.

Uriel pokiwał głową i powiedział do Pasaniusa:

- Sprowadź kapelana Clausela, sługa Imperatora chce się przygotować do ostatniej drogi.

Sierzant skinął głową i opuścił lazaret, a Uriel nadal czuwał przy umierającym. W jego głowie kłębiły się niespokojne myśli. Czy to możliwe, żeby kapłan Boga-Maszyny kolaborował z eldarami? Kto mógłby w ogóle o czymś takim pomyśleć? Kim byli Śmierć Światów i Ten, Który Zwiastuje Ciemność?

Uriel usłyszał ciężkie kroki, odwrócił się i zobaczył poraną bliznami twarz kapelana.

- Ten człowiek dzielnie służył Imperatorowi, bracie kapelanie. Wysłuchaj jego spowiedzi i jeśli taka będzie jego wola, udziel mu Finis Rerum. Zaczekam na zewnątrz.

- Tak się stanie, mój kapitanie.

Uriel popatrzył na umęczone ciało młodzieńca i to, co pozostało z jego twarzy. Powstał z klęczek i mocno uderzył pięścią w płytę napierśnika.

- Gedriku z Kresu Mortena. Składam pokłon przed twoją odwagą. Niech Imperator będzie z tobą.

Odwrócił się na pięcie i schylając się w drzwiach, wyszedł na zewnątrz.

Pośrodku osady czekało na niego trzydziestu Ultramarines, którymi dowodził Pasanius. Poza kręgiem zabudowań majaczyła kanciasta sylwetka Thunderhawka, a z domów i chatki wyglądały twarze przestraszonych wieśniaków.

Pasanius, z przewieszonym przez ramię miotaczem płomieni, zbliżył się do Uriela i

zakomunikował:

- Jesteśmy gotowi do wymarszu. Czekamy tylko na pański rozkaz.
- Doskonale, sierżancie.
- Czy mogę o coś zapytać, kapitanie?
- Oczywiście Pasaniusie.
- Wierzysz mu? Mam na myśli to gadanie o aniołach i... - zawiesił głos

Uriel nie odpowiedział od razu. Spoglądał przez chwilę na góry, które otaczały osadę. Piętrzyły się na wiele tysięcy metrów i sięgały chmur, swym majestatem czyniąc osiągnięcia ludzi małymi i nic nie znaczącymi. Mówiło się, że życie człowieka jest niczym iskra, rozświetlająca mrok, która gaśnie i zostaje przytłumiona przez inne, nim ktokolwiek zdąży ją w ogóle zauważyć.

Uriel nie zgadzał się z tym porównaniem. Byli tacy mężczyźni i kobiety, którzy stawali wobec ciemności z podniesionym czołem i mężnie dawali odpór trudnemu do ogarnięcia ogromowi wszechświata. To, że w końcu umierali, nie grało żadnej roli.

Liczyły się ich czyny.

- Czy mu wierzę? - powtórzył Uriel. - Tak. Nie wiem dlaczego, ale wierzę.
- Kolejne przeczucie?
- Być może.
- Domyślasz się, co chciał nam powiedzieć? Śmierć Światów i Ten, Który Zwiastuje Ciemność? Nie podoba mi się to. Kiepska wróżba na przyszłość.
- Kto wie? Być może adept Barzano będzie mógł wyjaśnić tę sprawę.
- Może, może - uśmiechnął się z przekąsem Pasanius.
- Chyba go nie lubisz.
- Nie przystoi mi krytykować adepta Administratum - mruknął ponuro sierżant. - Ale jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żebym polubił jakiegoś gryzipiórka.

W drzwiach lazaretu pojawiła się odziana w czarny pancerz, ogromna postać kapelana Clausela, który szybko dołączył do Uriela i Pasaniusa.

- Dokonał żywota i teraz zasiada u boku Imperatora.
- Dziękuję ci, kapelanie.

Clausel skłonił głowę i dołączył do reszty oddziału.

- Jakie są twoje rozkazy, kapitanie?

Uriel spojrzał na lazaret i powiedział:

- Zabierzcie ciało chłopaka. Ruszamy do Kresu Mortena. Pochowamy Gedrika z pełnymi honorami w domu.

- W dalszym ciągu nie jestem w stanie w to uwierzyć, Kasmirze. Ona powinna zniknąć, a ja zająć jej miejsce - narzekał Vendare Taloun. - Całe lata negocjacji z pomniejszych kartelami poszły na marne. Ot, tak sobie!

Kasmir de Valtos podał mu kryształowy kieliszek z uskavarem i zajął miejsce po przeciwnej stronie biurka. Siedzieli w jego gabinecie, w rezydencji na Wzgórzach Owsena. Taloun przyjął kieliszek, nawet na niego nie spoglądając i dalej siedział z wzrokiem wbitym ponuro w płonący na kominku ogień.

- Ona już wkrótce nie będzie się liczyć, Vendare. Przecież nie może trzymać się u władzy przez całą wieczność.

- Tej suki już dawno nie powinno być na Pavonis! - ryknął Taloun, ciskając kieliszek w ogień. Kryształ pękł z brzękiem, rozpryskując się po pokoju snopem ostrych, lśniących igiełek.

- Niech Imperator przeklnie jej duszę. Byliśmy już tak blisko. Co musimy uczynić, żeby się od niej uwolnić? Każdy, nawet najmniejszy kartel siedział w naszej kieszeni i pomijając tego kretyna Abrogasa, mieliśmy druzgoczącą przewagę.

- Skoro sama nie chce upaść, możemy ją popchnąć - odpowiedział de Valtos.

- O czym ty mówisz? Złożyliśmy wniosek, ale ten cholerny Barzano nagle wyskoczył jak diabeł z pudełka i wszystko popsuł. Niech go szlag, a myślałem, że to zwykły urzędas.

- Adept nie stanowi problemu.

- Doprawdy?

- Jeżeli zaczniesz nam sprawiać prawdziwe kłopoty, po prostu się go pozbędziemy.

- Nie żartuj. Nie możemy ot tak sobie zabić agenta Administratum.

- A dlaczegoż to?

- Czy ty mówisz poważnie?

- Śmiertelnie poważnie - zapewnił de Valtos. - Poza tym, kto będzie po nim płakał? Jest jednym z milionów urzędników, którzy pracują dla Administratum.

- Ten kapitan Ultramarines może mieć inne zdanie, zwłaszcza jeśli adept zniknie w dziwnych okolicznościach.

- Nie przejmuj się nim, mój drogi Talounie.

- Nadal mam mieszane uczucia co do twojej propozycji, Kasmir.

- Czy jest coś gorszego od planu, który ułożyliśmy przeciwko kartelowi Shonai? Moje działa i twoje czołgi czekają w górskich bazach na jeden rozkaz.

- To zupełnie co innego. Działamy dla dobra Pavonis.

De Valtos roześmiał się w głos, a jego rechot zdawał się być pusty i pozbawiony

radości, a za to pełen groźby i złej woli.

- Nie odgrywaj przede mną takiego świętoszka, Taloun. Zbyt dużo wiem o twoich poczynaniach. Twój syn to idiota, który za bardzo lubi gadać, a jego przyszła żona jest jeszcze gorsza. Papla o wszystkim, niestety w niewłaściwym miejscu i z nieodpowiednimi ludźmi.

Taloun poczerwieniał na twarzy i wstał ze swojego miejsca. Podeszedł do barku i napełnił kolejny kieliszek uskavarem. Jego dłonie drżały i karafka dźwięcznie szczekała o krawędź naczynia.

- Cokolwiek wydaje ci się, że wiesz na mój temat, nie jest prawdą - powiedział w końcu.

- Wierzę ci, Vendare - powiedział z uśmiechem de Valtos. - Ale jest tylu ludzi, którzy chętnie staliby się świadkami upadku twojego lub kartelu Taloun. Sam wiesz, jak plotki potrafią zepsuć reputację człowieka, nawet jeśli później okażą się fałszywe. Przypomnij sobie, co się stało z Honanem, kiedy... pozwoliłeś, aby informacje o jego kochanku ujrzały światło dzienne.

- Ale to była prawda.

- Owszem, lecz nie o to mi chodzi. Byłoby ogromną stratą, gdyby jakieś niesprawdzone plotki o śmierci twojego brata dotarły do wiadomości publicznej. Musielibyśmy zerwać nasz układ, jako że nie chcę być kojarzony z kimś, kto dopuścił się bratobójczej zbrodni.

- Dobrze, już dobrze, Kasmirze. Rozumiem, do czego dążysz. Co zatem proponujesz?

- To proste - wyjaśnił de Valtos. - Będziemy działać dalej tak, jak to zaplanowaliśmy.

Deszcz lał się z nieba strumieniami, kiedy Thunderhawk dotarł nad ruiny spalonego Kresu Mortena. Ryczące silniki i uchodzące z nich gazy sprawiły, że w powietrze trysnęły fontanny błota, kiedy statek zbliżał się do gruntu. Z rozgrzanych dysz buchnęła para, a Thunderhawk opadł na plac, który stanowił niegdyś centrum osady.

Ledwie płozy dotknęły ziemi, a już ze szczękiem rozsunęły się stalowe wrota luku desantowego i trzy oddziały Ultramarines wysiadły ze statku, sprawnie opanowując teren i rozpraszając się po miasteczku. Pierwsze dwa miały zabezpieczyć perymetr, a trzeci, którym dowodził sam Uriel, ruszył w kierunku pozostałości po miejskiej świątyni.

Ventris szedł sprężystym krokiem, omiatając lufą to w lewo, to w prawo. Deszcz ograniczał widoczność i nawet systemy celownicze jego hełmu miały trudności z przebicciem się przez szarugę.

Urządzenia potwierdzały jego przecucia. W osadzie, a także w promieniu wielu kilometrów od niej, nie było najmniejszego śladu życia.

- Sektor Primus, zabezpieczony! - dobiegł głos z interkomu.

- Sektor Secundus, zabezpieczony!

- Sektor Tertius, zabezpieczony!

Uriel opuścił lufę broni i schował bolter do kabury.

- Dowódcy wszystkich oddziałów, do mnie. Utrzymywać obronność perymetru.

Kilka chwil później trzech sierżanci: Pasanius z dyndającym na plecach syczącym miotaczem płomieni, Venasus i Dardino zjawili się u stóp zrujnowanej świątyni.

- Chcę, abyście przeszukali osadę centymetr po centymetrze. Nie pomijajcie żadnego domu. Przyjmijcie, że obszar jest nam nieprzyjazny i donoście o każdym znalezisku.

- Czego szukamy, panie kapitanie? Ofiar czy ocalałych? - spytał Venasus.

- Wszystkiego, co niezwykle. Być może natkniemy się na coś, co powie nam, dlaczego eldarzy napadli na tę osadę. Jeśli coś takiego się tutaj kryje, chcę to odnaleźć. - Uriel wskazał na poczerńiałe i podziurawione ściany świątyni. - Słudzy Imperatora zginęli tutaj, a ja chcę wiedzieć, dlaczego tak się stało.

Uriel Ventris zdjął hełm i odchylił głowę do tyłu, pozwalając, aby deszcz obmywał mu twarz. Rozchylił usta i zbierał wodę. Kiedy napłynęła do ust, przepłukał zęby i splunął na ziemię. Przeczesał palcami krótkie, czarne włosy i rozejrzał się uważnie po wejściu do świątyni. Poglądził dłonią przestrzeliny i rozbite w drzazgi drewniane wrota. - Wyciągnął zza pazuchy nóż i zaczął dłubać jego czubkiem w jednej z dziur. Te wysiłki zostały nagrodzone sukcesem, kiedy wydobył coś z otworu. Uniósł przedmiot do oczu i, choć było ciemno, bez trudu rozpoznał postrzępiony odłamek ciemnego kryształu. Całe fragmenty ścian poznaczone były podobnymi dziurami, a doświadczenie podpowiadało Urielowi, że odłamki musiały pochodzić z pewnego konkretnego rodzaju broni.

Z danych taktycznych, które wpojono mu w koszarach Agiselus, wiedział, że eldarzy zwykle polegali na broni, która wystrzeliwała rozpędzone do ogromnych prędkości, metalowe dyski o ostrych jak brzytwa krawędziach. Obecność kryształowej amunicji oznaczała, że wioskę napadli przedstawiciele bardziej nieprzyjaznej podrasy eldarów, którzy opierali swoje metody walki na innych, mniej wysublimowanych metodach.

Niektóre ze źródeł identyfikowały ich jako osobny gatunek, który wiele wieków temu oddzielił się od głównego pnia rasy, ale dla Uriela wszyscy oni byli tacy sami: obcy i nienawidzeni, zasługiwali jedynie na to, żeby poświęcić ich ogniem i pociskami bolterów.

Rozwarł wrota na oścież i wszedł do wnętrza świątyni. Ogarniała go zimna wściekłość, kiedy spoglądał na dowody jawnego zbezczeszczenia świętego przybytku Imperatora. W nawie unosił się zapach spalonego ludzkiego tłuszczu, a na drodze Kosmicznego Marine piętrzyły się potrzaskane ławki, które miały stanowić obronną barykadę. Uriel szedł ku posagowi boskiego Pana Ludzkości, pogrzebanemu pod zwałami gruzu. Dotarłszy do statuy podniósł ją z ziemi i, choć była bardzo ciężka, wziął ją do ręki.

Tył świątyni otwierał się na błotniste zbocze wzgórza, które poznaczone było licznymi nagrobkami, ustawionymi wprost na ziemi. Uriel wyszedł z kaplicy i trzymając posąg w ręku ruszył w dół zbocza, nie zważając na to, że po kolana zapada się w błocku. Widok tyłu grobów zasmucił go do głębi. Ludzie, którzy znaleźli i otoczyli opieką Gedrika, musieli pochować nieszczęsnych mieszkańców Kresu Mortena.

- Pasaniusie! - zawołał Uriel do mikrofonu komunikatora. - Jestem na tyłach świątyni. Przynieś z Thunderhawk ciało chłopaka. Powinien być pochowany razem ze swoimi bliskimi.

- Tak jest - usłyszał w interkomie głos starszego sierżanta.

Uriel postawił statuę na ziemi i czekał na przybycie Pasaniusa. Deszcz kapał na jego pancerz, ale kapitan nie zwracał na to uwagi.

Po chwili zjawił się Pasanius, niosący poparzone zwłoki. Gedrik, wciąż owinięty bandażami, został odziany w zielonkawą płachtę, symbolizującą Pavonis, a na jego piersi złożono ukochany miecz. Straż honorowa Ultramarines towarzyszyła mu w ostatniej drodze, kiedy masywny sierżant szedł z jego ciałem przez cmentarz.

Uriel skinął głową w kierunku przyjaciela, a potem obrócił się ku swoim podwładnym.

- Znajdźcie grób z imieniem Maeren. Powinien być pochowany ze swoją żoną.

Ultramarines rozproszyli się po cmentarzu, szukając pośród drewnianych nagrobków tego z wrytym imieniem żony Gedrika. Po chwili ich poszukiwania zakończyły się sukcesem. Otworzyli mogiłę, w której spoczywały ciała Maeren i jej dziecka, po czym złożyli Gedrika w ojczystej ziemi. Uriel szedł dalej pośród grobów, aż dotarł do podstawy wzgórza. Zamierzał ustawić tam posąg Imperatora, aby czuwał nad wymordowanymi poddanymi. Uniósł rzeźbę wysoko w górę i uderzył nią o ziemię, chcąc ją wbić w grunt, ale jego wysiłek został nagrodzony tylko metalicznym brzękiem.

Uriel odstawił rzeźbę na bok, opadł na kolana i zaczął rozgrzebywać rękoma ziemię. Niecałe pół metra pod warstwą błota ziemia ustępowała miejsca stali. Odgarnąwszy sporą połąć gruntu, dostrzegł pordzewiałą, metalową płytę.

- Sierzancie! - zawołał. - Reszta oddziału, do mnie! Wydaje mi się, że znaleźliśmy Wzgórze Metalu, o którym mówił chłopak.

Pół godziny później Ultramarines oczyścili spory kawałek zbocza, a Uriel jak oniemiały spoglądał na ogrom tego, co skrywała dotąd ziemia. Pod wzgórzem znajdowała się wielka, metalowa konstrukcja, choć stal zamiast błyszczeć pokryła się brunatnym, chorobliwym nalotem, który widział już na mieczu Gedrika.

- Na Guillimana, co to może być? - zastanawiał się Dardino, kiedy zbocze zostało odarte z roślinności i cienkiej warstwy gruntu.

- Nie mam pojęcia, ale pewne jest, że eldarzy uznali to za wartę ofiar.

Uriel i Pasanius zaczęli wdrapywać się po zboczu w kierunku trójkątnego, obecnie zapadniętego, a niegdyś zapewne płaskiego szczytu góry. Pod ich stopami chrzęściły płatki stali, a każdy krok nagradzany był metalicznym dudnieniem butów o stalowe ściany. Korozja, która trawiła ten dziw, zaczynała się od centralnego punktu wzgórza, a Uriel zdawał sobie sprawę, że już wkrótce z budowli nic nie pozostanie. Wraz z Pasaniusem zeszli w dół zagłębienia.

Wnętrze dołu pokryte było przewodnicami, a ze ścian sterczały pourywane kable, które ginęły gdzieś w środku konstrukcji. Dokładne przeznaczenie niszy było dla obydwu Ultramarines zagadką, ale jasnym było, iż znajdowało się w niej coś, co z grubsza musiało mieć kształt szerokiego cylindra. Został on brutalnie wyrwany ze swego miejsca, ale czy to właśnie z tego powodu metal konał? Całą niszę otaczały dziwne runy, a Uriel przesunął dłoń po tym obcym piśmie.

- Potrafisz je odczytać? - spytał Pasanius.

- Nie, i nawet nie zamierzam próbować. Te znaki bez wątplenia są obcego pochodzenia, a bluźnierstwa, które się za nimi kryją, najlepiej pozostawić w spokoju. Myślę jednak, że powinniśmy je przepisać, aby pomogły nam w rozwiązaniu tej zagadki. - Uriel otarł zbroję z błota i resztek metalu, które do niej przyłgnęły i powiedział: - Urwicie kawałek tej blachy. Zabierzemy ją ze sobą na „Vae Victus” Możliwe, że adepci techniki będą w stanie zidentyfikować rodzaj stopu, z którego wykonano to wzgórze lub odcyfrować alfabet.

Nabrawszy garść błota i metalu w dłoń, zaczął je delikatnie rozcierać, zastanawiając się nad czymś głęboko.

- Nie podoba mi się to, Pasaniusie - powiedział po chwili. - Ilekroć xenos zaczynają się dziwnie zachowywać, zawsze oznacza to poważne kłopoty.

- A co masz na myśli mówiąc „dziwnie”?

- Rozejrzyj się dookoła. Każde ciało, jakie tu znalezione, spoczywa w grobie.

Naliczono dwieście trupów, czyli tyle, ile powinna liczyć ta osada, mam rację?

- Tak.

- Sprawdzales ruiny? Czy cokolwiek zostało zrabowane?

- Ciężko mi powiedzieć, ale chyba nie. Wygląda na to, że spalili osadę i zrównali ją z ziemią.

- Właśnie o tym mówię. Dlaczego nie uprowadzili jeńców? Słyszałeś kiedykolwiek o napadzie eldarów, w którym nie chwytałiby jeńców, żeby ich później torturować? Nie. Ci obcy przybyli do Kresu Mortena tylko w jednym celu. Chcieli czegoś, co było tutaj. Cokolwiek zostało pogrzebane we Wzgórzu Metalu, było powodem tej napaści.

- Ale, co to mogło być? Jakaś broń? A może przedmiot ich kultu?

- To właśnie martwi mnie najbardziej, mój przyjacielu. Zaczynam się obawiać, że mamy do czynienia z czymś więcej niż zwykłymi eldarskimi piratami.

Zeszli ze wzgórza i ruszyli w kierunku rynku zrównanego z ziemią miasteczka. Padający deszcz był coraz gęstszy, ale Uriel cieszył się, czując ukłucia lodowatej wody, oplukującej jego ciało ze złowieszczej atmosfery tego miejsca.

Miał przed oczyma elementy jakiejś układanki, ale nie potrafił poskładać ich w jedną całość. Nieprzyjemne uczucie, które towarzyszyło mu od chwili wstąpienia na wzgórze, nasilało się z każdą chwilą. Eldarzy musieli mieć jakiś ważny powód, żeby najechać jeden ze światów Imperatora i ryzykować odwet.

Zwykle nie podejmowali takich kroków, jeśli nie zmuszała ich do tego sytuacja.

Nim zdążył dojść do jakichś konkretnych wniosków, w komunikatorze rozległ się głos radiooperatora z pokładu „Vae Victus”. Gdzieś w tle Uriel dosłyszał podekscytowany głos admirała Tiberiusa.

- Kapitanie Ventris, proszę natychmiast wracać na pokład „Vae Victus”.

- Panie admirale, co się dzieje? Czy stało się coś nieprzewidzianego?

- Zaiste. Otrzymaliśmy informację, że statek obrony planetarnej napotkał w pobliżu ósmej planety układu okręt o dziwnej sygnaturze silnika. Miało to miejsce dwie godziny temu. Otworzył do niego ogień.

- Czyli ktoś nas jednak posłuchał. Czy wroga jednostka została zniszczona?

- Nie. Uważamy, że nawet nie została trafiona, ale zdążyła teraz w naszą stronę. Jesteśmy niemal dokładnie na drodze wrogiego okrętu, a obcy nie wiedzą, że się tutaj znajdujemy. Mamy wspaniałą okazję, żeby się zacząć i zniszczyć tych drani.

Uriel uśmiechnął się pod nosem, słysząc podniecenie w głosie admirała. Jego ekscytacji nie były w stanie zagłuszyć nawet trzaski i szumy eteru.

- Ile czasu zajmie wam powrót, Urielu?

- Jesteśmy gotowi wystartować za mniej więcej minutę, panie admirale. Przetransmitujcie informacje o obecnej pozycji okrętu do układów nawigacyjnych Thunderhawka.

- Dobrze. Pośpieszcie się, bo druga taka okazja może już nam się nie trafić.

- Wkrótce będziemy na pokładzie. Bez odbioru.

Uriel przypiął hełm i zwrócił się do swoich żołnierzy:

- Wróg sam wpadł nam w ręce. Eldarzy lecą prosto ku nam i wkrótce będziemy mieli okazję pomścić naszych braci, którzy zginęli w zasadzce. Honor wymaga, abyśmy podjęli wyzwanie.

- Wyciągnął miecz, uniósł go do góry i krzyknął: - Czy jesteście gotowi do bitwy?

Jak jeden mąż Ultramarines czwartej kompanii wydali z siebie ryk aplauzu.

Ario Barzano oparł się o poręcz łóżka, pociągając z kliszka wyborny uskavar. Spojrzał na stos papierów dostarczonych przez ponurego sierżanta Learchusa i uśmiechnął się do siebie. Kiedy wraz z Jenną Sharben wrócił do kwater, musiał wysłuchać bury, jaką dał mu rozwścieczony Kosmiczny Marine. Najwidoczniej ich wycieczka do dystryktu manufaktur nie przypadła mu do gustu.

Odwiedzili kilka piwiarni i podrzędnych spelunek, ale nie usłyszeli tam niczego ważnego poza plotkami o organizowanej masowej demonstracji. Ludzie mówili głównie o niesprawiedliwości, głupocie rządzących i ciężkim losie robotników. Po trzech bezowocnych godzinach adept i sędzia Sharben zdecydowali, że czas wracać do domu.

Pod pewnymi względami sytuacja na Pavonis była znacznie poważniejsza, niż dotąd przypuszczał. W powietrzu wisiało coś więcej niż zwykle niepokoje i zamieszki. Nie można też było złożyć wszystkiego na karb działalności piratów.

Odłożywszy papiery na bok, zsunął nogi na podłogę i ukrył twarz w dłoniach. Potarł brwi i nos i ciężko westchnął. Wstał ociężale z łóżka i podszedł do mapy, rozpostartej na stole i przytrzymywanej w miejscu przez talerze, które pozostały tu po obiedzie. Gdzieś zza ściany dobiegał odgłos piór skrzypiących o papier. Ponad cichy pomruk ich głosów przebijał się skrzekliwy ton Lortuena Perjeda, który dyrygował poczynaniami skrybów. Barzano ponownie się uśmiechnął, wspominając starego urzędnika. Gdyby nie on i jego pomoc, śledztwo nie posunęłoby się tak daleko. Barzano utknąłby pod stertami papierów, zalany potopem niepotrzebnych informacji.

Spojrzał ponownie na mapę i przycisnął jej zwijający się róg kieliszkiem.

Cienka, błękitna wstęga znaczyła kurs, jaki obrał „Vae Victus”, a Barzano zastanawiał się, czy ten jeden okręt stanowi wystarczającą siłę, by rozgromić eldarskich łupieżców. Szybko odegnał od siebie te myśli, z rozdrażnieniem stwierdzając, że jeśli krążownik Ultramarines nie wystarczy do powstrzymania Zwiastuna Nocy, to i cała flota Ultima Segmentum nie będzie miała wystarczającej mocy, aby go zniszczyć.

Ponura wizja sprawiła, że postanowił ponownie napełnić kieliszek.

- Nie uważasz, że przesadzasz z winem? - spytał Lortuen Perjed. - To dosyć mocny alkohol, który łatwo uderza do głowy.

- Wiem, ale ono jest bardzo dobre - odparł Barzano, wychylając całą zawartość kieliszka i jeszcze raz go napełniając. Wlał też trochę uskavaru do drugiego naczynia i podał je Perjedowi.

Lortuen przysiadł na skraju łóżka i spróbował wina. Zakrztusił się i musiał kilka razy głęboko odetchnąć, gdy poczuł działanie alkoholu.

- Rzeczywiście, mocne - sapnął, ale pociągnął jeszcze jeden łyk. Barzano opadł na krzesło przed monitorem terminala i upił trochę wina, a potem odstawił kieliszek z powrotem na mapę.

- Nad czym teraz pracujesz, Lortuen?

- Nad niczym konkretnym - odparł stary adept, wzruszając ramionami.

- Wiem, co czujesz - przytaknął Barzano. - Nie znoszę siedzieć beczynn timer i czekać.

- Kiedyś sprawiało ci to przyjemność. Uwielbiałeś obserwować, jak ofiara szamocze się i ciska, a potem sama wpada w twoje ręce.

- Doprawdy? Nie pamiętam.

- Tak, w dawnych czasach byłeś cierpliwym myśliwym.

- Stare, dobre czasy. Kiedy to było?

- Kilka dekad temu.

- Wiele się zmieniło od tamtych czasów, Lortuenie. Nie jestem już tym samym człowiekiem, co kiedyś.

- Widzę, że masz dzisiaj bardzo kiepski humor, Ario. Czy to nie święty Josmane powiedział, że źródłem naszej radości powinna być służba Imperatorowi?

- Tak, ale on nigdy nie musiał się nurzać w takim szambie jak ja.

- Owszem - przyznał Perjed. - Ale za to pozwolił się zabić i został męczennikiem za wiarę, niechaj Imperator obdarzy spokojem jego duszę.

- Racja - uśmiechnął się Barzano. - Podobnego losu wolałbym uniknąć.

- Jeśli o mnie chodzi, to ja także - dodał Perjed i uniósł kieliszek w niemym salucie.

Barzano potarł oczy wierzchem dłoni i przez chwilę siedział nieruchomo. Wstał z fotela i odszukał na biurku pudełko z lekami.

- Znowu dokuczają ci bóle głowy?

Barzano pokiwał milcząco głową, a potem połknął dwie pigułki, popijając je uskavarem. Przeszedł go dreszcz, kiedy poczuł ohydny smak proszków, którego nie był w stanie zabić nawet aromat wina.

- Jest gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Czuję się fatalnie. Odkąd wylądowaliśmy na Pavonis mam wrażenie, jakby jakiś ogromny, prastary ciężar próbował zmiażdżyć moją czaszkę.

- Więc może powinieneś odstawić alkohol? On ci nie służy.

- Wręcz przeciwnie, przyjacielu. Całkiem dobrze mi robi. Jedną z niewielu przyjemności, jakie mi jeszcze pozostały, jest słodki szum alkoholu w głowie. On spowija ból mgiełką cudownego otepienia - odpowiedział i puścił oko do pomocnika.

- Nie mówisz jak Ario Barzano, któremu służyłem trzydzieści lat temu.

- A kim jest teraz Ario Barzano, bo ja straciłem już rachubę? Niezależnym kupcem? Gangsterem z miasta-kopca? Dworskim sługusem, a może adeptem Administratum? Który z nich to prawdziwy Ario Barzano?

- Sługa Imperatora, który nigdy nie poniechał swoich obowiązków. Może o tym zapomniałeś, ale jestem przy tobie po to, żebyś nie posunął się o krok za daleko.

Barzano pokiwał głową, a potem z przesadną ostrożnością odstawił kieliszek na stół.

- Masz rację, przyjacielu. Przepraszam, im szybciej skończymy z naszym zadaniem na Pavonis, tym lepiej.

- Nie musisz mnie przepraszać. Służyłem w moim życiu wielu panom i większość z nich była jeszcze bardziej uparta niż ty. A wracając do naszych spraw, czy miałeś jakieś wieści od kapitana Ventrisa lub z pokładu „Vae Victus”?

- Nie. Odkąd przybyli na Caernus IV nie otrzymałem żadnych wiadomości.

- Sądysz, że zdołają powstrzymać eldarów?

- Jeśli ktokolwiek może to uczynić, to właśnie Uriel. Nie jest człowiekiem, który łatwo się poddaje, a poza tym był wychowankiem kapitana Idaeusa. Wiedziałeś o tym?

- Tak. Pamiętam, że czytałem o nim w raportach z Thracii. Czy właśnie dlatego go wybrałeś?

- Po części tak. Poza tym musi coś udowodnić sobie i innym. Lubię mieć takich ludzi u boku, kiedy dochodzi do finałowej rozrywki

- Czyli masz nadzieję, że niekonwencjonalny sposób myślenia i działania Idaeusa

przeniósł się na jego następcę?

- Czy ja mam nadzieję? - roześmiał się Barzano. - Ja na to bardzo liczę!

Uriel obserwował dwa punkty na radarze, które oznaczały statek obcych oraz pozycję, jaką zajął „Vae Victus”. Łączyła je siatka zielonych linii, oznaczająca kursy i wektory zbliżeniowe jednostek. Sytuacja nie przedstawiała się najlepiej wrogi okręt zbliżał się z dużą szybkością, a oni musieli wrócić na pokład krążownika przed nawiązaniem kontaktu bojowego. Czy dadzą radę? Wskazał dłonią na jarzący się zielonym światłem panel i spytał:

- Ile czasu zajmie nam dokowanie do „Vae Victus”?

Pilot zerknął na urządzenia kontrolne i odparł:

- Około dwudziestu sześciu minut, panie kapitanie.

Dwadzieścia sześć minut. Jeśli dodać do tego piętnaście na uzupełnienie zapasów paliwa, wychodziła prawie godzina. Czas tankowania można było skrócić, gdyby maszyna nie wygasła silników i nie czekała aż ostygną ich dysze, a technicy pompowali w nią ciekłe paliwo. Była to bardzo niebezpieczna praktyka, której wyraźnie zabraniał Codex Astatres, ale w tej sytuacji pośpiech był kluczową sprawą. Co robić? Gdyby w trakcie takiego uzupełniania baku w hangarze padła choć jedna iskra...

- Czy zdołamy dotrzeć do wrogiego okrętu bez uzupełniania paliwa?

- Nie.

Uriel zaklął pod nosem. Nie zanosilo się na to, aby w przyszłości mieli lepszą okazję do zaatakowania eldarów, a tymczasem na przeszkodzie stawały odległości i ograniczenia techniczne.

Gdyby tylko piraci z jakiegoś powodu dokonali zmiany kursu i ruszyli w ich stronę...

- Szybko, połączcie mnie z admirałem.

Drugi pilot otworzył nowy kanał na częstotliwości bojowej i nawiązał kontakt z „Vae Victus”.

- Admirale, tu Uriel Ventris. Nie jesteśmy w stanie dotrzeć na czas na pokład krążownika i uzupełnić zapasów paliwa, żeby wziąć udział w boju.

- Co planujesz? - spytał Tiberius, jakby podejrzewając, że Uriel ma w zanadrzu jakiś nietuzinkowy plan. - Nie dotrzecie samodzielnie na statek eldarów.

- Wiem, panie admirale. Jeśli zadokujemy do „Vae Victus” na pewno nie będziemy w stanie uderzyć na eldarów i dokonać abordażu. Jestem pewien, że zdołacie nas odszukać i podjąć, kiedy zakończymy szturm.

W głośniku rozbrzmiewały szумы i trzaski, kiedy Tiberius rozważał pomysł Uriela.

Gdy w końcu odpowiedział, jego głos był spokojny, choć pobrzmiewała w nim nuta wyważonej niepewności:

- Nie uważam, aby to był mądry pomysł, kapitanie Ventris. Być może masz rację, ale twoja propozycja stoi w sprzeczności ze wszystkim, co Codex Astatres mówi na temat zasad walki statków kosmicznych.

- Wiem, panie admirale, ale to jest jedyna szansa, żeby zadać im decydujący cios. Jeśli dostaniemy się mostek ich okrętu, będziemy mogli dokonać poważnych zniszczeń. Jeżeli byłby pan w stanie zmusić ich dobrze ukierunkowanym ogniem baterii do zejścia nad planetę, zapewne zdołamy ich zająć i uderzyć z dobrej pozycji.

- Dobrze, kapitanie Ventris. Przystaję na pańską propozycję, ale zanotuję w dzienniku, że lekko odniósł się pan do nakazów naszego błogosławionego Pierworodnego.

- To pańskie prawo i przywilej, admirale. Później przyjdzie czas na dyskusję o taktyce. Wróg nadchodzi.

Archon Kesharq pieścił ostrze topora, które było jeszcze lepkie od krwi pierwszego oficera, odpowiedzialnego za stan pól holograficznych. Złośliwy, odsłaniający kły uśmiech wypłynął na usta wodza mrocznych eldarów, kiedy wspomniał ostatni rajd na miejsce, które wskazał keyrzak. To było dziecinnie łatwe zadanie. Ci głupi mon-keigh padli na kolana, błagając go o litość, nie wiedząc, że w jego sercu nie ma dla niej miejsca. Z radością zadawał im ból, za sprawą cierpienia posyłając ich dusze do piekła. Potem odebrali znalezisko, które ludzie wykradli z asteroidu, i zniknęli jak duchy.

Doprawdy, trzeba było ogromnego pecha, żeby napotkać na drodze niezgrabny i ocieżały okręt wojenny mon-keigh. Archon nie przejął się tym i z wrodzoną sobie arogancją skierował „Jeźdźca Burzy” w stronę wroga, ufając, że pola holograficzne oszukają jego systemy radarowe. Jakież było jego zdziwienie, kiedy zasłona iluzji opadła w najmniej odpowiednim momencie, a stało się tak za sprawą uszkodzeń, jakie otrzymali w starciu z okrętem Adpetus Astartes. Ludzie otworzyli do nich ogień. Rzecz jasna mogli dotrzymać pola i walczyć, jako że okręt eldarów był szybszy, bardziej zwrotny i lepiej uzbrojony od jednostki wroga, ale mieli na pokładzie ostatni element układanki, który był wart znacznie więcej niż kilka chwil pustej chwały. Oficer odpowiedzialny za awarię pól holograficznych został przykładowo ukarany, a jego następcą pracował nad naprawieniem jego błędów.

Myśląc o skarbie, który leżał w ładowni okrętu, Kesharq wyobraził sobie twarz Asdrubala Vecta, płaczącego i błagającego o życie, nim archon położy kres jego nędznej egzystencji.

Prawie czuł krew Vecta na języku, ale nie pozwolił, aby marzenia odebrały mu trzeźwość umysłu. Nadchodził krytyczny moment, kiedy keyrzak będzie z pewnością próbował zdradzić go i okraść z należnego udziału w nagrodzie. Choć mon-keigh wiedział, iż żyje tylko dlatego, że Kesharq pozwala Chirurgowi pracować nad jego ciałem, to jasne było, iż sam ten fakt nie powstrzyma go od zdrady. Jego elektryczny kapłan kilkakrotnie próbował wydestylować antidotum na truciznę, która szalała w organizmie jego pana, ale jak dotąd bez powodzenia.

Kesharq wiedział, że te próby są z góry skazane na niepowodzenie. Nim Chirurg został skazany na wygnanie razem ze swoim panem, był jednym z najlepszych trucicieli, a pamięć o jego umiejętnościach zakłócała spokój gości, którzy zasiadali do stołu archona.

Nie, keyrzak nie będzie w stanie opracować antidotum, a już niedługo Kesharq pozwoli swojemu oprawcy zamęczyć go na śmierć.

Spojrzał na ekran kontrolny, zastanawiając się, ile czasu zajmie im dotarcie do Pavonis.

Już niedługo.

- Namierzyliśmy go, Philotas? - szepnął Tiberius, jakby obawiał się, że podniesiony głos może spłoszyć wrogi okręt, który widzieli pośrodku ekranu kontrolnego.

- Tak, admirale. Statek obcych nie podniósł pól ochronnych, co oznacza, że jeszcze o nas nie wiedzą. Baterie lewej burty namierzają go, obliczając maksymalnie efektywną trajektorię lotu pocisków.

- Doskonale.

Tiberius bębnił nerwowo palcami po drewnianym blacie swojego stanowiska i zagryzał dolną wargę. Nie podobało mu się to, w jaki sposób Uriel podchodził do wojny. To prawda, jego plan był sensowny i śmiały, ale kłócił się ze wszystkim, czego w trakcie stuleci nauczył się Tiberius. Błogosławiony Pierworodny, Roboute Guilliman, nauczał w swym świętym dziele, Codex Astatres, iż żaden okręt nie powinien ruszać do boju bez pełnych zbiorników paliwa i odnowionego zapasu amunicji, a manewrów abordażowych nie należy przeprowadzać, jeśli nie zostały zniszczone wrogie systemy obronne krótkiego zasięgu.

Choć Tiberiusowi nie podobał się plan Uriela, to jednak miał sens. Powrót na pokład „Vae Victus” oznaczałby, że szansa na uszkodzenie, a być może nawet zniszczenie okrętu eldarów wymknęłaby się im z rąk. Szturm na mostek nieprzyjacielskiego statku był marzeniem każdego dowódcy drużyny abordażowej, jako że odpowiednio przeprowadzony i zwycięski, kończył się śmiercią wrogiego dowódcy.

Choć Tiberiusowi pomysł się nie podobał, to z chęcią wprowadzał go w życie.

- Baterie lewej burty donoszą, że przyjęły parametry ostrzału. Wróg wszedł w zasięg naszych dział.

Prowadzenie ognia na taką odległość nie miało większego sensu, bowiem uszkodzenia odniesione przez piracki statek byłyby niewielkie, a okręt Ultramarines straciłby przewagę zaskoczenia. Musieli jeszcze trochę poczekać, ryzykując tym samym, że eldarzy ich wykryją. Z drugiej strony, ich zadaniem było nastraszenie ich kapitana, aby skierował swój okręt ku planecie, gdzie czekał już na niego Thunderhawk Uriela. Choć lądownik pędził z całą mocą swoich silników, to dla urządzeń pozostawał niewidoczny, ich emisję ukrywała bowiem obecność planety.

- Baterie lewej burty, otworzyć ogień na moja komendę. Potem uruchomić silniki, cała wstecz, połączona z odpaleniem dysz korekcyjnych prawej burty. Chcę, żeby eldar skierował się ku biegunowi polarnemu planety i wpadł na kapitan Ventrisa.

- Tak jest, panie admirale!

Uriel wyjrzał przez owiewkę kabiny pilotów, ale nie widział nic poza wyładowaniami atmosferycznymi, koncentrującymi się na poszyciu Thunderhawka. Wnioskując z manewrów, jakie wykonywał „Vae Victus”, mogli zgadywać, gdzie znajdował się wrogi okręt i próbować zbliżyć się do przypuszczalnej trasy jego przelotu.

Tech-marine Harkus zaczął odmawiać nad lukiem desantowym Litanię Dehermetyzacji i przygotowywać ładunki wybuchowe, które miały otworzyć Ultramarines drogę do wnętrza wrogiego okrętu. Kapelan Clausel błogosławił każdego z żołnierzy, święcąc ich ostrza i boltery. Uriel nakazał wydać wszystkim miecze łańcuchowe, zdając sobie sprawę, że walka będzie zażarta i krwawa. Dołączył do swoich braci, przyjmując ostatnie święcenia przed bitwą.

- Straszliwy Archonie! Wykryłem nagły przyływ mocy trzysta tysięcy kilometrów przed nami!

Kesharq doskoczył do stanowiska obserwatora i spojrzał na ekran, czując, jak ogarnia go przerażenie.

Nie mogło być mowy o pomyłce. Takiej sygnatury energetycznej nie sposób pomylić. Wrogi okręt szykował się do ataku, kierując energię do baterii działonowych.

- Prawa na burt! Schodzimy nad planetę. Musimy ich zgubić w atmosferze!

- Działonowi, ognia! - rozkazał Tiberius. - Wykonać zwrot!

Gigantyczny okręt zatrzęsł się w posadach, kiedy jego baterie zaczęły bombardować okręt eldarów z całą mocą, jaką dał im Imperator. Tiberius chwycił mocniej krawędź swego pulpitu, kiedy „Vae Victus” zaczął wykonywać zwrot i przeniósł ogień z baterii lewej burty na dziób. Być może nie działają zgodnie z zasadami Codex Astatres, ale na Imperatora, przynajmniej dadzą wrogowi poczuć siłę największych dział, jakimi dysponował „Vae Victus”.

Każda z baterii wyrzuciła z siebie pocisk rozmiarami dorównujący sporemu budynkowi. Cel był daleko, więc większość z nich nie trafiła, detonując setki kilometrów od „Jeźdźca Burzy”. Inne jednak, czy to za sprawą dokładniejszych obliczeń, czy też zwykłego przypadku, wybuchły w pobliżu statku mrocznych eldarów. Choć nie spowodowały żadnych poważnych uszkodzeń, to podziurawiły płyty pancerza i główny żagiel słoneczny.

Statek zręcznie zmienił kurs, odbijając w lewo i opuszczając nos w kierunku planety. Coraz więcej i więcej pocisków wybuchało dookoła; był to niezawodny znak, że główne działa krążownika włączyły się do bitwy.

„Jeździec Burzy” przypominał obsydianową drzazgę, która niczym ostrze noża wbiła się w atmosferę Caernusa IV pozwalając, aby szybkość i zwrotność uchroniły go przed kanonadą dział okrętu Adeptus Astatres.

„Vae Victus” próbował dostosować się do zmiany kursu nieprzyjaciela, ale nie był tak zwrotny jak on.

Tymczasem okręt mrocznych eldarów także zwolnił i ponownie zmienił kierunek lotu, szykując się do opuszczenia orbity Caernusa IV, która zapewniła mu tymczasową ochronę. Sensory statku były w tej chwili zupełnie ślepe, bowiem żar rozgrzanych gazów wylotowych silnika uniemożliwiał dokonywanie jakichkolwiek odczytów.

„Jeździec Burzy” uwolnił się w końcu z grawitacyjnych objęć planety i na powrót znalazł w przestrzeni kosmicznej, kiedy zza zasłony chmur wychynęła błękitna strzała i pomknęła ku niemu. Potężne działa Thunderhawka zaczęły ostrzeliwać okręt mrocznych eldarów, demolując rufowy pancerz, odrywając stalowe płyty i miażdżąc powykrzywiane haki. Nim eldarzy zdążyli zareagować, lądownik Kosmicznych Marines przemknął ku wypukłemu grzbietowi wroga i przylgnął doń, wgryzając się w upi ryt cumami magnetycznymi, które wysunęły się z jego brzucha.

Tech-marine Harkus nacisnął detonator i ryknął ile sił w płucach:

- Uwaga!

Kosmiczni Marines instynktownie zmrużyli oczy, kiedy eksplodowały kierunkowe

ładunki wybuchowe. Nawet przez pancierz Thunderhawk Uriel był w stanie poczuć drzenie, które przebiegło obydwoma statkami. Przekręcił manetkę wjazdu, otwierając służbę stykającą się z okrągłą dziurą, którą wybili w pancierze okrętu mrocznych eldarów.

W tej chwili liczyła się szybkość. Musieli uderzyć zniemacka i bez litości.

- Ultramarines! Do mnie! - krzyknął, przeskakując przez otwór.

Uriel przetoczył się po pokładzie wrogiego okrętu i zrobił miejsce dla kolejnego Kosmicznego Marine, który tuż za nim przedostał się przez otwór. Dobywszy jednym płynnym ruchem miecza energetycznego i boltera ruszył przed siebie, omiatając celownikiem nieznaną otoczenie. Znajdowali się w niewysokim pomieszczeniu, pełnym okrągłych pojemników, przypominających beczki.

Wcisnął runę aktywującą miecz i wokół ostrza rozbłysła błękitna poświata. Dokładnie w tej samej chwili do pomieszczenia wbiegło dwóch wojowników, odzianych w karmazynowe, błyszczące pancerze, ozdobione dziwnie powykrzywianymi ostrzami. Za broń służyły im długie, cienkie strzelby, na końcach których osadzono równie wąskie bagnety.

- Odwaga i honor! - ryknął Uriel i rzucił się na eldarów.

Pierwszy cios rozciął obcego na pół, rozpruwając ciało od obojczyka po miednicę i pozwalając go samą brutalną siłą uderzenia. Drugi eldar zdołał wystrzelić, a następnie dźgnąć bagnetem, ale Uriel zwinął się w błyskawicznym obrocie, skrócił dystans i grzmotnął łokciem w hełm obcego, rozbijając go razem z czaszką na kawałki. Odłamki wizjera wbiły się w oczy eldara, który nie zdążył nawet krzyknąć, bowiem nokautująca siła ciosu złamała jego kark.

Uriel zaryzykował rzut oka za siebie i dostrzegł, że coraz więcej Ultramarines wlewa się przez otwór do środka okrętu. Pasanius był pośród nich, jego masywna sylwetka odcinała się od reszty braci. Miotacz ognia, który dzierżył w ręku, płonął jasnyniebieskim płomieniem, gotów pluć na wrogów strugą łatwopalnego napalnu.

Uriel podniósł miecz do góry i krzyknął:

- Na mostek!

Wybiegł z sali i znalazł się w wąskim, zacienionym korytarzu o ścianach z polerowanego kamienia, które zbiegały się wysoko ponad jego głową. Przed sobą dostrzegł dwa korytarze, których końce ginęły gdzieś w mroku. Na chybił trafił wybrał lewy korytarz i krzyknął:

- Pasaniusie, za mną! Dardino i Venasus, bierzecie prawy korytarz!

Przed sobą usłyszał tupot wielu stóp i zza zakrętu wybiegła grupa eldarów, gotowych dopaść go i zadźgać na śmierć. W większości uzbrojeni byli w długie karabiny z bagnetami,

ale kilku z nich miało znacznie bardziej niebezpiecznie wyglądające bronie.

Pasanius uniósł miotacz płomieni i krzyknął:

- Padnij!

Uriel przypadł do podłogi, czując, jak owiewa go rozgrzane powietrze, otaczające poziomy słup żywego płomienia, który wytrysnął z miotacza. Przerażliwe wrzaski obcych odbiły się od szklanych ścian, kiedy płynny ogień otoczył ich ciała, topiąc zbroje i smażąc zamknięte w nich ciała.

Gdy tylko płomień zgasł, Uriel zerwał się na równe nogi i uderzył na wroga, roztrzaskując spalone ciała i napierając ze wszystkich sił na eldarów. Jego miecz ciął i siekł, pozostawiając za sobą jedynie trupy. Z dzikim rykiem Ultramarines poszli w jego ślady, dobijając tych z obcych, którzy dotąd uniknęli śmierci. Ostre jak brzytwy zęby mieczy łańcuchowych bez trudu wgryzały się w elastyczne pancerze, tnąc i mieląc je razem z ciałami.

Kapelan Clausel odmawiał głośno Litanię Wiary, a jego crozius arcanum siał postrach i śmierć pośród obcych.

Z bitewnej ekstazy wyrwał Uriela dziwny świst. W naramiennik jego pancerza wbił się cały pęk kryształowych igieł. Zbroja na szczęście wytrzymała impet tego uderzenia. Kolejny strzał sięgnął hełmu kapitana Ultramarines. Ventriss warknął, rozwścieczony nie na żarty, i jednym potężnym ciosem zabił eldara, pozbawiając go głowy.

Kiedy ostatni z obcych został powalony, korytarz przypominał główną jatkę rzeźni.

Żaden z Ultramarines nie stracił życia, choć kilku krwawiło z powierzchownych ran. Pasanius zajął pozycję na szpicy, plując od czasu do czasu płomieniami z miotacza w głąb korytarza, by zniechęcić eldarów do kolejnego natarcia.

Uriel uruchomił interkom i wywołał pozostałe oddziały:

- Dardino, Venasus. Jaki jest wasz status?

Jako pierwszy odpowiedział Venasus, a jego głos był spokojny i opanowany, choć w tle słychać było odgłosy kanonady.

- Napotkaliśmy silny opór, panie kapitanie. Najprawdopodobniej jest to centrum obrony. Dardino próbuje znaleźć drogę naokoło, chcemy zająć ich od flanki. Oceniam, że za sześć minut zdołamy zdławić opór.

- Wyróbcie się w cztery. Bez odbioru.

W kierunku Ultramarines znów poszybowały chmury kryształowych odłamków, sypiąc naokoło iskrami i siekąc ściany. To była ta sama amunicja, której używano w trakcie napadu na Caernus IV

Pasanius skulił się na podłodze, a w jego naramienniku ziała ogromna dziura. Przez

częstotliwości interkomu przetaczały się jego przekleństwa, kiedy wielkolud wycofywał się w głąb tunelu, nie wypuszczając miotacza ognia z ręki. Odgłosy kroków dudniły w korytarzu. Kolejna grupa obcych wojowników zbliżała się, żeby zaatakować Kosmicznych Marines. Uriel nacisnął podajnik przy pasie i w jego dłoni znalazły się dwa granaty odłamkowe.

Coraz bardziej rósł opór eldarów i Uriel zdawał sobie sprawę, że muszą podjąć szturm, inaczej abordaż zakończy się fiaskiem.

Przetoczył się w bok i zza rogu oddał dwa strzały w kierunku eldarów. Huk boltera był rozkoszny w porównaniu z cichą pracą broni obcych. Jeszcze dwa strzały i kolejne dwa eldarskie diabły znalazły się w piekle. Ich ciała zostały rozerwane przez napędzaną raketowo, wybuchową amunicję. Eldarzy spodziewali się zapewne, że Uriel znowu wychyli się zza rogu, aby strzelać, ale tym razem czatujących na jego błąd obcych czekało spore zaskoczenie. Zamiast kapitana Ultramarines zobaczyli lecące ku sobie granaty. Korytarzem wstrząsnął potworny wybuch, a towarzyszyły mu krzyki rannych i łoskot padających ciał.

Uriel zerwał się na równe nogi i pomógł wstać Pasaniusowi.

- Gotów, stary przyjacielu?

- Jak nigdy dotąd!

Uriel skinął głową i wychylił się zza rogu, szukając wroga.

Za nim ruszyli Ultramarines, kierując się ku masywnym, czerwonym wrotom, udekorowanym ostrzami i kolcami. Nawet z tej odległości widać było, że jest to pancerna gródź, której sforsowanie nie będzie łatwe.

Ten korytarz przecinał się także z innym, z którego niosły się echa bitwy. Tu i ówdzie migały odziane w czerwone pancerze postacie, więc Uriel kazał wszystkim uważać na tyły. Ogromna ilość przejść i wzajemnie krzyżujących się korytarzy sprawiała, że mogli zostać otoczeni lub rozdzieleni na wrogim terenie.

Zebrawszy wszystkie siły, Uriel uderzył barkiem w ozdobne wrota, wysadzając je z futryny. Przez rozbite drzwi prowadzące na mostek głodni bitwy Ultramarines wdarli się do centrum dowodzenia. Gdy ujrzał sporych rozmiarów pomieszczenie nakryte kopułą, Uriel uśmiechnął się, uświadamiając sobie, iż dotarł tam, dokąd zamierzał. Odległą ścianę niemal w całości zajmował ekran, na którym kapitan eldarów zwykł obserwować kosmiczne bitwy. Otaczały go dwie pary wrót. Tu i ówdzie można było dostrzec metalowe stoły ze skórzanymi pasami i otaczającą je dziwną maszynę z wieloma igłami, ostrzami i piłami.

Pośrodku pomieszczenia, na podwyższeniu, stał szczupły eldar, którego pancerz przypominał te noszone przez jego wojowników, jednak różnił się kolorem - był zielony. Mężczyzna nie miał na głowie hełmu, a jego długie, opadające na ramiona włosy o bladym

odcieniu fioletu przetykane były pasmami tak białymi, że przypominały śnieg. Jego twarz przypominała pozbawioną uczuć, nieczułą maskę ze skóry, na której nie malowały się żadne emocje. Z ust spływała cienka strużka krwi, a w dłoniach dzierżył ogromny, dwuręczny topór, którego ostrze pokryte było lepką posoką.

Poniżej zebrała się jego gwardia, ciężko opancerzeni wojownicy, uzbrojeni w wielkie halabardy, pulsujące nienaturalną energią.

W pomieszczeniu unosiła się aura śmierci i strachu. Ilu nieszczęśników spotkał tutaj straszliwy koniec z rąk nieludzkich oprawców?

Uriel nie miał czasu, aby się nad tym zastanawiać, bowiem oto rozwarły się wrota po obydwu stronach ekranu. Zza grodzi ruszyła na nich horda półnagich eldarów, kobiet i mężczyzn, uzbrojonych w przedziwne narzędzia tortur oraz jeszcze bardziej niezwykli wojownicy na przypominających nietoperze maszynach latających.

Choć kanonada bolterów powaliła dobry tuzin wrogów, pozostali w mgnieniu oka znaleźli się tuż obok Kosmicznych Marines, tnąc, siekąc i dźgając swoimi niezwykłymi broniąmi. Uriel zobaczył, jak brat Gaius pada, przecięty na pół przez ostre skrzydło jednego z latających wojowników, który zatoczył koło nad trupem, gotując się do kolejnego ataku.

Uriel wziął go na muszkę, a potem powalił jednym strzałem, z satysfakcją obserwując, jak eldar niezgrabnie spada na ziemię. Z upiornym wyciem silników kolejni obcy rozpoczęli nalot.

Nagle w nadlatujących uderzyła salwa z bolterów i oddziały sierżantów Dardino i Venasusa włączyły się do bitwy Uriel zestrzelił jeszcze jednego eldara, nim Venasus znalazł się obok niego. Jego pancerz ociekał krwią obcych.

- Przepraszam, ale dotarcie tutaj zajęło nam pięć minut.

Uriel uśmiechnął się za zasłoną hełmu i rzucił na wpół żartobliwie:

- Następnym razem postarajcie się lepiej, sierżancie.

Kolejny lotnik eksplodował w powietrzu, kiedy szeroka struga ognia z miotacza Pasaniusa objęła go wraz maszyną. W sali grzmiał huk coraz silniejszej kanonady. Głośnik w hełmie Uriela zadźwięczał, kiedy pilot Thunderhawk nawiązał łączność z dowódcą:

- Panie kapitanie, postarajcie się jak najszybciej załatwić sprawy tam na dole, bowiem statek obcych przyspiesza i wkrótce nie będziemy już mogli się na nim utrzymać. Sugeruję rozpocząć odwrót, żebyśmy mogli was zabrać, zanim stąd odleciemy.

Uriel zaklął pod nosem. Nie miał nawet czasu odpowiedzieć pilotowi, gdyż stracił właśnie jednego z podniebnych eldarów na ziemię i wraził w jego brzuch ostrze miecza. Widząc, że odziany w zielony pancerz albinos zbliża się ku niemu, otrząsnął miecz z posoki i

przygotował się do starcia.

Wokół nóg obcego wiła się jakaś bezkształtna masa, której natury Uriel w półmroku nie był w stanie przeniknąć. Trzech przekrzykujących się wzajemnie eldarów na powietrznych ślizgaczach rzuciło się ku Urielowi, ale dwóch zabił strzałami z boltera, a ostatniego ciosem miecza pozbawił głowy. Odziany w jodeitowy pancerz obcy z nieludzką łatwością powalił dwóch Ultramarines, kiedy ci próbowali zastąpić mu drogę.

Uriel krzyknął na swoich braci, aby odstąpili.

- Ten jest mój!

Dzięki pobłyskującym przed jego oczyma ikonom Uriel wiedział, że siedmiu Ultramarines nie żyło, ponieważ identyfikujące ich runy stały się czarne i nieruchome. Kapitan ciężko dyszał, ale pozostał mu jeszcze spory zapas sił.

Choć zacięta bitwa nadal szalała na mostku statku mrocznych eldarów, to wokół dowódców zrobiło się luźniej. Wirujące kłębowisko ciał u stóp białowłosego eldara ukazało wreszcie swoje prawdziwe oblicze i Uriel z przerażeniem spojrzął na gromadę dziwnych istot rodem z koszmaru. Budząca obrzydzenie i współczucie masa pozszywanych na chybił trafił fragmentów ciał wiła się i syczała, szczerząc zębiska i drapiąc pazurami w przypiływie ślepej nienawiści. Każde z upiornych zwierząt było inne, ale łączyła je jedna cecha: były bluźnierstwem przyobleczonym w realne kształty.

Uriel wyciągnął miecz, celując jego czubkiem w pierś wodza eldarów.

- Jestem Uriel Ventris z Zakonu Ultramarines i przybyłem, aby cię zabić.

Obcy przekrzywił głowę to w jedną, to w drugą stronę i dopiero po chwili odpowiedział:

- Jesteś mon-keigh, zwierzęciem na rzeź. Zadam ci ból i śmierć.

Gromada koszmarnych istot rzuciła się ku niemu, więc Uriel zastawił się mieczem. Ich wrzaski i syki z jednej strony budziły obrzydzenie, a z drugiej żal i współczucie. Uriel ciął przez grzbiet pierwszej bestii, bez trudu rozcinając jej ciało, po czym dźgnął drugiego stwora, ale było ich po prostu zbyt wiele, aby mógł je wszystkie zabić.

Jakieś szczęki wbiły się w jego łydkę i Uriel poczuł okropny ból, kiedy za pośrednictwem kłów do jego żył została wpompowana trucizna.. Miecz opadł na kark potwora i odciął jego łeb od reszty ciała, zraszając podłogę deszczem ekskrementów.

Kesharq postąpił jeszcze krok do przodu i zamachnął się dwuręcznym toporem, kierując jego ostrze w pierś Ventrisa.

Widząc zbliżający się cios, Uriel rzucił się do tyłu i przetoczył przez plecy, tnąc jednocześnie na bok mieczem. Kolejny z potworków mrocznego eldara padł martwy na

pokład. Uriel turlał się i turlał, za każdym razem o włos unikając ciosów topora archona.

W końcu zerwał się na równe nogi, w samą porę, aby sparować kolejne cięcie. Impet uderzenia niemal obezwładnił ramię Uriela. Choć cios o mało go nie powalił, kapitan był pewien, że obcy nie wkłada wiele siły w uderzenia, polegając bardziej na wadze broni.

Uriel uderzył dłonią w drzewce, odbijając je od siebie, a potem natarł barkiem. Kesharq uniknął ciosu, schodząc z jego linii i wykonał obrót, uderzając toporem w ramię Uriela.

Ostrze otworzyło wielką ranę w pancerzu i tnąc dalej zahaczyło o hełm kosmicznego Marine. Urielowi od siły ciosu pociemniało przed oczyma i tylko instynkt pozwolił mu sparować cios, który spadł na jego głowę.

Jeszcze jeden z koszmarnych pupilków eldara próbował ugryźć Uriela w nogę, ale ten kopnął go w łeb, a następnie zmiażdżył go obutą w żelazo stopą. Spod podeszwy buta popłynęła krew i wytrysnął mózg. Wokoło zapłonął ogień, kiedy Pasanius skierował swój miotacz przeciwko ogarom mrocznych eldarów. Ikona pilota pobłyskiwała nagłaco.

Kesharq zaczął wymachiwać ostrzem topora, kreśląc w powietrzu ósemki i przerzucając go niespodziewanie z ręki do ręki, aż ostrze broni stało się srebrzystą wstęgą, otaczającą postać archona. Pośród tego spektaklu szermierczych umiejętności tkwiła jego twarz, pozbawiona wyrazu i wszelkich emocji, a spomiędzy białych ust wyciekły wraz ze strużką krwi następujące słowa:

- Myliłem się, uważając cię za godnego przeciwnika. Keyrzak popełnił błąd, obawiając się ciebie.

Uriel wykonał cięcie i w ostatniej chwili zmienił jego kierunek, ale Kesharq przewidział to posunięcie i zablokował je drzewcem broni. Jego topór zatoczył krąg i wbił się w bok pancerza Kosmicznego Marine. Uriel poczuł straszliwy ból i krew chlusnęła z rany w boku.

Z ust Kesharqą popłynęła strużka przemieszanej z krwią śliny.

Uriel opadł na kolana i wypuścił miecz. Obydwie dłonie zacisnął na drzewcu topora, który eldar chciał wyrwać z rany. Zablokowawszy w ten sposób broń przeciwnika, Uriel wyrwał z kabury pistolet i wycelował w archona.

Obcy wykonał nieprawdopodobnie szybki unik, ale nawet to nie zdołało go uchronić przed strzałem.

Pocisk trafił w policzek, rozrywając go wraz z kawałkiem szczęki, ale z racji zbyt krótkiego zasięgu nie zdążył się uzbroić i eksplodował zaraz po opuszczeniu rany.

Kesharq zawył z bólu i wypuścił z dłoni rękojeść topora. Uriel znów się zachwiał i nie

zdażył dobić archona, który znalazł schronienie pomiędzy swoimi wojownikami. Przez chwilę jeszcze szukał go wzrokiem, ale opuścił pistolet, kiedy zobaczył Pasaniusa. Sierżant chwycił drzewce topora i wyrwał jego ostrze z rany, a potem pomógł swemu kapitanowi stanąć na nogi.

- Musimy się stąd wynosić - syknął Uriel.

Pasanius pokiwał głową, a następnie zaczął wykrzykiwać rozkazy. Uriel zacisnął palce na rękojeści idaeusowego miecza. Wraz z resztą Ultramarines, którzy zabrali ze sobą ciała poległych, zaczął wycofywać się w kierunku Thunderhawka.

Dla Uriela i jego żołnierzy jasnym było, że nie wolno im pozostawić ciał towarzyszy na pastwę tej bluźnierczej rasy. Aptekarz Selenus musiał usunąć ze zwłok cenne ziarno genetyczne, które powróci do puli całego Zakonu.

Żaden z obcych nie wykazywał chęci do podjęcia pościgu, ale Uriel miał przecucie, że wrogi dowódca cały czas obserwuje go z zapiekłą nienawiścią.

Ultramarines wycofali się w porządku i z zachowaniem dyscypliny, jak na nich przystało. Thunderhawk odczepił się od pancernia „Jeźdźca Burzy”, obrócił wokół własnej osi i odleciał z pełną prędkością tak daleko, jak pozwoliły mu na to prawie puste zbiorniki paliwa. Okręt eldarów zniknął w kosmicznej pustce, niesiony pędem własnych dysz oraz siłą wiatru słonecznego.

Thunderhawk dryfował przez kolejną godzinę, aż wreszcie został podjęty przez „Vae Victus”.

Nim to nastąpiło, Selenus pobrał z martwych ciał ziarno genetyczne oraz opatrzył rany kapelana Clausela, który nie zważając na nie zaintonował Litanię Poległych w intencji zabitych braci.

„Vae Victus” ruszył tropem uciekających eldarów, ale choć był szybkim jak na ludzkie standardy okrętem, to nie był w stanie dotrzymać tempa wrogiej jednostce. Na szczęście serwitorzy mapujący zdobyli dość informacji, aby wytyczyć prawdopodobny kurs piratów.

Eldarzy zdążyli prosto na Pavonis.

ROZDZIAŁ 10

Działonowy Harlen Morgan poklepał bak sześćdziesięcotonowego czołgu i uśmiechnął się do siebie. Oczyma wyobraźni zobaczył, jak pewnego dnia będzie jechał na czele kolumny takich potworów, dowodząc nią z pokładu jednej z maszyn. Pojazd, obok którego stał Harlen, należał do typu Lemah Russ, wzorzec Conqueror. Niestety, musiał niechętnie przyznać, że pancerz i osiągi techniczne tego miejscowo produkowanego czołgu znacznie odbiegały od właściwych oryginałowi, który narodził się w fabrykach świata-kuźni Gryphonne IV

Jego zwierzchnik, major Webb, siedział okrakiem na lufie i palił śmierdzące cygaro, podczas gdy amunicyjny Mappin parzył kawę w kociołku nad niewielkim paleniskiem. Ostatni z załogi, kierowca Park, leżał pod pojazdem, usiłując uszczelnić ciekący przewód paliwowy.

Przez oczka siatki kamuflującej przebijały liczne promienie słońca, i nawet pomimo tego, że znajdowali się wysoko w górach, było ciepło. Morgan podał rację żywnościową dowódcy, który kiwnął głową w podziękowaniu i rozerwał opakowanie, z niesmakiem spoglądając na jego zawartość.

Harlen usiadł na ziemi, skrzyżował nogi i oparł się o podpórkę kamuflażu, który skrywał czołg. Rzucił rację Mappinowi, a następnie Parkowi.

- Ale się śpieszyłeś, do jasnej cholery! - mruknął ten ostatni.

- Jak ci się nie podoba, to możesz następnym razem iść sam. - odparł Morgan i zabrał się do jedzenia.

Racja żywnościowa składała się z chleba, sera i mięsa niezidentyfikowanego rodzaju. Działonowy powąchał je, ale nadal nie był w stanie określić, z jakiego zwierzęcia pochodziło.

Reszta oddziału rzuciła się na swoje porcje, nawet szeregowy Park wysunął się spod czołgu. Otworzył paczkę i podejrzliwie przyjrzał się jej zawartości. Po chwili cisnął ją na bok.

- Na wszystkie świętości! Chciałbym już stąd ruszyć i zjeść wreszcie coś świeżego - marudził pod nosem, zdejmując zakrętkę piersiówki, którą nosił pod usmarowanym olejem mundurem.

- Czy ty nigdy nie przestaniesz narzekać? - spytał Mappin w krótkiej przerwie pomiędzy jednym kęsem a drugim. Park pociągnął kolejny łyk i podał mu flaszkę, ale ten

pokręcił głową i zabrał jego wzgardzoną rację żywnościową.

- Skończę narzekać, jak ty przestaniesz tyle żreć, tłusciuchu! - odciął się Park. - Uskavar to wszystko, czego mi potrzeba, żeby przetrwać cały dzień.

- Taaa, wiemy - roześmiał się Morgan. - Szkoda tylko, że tak kiepsko po nim prowadzisz.

Szeregowy Park wykonał obsceniczny gest i powiedział:

- Możecie mnie cmoknąć, chłopcy. Żarcie jest dla mięczaków

Morgana nudziły docinki kolegów, które były już stałym rytuałem towarzyszącym posiłkom. Ponownie rozejrzał się dookoła, obserwując resztę ukrytego kompleksu bunkrów, który otaczał Wzgórza Olsena. Spoglądając na siatkę kamuflującą, którą okryto czołgi, zastanawiał się, jakim cudem jeszcze ich nie zauważono. Maskowanie musiało jednak spełniać swoją rolę, bowiem jak dotąd najwyraźniej nikt nie zdawał sobie sprawy z ich obecności.

Ich pozycje znajdowały się bezpośrednio nad wiejską rezydencją bohaterskiego dowódcy kartelu. Same wykładane marmurami dachy budynków były więcej warte, niż Morgan mógł sobie wyobrazić. Po okolicznych lasach włóczyły się całe stada rogatych jeleni i kiedy zapadł zmrok, stawały się one obiektem zaciekłych polowań. Morgan pożyczył noktowizor od Parka i zabawiał się obserwowaniem regularnych nagonek i łowów, choć dowódcy nie wspominał o tym karygodnym przypadku łamania dyscypliny.

Oddziały uzbrojone w przenośne wyrzutnie rakiet i ciężkie karabiny maszynowe obsadziły wschodni perymetr i stanowiły pierwszą linię obrony przed ewentualnym atakiem, który, jak zapewniał major, nigdy nie miał nadejść.

Mimo to wszyscy mieli pełne portki strachu, kiedy kanciasty, niebieski statek powietrzny przemknął w zeszłym tygodniu nad ich pozycjami. Biegali w panice jak banda zaskoczonych dzieciaków, uświadamiając sobie, iż rzeczywiście powinni być czujni przez cały czas.

Po placu okrytym siatką maskującą włóczyło się wielu ludzi, bez których taka armia nie miałaby prawa istnieć: kierowcy, działonowi, amunicyjni i mechanicy, wszyscy czekali na rozkaz wymarszu. Kiedy to nastąpi, Morgan nie wiedział, ale major zapewniał go, że już wkrótce.

Na Wzgórzach Olsena zgromadzono trzysta siedemdziesiąt dwa czołgi różnego typu. Były tutaj haubice Griffon, działa samobieżne Basilisk, zwykłe Lemany Russy, Hellhoundy oraz inne pojazdy opancerzone. Policzył je kiedyś, kiedy zostali wysłani na patrol. Choć liczba zgromadzonego sprzętu była imponująca, to niestety był on kiepską podróbką

produkcji, która pochodziła ze światów fabrycznych Imperium.

To jednak nie grało żadnej roli.

Połączeni pod sztandarami jednej sprawy byli twardzi jak adamantium. Wiara w słuszność ich racji będzie najlepszym pancerzem, a nieuniknione przeznaczenie najbardziej śmiertelnością bronią.

Morgan uśmiechnął się, wspominając słowa pułkownika Pontleusa z Oddziałów Obrony Planetarnej Pavonis (dystrykt Wrót Barnodona), który stał za jego przeniesieniem na Wzgórza Olsena. Z pasją i werwą mówił o zdradzie kartelu Shonai, który do spółki z podobnymi mu szumowinami z innych domów ułożył szatański plan, aby wycisnąć ostatni grosz i odebrać dumę robotnikom Pavonis. No bo czym innym, jeśli nie próbą nabicia kabzy, nim zostanie usunięta z urzędu, była nowa dziesięcina pani gubernator?

Z początku Morgan nie był przekonany do jego argumentów, zwłaszcza że w kłapie munduru pułkownika połyskiwał znaczek kartelu Taloun. Wszyscy wiedzieli, że kartele Shonai i Taloun były zaciekłymi wrogami, ale Pontleus potrafił celnymi argumentami przekonać młodego oficera. Razem byli w stanie wywalczyć wolność i utracić łeb reżimowi Shonai.

Morgan rozumiał, że wolność ma swoją cenę i jest nią krew patriotów. Jako jeden z nich był gotów poświęcić własne życie, czyniąc to w imię wolności i praw robotników. Kartel Shonai doprowadził Pavonis na krawędź upadku, a polityka gubernator stała się niemożliwa do zaakceptowania.

Rządy sprawowane bez wolności były tyranią, która podszywa się pod demokrację, a on nie zamierzał żyć pod obcasem pani gubernator.

Już wkrótce synowie i córki Pavonis nie będą musieli trudzić się w manufakturach karteli, pracując jak niewolnicy. Przyszłościowo myślący ludzie, tacy jak Taloun czy de Valtos, wiedzieli, że ludzie honoru i odwagi czekają na ich znak, aby powstać i walczyć o to, co się im należało.

Morgan wiedział, że jest jednym z nich.

ROZDZIAŁ 11

Słońce pięło się coraz wyżej nad Wrotami Brandona, a na skąpanych w jego promieniach ulicach dawało się odczuć piekielny skwar. Choć było już późne lato, temperatury nadal były dziwnie wysokie i mieszkańcy miasta odczuwali ich skutki na własnej skórze. Przegrzane wymienniki ciepła fabryk zostały wyłączone w obawie przed ich uszkodzeniem. Podobnie stało się z częścią ogromnych maszyn przemysłowych, które wygaszono i zatrzymano, nie chcąc ryzykować awarii.

W samym mieście panowała nerwowa atmosfera, którą dodatkowo podsycił wielotysięczny tłum ludzi, zapelniający ulice, otaczające zewnętrzne dystrykty fabryczne. Zbiorowisko z wolna zaczynało docierać do białych murów miejskich, przenikając do dzielnic finansowych i administracyjnych.

Szerokie kolumny mężczyzn, kobiet i dzieci czekały, gotowe do wymarszu. Praktycznie każdy okoliczny zakład, fabryka czy manufaktura zostały zamknięte, bowiem ich pracownicy porzucili swoje obowiązki i ruszyli na Plac Oswobodzenia. Linie komunikacyjne stały beczynnie, a te, które jeszcze działały, dowoziły coraz więcej i więcej demonstrantów. Ludzie przybywali nawet z najodleglejszych rejonów, aby przyłączyć się do protestu.

Organizatorzy demonstracji obawiali się, że przybycie Kosmicznych Marines przerazi robotników i nikt nie zechce wziąć udziału w proteście. Ku ich zdziwieniu i uldze, stało się zupełnie odwrotnie. Tłum zdawał się być głęboko poruszony. Przybyły całe rodziny i teraz maszerowały, trzymając się za ręce. Gdziegdzie dawało się słyszeć dźwięki muzyki, ludzie śpiewali patriotyczne pieśni, aby dodać odwagi sobie i innym. Ponad głowami zgromadzonych powiewały kolorowe flagi, a lekka bryza delikatnie kołysała transparentami z hasłami jedności i żądaniami Kolektywu Robotniczego.

Tu i ówdzie samozwańczy kierownicy ruchu rozlepiali propagandowe plakaty oraz pomagali w sprawnym sterowaniu tłumem. Dziesięć tysięcy ludzi całkowicie zablokowało ulice i stanowiło teraz jedną, zwartą masę, poruszaną wspólną wolą i celem.

Personel bezpieczeństwa, na którego plakietkach widać było symbole przeróżnych karteli, utworzył kordon, chroniący posiadłości ich panów, ale nie czynił nic, aby zagrozić drogę kroczącym demonstrantom. Nie dziwiło, że na ulicach nie było widać nikogo, kto nosiłby emblematy kartelu Shonai. Czasem ludzie podchodzili do strażników, zamieniali z

nimi kilka słów, ściskali ręce lub obejmowali, namawiając ich, aby dołączyli do demonstracji. W niektórych przypadkach ta metoda skutkowała, w innych nie. Nie było jednak widać oznak żadnej wrogości.

W miarę jak tłum coraz bardziej się rozrastał, organizatorzy protestu zaczęli zdawać sobie sprawę, że demonstracja przybrała zupełnie nowy, nieoczekiwany obrót. To już nie był zwykły pokaz siły i jedności robotników, ale bardzo niebezpieczne i groźne przedsięwzięcie. Taka masa ludzi na ulicach, pomimo pokojowej natury protestu, była krokiem w stronę otwartej rebelii. Wystarczyłaby najłżejsza prowokacja, aby władcy Pavonis użyli siły, próbując zdławić rodzący się bunt.

To, że bez wahania posuną się do takiego czynu, było więcej niż pewne. Nowopowstały Panteon Męczenników pełen był nazwisk tych, którzy na własnej skórze przekonali się, iż reżim Shonai jest gotów poświęcić życie własnych poddanych, byle tylko utrzymać się u steru władzy. Z niepokojem i strachem przywódcy demonstracji rozglądali się dookoła, szukając wzrokiem czarnych sylwetek Adeptus Arbitus.

Jak do tej pory stróżów prawa nie było widać, bowiem rozlokowani zostali wokół pałacu gubernatorskiego, strzegąc jego żelaznych bram oraz patrolując ulice, prowadzące do Placu Oswobodzenia.

W miarę jak ulice miasta zaczęły się poszerzać u podejścia wykładanych glazurą murów wewnętrznych, ludzie przyśpieszali kroku. Szerokie wrota były otwarte, a ich strażnicy porzucili swoje stanowiska, nie chcąc stanąć na drodze ogromnej masy ludzkiej.

Po przekroczeniu granic Wrót Brandona do demonstracji zaczęli przyłączać się nowi protestujący. Mieszkańcy miasta, pojedynczo, grupkami i całymi rodzinami, pragnęli stanąć ramię w ramię z robotnikami, pokazując, że nie akceptują tego, co dzieje się na Pavonis. Ludzie w roboczych łachmanach, kaskach górniczych i brudnych szmatach szli obok elegantów w ozdobnych kapeluszach, które warte były roczną pensją robotnika.

Tłum zwolnił, kiedy demonstranci musieli przedostać się przez bramy, a potem rozlał się na szerokie, otoczone drzewami ulice. Na twarzach ludzi malowała się duma i radość, że oto po raz pierwszy w historii ich głos będzie słyszalny nawet w komnatach pałacu gubernatora. Nastroje nadal były radosne, a ci, którzy chcieli skorzystać z okazji do wszczęcia awantury, byli szybko uciszani przez służby porządkowe manifestacji.

Pomimo wszystkich trudności, demonstracja Kolektywu Robotniczego zapowiadała się na spokojną.

Gubernator Shonai obserwowała ogromną rzeszę ludzką, która napływała ulicami

stolicy i poczuła, jak przechodzi ją dreszcz. Splotła ramiona na piersi, próbując odgadnąć, ilu ludzi mogło zebrać się tam na dole. Po chwili stwierdziła, że to nie ma większego sensu. Tysiące demonstrantów sforsowało mury pałacu i stratowało ogrody, które były oczkiem w głowie biologa planetarnego. Bezcenne gatunki ryb, które rozmnażał w stawach, zostały zdeptane, a same jeziora zmieniło w błoto, kiedy przetoczył się przez nie tłum.

Wszystkie przewidywania dotyczące możliwych wystąpień okazały się błędne. Wedle analityków taka demonstracja nie mogła mieć miejsca, bowiem za masami robotniczymi nie stała żadna zorganizowana siła. Każda z komórek Kolektywu Robotniczego była zajęta dyskredytowaniem wrogów ideowych i dbaniem o własną skórę, a nie organizowaniem protestów, a co dopiero demonstracji o takich rozmiarach.

Cóż... Gubernator zdecydowała, że analitycy właśnie stracili pracę. Patrząc na ogromną masę protestujących poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie będzie słuchała bzdur jakiegoś mądrali od przewidywania przyszłości.

„Czy to już koniec?” - powiedziała do siebie w duchu. - „Czy ludzie mają mnie już tak dosyć, że przyszli zabić gubernator Shonai?”.

A może to po prostu kolejne z nieszczęść, które miały spaść na jej głowę.

Spotkanie z adeptem Barzano dało jej odrobinę nadziei. Być może zachowa urząd i godność? Może jednak zdoła naprawić sytuację i zapewnić Pavonis spokój? Spoglądając teraz przez okno, zwątpiła w te mrzonki.

Nie widziała adepta Administratum od czasu pierwszego spotkania, gdy przybył na Pavonis w towarzystwie Ultramarines. Co prawda sierżant Learchus przewrócił pałac do góry nogami, kiedy okazało się, że Barzano zniknął, ale nawet po jego powrocie ze szpiegowskiej wyprawy, którą urządził sobie z tą Arbitratorką, nie miała okazji spotkać go osobiście. Mykła Shonai nie potrafiła odgadnąć, po co ci dwoje wybrali się do dystryktu fabrycznego, ale niepokoiły ją dziwne poczynania adepta. Cóż ciekawego mogło być w podejrzanych spelunkach i zadymionych habitatach, aby zwrócić na siebie uwagę ważnego urzędnika Administratum?

Jednak bardziej zaprzętało uwagę pani gubernator pytanie, czy adept Barzano miał jakiś kontakt z kapitanem Ventrisem. Do jej uszu dotarły wieści, że eldarscy piraci uderzyli ponownie, tym razem na jakieś stanowisko archeologiczne. Okręty floty obronnej systemu otworzyły ogień do piratów, a co najmniej trzech kapitanów donosiło o bezpośrednim trafieniu wrogiej jednostki, ale Shonai nie wierzyła tym raportom. Niemniej jednak nikt już nie mógł jej zarzucić, że ignoruje piracką działalność obcych i nie podejmuje żadnych kroków, aby jej zaradzić.

Zamysł, wedle którego kampania skierowana przeciwko eldarom miała odciągnąć de Valtosa od Talouna, nie wypalił. Jej wysłannik powrócił, przywożąc nic nie warte zapewnienia poparcia i oschłe podziękowania. Kasmir de Valtos nie obiecywał niczego, zbywał ją tylko gładkimi słówkami.

Po tym, co Mykola Shonai widziała na sali senackiej, nie była zaskoczona takim obrotem sprawy.

Jakby tego nie było dość, dzisiejszy poranny raport także nie należał do przyjemnych. Sędziowie donosili o zajściach, które sprawiły, że miała ochotę krzyknąć o pomstę do nieba.

Ostatniej nocy Adeptus Arbites aresztowali Beauchampa Abrogasa, który na wpół nagi biegał po północno-wschodnim dystrykcie fabrycznym, strzelając z pistoletu do każdego, kto się doń zbliżył. Kiedy Arbitratorzy przybyli na miejsce, odkryli, że kilka osób jest rannych, a sam Abrogas naćpany opiatixem, silnie uzależniającą i zakazaną substancją narkotyczną, działającą bezpośrednio na ośrodki mózgowe.

W chwili obecnej Abrogas znajdował się w celi pod komisariatem Adeptus Arbites i miał tam pozostać do momentu, kiedy jego rodzina w jakiś sposób go wydostanie. Shonai żywiła podejrzenia, że krewni pozwolą mu gnąć tam przez kilka dni i dopiero później pofatygują się po swojego syna marnotrawnego.

Ktoś cicho zapukał do drzwi jej gabinetu.

Kazała gościowi wejść i zobaczyła, że zza uchylonej połówki drzwi do środka zagląda Almerz Chanda. Skinęła mu głową i znów zaczęła wyglądać przez okno.

Coraz więcej ludzi napływało do miasta.

- Jest ich tak wielu, Almerz - szepnęła.

- Tak, widzę - zgodził się doradca.

- Nie życzę sobie dzisiaj żadnych kłopotów, zrozumiano? Wystarczy jeden niewłaściwy ruch, a ci ludzie rozniosą miasto na kawałki.

- Jestem pewien, że sędziowie wiedzą, co mają robić.

- To dobrze.

- Po wypadkach ostatniego tygodnia chyba zdają sobie sprawę, jak poważna jest dzisiejsza sytuacja.

Shonai jeszcze raz pokiwała głową, spoglądając na Plac Oswobodzenia, który prawie w całości wypełnił się ludźmi.

Na Imperatora, lepiej, żeby naprawdę tak było.

Nie tylko ona spoglądała na tłum, który gromadził się na pod statua Imperatora.

Czujni obserwatorzy, skryci na ostatnim piętrze budynku przylegającego do skweru, mieli zupełnie inne plany i nadzieje niż pani gubernator. Było ich dziewięciu. Szybko pozbyli się szarych uniformów robotniczych i przywdziali czarne mundury oraz napierśniki w tym samym kolorze. Ostrożnie pozbyli się wszelkich identyfikatorów oraz insygniów, które wrzucili do kosza na śmieci.

Ich dowództwo mieściło się w niewielkiej willi, należącej do kartelu Honan. Posiadłość została opuszczona jakiś czas temu i wszystkie meble zakryte były płachtami materiału, które miały zabezpieczać je przed kurzem. To była idealna kryjówka dla spiskowców.

Żaden z dziewiątki nie zareagował, kiedy do pokoju weszło jeszcze dwóch ludzi. Pierwszy szeptał coś do interkomu, dźwiganego przez drugiego mężczyznę.

Dowódca grupy nazywał się Amel Vedden. Oddał mikrofon przekaznika swojemu podwładnemu i w milczeniu spojrzął na wielotysięczny tłum, który zdążył już zgromadzić się na Placu Oswobodzenia. Ilość ludzi nie miała żadnego znaczenia, skoro posiadał środki i umiejętności, aby rozpędzić ten motłoch.

Wystraszyć demonstrantów potrafił byle idiota. Zadanie Veddena było jednak inne. Miał uderzyć szybko i bezlitośnie, aby przeciwnicy nie wiedzieli, kto ich właściwie atakuje. Potem będą już tylko jak oniemiała patrzeć na własną porażkę.

Amel nie zamierzał rozpędzać demonstrantów. Chciał obudzić śpiącego giganta i zmienić go w krwiożerczą bestię. To było jeszcze łatwiejsze zadanie.

Vadden był profesjonalistą i nie cierpiał pozostawiać najdrobniejszych nawet szczegółów przypadkowi. Z tego powodu na parterze rozstawił dziesięciu ludzi z miotaczami płomieni i bronią szturmową, a dach oczyszczono, aby ornitopter bez trudu mógł na nim wylądować.

Radiooperator zabrał woreczek z identyfikatorami i nieśmiertelnikami żołnierzy, a Vedden spojrzął na swoich ludzi, którzy ku jego zadowoleniu przebrali się już w czarne pancerze sędziów Adeptus Arbites. Większość jego podkomendnych uzbrojona była w strzelby śrutowe, ale dwóch wyposażonych zostało w niezgrabne i ciężkie granatniki z magazynkami bębnowymi. Napływający z wolna tłum wypełnił już prawie cały Plac Oswobodzenia, dlatego operację należało rozpocząć natychmiast

Podniósł swoją strzelbę, a dziewięciu „sędziów” ruszyło jego śladem jak jeden mąż.

Bezpieczni na połączonym dachu jednej z wież pałacu gubernatorskiego, Jenna Sharben, Ario Barzano i sierżant Learchus spoglądali na gromadzący się poniżej tłum.

Learchus zauważył, że Arbitratorka była bardzo nieszczęśliwa, musząc pozostawać z dala od Placu Oswobodzenia. Na dół ciągnęła ją albo chęć do bitki, albo poczucie obowiązku. Zapewne pragnęła być ze swoimi towarzyszami broni, co Kosmiczny Marine rozumiał bardzo dobrze.

Z początku Learchus był zawiedziony, kiedy kapitan Ventris rozkazał mu pozostać na Pavonis, ale gdy usłyszał powód tej decyzji, zmienił zdanie. Ostatecznie sam Maernus Calgar wymógł na nich przyrzeczenie, że adeptowi Barzano włos z głowy nie spadnie. Learchus zrozumiał odpowiedzialność, jaka spadła na jego barki i wagę zadania, którym obarczył go kapitan.

Poczucie obowiązku nie ułatwiało mu jednak życia. Nadal czuł żal i smutek, że omija go udział w bitwie. Na szczęście ukojenie przyniosły słowa Błogosławionego Pierworodnego, który zwykł mawiać: „Co Imperator dla ciebie przeznaczył, z pewnością cię nie ominie”.

Z miejsca, w którym się obecnie znajdowali, bez przeszkód mogli obserwować, jak mieszkańcy Pavonis zamierzają okazać swój gniew i niezadowolenie. Do uszu sierżanta dobiegały odległe i słabe dźwięki muzyki, której towarzyszyły śpiewy i okrzyki. Hałas przenikał nawet przez pancerne szkło.

Learchusowi nie przypadło do gustu to, co widział. Gdzie się podziała karność ludzi, gdzie ich duma z tego, że pracują na polepszenie bytu całego społeczeństwa? Takie masowe demonstracje nigdy nie mogłyby mieć miejsca na Ultramarze. Tam nikt nie widział potrzeby takiego wyrażania poglądów, bo też nigdy nie doszłoby tam do takiej serii katastrof, jaka zdarzyła się na Pavonis.

Na Macragge dyscyplinę wpajano ludziom od najmłodszych lat i biada mężczyźnie, który zapomniałby o lekcjach odebranych w dzieciństwie.

Arbitratorka raz za razem stawała na palcach, aby mieć lepszy widok na to, co działo się na placu. Szczególnie interesowało ją zachowanie tłumu, a także rozmieszczenie i poczynania Adeptus Arbites. Sędziowie nie rzucali się na razie w oczy i pilnowali porządku u bram pałacu oraz na prowadzących do niego podjazdach.

Butna lub nieodpowiedzialna taktyka mogła doprowadzić do kolejnych zamieszek. Learchus miał nadzieję, że tam na dole dowodzi ktoś o nerwach ze stali i z olejem w głowie.

Virgil Ortega pocił się we wnętrzu swego pancerza. Drżenie dłoni i suchość w ustach musiały być efektem ubocznym potwornej spiekoty, tak przynajmniej sobie to tłumaczył. Prawda była jednak taka, że ogromna masa ludzka, która napływała pod pałac gubernatorski, okazała się być przerażająca w swym ogromie. Wszystkie raporty, jakie dotychczas czytał,

wskazywały, że Kolektyw Robotniczy nie był w stanie zorganizować takiej manifestacji. Tymczasem dowód na pomyłkę wywiadowców znajdował się właśnie przed oczyma sędziego.

Linia Arbitratorów była solidna i stała niewzruszenie. Strzelby spoczywały zapięte w kaburach, a tarcze uniesiono do góry, aby stanowiły ochronę przed rzucanymi kamieniami. Za plecami sędziów stały zaparkowane transportery Rhino, a działka wodne na ich dachach czekały tylko na rozkaz, aby siknąć w kierunku demonstrantów.

Z pozoru tłum nie wyglądał na wrogo nastawiony, ale w przypadku wszystkich skupisk ludzkich, zwłaszcza tak wielkich, nigdy nie można było mieć całkowitej pewności. W jednej chwili panował spokój i porządek, a kilka sekund później mogło już dojść do ekscesów i aktów przemocy. Ortega poprzysiął sobie, że dzisiaj nie dopuści, aby wybuchły zamieszki, ale spokój na placu zależał też od tych, którzy kierowali demonstracją.

Arbitratorzy otrzymali rozkazy, aby nie sięgać po broń palną bez jego wyraźnego rozkazu. Ortega zerknął w kierunku Collixa. Choć spod wizjera hełmu nie widział twarzy sierżanta i wcześniej specjalnie postarał się, aby rozkazy dotarły do jego zakutej pały, to postanowił trzymać go jak najbliżej przy sobie.

Demonstranci zatrzymali się jakieś piętnaście metrów od stróżów prawa i znieruchomieli. Żaden z nich nie starał się podejść i namawiać sędziów, aby dołączyli do protestu. Nawet ze sporej odległości Ortega był w stanie dostrzec, że co najmniej tuzin ludzi wdrapało się na statuetę Imperatora i, wykorzystując szerokie schody prowadzące do pomnika, przemawiało stamtąd do zgromadzonych. Niektórzy z ludzi przynieśli ze sobą rogi myśliwskie i dęli w nie, kiedy chcieli uspokoić tłum. Przemawiający krzyczeli, wymachiwali rękoma, wskazując to na niebo, to na pałac.

Choć z powodu odległości Ortega nie był w stanie dosłyszeć słów, doskonale wiedział, do czego wzywają wicherzyciele. Lud miał powstać i obalić tyranie.

Każde z żądań, które wykrzykiwał mówca, kwitowała salwa okrzyków i braw. Ortega westchnął z ulgą.

Wyglądało na to, że mieszkańcy Pavonis nie planowali niczego groźnego.

Dziesiątka ludzi Veddena wychyłała ukradkiem z letniej rezydencji Honana i wmieszała się w tłum, gromadzący się w jednej z bocznych uliczek, które prowadziły do Placu Oswobodzenia. Zaułki pełne były demonstrantów, ale przebrani za Arbitratorów mężczyźni pewnie torowali sobie drogę, rozpychając zgromadzonych tarczami. Ich śladem ciągnęły się fale pełnych oburzenia krzyków, ale robotnicy byli posłuszni poleceniom, jakie

wydali organizatorzy protestu: za nic w świecie nie mogło dojść do wybuchu przemocy.

Demonstracja miała być pokojowym pokazem siły i jedności tych, którzy nie zgadzali się z poczynaniami gubernatora planety. Ludzie utyskiwali, ale nie stawiali oporu brnącym przez tłum sędziom.

Grupa dotarła w końcu na Plac Oswobodzenia i w linii prostej od szeregu Arbitratorów dzieliło ją niecałe pięćset metrów. Dokładnie naprzeciwko ponurej dziesiątki znajdowała się ogromna statua Imperatora, z podnóża której sześciu organizatorów wiecu wykrzykiwało przez megafony swoje żądania.

Vedden nawet nie próbował wsłuchać się w słowa.

- Formować klin! - warknął, a jego podwładni szybko wykonali rozkaz.

Vedden znalazł się na szpicy, dwie trójki fałszywych Arbitratorów ustawiły się po bokach, chroniąc pozostałych swoimi tarczami. Trzej ostatni przeładowali strzelby i schowali je ponownie do kabur.

- Idziemy!

Jak dziób statku tnący morskie fale, zaczęli przebijać się przez tłum, za cel obierając sobie posąg Imperatora.

Virgil Ortega czujnie obserwował tłum, szukając najdrobniejszych oznak, które mogłyby zwiastować kłopoty. Co prawda krzykacze z posągu Imperatora opowiadali się przeciwko przemocy, ale nieufność i podejrzliwość były częścią jego zawodu. Raporty spływające od pozostałych oddziałów potwierdzały jego obserwacje, jak do tej pory wiec przebiegał spokojnie i bez problemów.

Nagle uwagę Ortegi przykuło niezwykle poruszenie pośród tłumu i krzyki. Ku swemu zdziwieniu zauważył grupę sędziów, którzy przepychali się przez ciżbę. Bez wątpienia wyszli z uliczki po lewej i kierowali się ku posągowi Imperatora. Ortega obserwował ich ze zdziwieniem, zastanawiając się, co się u licha dzieje.

Czy to był oddział i co robił pośród tłumu? Kto nim dowodził?

Szybko zaczął wywoływać przez interkom poszczególne jednostki, ale wszystkie były na swoich pozycjach i nikt nie opuścił posterunku. Może dowództwo przydzieliło jakieś dodatkowe siły?

Natychmiast odegnał od siebie tę myśl. Nikt w sztabie nie byłby na tyle głupi, żeby rozlokować dodatkowe oddziały, nie informując przy tym nikogo w terenie.

Ortega poczuł, że pomimo panującego upału przechodzi go zimny dreszcz. Nieznajomi uformowali klin i zaczęli przeć przez tłum. Spojrzawszy w stronę, w którą

podążali, Ortega poczuł, jak dławi go strach.

- Niech to piekło pochłonie!

- Sir? - spytał Collix.

Ortega nie zwracał na niego uwagi, rzucił tarczę na ziemię i biegiem ruszył w stronę warkoczących na jałowym biegu transporterów Rhino. Kilkoma sprawnymi ruchami wspiął się na dach pojazdu i odsunął maskę hełmu. Zastukał we właz, który otworzył się ze szczękiem. Z wnętrza transportera wychyłała głowa kierowcy.

- Sir?

- Dawaj mi ten cholerny megafon!

Oficer zniknął na chwilę we wnętrzu pojazdu i wyłonił z niego kilka sekund później, trzymając mikrofon, który dowódca bezceremonialnie wyrwał mu go z ręki.

- Uwaga! Uwaga! - ryknął przez megafon, wciskając przycisk zasilania. - Tu sędzia Virgil Ortega, szóstka na posągu, złączyć stamtąd natychmiast!

Choć siła megafonu była wystarczająca, aby głos sędziego odbił się od przeciwległej ściany budynków, to nikt z tłumu nie reagował na polecenia, ignorując je całkowicie. Żaden z przemawiających nie wykonał rozkazu, jedynie kilku demonstrantów odpowiedziało obelgami i groźbami, ciśniętymi pod adresem Arbitratora.

Czy ci głupcy nie zdawali sobie sprawy z tego, że próbował ocalić im życie?

Ortega siarczyście zaklął pod nosem, zeskoczył z Rhino i ruszył przed siebie. Zbierając po drodze grupkę sędziów, a pośród nich Collixa, rozkazał:

- Uformować klin! Musimy się jak najszybciej przedrzeć do statuy! Ruszamy.

Z wyćwiczoną precyzją sędziowie sformowali szyk i podążając śladami Ortegi ruszyli przez tłum. Virgil wiedział, że muszą jak najszybciej dotrzeć do posągu.

Krzyki i pomruki tłumu, które towarzyszyły ich przemarszowi, przybierały na sile, ale Vedden je ignorował. Jego celem był posąg Imperatora, a każdy, kto nie zdążył na czas usunąć się na bok i stanął na drodze sędziów, był brutalnie odpychany na bok lub częstowany kuksańcem pałki. Niektórzy demonstranci próbowali się odwzięczyć kopniakami, ale ochronę sędziów stanowiły tarcze z pleksiglasu, które absorbowały siłę uderzeń.

Wkrótce już nikt nie próbował ich zatrzymać, a wszyscy unikali kontaktu z maszerującą grupą, rozstępując się potulnie.

Vedden usłyszał szorstki głos, niesiony ponad placem przez głośnik megafonu. Dowódca sędziów, stojący na masce Rhino, nawoływał do demonstrantów, aby odsunęli się od posągu. Mężczyzna machał rękoma, usiłując ich przekonać, ale ci idioci zupełnie go

zignorowali.

Zadanie robiło się łatwiejsze z minuty na minutę.

Tłum zafalował i przeszło go drzenie. Niczym fale mącące tafle wody, odepchnięci i pokrwawieni ludzie umykali z drogi prących ku pomnikowi sędziów. Dawało się słyszeć złowrogi pomruk tłumu, w którym rodził się bunt przeciwko brutalnemu zachowaniu stróżów prawa. Ludzie przemawiający z posągu Imperatora dostrzegli Veddena oraz jego kompanów i spoglądali ku nim nieufnie.

Obelgi i przekleństwa uderzyły w ich uszy, kiedy przywódcy demonstrantów zaczęli mówić o korupcji pośród urzędników, przemocy i przestępczości oraz bezradności sił porządkowych.

Tłum ze spokojnego nagle stał się nieprzyjazny, ale Vedden o to nie dbał. Jedyne, co się teraz liczyło, to fakt, że byli już prawie na miejscu.

Dotarli do schodów, które prowadziły do posągu Imperatora. Stał na nich pierścień potężnie zbudowanych mężczyzn, bez wątpienia ochraniających przywódców demonstracji. Vedden zatrzymał się krok przed nimi, a starszy, brodaty mężczyzna, jeden z mówców, podszedł doń i powiedział:

- Bracie, nie uczyniliśmy nic złego. Zebraliśmy się w pokoju, aby wyrazić nasze niezadowolenie. Nie będziemy sprawiać żadnych kłopotów.

Vedden przez chwilę spoglądał na niego w milczeniu, a potem wyjął z kabury strzelbę. Teatralnym gestem przeładował broń i wycelował ją w pierś mężczyzny.

Na oczach tysięcy ludzi pociągnął za spust, kładąc mówcę trupem na miejscu.

Jak w koszmarnym śnie Ortega obserwował dowódcę nieznanego mu oddziału sędziów, który wyciągnął broń z kabury i pociągnął za spust.

Huk wystrzału przetoczył się ponad Placem Oswobodzenia jak grom, a trafiony mężczyzna upadł na płyty niczym kukielka, której odcięto sznurki. Jego ciało, odrzucone impetem kuli, uderzyło o alabastrowe stopy figury Imperatora i pozostawiając za sobą szkarłatny ślad, osunęło się na ziemię. Krew strumykami spływała po schodach, a widok szarej materii wyciekającej z roztrzaskanej czaszki sprawiła, że otaczający zastrzelonego mężczyznę ludzie cofnęli się z obrzydzeniem w oczach. Morderca postawił ciężko obutą stopę na ciele i głowa zabitego pękła z przyprawiającym o mdłości trzaskiem, który zdawał się brzmieć równie donośnie co wystrzał.

Zabójcy w przebraniach sędziów zacieśnili szyk i zwarli tarcze, kiedy ich stojący w centrum formacji herszt przeładował broń i wziął na cel kolejnego z przywódców

manifestacji. Przerażeni ludzie usiłovali się kulić, ale ich wysiłki na nic się zdały, kiedy strzelba plunęła serią śmiertelnych pocisków. Kolejne ciała runęły na podium, gdzie wznosiła się statua Imperatora Ludzkości.

Virgil Ortega jak oniemiały obserwował tę krwawą scenę mordu. Zdał sobie sprawę, że nikt nie wyjdzie żywy z tej rzezi, chyba że stanie się jakiś cud.

Przerażona Mykola Shonai zacisnęła powieki, kiedy echo pierwszego wystrzału odbiło się od ścian Pałacu Imperialnego. Ze swojego okna widziała, jak pada pierwszy z zabitych i zdała sobie sprawę, że wypadki przybrały najgorszy możliwy obrót.

Została przekroczona ostateczna granica. Nic i nigdy nie będzie już takie samo jak dotąd.

Gdy Jenna Sharben zobaczyła ciała, staczające się w dół po schodach pomnika Imperatora, z jej ust wyrwał się okrzyk niedowierzania. Spojrzała bezradnie na Barzano, a na jej twarzy malowało się przerażenie. Adept spoglądał na rozgrywającą się przed nim tragedię z kamienną twarzą, a jedyną oznaką targających nim emocji były zaciśnięte pięści i zagryzanie dolnej wargi.

Jenna odruchowo ruszyła ku schodom, aby wspomóc sędziów, ale Barzano złapał ją za rękę z siłą, o jaką nigdy by go nie podejrzewała. Nieobecny wyraz jego twarzy ustąpił miejsca niezłomnej determinacji. Adept w milczeniu pokręcił głową.

Oderwał od niej wzrok i spojrzał na tłum, który kłębił się na Placu Oswobodzenia. Szybko oceniwszy sytuację, odwrócił się do sierżanta Learchusa i powiedział:

- Bracie Marine. Będę potrzebował was tam, na dole.

Z głosu Barzano zniknęła niedawna nuta jowialności i uległości. Zastąpił ją stalowy ton głosu człowieka przywykłego do wydawania rozkazów oraz do tego, że wykonywano je bez śladu wahania.

Learchus, który także spoglądał przez okno, musiał dojść do podobnych wniosków co Barzano, bo tylko skinął głową i spytał:

- Co mamy uczynić?

- Wszystko, co w waszej mocy.

Vedden wystrzelił w tłum kolejną serię pocisków, czerpiąc radość z okrzyków bólu, cierpienia i bezsilnej wściekłości demonstrantów. Ci, którzy znajdowali się tuż obok, panicznie próbowali uciekać, skryć się pośród kamratów, ale ścisk był tak wielki, że nie

mogli się ruszyć o więcej niż kilka centymetrów.

Co za pech, pomyślał Vedden, naciskając spust raz za razem. Dobrze było znów móc kogoś zabić, nawet jeśli to byli zwykli, głupi cywile. Vedden marzył o tym, żeby zamiast do nich móc strzelać do Arbitratorów, ale rozkazy, które otrzymali przed misją, były jasne i przejrzyste. Zabić jak najwięcej demonstrantów, porwać któregoś z przywódców i uciec.

To był bardzo dobry i przemyślany plan. Kolektyw Robotniczy będzie domagał się od Arbitratorów, aby zwolnili przywódcę demonstracji. Sędziowie będą twierdzić, że nikogo takiego nie przetrzymują, co zresztą będzie zgodne z prawdą. Rzecz jasna nikt nie będzie im wierzył, a ich tłumaczenia zostaną uznane za oszczerstwa i kolejny dowód na zepsucie, trawiące reżim kartelu Shonai.

Vedden przestąpił ponad pokrwawionym ciałem starca, który zginął od pierwszej kuli i podniósł z ziemi zapłakaną, mniej więcej dwudziestoletnią dziewczynę. Przerzucił ją przez ramię i nakazał ludziom odwrót. Porwana zaczęła się wić w uścisku, bijąc pięściami o napierśnik jego pancerza, ale przestała, kiedy zdzielił ją mocno w twarz.

Ludzie Veddena sformowali ciasny krąg i zaczęli ponownie przedzierać się przez tłum.

- Mamy już to, po co przyszliśmy. Czas się wynosić.

Choć krew zalewała mu oczy, a zbroja była wręcz poszatkowana odłamkami, Ortega nie zwracał na to uwagi, tylko energicznymi uderzeniami pałki powalił na ziemię jeszcze jednego z rozwrzeszczanych demonstrantów. Oblizął wargi, smakując krew, która przypominała mu o poniesionej porażce. Zawiódł całkowicie. Nie zdołał powstrzymać zabójców przed zamordowaniem przywódców wiecu, nie umiał opanować tłumu i utrzymać imperatorskiego ładu. Pozwolił, aby na Placu Oswobodzenia rozpętało się prawdziwe piekło.

Dźwięk wystrzałów z broni palnej, który zewsząd dobiegał do jego uszu, sprawił, że Ortega poczuł narastający ciężar w sercu. Jak bardzo pragnął, aby się okazało, że to nie jego ludzie strzelali. Jednak sytuacja wymknęła się spod kontroli i nie mógł wykluczyć, iż podwładni musieli otworzyć ogień. Z sekundy na sekundę wydarzenia przybierały coraz gorszy obrót i sędziowie walczyli już nie po to, aby opanować zamieszki, ale żeby ocalić własne życie.

Tłum ponownie naparł na linię stróżów prawa, a Ortega z wściekłością uderzył tarczą. Tylko kwestią czasu było, kiedy rozwścieczony tłum rozerwie szyki Arbitratorów i wszystkich ich zakatuje na śmierć. Musimy szybko coś zrobić, pomyślał.

Jakby w odpowiedzi na jego niewypowiedzianą prośbę rozległa się seria głuchych

huków i niespodziewanie kłęby białego dymu spowiły cały plac.

Ostatnia linia sędziów rozstawiona pod murami pałacu gubernatorskiego, wystrzeliła w tłum pociski z gazem duszącym. Mlecznobiałe opary spowiły rozsierdzonych demonstrantów, zapewniając sędziom możliwość przegrupowania sił i odparcia rozszalałej tłuszczy. Ortega powiedział sobie, że kiedy sytuacja zostanie opanowana, będzie musiał podziękować i wynagrodzić człowieka, który dał im szansę na opanowanie sytuacji. Kiedy pierwsze pasemka trującej mgły zaczęły docierać w pobliże linii stróżów prawa, Ortega opuścił maskę hełmu i włączył filtr powietrza.

Gdy kłęby gazu na chwilę się rozstały, dojrzał wycofujący się oddział fałszywych sędziów.

Mordercy przeciskali się pomiędzy grupkami miotających się bezładnie cywili. Ludzie przyciskali dłonie do łzawiących oczu i z trudem łapali oddech. Niektórzy, zapewne bardziej wrażliwi na działanie gazu, wymiotowali na bruk lub leżeli na ziemi, wstrząsani konwulsjami.

Dopiero teraz Ortega zdał sobie sprawę z przeraźliwego ryku, który docierał do jego uszu nawet pomimo osłony hełmu. Sędzia miał wrażenie, jakby jakaś rozwścieczona, ogromna bestia przebudziła się ze snu i chciała zemścić się na tych, którzy zakłócili jej spokój. Prawda była taka, pomyślał Ortega, że znajdowali się właśnie w trzewiach potwora.

Odegnawszy od siebie niepotrzebne myśli, ruszył w ślad za tymi, którzy rozpoczęli tę rzeź. Ich szlak znaczyli pobici ludzie i trupy.

Collix i sześciu naprędce zebranych sędziów ruszyło za nim. Nim zdążyli dołączyć do Ortegi, ten uderzył barkiem w robotnika, który rzucił się na niego, wymachując lewarem. W przekrwionych oczach mężczyzny nie było widać nic poza ślepą żądzą zemsty.

Nim któryś ze ściganych sędziów zdążył się zorientować, przemierzyli cały plac i znaleźli się w wąskiej uliczce, prowadzącej w głąb miasta. Przed sobą mogli dostrzec plecy uciekających zabójców, którzy bez wątplenia zmierzali do białego budynku na końcu ulicy.

Ortega zmell pod nosem siarczyste przekleństwo i wyszarpnął strzelbę z kabury. Uciekający znajdowali się zbyt daleko, a z opuszczonym wizjerem hełmu nie mógł dobrze wycelować. Mimo to pociągnął za spust, a wystrzelona kula trafiła uciekającego mordercę. Pocisk z broni Collixa także trafił w cel, jednak obydwaj zranieni zostali odciągnięci przez uciekających kamratów.

- Dalej! - krzyknął Ortega. - Za nimi! Nie możemy im pozwolić na znalezienie kryjówki!

Uciekający zatrzymali się i ku zdziwieniu Ortegi w mgnieniu oka sformowali karną linię. Choć sędziowie nie spodziewali się takiego obrotu sprawy, instynktownie zrobili to, co

wpajano im na szkoleniach. Ortega opadł na prawe kolano i skulił się za tarczą. Kiedy gruchnęła salwa i pociski trafiły w plastik, siła uderzenia o mało nie wyrwała jej z zaciśniętych dłoni Virgila. Tuż przed jego twarzą pojawiło się wgłębienie wielkości pięści, a zza pleców sędziów dały się słyszeć wrzaski demonstrantów. Ci najbardziej rozsierdzeni rzucili się w pogoń i teraz te pociski, które ominęły stróżów prawa, ścięły z nóg pierwszy szereg ścigających.

Ortega zerwał się na równe nogi i natychmiast padł jak rażony gromem, kiedy druga, niespodziewana tym razem salwa pocisków trafiła go w pierś i brzuch.

Ortega ryknął, bardziej z wściekłości niż z bólu, a u jego boku od razu znalazł się sierżant Collix.

- Jest pan ranny, sir?

Ortega mruknął coś niezrozumiale i wstał z ziemi. Kiedy się wyprostował, poczuł kłujący ból w piersi i skrzywił się mimowolnie. Rzut oka na napierśnik powiedział mu, że większość pocisków nie zdołała przebić płyty, jednak ziało w niej kilka dziur. Sączyła się z nich krew, a Collix patrzył na nie z wyraźną troską wymalowaną na twarzy.

Ortega pokręcił głową i mruknął:

- Nic mi nie jest. Pewnie mam złamane żebro albo coś w tym rodzaju. To nic poważnego.

Collix pomógł dowódcy stanąć na równe nogi i wspierał go, kiedy sędziowie dotarli do zakrętu uliczki. Obydwaj zakleli jak jeden mąż, kiedy zobaczyli, że uciekający zabójcy zdążyli zniknąć za grubymi, dębowymi wrotami, które prowadziły na parter jednego z dużych budynków.

Ortega pokuśtykał jeszcze kilka kroków, ale kłujący ból w piersi zmusił go do przystąpienia. Sędzia oparł się o ścianę i potarł dłońmi skronie. Świat wirował mu przed oczyma, zawodziła go ostrość widzenia.

Collix wyrzwał za róg, a potem obejrzał się na przelożonego i powiedział:

- Ruszajmy dalej, sir.

- Idźcie, idźcie... Dogonię was później - sapnął Ortega. Czy to możliwe - myślał - czy rana mogła być poważniejsza, niż mu się na początku zdawało? Każdy oddech przychodził z ogromnym trudem i okupiony był niesamowitym bólem.

Zaciskając zęby ruszył dalej, podążając w ślad za swoimi ludźmi. Szybki rzut oka za siebie powiedział mu, że nikt go nie ściga, co bardzo go zdziwiło. Ortega postanowił nie martwić się wyrokami losu, zwłaszcza, że opanowała go nagła fala nudności i zakręciło mu się w głowie. Oddychanie sprawiało mu ogromne trudności, gardło piekło, jakby przed chwilą

połknął pół hałdy tłuczonego szkła. Wysiłkiem woli zdołał zignorować ból i tylko zagryzł wargi, aż popłynęła z nich krew. Krok za krokiem uparcie parł do przodu.

Sędziowie dotarli do wrót, za którymi zniknęli mordercy. Pod dowództwem Collixa szykowali się do szturm, a Ortega nie mógł nie zauważyć, w jak przewidujący sposób są dowodzeni przez jego zastępcę. Dwóch sędziów podłożyło ładunki wybuchowe pod zawiasy i kiedy bomby eksplodowały, trzeci z nich celnym kopniakiem podkutego żelazem buta wyważył drzwi z framugi.

Szturmujących stróżów prawa powitała kanonada z broni maszynowej. Sędzia, który otwierał drzwi, został ścięty celną serią, ale Collix i reszta zdołali uniknąć strzałów i skryć się poza zasięgiem karabinu.

Biegając zakosami, Ortega zdołał dopaść do swoich ludzi i przylgnął plecami do ściany. Collix wychylił się z kryjówki i oddał kilka strzałów w stronę ciemnego otworu wrót, ale kolejna seria z broni maszynowej zmusiła go do schowania się za załosem.

Ortega szybko i ostrożnie wychylił się za róg i zdążył spostrzec czterech albo pięciu mężczyzn, uzbrojonych w ciężkie karabiny maszynowe, broń automatyczną i miotacz płomieni, którzy kulili się za prowizorycznym umocnieniem z worków z piaskiem. Ortega zaklął szpetnie. Każdy, kto zamierzał zaglądać do wnętrza korytarza dłużej niż przez sekundę, musiał pożegnać się z życiem. Kolejna seria z broni automatycznej sprawiła, że poszukał osłony za rogiem.

Collix i jego ludzie od czasu do czasu ryzykowali oddanie kilku strzałów, ale ich dubeltówki nie były w stanie równać się z bronią maszynową, zwłaszcza że bandyci doskonale wiedzieli, jak się z nią obchodzić. Kolejna seria rozniosła w puch cegły i tynk, ale tym razem pociskom towarzyszyły też płomienie. Miotacz ognia plunął strugą łatwopalnej cieczy i ściany budynku zajęły się żywym ogniem. Sędziowie odskoczyli na bok, chroniąc się przed żarem.

Jężory płomienia zaczęły tańczyć w powietrzu, rzucając cienie na zakamarki uliczki. Smugi gazów bojowych znad Placu Oswobodzenia zaczęły docierać także w głąb zaułków. Z kłębow oparów wyłoniło się kilka masywnych kształtów, którym Ortega przyglądał się ze zdziwieniem. Czy to zawodził go wzrok, zmysły płatały mu figle i mamił go ból, czy rzeczywiście z skłębionego gazu wyłoniły się majestatyczne postacie Kosmicznych Marines?

Sytuacja była patowa. Jeśli spróbują szturmować pozycje ufortyfikowanych bandytów, z pewnością zginą. Kolejne jeżory płomieni liznęły rozwarte wrota i wystrzeliły ku niebu.

Szeroki cień padł na Ortegę, kiedy masywna postać stanęła za jego plecami. Chwilę

później gigant stanął w otwartych wrotach prowadzących do domu i powitała go kanonada wystrzałów oraz huk szalejących płomieni. Ukryci za prowizorycznym okopem ludzie jak szaleni pruli z broni automatycznej.

Nieruchomy olbrzym stał pośród gorejących płomieni, nie zwracając uwagi na świszczące kule i odłamki odbijające się od jego zbroi. Niczym niepokonany bóg wojny skierował swoją broń na wrogów i otworzył ogień. Ortega przetarł oczy ze zdumieniem, kiedy przekonał się, że w sukurs przyszedł im nie jeden wielkolud, ale ośmiu.

Gdy spojrzenie Kosmicznego Marine padło na skulonego Arbitratora, ten mimowolnie zadrżał.

- Zajmiemy się umocnieniami, sędzio - powiedział donośnym i dudniącym głosem, zniekształconym przez system komunikacyjny helmu.

Ortega pokiwał tylko głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu i skinął dłonią w kierunku domu.

- Czujcie się jak u siebie - wydusił w końcu.

Sierżant Learchus kiwnął głową, pokazując, że zrozumiał, a potem jak burza runął przez płonące drzwi. Jego bolter plunął strumieniem śmiertelnych pocisków, siejąc zniszczenie i pożogę. W ślad za Learchusem ruszył Cleander, a pozostali Ultramarines rozwinęli się w tyralierę. Strzelali nieprzerwanie. Nie dać wrogom okazji do przegrupowania się i wzmocnienia obrony. Bezpośrednie zagrożenie zostało zneutralizowane, kiedy ostatni z mężczyzn za barykadą został rozerwany na strzępy przez kule. Niestety do walki włączyli się obrońcy z piętra wyżej, uzbrojeni w karabiny szturmowe i pistolety. Korzystając z przewagi wysokości obrali sobie za cel Kosmicznych Marines.

Wnosząc z głuchych trzasków, jakie wydawała przy strzale broń, były to karabiny maszynowe. Choć użyte przeciwko zwykłym ludziom miały ogromną siłę rażenia, to w konfrontacji z pancerzem energetycznym okazywały się bezsilne. Płomienie wciąż jeszcze pełgały po jego napierśniku, a rykoszety odbijały się od naramienników, ale Learchus nie zwracał na nie uwagi. Obrócił się na pięcie, wycelował i strzelił. Krzyki trafionych świadczyły dobitnie o tym, że kule sięgnęły celu.

Widok zbryzganej krwią ruiny, w jaką zmieniły się umocnienia z wypełnionych piachem worków, nie wzbudził w Kosmicznym Marine ani litości, ani żalu. Ci ludzie zasłużyli sobie na taki koniec, stwierdził w myślach, a potem wyważył barkiem drzwi, które prowadziły do wnętrza budynku. Drewniane wrota rozpadły się w drzazgi, kiedy Ultramarines wpadli przez nie do kolejnego pomieszczenia. Learchus wiedział, że nie mają

zbyt wiele czasu. Jego nadludzko czuły słuch, wzmocniony jeszcze systemem sensorycznym hełmu, informował go, że do budynku zbliża się ornitopter, a to mogło oznaczać tylko jedno: bandyci mieli przygotowaną drogę ucieczki.

Kolejna seria przeorała podłogę tuż przed sierżantem, roztrzaskując mozaikową posadzkę w drobny mak. Learchus przetoczył się na bok i, trzymając w obu rękach jednoręczne boltery, odpowiedział ogniem. Napędzane raketowo pociski nie chybiły i trafiony bandyta w mundurze sędziego runął ze schodów. Był martwy nim jeszcze dotknął podłogi. Sierżant machnął ręką w stronę schodów i powiedział:

- Zdrajcy będą na dachu, skąd mają ich podjąć ornitoptery. Nie możemy im na to pozwolić.

Ultramarines kiwnęli głowami i ruszyli za swoim dowódcą, który przeskakiwał po pięć schodków naraz.

Galeryjka zaprowadziła ich do długiej, wyłożonej kafelkami sali, której ozdobą były rzeźby, teraz przykryte białymi płachtami, mającymi je uchronić przed kurzem. Kolejne, tym razem węższe schody prowadziły na górę, na sam dach budynku. Z otworu, którym się kończyły, pobłyskiwało światło słońca.

Szum silników nadlatujących ornitopterów był jeszcze wyraźniejszy.

Learchus ruszył przed siebie biegiem. Nie zauważył, że zza jednego z posągów wyłonił się kolejny z napastników i wycelował w jego szerokie plecy. Nim zdrajca zdołał pociągnąć za spust, Oleander położył go pojedynczym, celnym strzałem, który roztrzaskał głowę fałszywego sędziego na kawałki. Ostatnie stopnie prowadzące na dach Learchus pokonał jednym susem.

Amel Vedden obserwował dwie niewielkie plamki na niebie. Ornitoptery zbliżały się potwornie wolno, nadwerężając jego nerwy do granic wytrzymałości. Z goryczą zauważył, że jeden aż nadto wystarczałby, aby podjąć pozostałą przy życiu siódmkę jego ludzi. Ta misja kosztowała go wielu żołnierzy, ale jakoś nie potrafił ich żałować.

Cóż to było za zadanie!

Kto mógł się spodziewać, że na dodatek wpłaczą się Kosmiczni Marines? Za to niespodziewane niebezpieczeństwo będzie musiał zażądać dodatkowej premii. Spojrzał na nieprzytomną dziewczynę, którą nadal trzymał przerzuconą przez ramię, i uśmiechnął się na myśl o tym, co jej zrobi, kiedy będą już bezpieczni.

Odgłos kanonady z galerii sprawił, że Vedden z niepokojem obejrzał się za siebie.

Czy te cholerne ornitoptery nie mogłyby się trochę pośpieszyć?

Podobne owadom statki powietrzne zbliżały się niemiłosiernie powoli. Działka i wyrzutnie rakiet, podążające za ruchami głowy pilota, obracały się i omiatały okolicę. Ornitoptery zatoczyły jedno koło, potem drugie... Dlaczego nie lądują? - pomyślał zaniepokojony.

Odgłos ciężkich kroków sprawił, że Vedden obrócił się na pięcie i sięgnął po broń. Przytknął ją do głowy dziewczyny i spojrzał na pięciu Kosmicznych Marines, którzy stali na dachu, mierząc do niego z bolterów.

Ludzie Veddena wzięli ich na muszki swoich dubeltówek, ale żaden nie ośmielił się pociągnąć za spust.

Powietrze, a nawet sam czas, zamarły. Łopot nadlatujących ornitoptarów stał się nagle odległy i zmieszał z dźwiękami zamieszek, które wybuchły w mieście. Stojąc naprzeciwko legendarnych wybrańców Imperatora Vedden poczuł, jak miękną mu nogi, a usta pierzchną i robią się zupełnie suche.

Kosmiczni Marines. Jak z nimi walczyć? Czy zwykły człowiek jest w stanie cokolwiek im zrobić? Vedden nie wiedział, czy starczy mu odwagi i tylko nerwowo oblizywał wargi.

Nigdy nie było mu dane poznać odpowiedzi na to pytanie. Nim zdążył cokolwiek postanowić, ornitoptery otworzyły ogień.

Ciężkie działa szturmowe plunęły ogniem, orząc beton i rozrywając ludzi na strzępy. Oczekujący na ratunek żołnierze zostali w jednej chwili zmasakrowani, kiedy amunicja dużego kalibru, przystosowana do zwalczania opancerzonych celów, zalała deszczem ołowiu cały dach. Vedden wrzasnął przeraźliwie, kiedy jeden z pocisków urwał mu nogę w kolanie. Upadając na ziemię, pociągnął za sobą przerażoną dziewczynę.

Ultramarines rozproszyli się po całym dachu, odpowiadając ogniem, ale ich boltery miały zbyt małą siłę rażenia, żeby zagrozić opancerzonym ornitoptarom.

Learchus rzucił się do przodu, by osłonić ciałem dziewczynę. Opadł na beton, kuląc się nad nią, uważając jednocześnie, aby nie zmiażdżyć jej swoim ciężarem. Pociski uderzyły w ochraniający jego plecy pancerz, a Kosmiczny Marine zmówił w duchu krótką modlitwę do ducha zbroi, dziękując mu za osłonę, jaką zapewniał.

Nagle karabiny zamilkły, a ornitoptery zaczęły się wznosić. Skoro ich zdradziecka misja została zakończona, załogi nie zamierzały się narażać na starcie z Kosmicznymi Marines. Pociski z bolterów pofrunęły za nimi, ale wkrótce statki powietrzne znalazły się poza ich zasięgiem.

Learchus podniósł się z klęczek i delikatnie unióś dziewczynę. Cała była

pokrwawiona, choć nie mógł stwierdzić, czy odniosła jakieś rany. Na pierwszy rzut oka nie jej nie było i Kosmiczny Marine miał nadzieję, że się nie mylił.

Porywacz, który leżał tuż obok, szklistymi oczyma wpatrywał się w niebo i jęczał z bólu. Jego oddech był nierówny i urywany, a z ust dobywały się żalosne błagania o pomoc. Palce obydwu dłoni zaciskał na kikucie nogi, ale i tak pomiędzy nimi tryskały fontanny krwi. Cleander szybko opatrzył jego rany i zacisnął bandaże, mając nadzieję, że przywódca bandytów przeżyje. Nie kierowało nim współczucie, ale przeświadczenie, że ranny może okazać się cennym źródłem informacji.

Z Placu Oswobodzenia dobiegały odgłosy walk, a Learchus dostrzegał tryskające w górę jezory płomieni i dym, ścielący się ponad miastem. Mieszkańcy Pavonis mścili się za wyrządzone im tego dnia krzywdy w jedyny sposób, w jaki znali.

Fala zniszczenia przetaczała się przez miasto aż do zmierzchu. Bandy rozwścieczonych robotników włóczyły się po brukowanych ulicach, mordując każdego z mieszkańców Wrót Brandona, który miał nieszczęście wejść im w drogę. Tłum demolował budynki, niszczył pomniki, dewastował ogrody i parki, palił, rabował, wyładowując nagromadzoną w sobie agresję.

Pożary, nad którymi nikt nie panował i których nikt nie próbował gasić, strawiły wiele budynków, a całe dzielnice zmieniły się w wypalone zgliszcza. Przerażeni ludzie w panice uciekali, kiedy robotnicy włamywali się do ich domów i kradli wszystko, co przedstawiało sobą jakąkolwiek wartość. Tych, którzy odważyli się bronić swojego dobytku i sięgnęli po broń, tłuszcza rozrywała na strzępy. Gromadzone przez lata bogactwa i dzieła sztuki zostały rozkradzione lub zniszczone.

Niektórzy z organizatorów demonstracji próbowali opanować gniewny tłum, ale ich nawoływania i prośby pozostały bez odzewu. Ich autorytet prysł, podobnie jak władza nad protestującymi.

Sędziowie doskonale zdawali sobie sprawę, że tłumienie zamieszek nie miało w chwili obecnej najmniejszego sensu. Wyjście na ulice równało się śmierci i ponownemu rozogonieniu walk. Z tego powodu Arbitratorzy wycofali się do pałacu, gdzie dodatkowo chroniły ich wysokie mury oraz działka wieżyczek obronnych. Kilkudziesięciu demonstrantów próbowało szturmować wrota, ale wszyscy zginęli od ognia systemów obronnych.

Oddziały, które pozostawiono, aby strzegły dróg dojazdowych do miasta, szybko zdały sobie sprawę, że zdane są na własne siły. Nie mogąc wycofać się do kwatery głównej,

sędziowie szukali schronienia w okolicznych bunkrach. Przez wiele godzin desperacko odpierali ataki tłumu, aż wreszcie pojazdy latające z kwatery głównej zdołały ich ewakuować i przewieźć do Pałacu Imperialnego.

Podobny los czekał zebrany naprędce oddział Virgila Ortegi, który pod osłoną Ultramarines musiał zaczekać na przybycie ornitopterów. Sędzia co chwilę tracił i odzyskiwał przytomność, ale kiedy poczuł nad sobą zimne strugi sprężonego powietrza, ogarnął go paniczny strach. Wydawało mu się, że za chwilę ornitoptery otworzą ogień i dokończą dzieła, które rozpoczęły jakiś czas wcześniej. Dopiero po chwili zrozumiał, że oznaczają one ratunek. Te pojazdy latające przybyły, aby przetransportować ich do bazy.

Ortega, ranny bandyta i reszta sędziów wsiedli na pokład ornitoptera, jednak pilot stwierdził, że ośmiu Kosmicznych Marines jego maszyna już nie udźwignie. Obiecał jednak, że natychmiast po przetransportowaniu Arbitratorów na miejsce wróci po pozostawionych samym sobie Ultramarines.

Ze śmiertelnie poważną miną Learchus odparł, że on i jego podkomendni sami zadbają o swoje bezpieczeństwo i wrócą do pałacu o własnych siłach. Powiedział także, że zbiorą i wycofają wszystkie oddziały sędziów, jakie spotkają po drodze.

Kiedy zapadł zmrok, wściekłość robotników nie osłabła. Wciąż wybuchały nowe pożary. Całe dzielnice tonęły w ciemnościach, bowiem ich mieszkańcy obawiali się zapalać światła, aby nie ściągnąć na siebie uwagi złoczyńców.

Później okazało się, że tego dnia życie straciły cztery tysiące ludzi. Śmierć ponieśli w walkach, napadach i pożarach. Na Pavonis bardzo długo opłakiwano tę tragedię.

Nocny chłód ostudził emocje i z początku powoli, ale potem coraz szybciej demonstranci zaczęli opuszczać miasto. Mimo to wielu robotników pozostało, wyładowując swoją frustrację na mieszkańcach Wrót Brandona. Niektórzy później żalowali swoich czynów, ale znaleźli się też tacy, którzy chętni byli nimi.

Z beznamiętnym wyrazem twarzy Ario Barzano obserwował, jak pałacowy medyk operuje rannego bandytę. W miejscu, gdzie było kiedyś kolano, teraz ziała otwarta, żywa rana. Adept widział już takie obrażenia niejednym razem i wiedział, że pomimo szoku ranny przeżyje.

Tym gorzej dla niego.

Choć na razie był nieprzytomny, to już wkrótce za sprawą pompowanych dożylnie środków przeciwbólowych odzyska zmysły. Wtedy Barzano będzie mógł zadać mu kilka pytań.

Ranny leżał na stole operacyjnym, przypięty do niego skórzanymi pasami. Opatrunek, który brat Cleander założył mu na dachu, ocalił życie bandyty. Barzano z ponurą satysfakcją pomyślał, że ten człowiek już wkrótce pożałuje, iż nie umarł szybką, w miarę bezbolesną śmiercią.

Tuż obok zdrajcy leżał sędzia Ortega. Jego przypominająca beczkę klatka piersiowa obwiązana była bandażami. Wystrzał z dubeltówki złamał dwa żebra mężczyzny, a końcówka jednego z nich przebiła lewe płuco. Sędzia miał szczęście, że w ogóle przeżył. Z przekleństw oraz inwektyw, jakimi obrzucał opatrujących go medyków, Barzano wnioskował, że to zwykły upór i złośliwość utrzymały go przy życiu.

Miejsce obok adepta zajęła Jenna Sharben. Cichym głosem odczytywała raporty, opisując wydarzenia, które umknęły uwadze Barzano. Choć Ortega był nieprzytomny ledwie kilka godzin, to w tym czasie wiele się wydarzyło. Głos Arbitratorki ani na chwilę nie zadrżał, kiedy czytała długą listę zabitych sędziów.

Barzano dostrzegł jednak, że pod maską kamiennego spokoju czają się targające nią emocje.

Trzecim pacjentem w ambulatorium była dziewczyna, którą bandyta porwał spod statuy Imperatora. Choć brat Learchus w swoim raporcie zaznaczył, że dziewczyna była cała pokrwawiona, to okazało się, że z opresji wyszła praktycznie bez szwanku. Lekarze wyjęli spod jej skóry wiele śrucin, jakimi strzelano z dubeltówek, opatrzyli skaleczenia i zaaplikowali leki, które miały zniwelować objawy wstrząśnienia mózgu. Na koniec zabiegu podano jej środek uspokajający i teraz dziewczyna spała.

Za plecami Barzano stali sierżant Learchus, gubernator Shonai i Almerz Chanda. Cała trójka w ciszy czekała, aż medyk skończy swoją pracę. Adept odwrócił się do nich i podszedł wolnym krokiem. Skinieniem głowy podziękował Learchusowi za jego postawę podczas walk. Zbroja Kosmicznego Marine poznaczona była wgłębieniami i osmalona sadzą, zwłaszcza w miejscach, gdzie trafiły ją pociski, ale sam żołnierz nie odniósł żadnych obrażeń.

Ario obrzucił spojrzeniem gubernator Pavonis. Mykola Shonai postarzała się w ciągu ostatnich godzin o dobre dziesięć lat. Siwe włosy zwisały luźno, opadając nieskładnie na ramiona. Na twarzy widać było zmarszczki, których jeszcze wczoraj tam nie było. Tylko Chanda zdawał się pozostawać niewzruszony ostatnimi wypadkami.

- To był straszny dzień - powiedział Barzano, kładąc dłoń na ramieniu Mykoli.

Kobieta pokiwała twierdząco głową, zbyt przejęta, aby wydobyć z siebie głos. Chanda podał jej czytnik danych, na ekranie którego znajdowało się podsumowanie zabitych i rannych w dzisiejszych rozruchach. Na widok liczb Shonai zachwiała się i opal nie upadła.

Barzano podtrzymał kobietę, a potem delikatnie przytulił. Gładził ją po włosach, kiedy płakała, ale ponad ramieniem rzucił twarde spojrzenie Chandzie.

- Wyjdź - syknął prawie niedosłyszalnie.

Almerz Chanda chciał zaprotestować, ale jedno spojrzenie w oczy adepta uciszyło go na dobre. Skłonił się dwornie i wyszedł z pokoju.

Barzano obejmował Mykolę przez kilka minut, a kobieta pozwoliła wreszcie, aby lata niepowodzeń, nerwów i ciągłej walki uszły z niej w cichym łkaniu. Kolejne spazmy raz po razie wstrząsały jej ciałem, a Ario nie protestował, wiedząc, że na każdego przychodzi taka chwila, kiedy musi choć na chwilę pozbyć się brzemienia władzy i złożyć jej ciężar na czyjeś barki.

W końcu Mykola Shonai uspokoiła się i opanowała łkanie. Spojrzała przekrwionymi i zapuchniętymi oczyma na Barzano, a ogień, który tlił się w nich podczas starcia w parlamencie, teraz ponownie zapłonął jasnym światłem. Otarła twarz chusteczką, którą dyskretnie podał jej adept i zaczerpnęła głęboko tchu. Uśmiechnęła się blado, wyprostowała plecy i związała włosy w warkocz.

Jej spojrzenie padło na rannego bandytę, który leżał na łóżku. Do tej pory jej wrogowie pozostawali bezimienni, niewidoczni i zawsze ulotni jak cienie. Jednak teraz jeden z nich wpadł w jej ręce i wreszcie miała trop, który mógł ją doprowadzić do inicjatorów tego diabelskiego spisku. Wreszcie będzie mogła odegrać się na swoich wrogach. Lekarze twierdzili, że człowiek będzie nieprzytomny jeszcze przez kilka dni, ale kiedy się obudzi, będzie zdany na łaskę i niełaskę gubernator Pavonis.

A ona nie zamierzała okazywać mu litości.

Kilka godzin później Ario Barzano, Jenna Sharben, Mykola Shonai, sierżant Learchus, Almerz Chanda i Leland Corteo zebrali się w prywatnych komnatach pani gubernator. Zasiedli wokół dużego, drewnianego stołu, na środku którego stał duży dzbanek z parującą, gorącą kawą. Barzano nalał każdemu filiżankę. Tylko Learchus grzecznie odmówił. Większość zgromadzonych w gabinecie ludzi była bardzo zmęczona, jedynie gubernator Shonai przechadzała się energicznie od jednego kąta pokoju do drugiego. Zatrzymała się na chwilę przed popiersiem Forlanusa Shonai i poklepała je po ramieniu.

Corteo stwierdził w duchu, że jej uśmiech przypominał wilczy grymas.

Mykola podeszła do swojego miejsca, upiła łyk kawy i powiedziała:

- Przejdźmy od razu do rzeczy. Mamy wielu wrogów, co o nich naprawdę wiemy?

Jenna Sharben postawiła na stole torbę i wysypała na blat całą jej zawartość: kilka

nieśmiertelników, zapalniczkę, niewielki składany scyzoryk oraz inne żołnierskie drobiazgi.

- To są rzeczy, które znaleźliśmy u jednego z żołnierzy, wyciągniętych z budynku. Najprawdopodobniej ta gnida pełniła funkcję radiooperatora. Reszta pozostawiła go w bazie i ruszyła wykonać zadanie, a on tymczasem miał wezwać ornitoptery. Wydaje mi się, że nie spodziewali się zdrady z ich strony.

- Czy wiemy, skąd i dokąd odleciały te statki?

- Obawiam się, że nie - odparł Almerz Chanda. - Nasze systemy nasłuchowe i wczesnego ostrzegania były wtedy wyłączone. Przeprowadzano ich rutynową konserwację.

- Świetnie - warknęła sarkastycznie gubernator. - Co w takim razie wiemy o ludziach, którzy zaatakowali demonstrantów? Ich nieśmiertelniki chyba coś mówią, prawda?

- Tak, proszę pani - przytaknęła Jenna Sharben. - Wszyscy zabici należeli do Sił Obrony Planetarnej. Najwyższy rangą był kapitanem i to chyba jego trzymamy teraz w ambulatorium.

- Czy ten zbir jakoś się nazywa? - spytał Barzano.

Sharben skinęła głową i odparła:

- Amel Vedden, oficer skoszarowany w garnizonie Kharon.

- To jeden z regimentów powołanych za pieniądze Talounów - zauważył Chanda.

- Czy ten człowiek ma jakąś kryminalną przeszłość?

Jenna Sharben pokręciła przecząco głową.

- Dysponujemy w ogóle jakimiś danymi na jego temat?

- Nie. Wszelkie informacje o nim zostały niedawno usunięte z archiwum.

Barzano spojrzał na Shonai i spytał:

- Kto mógł tego dokonać? Z tego, co mi wiadomo, jedynie oficer dowodzący regimentem może usunąć informacje o swoich podkomendnych.

Shonai w lot zrozumiała, do czego zmierza Barzano.

- To oznacza, że możemy spodziewać się zdrady ze strony całego regimentu SOP - przez chwilę gubernator siedziała bez ruchu, poczym szpetnie zakłęła pod nosem. - To prawie pięć tysięcy ludzi.

Zapadła cisza, podczas gdy Mykola rozważała coś w duchu. W końcu podjęła decyzję i powiedziała:

- Myślę, że czas ogłosić mobilizację. Musimy dysponować jakimiś siłami do chwili, kiedy będziemy pewni, kto stoi po naszej stronie, a kto jest przeciwko nam.

- Ile czasu zajmie mobilizacja? - spytał Barzano, spoglądając na Lelanda Corteo.

Mężczyzna westchnął ciężko i zaciągnął się dymem z nieodłącznej fajki.

- Ciężko powiedzieć - odparł w końcu. - Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni została ogłoszona mobilizacja na dużą skalę. Sytuacja, która zmusiła nas do tego, miała miejsce za czasów ojca pani gubernator.

- To mnie nie interesuje. Chcę dokładnej odpowiedzi. - naciskał Barzano.

- Zapewne dwa albo trzy dni, jeśli poborowi odpowiedzą na wezwanie. A w to śmiem wątpić, bowiem wielu z nich było dzisiaj na Placu Oswobodzenia.

- „Vae Victus” i kapitan Ventris powrócą na Pavonis w ciągu dwóch lub trzech dni - wtrącił sierżant Learchus. - Wtedy będzie miała pani do swojej dyspozycji także kompanię Ultramarines.

- Dziękuję panu, sierżancie. Jestem bardzo wdzięczna za okazywaną pomoc. Postawa Kosmicznych Marines przynosi chlubę waszemu Zakonowi.

- Służymy Imperatorowi - odparł Learchus i skłonił głowę.

Mykola Shonai upiła kolejny łyk kawy, a potem powiedziała:

- Jakimi jeszcze informacjami dysponujemy? Do kogo należał dom, z którego dokonano wypadu?

- To akurat udało nam się bez trudu ustalić - odparł Almerz Chanda, a na jego twarzy odmalowała się ulga. - Wyciągnął z teczki plik dokumentów i położył je na blacie przed sobą. - Właścicielem posesji i budynku jest Taryn Honan. To jego letnia rezydencja.

- Honan? - Leland Corteo nie potrafił ukryć zdziwienia. Prawie połknął fajkę, kiedy usłyszał to nazwisko. - Nie wierzę! Ten tłusty głupiec? To na pewno jakaś pomyłka!

- Tak wynika z dokumentów. Widać to jasno, czarno na białym - odparł Chanda, stukając palcem w papiery.

- To nie ma najmniejszego znaczenia - przerwał im Barzano. - Ktokolwiek stał za tym zamachem, wszystko dokładnie zaplanował. Od początku nie zamierzali podjąć z dachu swoich żołnierzy, nawet po udanej misji. Wątpię, aby Honan stał za zorganizowaniem dzisiejszych rozruchów, a nawet jeśli to on, nie byłby aż tak głupi, żeby urządzić bazę wypadową w swoim domu. Choć z drugiej strony nie zawadzi go przepytac i postraszyć.

- Co to oznacza dla nas? - spytała Jenna Sharben.

- Mnóstwo pracy - odparł z uśmiechem Barzano.

Kasmir de Valtos szturchnął kotlet widelcem i zmusił się, aby przełknąć kolejny kęs obiadu. Nie czuł w ogóle smaku potrawy, a jedynie krew, która ściekała w głąb gardła i przyprawiała go o mdłości.

Kilka łyków wina pozwoliło mu uwolnić się od smaku zgnilizny, jaki zostawiło po

sobie jedzenie. Choć winogrona, z których zrobiono trunek, należały do najbardziej poszukiwanych w całym systemie, to dla niego smakowały jak pospolity sikacz.

Kolejna reminiscencja tortur, jakie przetrwał.

Już wkrótce nie będzie to miało znaczenia. Lasko poinformował go, że jego ludzie niedługo przewiercą ścianę i dotrą do komnaty. Słyszając te wiadomości, de Valtos ledwie zdołał się opanować. Tak bardzo chciał zobaczyć ten widok na własne oczy. Na samą myśl o odkryciu ścisnął widelec tak mocno, że jego ząbki zgięły się w pół. Szybko schował dłoń pod stół.

Jego gość powiedział coś tak trywialnego i nieistotnego, że nawet tego nie słuchał. Odparł podobnym banałem i uśmiechnął się uroczo. Prawda była taka, że nie zwracał wcale uwagi na to, co się do niego mówi. W ustach czuł suchość, więc wychylił kolejny kieliszek wina.

Gdzieś pod stołem jego dłoń wybijała widelcem równy rytm, a powykrzywiane ząbki raz za razem zagłębiały się w udo de Valtosa. Krew wsiąkała w jedwab spodni, ale Kasmir nie zwracał na to uwagi. Dopiero kiedy jeszcze raz skubnął kotlet, zauważył posokę na sztuczu.

Na chwilę zabrakło mu tchu, kiedy zobaczył rubinowe kropelki, ściekające po jego dłoni.

Jego gość znowu powiedział coś idiotycznego, tak samo jak poprzednio, ale de Valtos, dalej go ignorował, delektując się smakiem krwi.

Nie czuł już bólu w zranionej nodze.

Kasmir spojrzał w górę, na sufit. Dokładnie nad jadalnią znajdowały się jego prywatne pokoje, a w nich ukryta pod łóżkiem skórzana, czarna torba. Zmusił się do odwrócenia wzroku.

Jeszcze nie pora.

Zakazane rozkosze smakowały najlepiej, kiedy je odwlekał. Zmusił się do porzucenia myśli o zakrzywionych hakach, skalpelach, nożach, piłach i ostrzach. Z powrotem zwrócił uwagę na gościa, ale z podkreślonych pomadką ust wylewał się jedynie potok bezsensownych, pustych słów. Strużka potu spłynęła po skroni i szyi Kasmira, kiedy wdusił w siebie kolejną porcję mięsa.

Jeśli szybko kogoś nie zabije, to niedługo coś w nim pęknie.

Co gorsza, o swoim gościu nie myślał już wcale jako o człowieku. To był zły znak. Głód w nim narastał i oczyma wyobraźni widział już nagie, rozciągnięte na łożu tortur ciało. Gość był dla niego tylko kupą zwykłego mięsa, ciałem, które można kształtować i formować

wedle woli. Katartycznym oswojeniem od bólu, którego nie mógł poczuć.

Aby jeszcze raz zaznać rozkoszy cierpienia, musiał zadać komuś takie same tortury, jakimi kiedyś uraczono jego.

Krew spłynęła mu po brodzie, a de Valtos uświadomił sobie że zbyt mocno zagryzł dolną wargę. Otarł usta chusteczką, obserwując gościa, który podszedł do niego z fałszywym wyrazem troski malującym się na twarzy.

Gość oparł dłoń na jego ramieniu, a de Valtosem wstrząsnęło obrzydzenie.

- Dobrze się czujesz, Kasmir? Jesteś potwornie blady - spytała Solana Vergen.

De Valtos przełknął łyk wina, próbując ukryć złość i odrazę.

- Tak - wychrypiął z trudem. Jego myśli znów popędziły ku czarnemu, skórzanemu neseserowi. - Zaraz poczuję się lepiej.

ROZDZIAŁ 12

To niemożliwe - pomyślał Nadzorca Kopalni Jakob Lasko. Nieważne, ile paliwa pompowali w maszynę fedrującą, ta zawsze działała ledwie na pół gwizdka. Choć zużywali po pięć, sześć generatorów dziennie, a koszty odwiertu robiły się niebotycznie wysokie, to nie miał innego wyboru: musiał fedrować tak szybko, jak się tylko dało. Do bariery pozostało już tylko kilka, może kilkanaście metrów.

Jaskinię wypełnił potworny zgrzyt wiertła, ale na szczęście jego uszy chronione były przez nauszники. Dzięki nim nie dość, że nie słyszał potwornego chrzęszczenia i zgrzytu rozłupywanych skał, to nie docierał do niego dziwny, niepokojący dźwięk, który ostatnio dawał się słyszeć w kopalniach. W wolnych chwilach, których było ostatnio coraz mniej, kiedy zastanawiał się nad tym zawodzeniem, wydawało mu się, że rozróżnia w nim poszczególne głosy, które subtelnie nachodziły się i przeplatały.

Niech to diabli! Tkwił w kopalniach już zbyt długo.

Fachowym okiem obrzucił jaskinię, w której się teraz znajdowali. Jej podstawa była kwadratowa, a proporcje boków idealne, zgadzały się co do mikrona. Tak przynajmniej twierdzili kartografowie. Ściany pochylały się łagodnie ku górze, były doskonale gładkie, wykute w skale na kształt trójkątów. Czemu tak je wykonano? Dla Lasko była to nieprzenikniona zagadka.

We wschodniej ścianie ziały dwa otwory, a dokładnie naprzeciwko nich, w zachodniej, znajdowały się dwie identyczne nisze. W każdej z nich stał zagadkowy posąg z alabastru o doskonałych i niezachwianych proporcjach. Dłonie postaci zaciskały się na kosturach z miedzi. Metal już dawno pokrył się patyną. To, kogo przedstawiały posągi lub komu zostały poświęcone, pozostawało kolejną tajemnicą, których pełno było w tym dziwnym miejscu.

Dla Jakoba najważniejsze były jednak wrota, które znajdowały się w odległej ścianie. Jak dotychczas czarna płyta okazała się odporna na wszelkie próby jej skruszenia, wyłamania, rozbicia czy wysadzenia. Nawet diamentowe wiertła nie były w stanie jej przebić. Jedynie palnik laserowy żłobił mozolnie wyrwę w powierzchni, ale i on robił to najwolniej, jak tylko się dało.

Dwóch kapłanów techniki bez ustanku odprawiało modły przy palniku, skrapiając go

świętymi olejkami. Kolejnych sześciu górników odgarniało szpadlami gruz, ale wyglądali tak, jakby woleli wygarniać gołymi rękami uran na przodku, niż być tutaj. Lasko wcale się im nie dziwił. Ciemność, która stale zalegała w komnacie i dziwne historie, jakie na jej temat krążyły wśród górników i jemu dawały sporo do myślenia. Mimo to nie mógł pozwolić, aby pieniądze kartelu, jego czas, sprzęt i energia były marnowane przez takich obiboków. Skoro człowiek podpisał kontrakt, lepiej dla niego, żeby wykonywał swoją cholerną robotę.

Racja, kilku ludzi zginęło, nawet ten głupek Dal Kolurst. Prawdziwy cymbał, pewnie spadł po ciemku i zabił się w jakiejś sztolni. Ci kapłani techniki może i znają się na maszynach, ale tak naprawdę nic nie wiedzą o prawdziwej pracy.

Żarówki zamigotały, a Lasko rzucił gniewne spojrzenie obydwu zawodzącym kapłanom. I bez ich nieudolności było tutaj wystarczająco ciemno.

Klejnoty tkwiące w oczach posągów niepokojąco migotały w pełgającym świetle i Jakob wbrew sobie wzdrygnął się na ten widok. Tak, może i opłacano ich godziwie, ale okłamywałby sam siebie mówiąc, że nie będzie szczęśliwy, kiedy odwałą wreszcie tę robotę.

Archeologia była dobrze płatnym zajęciem, ale jego górnicza dusza buntowała się przeciwko kopaniu, jeśli nie było pewności, że na końcu odwiertu znajduje się coś cennego. A co wydobyli jak dotąd? Same śmieci i kilka stalowych figur z dziwnego, zielonkawego metalu.

Kapłani techniki strasznie się nimi ekscytowali, ale jak dotąd żaden nie potrafił powiedzieć ani z czego je wykonano, ani po co, ani też kto to zrobił. Tacy z nich eksperci...

Patrząc na czarne drzwi Lasko zauważył, że odwiert ma już ponad metr głębokości. Jeśli wierzyć zapewnieniom kapłanów techniki, nie zostało im już wiele pracy. Mimo to postanowił, że poczeka z otwarciem pięćdziesięcioletniego uskavaru, aż wyłamią je do końca. W głębi duszy bolała go utrata tylu wiertel i generatorów.

Światło ponownie zamigotało i na moment w sali zapanowała ciemność. Po chwili, jakby wolno i niechętnie, lampy ponownie zaczęły się jarzyć.

Lasko poczuł ulgę znacznie większą, niż śmiał się przed sobą przyznać.

Co takiego ważnego kryło się za tymi cholernymi drzwiami?

Już wkrótce miał się o tym przekonać.

ROZDZIAŁ 13

Taryn Honan wszedł do westybulu domu Kasmira de Valtosa. Jego spojrzenie przyciągnęły uchylone drzwi do jadalni. Ozdobny, puchaty dywan zaścielały odłamki potłuczonego szkła. Jeden z końców stołu usłany był drobinami rozbitej kryształowej karafki. Jak można tak niedbale postępować z pięknymi przedmiotami? - pomyślał z troską Honan.

Rozglądając się po holu, zauważył na wieszaku kobiecy płaszcz, szal i bogato zdobiony kapelusz. Zbliżył się do nich i delikatnie je powąchał, rozkoszując się aromatem pachnideł. Mimowolnie oblizał umalowane szminką wargi. Tak, słodki zapach bez wątpienia należał do cudownej Solany. Czy i ona była gościem Kasmira? Dziwne, że nie zauważył jej powozu, kiedy zajechał przed pałac de Valtosa.

Dźwięk kasznięcia dobiegający zza jego pleców sprawił, że Taryn wypuścił szal z ręki i odwrócił się na pięcie, czując jak na twarz wypływa mu rumieniec wstydu.

Kasmir de Valtos i Vendare Taloun stali na półpiętrze, obserwując go uważnie. Honan ruszył w ich stronę, pochrzäkując cicho, a tymczasem przywódcy karteli zeszli po schodach. Taryn zauważył, że twarz Kasmira była czerwona, jakby ze zdenerwowania lub podniecenia, zaś oblicze Vendare'a pozostawało trupioblade, tak jakby mężczyzna usłyszał lub zobaczył przed chwilą coś strasznego.

- Skąd się tutaj wzięłeś? - bezceremonialnie spytał de Valtos. Taryn chciał odpowiedzieć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. - Mówiłem ci chyba, żebyś mnie nigdy nie odwiedzał, prawda?

- Tak, ale... Ja... Ja musiałem przyjść. Zostałem dzisiaj wezwany do pałacu gubernator. Przesłuchiwali mnie! I to jeszcze w jakiej sprawie! Ja nie wiem, co się dzieje! Mówili takie straszne rzeczy... Oni...

- Taryn, uspokój się! - rzucił ostro Kasmir i położył dłoń na jego ramieniu. - Chodź, przejdziemy do gabinetu, napijemy się czegoś rozgrzewającego, usiądziemy przy kominku i omówimy tę sprawę jak cywilizowani ludzie, dobrze?

Honan pokiwał bezradnie głową i pozwolił, aby poprowadzono go przez drzwi, leżące naprzeciwko tych, które prowadziły do jadalni.

Na kominku w gabinecie płonął ogień i zdenerwowany Taryn usiadł dokładnie naprzeciwko paleniska. Fotele były miękkie, wygodne i obite doskonałej jakości czarną skórą.

De Valtos nalał uskavaru do trzech głębokich kieliszków i ustawił je na srebrnej tacy. Taloun niecierpliwie chwycił swoje naczynie i opróżnił je jednym haustem. On i de Valtos wymienili szeptem kilka słów, a potem Kasmir usiadł na przeciwko Honana i podał mu kieliszek. Vendare stał z tyłu, sącząc powoli wino.

- Dobrze, Taryn, opowiedz mi teraz wszystko po kolei.

Honan wychylił pół kieliszka, aby się uspokoić i zaczął mówić:

- Bardzo źle się dzieje, kiedy głowa znaczącego kartelu przemysłowego, człowiek tak szanowany jak ja, jest przesłuchiwany przez urzędników Administratum, niczym pospolity przestępca. Ten adept imperialny, Ario Barzano, zarzucił mnie pytaniami o moją miejską rezydencję, wiecie, tę, którą wynająłem wam na jakiś czas.

Kasmir pokiwał głową, zagryzając dolną wargę, a Honan zauważył, że jego rozmówca źle znosi ciepło bijące od kominka. Na czole de Valtosa perlił się gesty pot.

- Kasmir, dobrze się czujesz? - spytał.

- On nigdy nie czuje się dobrze - odparł Vendare i nalał sobie kolejny kieliszek wina.

De Valtos obrzucił go nienawistnym spojrzeniem, w milczeniu pokiwał głową i powiedział:

- Dobrze, Taryn, nie przejmuj się tym Barzano. Już niedługo przestanie wchodzić nam w drogę. O co cię wypytywał?

- Cóż... Twierdził, że Świątynia Starodawnych Obrządków wykorzystwała mój dom jako bazę wypadową dla kolejnego ze swoich ataków terrorystycznych. Potraficie sobie to wyobrazić? Mój dom bazą spiskowców? Przecież to śmieszne!

- Wręcz przeciwnie! - ryknął Kasmir de Valtos. Z jego ust wyrwał się histeryczny chichot, choć daleko mu było do wesołości. - Widzisz, to najświętsza prawda. Każde słowo. Tylko ty jesteś zbyt głupi, żeby to zrozumieć.

Słyszając te słowa Honan chciał zaprotestować, ale z wrażenia stracił panowanie nad głosem. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Kasmir ponownie wykrzyknął:

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co się dzieje na tej planecie? Czy potrafisz pojąć, że to ja steruję wszystkimi wydarzeniami? Ja! Zbyt wiele poświęciłem pieniędzy i trudu, żeby moje plany pokrzyżował taki tłusty debil jak ty!

Honanowi łzy napływały do oczu, kiedy usłyszał tę napastliwą tyradę.

- Przestań, Kasmir. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

- Przyjaciółmi! - przedrzeźniał go de Valtos. - Nie, Taryn, nie jesteśmy przyjaciółmi. Kupa łajna, oto czym dla mnie jesteś. Gównem, w które wdepnąłem na drodze do nieśmiertelności. Ale teraz nadszedł czas, żeby wyczyścić buty.

Taryn usłyszał skrzypienie otwieranych za jego plecami drzwi. Kasmir uśmiechnął się do gościa, choć w grymasie jego ust nie było ani śladu rozbawienia. Honan spojrzał błagalnie na Vendare Talouna. On z pewnością nie pozwoli, aby takie zachowanie uszło Kasmirowi płazem. Od czego są w końcu przyjaciele?

Ale Vendare Taloun stał jak oniemiały, spoglądając na osobę, która weszła do pokoju. Taryn usłyszał odgłos delikatnych kroków, kiedy nieznajomy zbliżał się do jego fotela. Nowoprzybyły stanął tuż za nim i położył na jego ramieniu dłoń, pokrytą siatką delikatnych żyłek.

Taryn zauważył, że paznokcie, kończące długie, delikatne i cienkie palce, pomalowane były na czarno. Do jego nozdrzy dotarł zapach medykamentów.

Honana oblał zimny pot i zaczął nerwowo przetykać ślinę.

- Kasmir, co się dzieje? - załkał.

Odpowiedziała mu cisza, więc obrócił się z trudem w fotelu i spojrzał na wysoką, smukłą postać w czerwonym kitlu i masce chirurgicznej. Najgorsze było jednak spojrzenie oczu nieznajomego, którego fioletowe tęczówki zdawały się przewiercać człowieka na wylot. Jego dłoń przesunęła się po szyi Honana, a ten pomimo strachu poczuł, jak ogarnia go podniecenie.

Kasmir de Valtos usiadł w fotelu i pociągnął łyk wina.

Taryn właśnie miał coś powiedzieć, kiedy poczuł niespodziewane ukłucie bólu. Nieznajomy wbił mu w szyję grubą igłę i nacisnął tłok strzykawki. Ból natychmiast ustąpił, a jego miejsce zajęło uczucie rozleniwienia i ciepła, promieniujące na całe ciało. Honan poczuł, że powieki mu opadają, a on sam zasypia. Kasmir coś mówił i tylko ogromny wysiłek woli pozwolił mu zrozumieć sens tych słów.

- Taryn, oto mój chirurg. Wydaje mi się, że powinniście się lepiej poznać, prawda?

Honan nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się i zapadł w sen, będący efektem końskiej dawki środków usypiających.

Kieliszek z niedopitym uskavarem wysunął się z jego omdlałej dłoni i upadł na podłogę. Szkło pękło, roztrzaskując się na tysiące odłamków.

Barzano opuścił pokój przesłuchań, gdzie sędziowie Ortega i Sharben rozmawiali z dziewczyną, która została uratowana z rąk porywaczy. Przez szybę z półprzepuszczalnego lustra obserwowali ich Mykola Shonai, Almerz Chanda i Leland Corteo. Z twarzy gubernator nie dawało się wyczytać żadnych uczuć, ale popis brutalności w wykonaniu Arbitratorów zrobił na jej doradcach piorunujące wrażenie.

- Wyciągnęliście już coś z niej? - spytała Shonai. - Wie cokolwiek przydatnego?

- Nie sądzę. Nic, co byłoby dla nas użyteczne w tej chwili. Zna kilka nazwisk, ale jest zbyt małą płótką, żeby wiedzieć cokolwiek o planach Kolektywu Robotniczego czy Świątyni Starodawnych Obrządków.

- Więc po co tyle brutalności? - spytał Chanda, wskazując na zmaltretowaną dziewczynę.

- Ponieważ nie wiadomo, czy sobie czegoś ciekawego nie przypomni. Elementów układanki trzeba szukać wszędzie gdzie się da, nie tylko tam, gdzie wydaje nam się, że można je znaleźć.

Chanda skrzywił się, słysząc ton głosu Barzano i odwrócił wzrok.

- Była pod posagiem Imperatora, więc jest jednym z przywódców lub organizatorów tamtej demonstracji - powiedziała Mykola Shonai. - Musi coś wiedzieć.

- Istnieje taka możliwość - przytaknął Barzano. - Ale to twarda sztuka, rewolucjonistka z krwi i kości. Nie będzie łatwo ją złamać.

- Cel uświęca środki. Zróbcie to, co zrobić należy - rzuciła pani gubernator. - Chcę wiedzieć, kto stoi za rozruchami i knuje przeciwko nam. Ma zapłacić za swoje gierki.

- Gwarantuję pani, że wszystkiego się dowiemy - obiecał Barzano. - Co najmniej jeden z naszych przeciwników jest bardzo przebiegły. Z powodzeniem stosuje taktykę opierającą się na odosobnionych i nie powiązanych ze sobą komórkach. Dzięki temu w razie wpadki jednego z członków organizacji reszta nadal jest w miarę bezpieczna. Doskonale wiem, jak takie grupy działają, nie pozostawiają żadnych trwałych śladów, ale są doskonale zorganizowane. Wydaje mi się, że zwołanie wiecu było dość proste, a kiedy już ludzie zgromadzili się przed pałacem, sprawy nabrały własnego biegu i same się dalej potoczyły.

- Tak... Wystarczyła jedna, mała iskierka. - Shonai smutno pokiwała głową. - A w tym przypadku był to kapitan Vedden, niech piekło pochłonie jego duszę. Odzyskał już przytomność? Możemy go przesłuchać?

- Jeszcze nie, ale pani medyk uważa, że Vedden odzyska przytomność dziś po południu. Co prawda bardzo protestował przeciwko przesłuchaniu, ale...

- Nic mnie to nie obchodzi. Jeśli będzie trzeba, to macie pociąć tego skurwiela na kawałki. Jesteśmy już tak blisko, Ario. Czuję to.

- Może tak, może nie - odparł Barzano. - Na razie możemy się czegoś napić. Ktoś chce mi towarzyszyć?

Shonai rzuciła mu twarde spojrzenie, ale wyraz jej twarzy szybko złagodniał i powiedziała:

- Dobrze... W sumie, dlaczego nie?

- Zawsze uważałem, że samotne picie przynosi pecha, więc chętnie do was dołączę - zachichotał Corteo.

- Idziesz z nami, Almerz? - spytała Shonai.

- Nie, pani gubernator - główny doradca pokręcił głową. - Dziękuję za propozycję, ale zostanę tutaj na wypadek, gdyby sędziowie odkryli coś ważnego. O wszystkim będę panią informował na bieżąco.

Kiedy wychodzili, Shonai poklepała go przyjaźnie po ramieniu i szepnęła:

- Jesteś dobrym człowiekiem, Almerz. I prawdziwym przyjacielem.

Chanda skłonił się dwornie i na powrót zaczął obserwować przesłuchujących dziewczynę sędziów.

- A więc ma pan doświadczenie w takich sprawach, adeptcie Barzano? - spytał Leland Corteo, po raz kolejny nabijając fajkę. Ario siedział ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i popijał z kieliszka uskavar. Kiedy tylko znaleźli się w jego prywatnych komnatach, oficjalny nastrój spotkania prysł jak bańka mydlana.

- Tak, panie Corteo. Odwiedziłem wiele różnych układów, poznałem sporo planet i za każdym razem miałem do czynienia z ludźmi, którzy uważali, że stoją ponad imperatorskimi prawami.

- I wyprowadzał ich pan z tego błędu? - spytała Shonai.

- Dokładne tak - Barzano zagadkowo się uśmiechnął.

- A co zamierza pan uczynić na Pavonis, kiedy sytuacja się już unormuje?

Choć pytanie zostało rzucone ot tak sobie, to Barzano wyczuwał napięcie, z jakim Mykola oczekiwała odpowiedzi. Przez chwilę zastanawiał się nad jakimś gładkim kłamstwem, ale uznał, że gubernator zasługuje na prawdę.

- Najprawdopodobniej zostanie pani usunięta z urzędu. Niedopełnienie nałożonych przez Imperatora obowiązków jest przestępstwem, a pani rządy trudno nazwać sprawnymi, prawda?

Twarz Lelanda Corteo zapłonęła gniewem, a mężczyzna z hukiem odstawił kieliszek na blat.

- Posłuchaj mnie, ty zafajdany gryziopórku! Panie specjalisto od rozwiązywania problemów z Terry, kim ty do cholery jasnej jesteś, żeby w ten sposób mówić do przedstawiciela Imperium?

- Leland, uspokój się, proszę - przerwała mu Mykola Shonai. - Adept Barzano niestety

ma całkowitą rację. Zawiodłam. Pozwoliłam, aby drobne problemy się nawarstwiły i przerodziły w poważne kłopoty. Zbyt długo chowałam głowę w piasek. Pewnie zasłużyłam na to, co mnie spotkało.

Barzano pochylił się na bok, odstawiając kieliszek, a potem usiadł, opuszczając dłonie na kolana.

- Może i tak się stało, ale pani los jeszcze nie został przypieczętowany. Dzięki komu objęła pani ten urząd? Ballionowi Varle? Vendare Talounowi? A może Tarynowi Honanowi? Nie wydaje mi się. Zapomnijmy na chwilę o odwoływaniu kogokolwiek z urzędu i skupmy się na ważniejszych problemach.

- A jakie to są niby kłopoty? - sapnął Corteo, w dalszym ciągu oburzony gruboskórnością Barzano.

- Myślę o pewnych osobach, które współpracują z eldarskimi piratami. Ich napady są niczym innym, jak przykrywką dla jakichś zakonspirowanych poczynań, podobnie jak rozruchy na Pavonis mają odwrócić naszą uwagę od jakiegoś ważniejszego wydarzenia lub planu - wyjaśnił Barzano, opierając się plecami o ścianę.

Zarówno Corteo jak i pani gubernator siedzieli oniemiały. Pomysł, że kłopoty, z jakimi się borykają, był przykrywką dla jakiegoś znacznie groźniejszego spisku, był dla nich niesamowity. Po chwili Barzano zaczął mówić dalej:

- Nie wierzę, że to, co się wokół nas dzieje, jest tylko dziełem przypadku. W moim mniemaniu nie istnieje coś takiego jak przypadek.

- Kto w takim razie stoi za tymi rozruchami? - spytała Mykola Shonai.

- Jeszcze tego nie wiem, ale zamierzam się wkrótce dowiedzieć. Nie mamy zbyt wiele czasu, bowiem ostatnie wydarzenia dowodzą, że sytuacja na Pavonis osiągnęła punkt krytyczny.

- Co mamy przez to rozumieć?

- W każdej chwili, moja droga pani gubernator, możemy się spodziewać totalnej katastrofy.

W ciemnym i zapomnianym przez wszystkich zakątku pałacu gubernatora Pavonis niewielki punkcik światła podskakiwał w powietrzu i latał to w jedną, to w drugą stronę niczym balonik targany wiatrem. W pewnym momencie zaczął się nieśpiesznie powiększać, opadając leniwie w dół, a jego spiralny szlak znaczył fioletowy blask. Powietrze i światło zaczęły się marszczyć niczym płótno, na którym ktoś położył ciężarek. W centrum tego dziwnego zjawiska znalazł się ów dziwny, wirujący punkcik światła.

Lampy umieszczone na suficie bez ostrzeżenia eksplodowały, kiedy z centrum blasku dobiegł niski, bulgoczący warkot, przywodzący na myśl obsceniczną żądę i niezaspokojony, wieczny głód. Wewnątrz światła zaczęły się formować cztery ciemne kształty, wirując i przenikając się wzajemnie jak mieszane ciecze. One także zaczęły opadać po spirali ku podłodze, wchłaniając światło i nabierając jednocześnie materialności.

W końcu, kiedy prawie już dotknęły podłogi, zdołały przebić membranę światła i obleczone lepką skórą z ektoplazmy zdołały wdrzeć się do materialnego świata. Ich narodziny obwieścił skrzek i pisk. Cztery bestie, każda czerwonego koloru i o dziwnych kształtach, opadły na podłogę, a wypaczona ich obecnością rzeczywistość została wchłonięta przez niksujące łona ze światła. Ostatnie błyski iluminacji zniknęły z niesamowitą szybkością, pozostawiając korytarz ciemnym i cichym, tak jakby nic niezgodnego z prawami fizyki nigdy się tu nie zdarzyło.

Tylko cztery leżące na podłodze odrażające bestie były dowodem na to, że przed chwilą miały tutaj miejsce rzeczy straszne i dziwne zarazem. Z początku maskarony spoczywały nieruchomo, ale po chwili podniosły wypełnione kłami paszczęki, rozprostowały pokryte łuską grzbiety i wyciągnęły szponiaste łapy.

Strząsnąwszy z nosów resztki ektoplazmicznego łona, które wydało je na świat, bestie zaczęły węszyć. Ich istnienie służyło tylko jednemu zadaniu, którego wykonania nie mogły się już doczekać. Ich pani zleciła im misję.

Wytropić ofiarę, a potem ją zabić.

Szeregowcy Korner i Tarnin skradali się ciemnym korytarzem, a karabiny laserowe trzymali w pogotowiu. Obydwaj mieli pewność, że gdzieś tam czaiło się coś groźnego. Korner wyraźnie usłyszał niepokojące odgłosy i zawiadomił przełożonych przez radio, że zamierzają odkryć ich źródło.

Tarnin objął prowadzenie i jego uwagę od razu zwróciły potłuczone żarówki oraz szkło, które chrzęściło pod nogami. Z ciemności przed nimi dobiegał bulgoczący warkot.

- Korner, daj mi swoją latarkę - powiedział Tarnin, nie odwracając się do towarzysza. Kiedy jego palce zacisnęły się na zimnej tulei, skierował ją przed siebie i nacisnął włącznik. Nie zdołał zauważyć potwora, który rozerwał jego gardło.

Dziwnie obły kształt wyłonił się z ciemności, uderzył w człowieka i rozorał pazurami jego tchawicę. Dwudziestocentymetrowe szpony rozdarły ciało, a masywne łapy zmiażdżyły czaszkę jak skorupkę jajka.

Tarnin kątem oka dostrzegł nagły ruch i zbladł, słysząc ohydny jęk agonii,

wydobywający się z ust kolegi. Odwrócił się, aby uciec.

Coś ciężkiego spadło mu na plecy, wywracając go na podłogę. Karabin potoczył się gdzieś w ciemność, a gorący oddech, niczym powiew z otwartego pieca hutniczego, owionął go całego, stapiając mundur z ciałem. Potężne łapy przyciskały człowieka do ziemi i każdy zaczerpnięty oddech wiązał się z potwornym bólem. Korner otworzył usta, aby krzyknąć.

Zrodzona ze spaczenia bestia jednym ruchem pyska oderwała mu głowę i pożarła ją łapczywie. Nie czekając, aż pozostałe dołączą do uczty, zatopiła kły w ciele człowieka, wrywając ogromne kęsy mięsa i miażdżąc kości.

Druga z bestii doskoczyła do ucztującej i groźnie warknęła. Jej pomruk, który zdawał się wydobywać aż z szerokiej klatki piersiowej, zmusił żarłocznego stwora do porzucenia zmaltretowanego trupa i ruszenia za przywódcą sfory. Skradające się przez korytarze pałacu potwory wiedziały, że ich ofiara jest blisko.

Barzano nagle czujnie podniósł głowę. Jednym, płynnym ruchem wstał i rzucił ostre spojrzenie zaniepokojonej nagłą zmianą jego nastroju gubernator Shonai. Adept szybkim krokiem przeszedł przez pokój i otworzył drzwi na korytarz.

Dwóch pilnujących drzwi Ultramarines stanęło na baczność, unosząc boltery w poprzek piersi. Brat Cleander spojrzał na adepta i spytał:

- Bracie Barzano, czy coś się stało?

- Tak, i to coś bardzo niedobrego - odparł Ario, kiwając głową. - Gdzie jest reszta waszego oddziału?

- Została rozlokowana w kluczowych punktach tego skrzydła pałacu. Nic ani nikt nie przemknęło się przez kordon moich braci.

- Obawiam się, że to już się stało - mruknął pod nosem Barzano.

- Chyba nie rozumiem.

- Nieważne. Bracie Cleanderze, chcę, abyś poinformował przez radio wszystkie straże, że coś bardzo groźnego zdołało przeniknąć do pałacu. Wszyscy jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Jednym skinieniem głowy Cleander nakazał drugiemu Kosmicznemu Marine, aby wykonał polecenia adepta. Sam przeładował bolter i spytał:

- Co się dzieje, adepcie?

- Nie mam czasu na dłuższe wyjaśnienia. Chcę, abyś ty i twoi ludzie, a także straże pałacowe, strzelali do wszystkiego, co wyda wam się podejrzanym. Nie brać żadnych jeńców.

Choć twarz brata Cleandera ukryta była za hełmem, Barzano był w stanie wyczuć

narastającą w Kosmicznym Marine złość. Sierżant nie przywykł najwidoczniej do przyjmowania rozkazów od zwykłego skryby.

- W twoim tonie nie słyszę szacunku - zaczął, cedząc wolno słowa przez zęby.

- Niech to piekło pochłonie, Cleander! - warknął Barzano, ale przerwała mu kanonada bolterów oraz nieziemskie wycie i krzyki umierających ludzi. - I tak jest już za późno.

Trzy bestie mknęły korytarzami z nie ludzką gracją i szybkością. Ich przejściu towarzyszyły jęki rannych, zawodzenia konających, śmierć i zniszczenie. Ciało czwartego kompana zostało daleko za nimi i z wolna rozplątało się w kałużę bulgoczącej ekto plazmy. Potwór nie oddał tanio swojego życia. Do piekieł - lub innego miejsca, skąd pochodził - zabrał ze sobą dwóch Ultramarines. Choć sieć prześladowców z wolna się zaciskała i tylko kwestią czasu było, kiedy stworzenia zostaną wytropione i zabite, to nie dbały o swoje życie.

Liczyła się tylko ofiara.

A ta była blisko.

Barzano odwrócił się na pięcie i przebiegł przez cały pokój. Zatrzymał się przy łóżku i opadł na kolana przed metalowym pojemnikiem. Włożył palec w otwór zamka genetycznego, a zdziwieni jego zachowaniem Shonai i Corteo podnieśli się ze swoich foteli. Obydwoje byli niezwykle zaniepokojeni jego postępowaniem, ale Barzano nie mógł ich za to winić.

- Co tu się u diabła dzieje? - spytała gubernator.

Barzano uchylił wieko pojemnika i sięgnął do wnętrza.

- Pamięta pani, jak rozmawialiśmy o narastającej rebelii?

- Tak, oczywiście.

- Wygląda na to, że mamy znacznie mniej czasu, niż się spodziewaliśmy. Nasi wrogowie postanowili nie zwlekać i uderzyli, nie czekając na nasz ruch. - Adept wyjął ze skrzynki dwa pistolety laserowe i rzucił je pani gubernator oraz jej doradcy. - Czy wiecie, jak ich używać?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparł Corteo, który zdawał się być urażony samą insynuacją, że potrafi strzelać z pistoletu.

- A pani, pani gubernator?

- Nigdy wcześniej nie miałam okazji...

- Do diaska. Cóż, podobno nigdy nie jest za późno na naukę - kilkoma szybkimi ruchami zaprezentował im, jak celować, przeladowywać i strzelać z broni. - Kiedy dojdzie do walki, mierzcie nisko, bo choć to broń laserowa, to efektem strzału jest odrzut.

- Ale do kogo mamy strzelać? - zapytała zdezorientowana pani gubernator. - Co się tutaj dzieje?

Barzano nie odpowiedział, tylko jeszcze raz sięgnął do skrzynki i wyjął z niej miecz, którego ostrze na całej długości pokrywały skomplikowane runy i bogate zdobienia. Wziąwszy w drugą rękę duży pistolet z osłoną na rękojeść i płaską lufą, wstał i rozejrzał się dookoła. Jego zwykła jowialność zniknęła bez śladu, zastąpiona żelazną determinacją i śmiertelnościami błyskiem w oczach.

- Nasi wrogowie wysłali za nami bestie z najgłębszych otchłani piekieł. Przed zabiciem nas nie powstrzyma ich nic oprócz ich własnej śmierci.

Nacisnął włącznik umieszczony na rękojeści miecza, a ostrze broni rozbłysło bursztynową poświatą. Shonai poczuła, jak włosy stają jej dęba, kiedy z klingi zaczęły się wydobywać fale dziwnej mocy.

- Miecz energetyczny - wyszeptał ze zdumieniem Corteo. - Jakim ty jesteś adeptem, panie Barzano?

- Takim, którego się najbardziej obawiasz - odparł z ponurym uśmiechem Ario.

Nawet przez grube ściany pałacu brat Cleander był w stanie dosłyszeć głucho dudnienie, jakie towarzyszyło strzałom z bolterów. Do jego uszu docierało także syczenie karabinów laserowych i przytłumione krzyki ludzi. Odgłos każdego kolejnego wybuchu utwierdzał go w przekonaniu, że wróg nieuchronnie się zbliża.

Skomplikowany system krętych korytarzy sprawiał, że Cleander nie potrafił powiedzieć, skąd nadchodzą napastnicy. Dlatego on bacznie obserwował jeden z prowadzących do komnat adepta korytarzy, a brat Dambren drugi. Cleander marzył, aby wyruszyć na poszukiwanie wrogów, ale jego rozkazy były jasne: miał bronić wejścia do komnat adepta. Kosmiczny Marine pochodził z samego Macragge i cechowało go poczucie obowiązku, które było podstawą charakteru mieszkańców tej planety. Cleander prędzej by umarł, niż porzucił wyznaczone stanowisko.

Głucho dudnienie boltera brata Dambrena obwieściło nadejście wrogów. Cleander odwrócił się na pięcie i ujrzał trzy monstrualne potwory, pędzące w ich kierunku. Nacisnął spust i dwa boltery zaczęły wypruwać serię za serią. Prowadząca sforę bestia została rozerwana na strzępy, kiedy napędzane raketowo pociski trafiły w cel i eksplodowały wewnątrz jej ciała.

Śmierć przywódcy nie spowolniła reszty ani na chwilę. Ledwie jeden potwór skonał, a pozostałe dwa już zaatakowały. Kiedy jeden z nich wyskoczył w górę, Cleander rzucił się na

podłogę i przetaczając się po posadzce jeszcze raz nacisnął spust. Pociski chybiły celu i trafiły w ozdobny sufit, wyrywając ogromne kawałki żelbetonu. Druga z bestii dopadła brata Dambrena. Jej kły wbiły się w ramię Kosmicznego Marine i wyrwały je z barku. Trysnęła fontanna krwi, a ranny stęknął głucho. Cleander nie miał nawet możliwości udzielenia mu pomocy, bowiem pierwszy potwór wylądował na podłodze, obrócił się i zaatakował jeszcze raz.

Tym razem Cleander zdołał trafić. Kula ugodziła w brzuch i bestia ryknęła głucho, jednak nadal parla do przodu. Niespodziewany skok pozwolił jej dopaść Cleandera i zatopić szpony w napierśniku Kosmicznego Marine. Zmagająca się dwójka rozbiła odrzwia, prowadzące do komnat adepta Barzano i z resztkami drewna wpadła do środka.

Mykola Shonai krzyknęła przerażona, kiedy drzwi pękły na kawałki i do pomieszczenia wpadł przez nie Kosmiczny Marine. Wczepiona w jego napierśnik bestia wiała się jak oszaląła. Jej masywny łeb był zwieńczony rogami, błyszczącymi niezdrową poświatą, a pokryte łuskami i kolcami ciało miało kolor wpadającej w czerwień purpury. Kły ociekały posoką, podobnie jak masywne pazury, wieńczące muskularne, grube łapy. Ślepia, czarne, bezduszne i nie okazujące żadnych uczuć, zdawały się wwiercać w ofiarę.

Barzano skoczył do przodu i ciał mieczem w kark potwora z piekła rodem.

Ku przerażeniu i zdziwieniu gubernator Shonai, bestia uchyliła się przed ciosem. Z gracją i szybkością, o jakie nie posadziłaby tego stworzenia, usunęło głowę z linii ciosu i porzuciło Kosmicznego Marine. Szponiasta łapa wystrzeliła w stronę Barzano, który o włos zdołał uniknąć uderzenia. Pazury rozorały dębowe biurko, pozostawiając na jego blacie głębokie rysy. Cleander warknął jak rozwścieczone zwierzę i skoczył na kark bestii, obejmując go obydwojma ramionami. Heroiczny wysiłek nie zdał się na wiele, potwór zacisnął szponiastą łapę na jego plecach, zrzucił go z siebie i jeszcze raz rozdarł napierśnik pancerza. Krew trysnęła z rany, a Ultramarine jęknął, czując żar dotyku pazurów stwora na żywym ciele.

- Zejdź mi z drogi! - krzyknął Barzano, biorąc atakujące monstrum na cel pistoletu plazmowego. Cleander zignorował jego słowa, ryknął swoje zawołanie bojowe i po raz kolejny rzucił się na dziwne zwierzę. Druga bestia pojawiła się w drzwiach i Barzano natychmiast wziął ją na cel.

Rozgrzana do białości kula plazmy pomknęła ku stworzeniu, trafiła w jego bok i odrzuciła je do tyłu. Ohydny swąd wypełnił powietrze, a z rany trysnęła czarna posoka. Nim bestia zdążyła dotknąć podłogi, zaczęła się rozmywać i znikać z materialnej rzeczywistości.

Cleander ze wszystkich sił próbował powstrzymać pazury bestii przed rozoraniem jego twarzy. Wiedział doskonale, że walczy o życie i w tym starciu nie ma najmniejszych szans na wygraną. Bestia była silniejsza od niego, raz po raz uderzała łbem w jego głowę, a po każdym kolejnym ciosie Ultramarine z trudem odzyskiwał zmysły. Hełm powoli zaczynał pękać od tych uderzeń, a palce Cleandera zaciskały się na ciele bestii z coraz mniejszą siłą.

Potwór tylko na to czekał. Łapa uniosła się i opadła, a pazury przebiły napierśnik Kosmicznego Marine.

Corteo i Shonai jednocześnie wystrzelili w stronę walczących, ale jako że żadne z nich nie miało doświadczenia w używaniu broni, promienie laserów chybiły celu. Barzano odepchnął ich na bok i zobaczył, że potwór, który powalił Cleandera, wyswabadza się spod ciała Kosmicznego Marine. Choć jego ruchy były jeszcze powolne i niezgrabne, to bestia mogła bez większego trudu zabić ich wszystkich. Buczenie akumulatorów pistoletu plazmowego powiedział Barzano, że broń nie jest jeszcze gotowa do następnego wystrzału.

Potwór przysiadł na tylnych nogach i rzucił się do kolejnego ataku.

Adept skoczył przed siebie i dał nura pod łapami, unikając śmiertelnych pazurów. Jednocześnie zamachnął się mieczem i ciął po przednich kończynach, odrąbując je w połowie. Ze wściekłym wyciem bólu potwór upadł na podłogę. Wiedziony chęcią zemsty i pragnieniem krwi obrócił się i spojrzał na Barzano, który przetoczył się po podłodze i stanął obok gubernator i jej doradcy. Krew tryskająca z ran stworzenia zmieniała się wolno w opary wirującej ciemności. Ta pochłonęła już połowę korpusu bestii, która jednak nie dawała za wygraną. Kiedy pozostała z niej: już tylko głowa i część karku, Barzano podszedł i przepołówił łeb jednym ciosem miecza energetycznego.

Gdy sierżant Learchus dotarł do komnat adepta, ten ciężko wspierał się na wyłączonym mieczu i ledwie był w stanie utrzymać się na nogach.

Learchus ukląkł obok zwłok Cleandera i zacisnął pięść w bezsilnej rozpacz. Barzano milczał przez chwilę, obserwując żal i wściekłość sierżanta Ultramarines, a potem obrócił się w stronę Mykoli Shonai i Lelanda Corteo. Rzucił wyłączony miecz na łóżko, a pistolet odłożył na poharatany blat biurka.

- Zabiłeś to - wyszeptała Shonai. - Jak to możliwe? Kim ty jesteś?

- Lepiej powiem wam prawdę - odparł Barzano i podszedł do ściany. Zdjął z niej portret Forlanusa Shonai i odsłonił niewielki sejf. Wpisał dziesięciocyfrowy kod i otworzył drzwi. Wewnątrz znajdowała się niewielka skrzyneczka, którą postawił obok pistoletu.

Ku zaskoczeniu Shonai, to nie był jeszcze koniec niespodzianek. Ario ponownie sięgnął do wnętrza skrytki i wyjął z niej znacznie mniejszy przedmiot. Podał rozetkę pani

gubernator, która wzięła ją ostrożnie do ręki. Kiedy na nią spojrzała, na jej twarzy odmalował się najpierw wyraz zdziwienia, a potem strachu.

W rękę trzymała regularnie oszlifowany kawałek czarnego szafiru o wymiarach piętnaście na dziesięć centymetrów i grubości może pięciu. Na jego awersie wyryto pewien symbol: szczerzącą zęby czaszkę z dużym „I” na froncie.

Mykoła Shonai spojrzała na twarz człowieka, którego, jak wcześniej sądziła, przejrzała na wylot i zdała sobie sprawę, jak bardzo się pomyliła.

- Tak - powiedział ze śmiertelną powagą. - Rzeczywiście nazywam się Ario Barzano, ale nie jestem zwykłym adeptem. Reprezentuję Świętą Inkwizycję Imperatora.

ROZKŁAD 14

Dokładnie o siódmej rano następnego dnia po demonstracji Kolektywu Robotniczego na Placu Oswobodzenia, czołgi z koszar Sił Obrony Planetarnej w Kharon wyjechały przez bramy bazy i autostradą numer 236 ruszyły w kierunku Wrót Brandona. Po dwudziestu pięciu minutach kolumna czterdziestu Lemanów Russów, wzorzec Conqueror, wyprodukowanych w miejscowych fabrykach kartelu Taloun, osiągnęła przedmieścia i ruszyła ku pałacowi gubernatorskiemu.

Przez cały czas z głośników zamontowanych na pancerzach czołgów płynęły odtwarzane raz po raz komunikaty. Ludzie mieli zachować spokój, operacja wojskowa została przeprowadzona, aby położyć kres niepokojom i przywrócić spokój w mieście. Mieszkańcy Wrót Brandona ukradkiem wyglądali przez okna swoich domów i patrzyli na toczące się ulicami metalowe potwory. Czołgi przejechały przez dzielnice mieszkalne i fabryczne, zatrzymując się dopiero u podnóża muru wewnętrznego.

Niecałą godzinę po tym, jak czołgi noszące znaki kartelu Taloun wkroczyły do stolicy Pavonis, Siły Obrony Planetarnej sprzymierzonych z nimi rodzin wkroczyły do miasta z innych stron. Pod dowództwem kartelu de Valtos, którego siły zwykle stacjonowały w bazie Uskoku Tarmegan, opanowały bramy miejskie i drogi dojazdowe. Oprócz kartelu de Valtos w operacji brało udział sześć innych, mniejszych konsorcjów.

Do południa wokół miasta zgromadzonych zostało sto dziewiętnaście czołgów i ponad siedem tysięcy żołnierzy. Gdy wybiła godzina dwunasta, głośniki nagle zamilkły, a na wszystkich częstotliwościach radiowych nadano komunikat głoszący, że Siły Obrony Planetarnej przejmują kontrolę nad miastem, aby przywrócić ład i porządek, którego nie potrafiła zapewnić pani gubernator. Z szacunku wobec jej urzędu czołgi nie wkroczą jednak do samego miasta, jeśli nie zajdzie taka potrzeba. Mieszkańcy wewnętrznych dzielnic zaczęli zachodzić w głowę, cóż to może oznaczać.

Pomimo bezustannie ponawianych żądań Mykoli Shonai, która nakazywała, aby Siły Obrony Planetarnej wycofały się spod miasta, Wrota Brandona były zamknięte w pierścieniu milczącego oblężenia.

Kuśtykając przez korytarz prowadzący do apartamentów adepta Barzano, Uriel nie

mógł opanować zdumienia. Zniszczenia, których dokonały te bestie z piekła rodem, były ogromne i przechodziły wszelkie wyobrażenia. Niecałą godzinę wcześniej Thunderhawk osiadł na pałacowym lądowisku, a sierżant Learchus z marsową miną poinformował Uriela o śmierci brata Cleandera oraz trzech jego towarzyszy.

Ventrisowi, jak prawie zawsze, towarzyszył Pasanus. Olbrzym musiał się schylić, kiedy przechodzili pod gruzami kamiennego łuku. W swoich mocarnych ramionach niósł pojemnik z generatorem pola statycznego, wewnątrz którego zamknięty był kawałek metalu, wydobyty ze wzgórza na Caernus IV

Pomimo uzdrawiających rytuałów, jakie odprawił nad ranami kapitana aptekarz Selenus, Uriel czuł rwący ból w miejscu, gdzie ugodziło go ostrze topora. Przywódca mrocznych eldarów i sfera jego piekielnych zwierząt o mały włos nie pozbawili go życia. Choć groźba śmierci została zażegnana, serce Uriela przepęłniała żądza zemsty za poległych braci.

Barzano stał plecami do wejścia, opierając obydwie dłonie o metalowe pudło. Sądząc z wyglądu, musiało być bardzo stare.

Leżało na porysowanym biurku, które jakimś cudem ocalało ze zniszczeń. Adept rozmawiał z Mykolą Shonai i Lelandem Corteo. Lortuen Perjed siedział na łóżku i nie spuszczał mówiącego z oczu, a sierżant Learchus i Jenna Sharben stali nieruchomo w głębi pokoju. Kosmiczny Marine trzymał w dłoniach bolter i miecz łańcuchowy. Learchus poinformował swego kapitana o prawdziwej tożsamości Ario Barzano i z początku cierpko się wyrażał o funkcji, jaką naprawdę pełnił adept.

Widząc go teraz, Uriel nie miał kłopotów z zaakceptowaniem prawdy. Zniknęła gdzieś jowialna służalczość adepta Administratura. Barzano, ubrany w luźną tunikę, wąskie spodnie i buty do kolan, emanował siłą i bezwzględnością. Podeszedł do Uriela i uściśnił mocno jego dłoń, drugą rękę kładąc na ramieniu kapitana. W jego oczach widać było niezłomną determinację.

- Kapitanie Ventris, modłę się za twoich poległych braci. Zginęli chwalebną śmiercią.

Uriel pokiwał głową na znak, że przyjmuje jego współczucie. Mykola Shonai stanęła obok inkwizytora i powiedziała:

- Cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu, kapitanie. Ja także modłę się za pańskich braci i żywię nadzieję, że już żaden z Ultramarines nie będzie musiał ponieść takiej ofiary za Pavonis.

- Będzie tak, jak zadecyduje Imperator - odparł Uriel i gestem dał znak Pasanusowi, żeby postawił pojemnik na biurku, obok skrzynki.

- Co przywiozłeś ze sobą, Urielu? - zainteresował się Barzano. - Czy to fragment eldarskiego statku?

- Nie. Ten przedmiot pochodzi z jednego ze światów, które padły ofiarą ich napadu.

- A cóż to takiego? - mruknął pod nosem, dezaktywując runę pola statycznego i unosząc wieko pojemnika.

- Mieliśmy nadzieję, że pan będzie wiedział, inkwizytorze. To fragment stoku wzgórza, które składa się w całości z metalu. Wedle opowieści miejscowego, jedyne go człowieka, który przeżył atak, ze wzgórza spływał niegdyś strumień metalu, a miejscowi kowale zbierali surówkę i używali jej jako materiału do kucia broni oraz narzędzi. Choć wzgórze wykorzystywano w ten sposób przez całe pokolenia, to metal odradzał się w tajemniczy sposób bez końca.

Barzano pobladł i ostrożnie wydobyl z pojemnika kawałek stali. Szeroko otwartymi oczyma wodził po dziwnych runach, które pokrywały jego powierzchnię.

Na oczach patrzących jedno z włókien w środku zaczęło się zwijać, rdzewieć i rozpadło się w proch. Barzano delikatnie, prawie nabożnie położył kawałek metalu na biurku i spojrzał na Uriela.

- Mówiłeś o człowieku, który ocalał. Rozumiem, że jest na pokładzie „Vae Victus” i będziemy mogli go przesłuchać?

- Niestety nie. Ten człowiek był śmiertelnie ranny. Polecilem kapelanowi Clauselowi odprawić nad jego ciałem obrzęd Finis Rerum. Pochowaliśmy go w rodzinnej osadzie.

Barzano zacisnął szczęki, próbując ukryć wściekłość, która nim zawładnęła, kiedy dowiedział się, że pozwolono umrzeć tak cennemu świadkowi.

- Rozumem - powiedział w końcu, spoglądając na zamkniętą skrzynkę. Z całej siły zaciskał dłonie na jej krawędzi, aż knykcie mu pobielaly.

- Co to jest? - spytał Uriel, wskazując na pojemnik.

- To, mój drogi kapitanie, jest fragment wraku statku, który liczy sobie ponad sto milionów lat - wycedził przez zęby Barzano. - Między innymi z jego powodu jesteśmy na Pavonis.

- Sto milionów lat? - spytał z niedowierzaniem Leland Corteo. - To niemożliwe! Ludzkość zbudowała swoje pierwsze statki kosmiczne nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy lat temu.

- A czy ja powiedziałem, że zbudowali go ludzie? - odparł kwaśno Barzano.

- Czy to coś jest źródłem problemów na Pavonis? - spytała Shonai.

- Tego się właśnie obawiam. Czy pamiętasz, jak mówiłem, że za kłopotami na Pavonis

kryje się coś innego, niż można sądzić na pierwszy rzut oka? Oto prawdziwa przyczyna niepokojów. Ktoś chce odnaleźć resztę wraku.

- A co mu przyjdzie ze znalezienia starego statku? - wtrącił Uriel.

- Posiadzie nieprawdopodobną moc - odparł Barzano.

- Skoro pan wie, gdzie leży ten wrak, wystarczy że poda pan koordynaty miejsca jego spoczynku. „Vae Victus” zrówna je z ziemią.

- Ach, Urielu! - powiedział ze słyszalnym w głosie zawodem Barzano. - Gdyby to było takie proste! Niestety on nie istnieje w naszej rzeczywistości. Dryfuje pomiędzy jednym momentem a drugim, na zawsze skazany na przenikanie to do Immaterium, to do materialnej rzeczywistości. Taki jest jego niezmienny los.

- Więc czego się obawiasz?

Barzano nie odpowiedział, tylko przycisnął palec do zamka genetycznego, który spinał wieko metalowej skrzynki. Duch maszyny zaczął badać jego wzorzec i w końcu, usatysfakcjonowany rezultatem, pozwolił adeptowi wpisać trzynastocyfrowy szyfr i wymówić słowo otwierające. Pokrywa odskoczyła do góry i Barzano wyciągnął ciężką, oprawioną w ołowiane okładki księgę. Jej treści strzegło trzynaście zamków, które, choć wyglądały na delikatne, zostały zaopatrzone w heksagramiczne runy mocy.

Barzano otworzył każdy z nich, szepcząc coś pod nosem, tak jakby przekonywał je, aby dopuściły go do zgromadzonej na kartach wiedzy. W końcu, jeden po drugim, zamki otworzyły się, a uwolnione stronice zaczęły furkotać jak targane wiatrem. Barzano wyprostował się nagle, kiedy przez jego ciało przepłynęła nagromadzona w księdze moc.

Widząc to Uriel aż syknął, a reszta ludzi zgromadzonych w pokoju cofnęła się pod ściany. Tylko inkwizytor zdawał się być niewzruszony. Nabrawszy głęboko powietrza w płuca, zamknął oczy i wyciągnął dłoń ponad księgą. Kapitan Ultramarines poczuł, jak w powietrzu zaczynają gromadzić się ładunki elektryczne. Z wolna, posłuszne woli adepta Barzano, stronice zaczęły się przewracać jedna po drugiej. Dłoń Uriela bezwiednie opadła na rękojeść pistoletu, kiedy zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z jakimś czarnoksięstwem.

Nie odrywając wzroku od książki, Ario wyciągnął dłoń w stronę kapitana Ventrisa i dał mu znak, aby nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów.

- Nie, Urielu - wyszeptał przez zaciśnięte zęby. - Próbuję przekonać ducha strażniczego księgi, aby pozwolił nam skorzystać ze swojej wiedzy.

- Ducha księgi? - spytał kompletnie zbity z tropu Uriel.

- Tak. Nie raz zapewne słyszałeś, że wiedza to potęga. Teraz masz naoczny dowód, że to nie były tylko puste słowa. Ta wiedza ma moc.

Uriel mimowolnie spojrział na księgę, która pulsowała niczym bijące serce. Szepcząc pod nosem modlitwę, która miała odczynić zły urok, zdał sobie sprawę, że tylko w jeden sposób Barzano mógł się skontaktować z duchem księgi.

- Jesteś psionikiem?

- W pewnym sensie - przyznał inkwizytor. - Posiadam zdolności empatyczne, mogę odczuwać silne emocje lub ukierunkowane uczucia.

Księga w końcu poddała się jego woli i poźółkłe kartki zaczęły się przewracać, jakby ponownie targane wichrem. W pewnym momencie, najwidoczniej gdy otwarły się na poszukiwanej stronie, książka zamarła w bezruchu.

Barzano odetchnął głęboko, a Uriel dopiero teraz zauważył, że po czole adepta spływa pot. Z jego nosa ciekła strużka krwi, ale Barzano otarł ją obojętnie i pochylił się nad kartami.

Niechętnie i z oporami Uriel, Pasanius, Shonai i Corteo zbliżyli się do stołu.

Z początku Uriel nie potrafił zrozumieć bazgrołów, które pokrywały karty. Wyrazy zachodziły jeden na drugi, krzyżowały się lub wiły w koncentrycznie ułożonych kręgach.

- Co to jest? - spytała Shonai.

- To część pism heretyckiego mnicha techniki imieniem Corteswain.

- A kim on był?

- Corteswain należał do Adeptus Mechanicus. Przemierzał galaktykę wzdłuż i wszerz, poszukując w przeróżnych ruinach Standardowego Wzornika Konstrukcji. Zamiast nich odnalazł jednak tylko szaleństwo.

Uriel doskonale zdawał sobie sprawę z desperacji, z jaką kapłani techniki próbowali odnaleźć SWK. To był cel ich istnienia; całkowite i skończone kompendium wiedzy na temat wszelkich dziedzin nauki, jakie kiedykolwiek opracowała ludzkość. Nawet najbliższa plotka o istnieniu ocalałej kopii sprawiała, że kapłani techniki urządzali prawdziwe krucjaty w poszukiwaniu Wzornika. Odkrywczy przetrząsali zakamarki wielu systemów położonych wokół domniemanej lokalizacji, niestrudzenie szukając choćby najdrobniejszych jego fragmentów. Każde urządzenie, pojazd czy broń, jakimi dysponowało Imperium, miało swoje źródło w tych resztkach SWK, które znajdowały się w posiadaniu kapłanów techniki z Marsa.

- Corteswain był jedynym pozostałym przy życiu członkiem ekspedycji, która spenetrowała pewien martwy świat, którego nazwy nikt już nie pamięta. Jak można się domyślić, kapłani poszukiwali SWK, ale coś ich zaatakowało. Corteswain twierdził, że uratowała go istota o niezmiernie dużej mocy, która porwała go poza czas i przestrzeń, do innej galaktyki. Nazwał ją bogiem.

- Bogiem? - wyszeptała Shonai.

- Tak, bogiem - przytaknął Barzano. - Corteswain wierzył, iż było mu dane spojrzeć na prawdziwe oblicze Wszechmesjasza, Boga-Maszyny. Nie muszę chyba mówić, że takie twierdzenia nie zyskały mu zwolenników pośród Adeptus Mechanicus. Został oskarżony o bluźnierstwo, a jego nauki doprowadziły do schizmy pośród kapłanów Boga-Maszyny. Wierni jego dogmatom po dziś dzień kryją się na Marsie. Nie upłynął rok, a Corteswain zaginął w tajemniczych okolicznościach na Selthoth, gdzie nauczał swoich doktryn.

- Wiadomo, co się z nim stało? - spytał Uriel.

- Nie posiadamy żadnych pewnych informacji - odparł Barzano. - Zapewne został porwany przez swoich przeciwników i cichaczem zamordowany. Niestety jego pisma przetrwały, uratowane przez któregoś z uczniów.

- Nic już nie rozumiem - powiedziała Shonai. - Co to ma wszystko wspólnego z Pavonis?

- W tym ustępie Corteswain opowiada o statku, który, jak twierdzi, widział - tłumaczył inkwizytor, wskazując na ledwie widoczny szkic w rogu karty. Niewyraźny rysunek przedstawiał okręt w kształcie półksiężyca, w najszerszym miejscu którego wznosiła się piramida. Uriel próbował odczytać napisy pokrywające burty, ale nie był w stanie. Te same słowa krzyżowały się ze sobą i zachodziły na siebie, powtarzając się jak mantra szaleńca.

Jego oczy powędrowały ku najbardziej zamazanemu fragmentowi rysunku. Z wysiłkiem próbował odczytać spisane tam słowa i dopiero wymawiając je po cichu zdołał rozszyfrować zagadkę.

Kiedy wymówił tajemnicze słowa, włosy zjeżyły mu się na głowie. Jeszcze nie tak dawno wymawiał je spalonymi ustami bohaterski Gedrilc, konający od ran, które zadali mu eldarscy najeźdźcy. Zwiastun Noccy.

Barzano rzucił Urielowi czujne spojrzenie, tak jakby odczytał jego myśli. Kapitan Ultramarines przypomniał sobie, że inkwizytor posiada zdolności odgadywania ludzkich uczuć.

- Urielu - powiedział cichym głosem. - Czy te słowa mówią ci cokolwiek?

- Tak - przyznał Ventriss, kiwając głową. - Człowiek imieniem Gedrik, który przeżył masakrę na Caernus IV mówił przed swoją śmiercią o czymś, co kojarzy mi się z tym rysunkiem.

- Co powiedział? Mów szybko!

- Powiedział, że Zguba Światów i Ten, Który Zwiastuje Ciemność oczekuje na chwilę, kiedy będzie mu dane narodzić się w tej galaktyce. W moich rękach spoczywa jego los. Wiesz

może, co Gedrik mógł mieć na myśli?

- Nie, nic mi nie przychodzi do głowy - odparł Barzano. Jego słowa nie przekonały jednak Uriela, bowiem padły zbyt szybko, a inkwizytor nawet nie zastanowił się nad odpowiedzią. - Powiedział coś jeszcze?

- Nie. Chwilę później umarł - wyjaśnił Uriel. - Jeśli dobrze rozumiem, Zwiastun Nocy jest obcym statkiem kosmicznym. Jakie stanowi zagrożenie?

- Ogromne. Potrafi wyssać energię z gwiazd, zniszczyć wszelkie życie w całym systemie planetarnym. Najgorsze jest to, że aby tego dokonać, wystarczy mu zaledwie kilka dni. Rozumiesz teraz, jak groźną jest bronią?

Uriel pokiwał głową i powiedział zdecydowanym tonem:

- Musimy znaleźć ten statek, nim wpadnie w łapy eldarskich piratów.

- To prawda. Nie możemy też zapomnieć o tych, którzy knują intrygi przeciwko Pavonis - dodał Barzano i w zamyśleniu zaczął chodzić po pokoju.

- Kiedy walczyłem z wodzem eldarów, wypowiedział pewne imię.

Barzano zatrzymał się i spojrzał na Uriela.

- Powiedział imię? - syknął. - Jakie? Mówże, człowieku!

- Nie jestem pewien, czy to było imię. To była jedna z klątw, które na mnie ciskał. Brzmiała jak... „Karsag”, lub coś podobnego.

Barzano zastanawiał się przez chwilę, a potem spojrzał na panią gubernator.

- Czy to imię coś ci mówi? Czy to może być nazwa jednego z miejscowych karteli?

- Nie. Nie znam takiej nazwy.

- Kapitanie Ventris - wtrącił milczący dotąd Lortuen Perjed. - Czy to słowo nie brzmiało przypadkiem jak „keyrzak”?

Uriel zamknął oczy, przypominając sobie pozbawione uczuć, trupie oblicze wodza mrocznych eldarów. Pokiwał twierdząco głową.

- Tak, adeptcie Perjed. Wydaje mi się, że tak właśnie brzmiało to słowo.

Barzano szybkim krokiem podszedł do swojego pomocnika i przyklęknął przy nim. Położył dłoń na jego ramieniu i delikatnie potrząsnął mężczyzną.

- Mów, Lortuenie, nie czas na odgrywanie dramatów.

Perjed pokręcił głową i wyjaśnił:

- „Keyrzak” to nie imię, a raczej zwrot grzecznościowy. Jego korzenie rzeczywiście sięgają mowy mrocznych eldarów. Ten termin oznacza kogoś godnego szacunku.

Barzano puścił Perjeda, wstał z klęczek i powiedział:

- To ciekawa informacja, ale niestety kompletnie bezużyteczna.

- Wprost przeciwnie, Ario. Dzięki niej wiemy dokładnie, kto jest naszym wrogiem. Kogo przez cały czas szukaliśmy.

- Jak to? - spytał kompletnie zbity z tropu Barzano. - Co masz na myśli.

- Słowo „keyrzak” oznacza kogoś uhonorowanego. W swoich pismach Lasko Pyrce pisze, że oprawcy mrocznych eldarów, zwani haemonculusami, powiedzieli mu, iż powinien czuć się zaszczycony. Uhonorowali go bólem, który wziął się z najwyższego kunsztu w zadawaniu tortur, o jakim może śnić śmiertelna istota.

Uriel i Barzano spojrzeli na siebie, w lot pojmując, kogo mógł mieć na myśli wódz mrocznych eldarów. Perjed kontynuował:

- W ustach mrocznych eldarów to słowo straciło swój oryginalny sens i teraz oznacza istotę, którą poddano najwymyślniejszym torturom.

Shonai zacisnęła pięści i z sykiem wypowiedziała imię tego, który stał za wszystkimi jej problemami:

- Kasmir de Valtos.

Lewe skrzydło pałacu zbudowano ze wzmocnianego betonu. W jego wnętrzu mieściło się centrum kontroli lotów, monitorujące przestrzeń powietrzną i kosmiczną ponad Pavonis. Budynek był prawdziwą fortecą, która dzięki własnym zapasom i niezależnemu zasilaniu mogła przetrwać rok oblężenia.

Młodszy technik Lutricia Vijeon siedziała przy swoim panelu kontrolnym, spoglądając na wyświetlacz holoprojektora.

Jej zadaniem była kontrola obiektów, które zbliżały się do przestrzeni ponad miastem. Właśnie jeden z samolotów lub ornitopterów zbliżał się do Wrót Brandona, więc Lutricia zerknęła na dziennik lotów i ze zdziwieniem spostrzegła, że żaden nie został zaplanowany na tę godzinę. Dokładniejsze badanie wykazało, że nieznany obiekt jest ogromnych rozmiarów, więc skoncentrowała na nim wszystkie dostępne czujniki.

Takiego statku Lutricia jeszcze nigdy nie widziała. Miał długi dziób i zdawał się być napędzany żaglami! Cóż to mogło być?

Obraz statku na monitorze, niewyraźny i rozmazany, pływał po jego powierzchni, znikając, kiedy tylko próbowała skoncentrować na nim sensory. Kiedy wreszcie zdołała uchwycić cel, na jej ramię opadła silna, męska dłoń. Zaskoczona Lutricia spojrzała w górę i napotkała ponure oczy Danila Vorensa.

- Namierzyłam dziwny obiekt...

- Wiem, Vijeon. Wszystko jest w najlepszym porządku. Osobiście podałem mu kod

autoryzacji - przerwał jej Vorens, wyłączając czujniki.

- Rozumiem. Ale czy nie powinniśmy zaraportować tego wydarzenia?

- Nie, Vijeon - odparł Vorens, pochylając się i szepcząc jej na ucho. - Tego statku nigdy tutaj nie było, a ty niczego nie wykryłaś, rozumiano?

Vijeon nie wiedziała, co się dzieje, ale posłusznie pokiwała głową.

Ostatecznie, co ją obchodziły machlojki szefa?

Włączyła ponownie sensory i zaczęła przeszukiwać kolejny sektor przestrzeni kosmicznej.

Najwidoczniej Vorens oczekiwał gości.

Thunderhawk Ultramarines wylądował na dziedzińcu wiejskiej posiadłości Kasmira de Valtosa. Położona na Wzgórzach Olsena rezydencja znajdowała się siedemdziesiąt pięć kilometrów od Wrót Brandona.

- Wsiadać! - ryknął Uriel i jako pierwszy wyskoczył z bolterem w dłoni z luku desantowego pojazdu. Jego oczom ukazał się bogato wykończony pałacyk, skąpany w promieniach popołudniowego słońca. Na podjeździe przed rozległą budowlą stały dwa czarne powozy. Kosmiczni Marines wysypali się z Thunderhawk a, zabezpieczając teren, a statek powietrzny wystartował, otoczony chmurą dymu i ognia. Gestem ręki Uriel nakazał oddziałom Dardino i Venasusa ruszyć ku budynkom, a sam z Pasaniusem u boku skierował się ku głównym drzwiom.

Wrota prowadzące do wnętrza rezydencji były otwarte i Uriel przeskoczył przez nie jednym susem. Kilka gestów wykonanych zaciśniętą w pięść dłonią wystarczyło, aby pokierować grupą Ultramarines, którzy momentalnie opanowali pusty hol. Kapitan wraz z Pasaniusem i dwoma innymi Marines ruszyli ku schodom, na każdym kroku wypatrując przyczajonych wrogów.

Klatka schodowa wiodąca na pierwsze piętro okazała się być pusta. Na prawo i lewo od niej ciągnęły się wyłożone dywanami korytarze. Ten z prawej lekkim łukiem prowadził w głąb rezydencji, podczas gdy lewy kończył się masywnymi, dębowymi drzwiami. Przeczucie podpowiadało Urielowi, że dom został opuszczony, jednak żelazna dyscyplina oraz instynkt żołnierza kazały mu traktować to miejsce jako wysoce niebezpieczne.

Uriel i Pasanius przemierzyli korytarz, celując z bolterów w ogromne drzwi. Choć nie dochodziły zza nich żadne odgłosy, to czuć było dziwny i niepokojący swąd.

Uriel wywarzył drzwi jednym, celnym kopniakiem, a potem wskoczył do środka, lądując na ugiętych nogach. Ponad jego głową Pasanius omiatał pomieszczenie bolterem od

lewej do prawej. Sięgnął po tę broń, rezygnując z ulubionego miotacza płomieni, biorąc pod uwagę rozmiary pomieszczeń, do których wkroczyli. Z głębi budynku do uszu Uriela docierały odgłosy kroków Ultramarines, którzy przeszukiwali resztę posiadłości. Choć smród, który unosił się w powietrzu, był niemal nie do zniesienia, Uriel wyczuł, że jego źródłem jest piękne, bogate łóżko.

Na ozdobnej pościeli leżały zwłoki, które niegdyś były ludzkim ciałem. Skóra, mięśnie, a nawet pojedyncze nerwy zostały oddzielone od kości przy pomocy skalpeli, noży, igieł, haków i pił. Gołą czaszkę otaczała aureola złocistych loków, teraz pozlepianych skrzepami krwi.

- Na Guillimana, co za bezeceństwo! - żołądek Uriela zacisnął się na supeł, kiedy Kosmiczny Marine oglądał koszarne szczątki. Także Pasanus w milczeniu obserwował zbezczeszczone zwłoki. W końcu powiedział:

- Kto mógł coś takiego zrobić?

Uriel nie potrafił odpowiedzieć.

Pomimo straszliwych obrazów i zaczynającego się już rozkładu zwłok był w stanie odgadnąć, na czyje szczątki spogląda. Solana Vergen będzie kolejną z ofiar, za jakie przyjdzie zapłacić Kasmirowi de Valtos.

Sierzant Venasus ostrożnie prowadził swój oddział przez podziemia rezydencji zdrajcy. System sensoryczny pancerza energetycznego mówił mu, że w piwnicach było znacznie wilgotniej i zimniej niż na powierzchni.

Choć jak do tej pory niczego ciekawego nie znaleźli, Venasus miał nadzieję, że już wkrótce staną twarzą w twarz z wrogami. Trzech z jego braci zginęło na pokładzie statku obcych i sierżant chciał ich pomścić.

Korytarz wyłożony gołymi kamieniami doprowadził ich do metalowych drzwi, zamykających wejście. Sierzant uderzył w nie barkiem i wyważone z zawiasów odrzwia wpadły do pomieszczenia. Tuż za nim do środka wpadli kolejni Ultramarines. Pokój był pogrążony w ciemnościach, jednak pancerz automatycznie uruchomił system noktowizyjny.

Venasus zobaczył po swojej lewej szczerzącą kły, metalową czaszkę. Niewiele myśląc, obrócił się w tamtą stronę i nacisnął spust boltera.

Do uszu Uriela dobiegły odgłosy wystrzałów i kapitan Ultramarines natychmiast ruszył w kierunku, z którego dochodziły. Źródłem dźwięków kanonady były piwnice. Być może udało się wreszcie odnaleźć nieuchwytnego wroga i nadszedł czas, aby odpłacić mu za jego intrygi?

Kiedy dotarł na miejsce, szybko zorientował się, że jego nadzieje były płonne. Korytarz okazał się być pusty i cichy, pokryty jedynie zrodzonym z wilgoci liszajem.

Sierżant Venasus stał w wejściu do niewielkiego pomieszczenia.

- Raport - zażądał Uriel.

- Fałszywy alarm, panie kapitanie. Jako pierwszy przedarłem się przez drzwi i wewnątrz zauważyłem coś, co mogło być wrogiem. Otworzyłem ogień, ale niepotrzebnie, jak się okazało.

- Dziesięć dni postu, modlitwy i pokuty. Potem macie odprawić rytuały, które wzmocnią wasze zdolności celownicze.

- Tak, kapitanie.

- Do czego strzelaliście, sierżancie?

- Nie jestem pewien. To coś, co wygląda jak metalowy szkielet. Nie wiem dokładnie, co to może być.

Sierżant usunął się z drogi, pozwalając Urielowi i Pasaniusowi wejść do pomieszczenia. Wewnątrz świeciła się tylko jedna kula jarzeniowa. W jej promieniach pokój wyglądał jak warsztat szaleńca. Wszędzie walały się dziwne narzędzia, których przeznaczenia nie sposób było odgadnąć. Półki i blaty warsztatowe były poczerniałe, jakby od straszliwego gorąca. W kącie pomieszczenia spoczywały roztrzaskane szczątki figury, do której strzelał Venasus. Sierżant trafnie ją opisał, kiedy porównał przedmiot do metalowego szkieletu. Jego niegdyś lśniaca powierzchnia teraz pokryta była patyną śniedzi, a członki powyginane pod nienaturalnymi kątami.

Drugi szkielet leżał na stole warsztatowym, a z jego otwartej klatki piersiowej wystawały całe pęki kabli, podłączonych do żółtych akumulatorów, ustawionych równymi rzędami pod ścianą. Stalowe panele, które chroniły klatkę piersiową i czaszkę, zostały zdjęte i Uriel mógł zajrzeć do wnętrza dziwnej maszyny. Choć z pozoru jej anatomia przypominała ludzką, to był w niej obcy element, który sprawiał, że nawet odważnego kapitana Ultramarines ogarnął niepokój. Uriel odnosił wrażenie, że istoty te wykonano na podobieństwo człowieka, ale zrobiono to także po to, aby mu urągać.

To uczucie sprawiło, że Uriel poczuł nieodpartą odrazę do metalowych figur. Być może stało się tak za sprawą złowrogiej złośliwości, która promieniowała z nieruchomych oblicz rzeźb? A może dlatego, że metal, z jakiego je wykonano, niepokojąco przypominał ten, który znaleźli na Caernus IV?

- Na wszystkie świętości, co to jest? - spytał Pasanius.

- Nie mam pojęcia, przyjacielu - pokręcił głową Uriel. - Być może to była załoga

statku, o którym opowiadał Barzano?

Pasanius lufą boltera stuknął w pierś figury.

- Myślisz, że to coś jest martwe?

Uriel podszedł do stołu i jednym stanowczym ruchem wyrwał garść przewodów, które wystawały z piersi i czaszki metalowego człowieka.

- Teraz już tak.

Im bardziej zbliżali się do ostatnich drzwi, tym niższa stawała temperatura. Uriel z nieodpartą fascynacją obserwował ten proces na wyświetlaczu hełmu. Z serwomotorów pancerza dobywała się syka, a generator umieszczony w plecaku buchał parą. Im bliżej byli metalowych wrót, tym większy niepokój odczuwał kapitan Ventris.

Drzwi nie były zamknięte na głucho, a ze szpary nad progiem przebijały promienie zimnego światła. Do nosów Ultramarines dotarł zapach środków dezynfekujących.

Spojrzawszy za siebie kątem oka, Uriel dostrzegł Pasaniusa, Venasusa i sześciu innych Ultramarines, gotowych na jego rozkaz wziąć ostatnie pomieszczenie szturmem. Reszta Kosmicznych Marines przetrząsała dom de Valtosa w poszukiwaniu jakichkolwiek materiałów, które mogłyby ułatwić rozszyfrowanie planów i uknutej przezeń intrygi. Uriel dał znak i Pasanius wyważył kopniakiem drzwi.

Metalowa płyta nie zdążyła jeszcze nawet runąć na podłogę, gdy Kosmiczni Marines byli już w środku. Najpierw Pasanius, a potem Venasaus przeskoczyli przez próg. Uriel ubezpieczał ich i wszedł do pomieszczenia jako trzeci.

Powitały ich słabe jęki i zawodzenia. Automatyczny system sensoryczny miał kłopoty z dostosowaniem się do nieregularnie mrugającego światła, więc Uriel dezaktywował go i włączył latarkę, umieszczoną na ramieniu pancerza. Pozostali Ultramarines zrobili to samo i ich oczom ukazało się ośmiokątne pomieszczenie, na środku którego znajdował się stół.

Widok, który tam zastali, zmroził im serca. Na metalowym blacie stołu chirurgicznego leżał szkielet człowieka. Nieliczne mięśnie trzymały się jeszcze kości, a reszta została oddzielona z niezwykłą wręcz precyzją i zawieszona na hakach. Każdy z nich umieszczono tak, aby oddawał naturalne położenie organu wewnątrz ciała. Można było odnieść wrażenie, że ciało Taryna Honana nagle eksplodowało i zostało zatrzymane w polu statycznym chwilę po wybuchu. Najgorsze było to, że krew wciąż jeszcze pulsowała w żyłach, a życie nie opuściło martwiejących członków.

- Imperatorze - wyszeptał Uriel, przerażony nie na żarty. Czaszka umęczonego nieszczęśnika została oddzielona od reszty ciała, a mózg wyjęty i ułożony na blacie tak, że

nadal był w stanie w ograniczonym zakresie funkcjonować i zawiadywać zmalretowanym ciałem.

Oczy torturowanego nadal tkwiły w oczodołach i poruszały się nerwowo, jakby ten we śnie przeżywał ostatnie chwile swoich mąk. Uriel zmówił cichą modlitwę, poświęcając duszę umęczonego Imperatorowi.

Ochłap tłustawego mięsa, w którym mieściły się usta Honana drgnął, zupełnie jakby za niewidoczne sznurki marionetki pociągnął jakiś upiorny lalkarz. Oczy, z których zdarto powieki, obróciły się i ku przerażeniu Uriela skupiły wzrok na nim.

Spomiędzy warg Taryna Honana dobył się pełen cierpienia jęk. Po policzkach popłynęły łzy, a Honan załkał błagalnie. Nawet twardzi Ultramarines nie mogli pozostać nieczuli, słysząc głos tak przepelniony cierpieniem. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że ocalenie tego biednego człowieka nie leży już w ludzkiej mocy. Jego usta drgały bezwiednie, a on sam konwulsyjnie się trząsał, kiedy próbował sklecić choć jedno zdanie.

Uriel zbliżył się do nieszczęśnika, starając się nie okazywać po sobie obrzydzenia, jakie go opanowało.

- Co próbujesz mi powiedzieć? - szepnął, niepewny, czy Honan w ogóle go słyszy. Spoglądając na tak straszliwie zmasakrowane ciało, zadawał sobie pytanie, czy w umyśle torturowanego pozostało tyle zdrowych zmysłów, aby mógł go zrozumieć. Wargi Honana jeszcze raz ułożyły się, aby wymówić dwa słowa, a Uriel rozumiał ich sens, zanim zdołał je usłyszeć.

- Zabijcie mnie...

Kosmiczny Marine pokiwał głową i przyłożył lufę boltera do rozszczępionej czaszki konającego. Ten zamknął oczy i zdołał jeszcze wyszeptać:

- Dziękuję.

Wymówiwszy pierwsze słowa Modlitwy za Męczenników, kapitan Ventris nacisnął spust i posłał kulę prosto w odsłonięty mózg Taryna Honana. Kolejne pociski rozszarpały zawieszony na hakach organy, tnąc mięso, szarpiąc napięte nerwy i łamiąc kości.

Uriel pozwolił, aby jego wściekłość i frustracja znalazły ujście w tej jednej chwili. Pozostali Ultramarines dołączyli do niego, niszcząc wszystkie sprzęty i narzędzia tortur, jakie znajdowały się w ośmiokątym pomieszczeniu. Ich furii nie oparły się ściany, żelazne pojemniki i zbrojone drzwi. Marines zniszczyli wszelkie ślady zbrodniczej działalności Kasmira de Valtosa.

Kiedy dym się rozwiał, Uriel poczuł, że na powrót ogarnia go spokój. Opuścił broń i odetchnął głęboko. Nadal słyszał ostatnie słowa Honana, który z ulgą dziękował za skrócenie

cierpień.

Zbrodniarze umknęli karze.

Nieważne, jeszcze ich wytropią.

- Poinformujcie inkwizytora Barzano o wypadkach, jakie tutaj zaszły. Wracamy do pałacu.

Obróciwszy się na pięcie, opuścił to przekłete miejsce.

Kasmir de Valtos wiercił się w skórzanym fotelu. Samochód nie był jednym z typowych modeli, jakich używano w Pavonis, ale w obecnej sytuacji konwenanse nie grały roli.

Jeszcze raz wspomniął przerażenie malujące się na twarzy Solany Vergen, kiedy zaprezentował jej zawartość skórzanej, czarnej torby. Cieszył się każdym jej krzykiem i przeraźliwym łkaniem. Błagała go o życie. Biedaczka, nie wiedziała, że przypieczętowała swój los, przyjmując zaproszenie na obiad. Jaka szkoda, że nie mógł obserwować Chirurga przy pracy, ale jego własne żądze miały swoje prawa.

Tak, Solana Vergen była cudownym materiałem. Jej ból, cierpienie, powolna agonia i wreszcie bolesna śmierć na wiele tygodni zaspokoją demony targające jego duszą. Później jednak wróćą ze zdwojoną siłą i trzeba będzie je nakarmić krwią.

Coś wyrwało Kasmira z zamyślenia i jak przebudzony ze snu rozejrzał się dookoła, spoglądając na twarze współpasażerów. Co dziwne, miał ochotę się uśmiechać, dzielić szczęściem z innymi ludźmi.

Naprzeciwko siedział Chirurg. Jego spojrzenie błędziło po ciele Kasmira, a w ślad za nim poruszały się dłonie, jakby mężczyzna w myślach przeprowadzał kolejną wiwisekcję. Ostatnia operacja, którą jak zwykle okupił potwornym bólem, oczyściła ciało Kasmira z toksyn i odsunęła widmo zżerającej je plagi.

Ale w tej grze mogły brać udział dwie osoby, pomyślał de Valtos, wspominając krzyki ponad setki swoich własnych ofiar, na których doskonalił swój kunszt. Kiedy wejdzie w posiadanie Zwiastuna Nocy, role się odwrócą. Jego uśpiony pan obdarzy go nieśmiertelnością, której tak bardzo pożądał Kasmir i wtedy arogancki eldar zrozumie, że był marionetką, nie lalkarzem.

Towarzyszka Chirurga siedziała wygodnie u jego boku, wyciągnąwszy długie nogi na całą szerokość kabiny samochodu. Jej oczy połyskiwały zalotnie i uwodzicielsko, choć można w nich było też dostrzec obrzydzenie i pogardę. Posłała mu pocałunek, który zdawał się grozić bliskością fizycznego kontaktu z jej zmysłowym ciałem. De Valtos wzdygnął się

odrazą.

Pomimo butnych zapewnień jej spaczeniowe bestie nie zdołały zabić pani gubernator. Kasmir był z tego nawet zadowolony. Będzie mógł spojrzeć jej w twarz i nacieszyć się tryumfem, kiedy Shonai wreszcie zrozumie, kto stał za wszystkimi jej kłopotami.

Jego dobry humor ulotnił się, kiedy zwrócił uwagę na ostatniego z pasażerów samochodu. Vendare Taloun nerwowo stukał palcami w przyciemnioną szybę. Kasmir próbował mu współczuć, ale zatracił wszelkie ludzkie uczucia, kiedy ostrze haemonculusa po raz pierwszy przebiło jego skórę.

Cóż mógł właściwie czuć wobec tego człowieka? Jego małostkowość i ograniczenie popchnęły go do sojuszu z Kasmirem. W swojej głupocie Taloun wierzył, że we dwóch zawładną Pavonis! I co mają jeszcze razem zrobić, przywrócić demokrację? Kasmir poczuł, jak w piersiach rodzi mu się szaleńczy śmiech.

Wysiłkiem woli zmusił się, aby zachować obojętność. Kamienna twarz i stalowe nerwy doprowadzą go do celu. A ten był już tak blisko! Kontrola i opanowanie, one były kluczem do sukcesu.

Samochód łagodnym łukiem skierował się ku stolicy Pavonis i na horyzoncie zamajaczyły mury Wrót Brandona. Jego spojrzenie skupiło się na umykającym horyzoncie. De Valtos zacisnął dłonie i uśmiechnął się, wiedząc, że każdy przebyty kilometr przybliży go do celu. Ku jego zdziwieniu Chirurg wydobył z zakamarków szat jakieś dziwne urządzenie i spojrzał na wyświetlacz. De Valtos z niekłamanym podziwem przyglądał się delikatnym ruchom jego palców. Usta obcego wykrzywiły się w nieprzyjemnym grymasie.

- Zniszczono cielesną rzeźbę. Nasi wrogowie odnaleźli wiwisektorium.

De Valtos był zaskoczony, ale po raz kolejny nie dał niczego po sobie poznać. Jeśli ktoś odkrył ciało Honana, to musiał zdawać sobie sprawę z planów, jakie snuł Kasmir i jego sprzymierzeńcy.

Nieważne. Wypadki toczyły się już własnym torem i nie można było zatrzymać ich biegu. Dojechali już prawie na miejsce. Płyta lądowiska znajdowała się niedaleko przed nimi. Jeszcze kilka chwil i wejdą na pokład statku powietrznego, który zabierze ich do pałacu.

Myśli de Valtosa powędrowały ku Beauchampowi Abrogasowi, który przebywał w celi pod komisariatem Arbitratorów. Po raz kolejny nieomal zaniósł się głośnym śmiechem.

- Dostarczyłaś chłoptasiowi Abrogasów inhalator? - spytał nienawistnie spoglądając na niego kobietę.

Pokiwała tylko głową, nie zaszczycając go ani słowem odpowiedzi.

Czy to nie dziwne, że taki głupiec jak Beauchamp stanie się załącznikiem nowej ery

Pavonis?

To była jednak przyszłość, na razie uwagę Kasmira zaprzętały inne, ważniejsze sprawy do załatwienia.

* * *

- A więc się zaczęło? - spytała Mykola Shonai.

- Na to wygląda. - odparł inkwizytor Barzano, wyłączając radio. Położył dłoń na rękojeści miecza i rozejrzał się dookoła. Być może stał się przewrażliwiony po ataku piekielnych bestii, ale nie chciał dać się zaskoczyć kolejnym zabójcom. - De Valtos nie porzuciłby swojej rezydencji, gdyby jego plany nie wkraczały w ostateczną fazę.

Jego humor znacznie się pogorszył, kiedy okazało się, że Amel Vedden, zdrajca, którego schwytał sierżant Learchus, zmarł w ambulatorium. Pomimo bezustannej obserwacji mężczyzna zdołał przełączyć przewody i wstrzyknąć sobie do żył zabójczą dawkę powietrza. Zmarł, targany potwornymi konwulsjami.

Choć uniknął kazającej ręki sprawiedliwości, Barzano miał pewność, że dusza zdrajcy smażyła się teraz w piekle.

Pałac gubernatorski chroniony był przez tuziny gwardzistów, a Learchus wycofał swoich Ultramarines do wewnętrznych komnat. Mykola Shonai i Ario Barzano cieszyli się ochroną, jakiej nie miał nikt inny na Pavonis.

- Co powinniśmy zrobić, inkwizytorze? - spytał Leland Corteo, bezskutecznie próbując ukryć zdenerwowanie. Barzano położył dłoń na jego ramieniu, uspokajając starszawego doradcę.

- Po pierwsze, musimy zmobilizować wszystkie wierne nam jednostki. Przekażcie wiadomość do kwater Adeptus Arbites oraz postawcie w stan gotowości strażę pałacowe. Dodatkowo upewnijcie się, że zostaną podniesione tarcze ochronne.

- Oczywiście, osobiście tego dopilnuję. Znam ich dowódcę, Danila Vorensa. Przekażę mu pana życzenia.

Corteo opuścił gabinet, pozostawiając Ario Barzano, Jennę Sharben, Almerza Chandę i Mykolę Shonai wyglądających przez zbrojone okno apartamentów pani gubernator.

Spaliny były z rur wydechowych czołgów, a Barzano wiedział, że tylko kwestią czasu było, kiedy ich działa wezmą na cel pałac gubernatora.

- Sędzio Sharben?

- Tak? - odparła pytaniem.

- Chciałbym, żebyś odeskortowała panią gubernator do jej osobistego wahadłowca.

Udacie się nim na pokład „Vae Victus”.

Twarz Mykoli Shonai przybrała zdecydowany wyraz. Splotła ręce na piersi i tonem nie znoszącym sprzeciwu powiedziała:

- Inkwizytorze Barzano, chce pan, abym porzuciła moją planetę w chwili, w której najbardziej mnie potrzebuje? Moim obowiązkiem jest pozostać i przeprowadzić poddanych przez ten trudny moment.

- Wiem, Mykola - odparł łagodnym tonem Barzano. - W normalnej sytuacji nie miałbym nic przeciwko temu, ale nasi wrogowie udowodnili, że potrafią uderzyć nawet w najbardziej strzeżone miejsca i w każdej chwili są w stanie zadać morderczy cios. Jeżeli faktycznie stoimy na skraju otwartej rebelii, to możemy się spodziewać kolejnych zamachów na twoje życie.

- Z pewnością nic nam tutaj nie grozi. Sierżant Learchus zapewnił mnie, że pod jego opieką nie stanie nam się żadna krzywda.

- Nie wątpię w zdolności sierżanta, jednak nie zamierzam się też z tobą spierać. Masz się udać na pokład „Vae Victus”. To koniec dyskusji.

- Mylisz się - warknęła rozsierzdzona Shonai. - Nie opuszczę Pavonis, nie ucieknę jak przerażone dziecko. Nie zawiodę moich ludzi po raz kolejny. Zostanę na miejscu, nawet jeśli oznacza to wystawienie się na niebezpieczeństwo.

Barzano zaczerpnął głęboko tchu i podrapał się po czole. W oczach pani gubernator widział żelazną wolę i jeśli chciałby ją zmusić do podróży na „Vae Victus”, musiałby rozkazać Learchusowi, żeby zaniósł ją na pokład wahadłowca.

- No dobrze - zgodził się niechętnie. - Musisz mi jednak obiecać, że zrobisz to, o co cię prosiłem, jeśli sytuacja stanie się naprawdę niebezpieczna. I nie będziesz podważała wtedy mojej decyzji.

Przez chwilę inkwizytor miał wrażenie, że Mykola Shonai się nie zgodzi, ale kobieta pokiwała głową i odparła:

- Dobrze. Jeżeli będzie mi grozić niebezpieczeństwo, odleczę na „Vae Victus”.

- To wszystko, co chciałem usłyszeć.

Kiedy drzwi do jego celi wreszcie się otworzyły i ponury strażnik powiedział, że przyszedł wpłacić kaucję, Beauchamp Abrogas nie posiadał się z radości. To była najlepsza wiadomość od niepamiętnych czasów.

Pod jego czaszką pulsował straszliwy ból. Jak przez mgłę Abrogas spostrzegł, że idzie przez długi, jasno oświetlony korytarz; jedynym urozmaiceniem w tym monotonnym

otoczeniu były metalowe drzwi w zagipsowanych futrynach.

Z pogardą pomyślał o pechowcach, którzy więzieni byli w tych celach. Nie dla nich szybka wpłata kaucji. Beauchampowi wróciła jasność myślenia, jaką nie cieszył się od wielu miesięcy. Postanowił, że odstawi na jakiś czas opiatix, a być może przestanie go zażywać na dobre.

Kiedy wydostali się z labiryntu korytarzy, Abrogas podpisał stertę dokumentów, których nawet nie przejrzał. W końcu opuścił poziom więzienny i tylko to się dla niego liczyło.

Wsiadając do windy trzymał pod pachą swoje ubranie. Humor dopisywał mu jak nigdy, nie zwracał uwagi na brud i bijący od rzeczy swąd, którego nawet legion praczek nie zdołałby usunąć.

Kiedy opuścili kabinę windy, znowu zagłębili się w labirynt takich samych korytarzy, a każdy kolejny krok przybliżał Abrogasa do wolności. W końcu dotarli do pokoju, gdzie stało kilka przykręconych do podłogi krzeseł i podobnie zamocowany stół. Sędzia popchnął go w stronę jednego z siedzisk i rzucił krótkie: „siadać!”, po czym wyszedł.

Beauchamp opadł na krzesło i położył nogi na stole. Splótł ręce na piersi i odchylił głowę do tyłu. Wróciła mu pewność siebie i arogancja szlachcica. Mijały kolejne minuty, a on stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Podniósł się z krzesła i zaczął przemierzać pokój wszerz i wzdłuż. W końcu, znudzony tymi spacerami, wrócił na swoje miejsce i wtedy usłyszał szcęk klucza w zamku.

Do pokoju wszedł nieznany mu sędzia, prowadząc za sobą potężnie zbudowanego mężczyznę w długich szatach, którego twarz okalała krótko przycięta broda. Gość miał przy sobie tylko metalową walizkę, a w klapie tkwił znaczek kartelu Abrogas. Beauchamp nie rozpoznawał tego człowieka.

Sędzia wyszedł z pokoju, a brodacz usiadł naprzeciwko Beauchampa i przesunął w jego stronę walizkę.

- Nazywam się Tynen Heras, mój panie. Przybyłem, by zabrać cię do domu.

- Najwyższy czas! - rzucił pogardliwie Beauchamp. Byłby zgubiony, gdyby okazał choć cień wdzięczności słudze. Pokazał na walizkę i spytał: - Co przyniosłeś?

- Pozwoliłem sobie odebrać pańskie rzeczy - odparł Heras, otwierając walizkę. Wewnątrz znajdowała się garść monet, trochę biżuterii, talia kart i...

Oczy Beauchampa zrobiły się okrągłe jak spodki, kiedy ze zdziwieniem dostrzegł czarny inhalator z opiatixem. Na chwilę przed aresztowaniem kruczowłosa dziwka z baru Cielsko wsunęła go za pazuchę jego koszuli. Przebrał się szybko w swoje rzeczy i schował

resztę dobytku do kieszeni. Dobrodusznie skinął głową Herasowi i powiedział:

- Wielce dziś pomogłeś swemu przywódcy, rzemieślniku Heras. Dziękuję.

- Jestem zaszczycony, mój panie - odparł sługa. Wstał ze swojego miejsca, okrążył pokój i podszedł do drzwi - Muszę zamienić jeszcze słówko z sędziami. Zaraz wrócę i pojedziemy do domu.

- Tak, już nie mogę się doczekać powrotu.

Mężczyzna pośpiesznie wyszedł i trzasnął drzwiami.

Abrogas czuł, jak inhalator w jego kieszeni woła go słodkim, narkotycznym głosem. Wyjął go z kieszeni potarł czarnym plastikiem o zarośnięty policzek. Gdzieś wewnątrz jego trzewi zrodziło się nieodparte pragnienie.

Nie mógł tego zrobić. Nie tutaj. Nie w komisariacie Arbitratorów. Na pewno mieli gdzieś ukryte kamery.

Ale było już za późno. Ziarno padło na podatny grunt.

To będzie jego mała, prywatna zemsta na Adeptus Arbites. Złamać prawo w samym sercu ich fortecy. Pomysł był zbyt cudowny, aby mu się oprzeć. Abrogas zachichotał jak dziewczyna, czując, że ogarnia go łaknienie. Jeden potężny haust i po krzyku.

Nie, to głupota. Znowu wtrąca go do celi. Co zrobi, jeśli okaże się, że ta dawka jest tak samo mocna jak poprzednia?

W takim razie weźmie tylko odrobinę.

No, może trochę więcej.

Najwyżej połowę inhalatora.

Beauchamp wyjął czarną tulejkę z kieszeni i zamarkował ziewnięcie. Zakrył usta dłonią i poczuł, jak plastik dotyka jego ust. Przez jego ciało przeszło drzenie podniecenia, które zawsze towarzyszyło narkotycznym eskapadom. Wypuścił powietrze z płuc, a potem zaczerpnął je ponownie, naciskając przycisk inhalatora.

Gorące granulki opiatixu popłynęły przez jego gardło prosto do płuc.

Od razu zorientował się, że coś jest nie w porządku.

Na Imperatora, co się działo? Musi to wypluć!

Ale dla Beauchampa Abrogasa było już za późno.

Żar rozlał się po jego ciele, smażąc zakończenia nerwów i przesywając agonialnym bólem jego kręgosłup. Nogi mężczyzny ugięły się i ponownie wyprostowały, aż zatrzeszczały kości. Beauchamp wbił palce w blat i darł nimi tak mocno, że poodrywał sobie paznokcie. Zostawiając krwawe ślady na stole, wrzasnął i spadł z krzesła, wijąc się w konwulsjach na betonowej podłodze.

Jego ciało płonęło od wewnątrz.

Chemiczna trucizna obcego pochodzenia, uwarzona z substancji tak śmiertelnych, że ich istnienie uważano za mit, mieszała się z toksynami, które podano Abrogasowi w Cielsku.

Mózg Beauchampa gotował się w jego czaszce, a konający rwał sobie włosy z głowy, nie mogąc znieść potwornego bólu. Abrogas zdołał podnieść się na kolana i wyjął jak potępieniec pełził ku drzwiom. Każdy ruch przeszywał go nowym spazmem. Choć jego kości topiły się i zmieniały w płynną lawę, zdołał podnieść się z klęczek i opadł na drzwi.

Nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa, tylko rytmicznie uderzał o drzwi. Te otworzyły się, a Beauchamp wypadł na korytarz, odtrącając zaskoczonego sędziego. Ślepo ruszył przed siebie.

Nie zważał na krzyki sędziów, nie dbał o to, dokąd zmierza ani co za nim wołają. Chciał jedynie uwolnić się od potwornego bólu. Każdy krok okupował cierpieniem, ale nie potrafił się zatrzymać.

W końcu runął jak długi. Obca trucizna zmieniała jego ciało w gorzącą plazmę.

Otoczyły go dziwne głosy.

Kiedy niespotykane substancje toczące jego ciało osiągnęły masę krytyczną i powiązały się z chemikaliami, którymi zatruto wcześniej jego organizm, nastąpiła reakcja łańcuchowa.

Jej efektem była czysta energia.

Z siłą kilkudziesięciu ładunków wybuchowych Beauchamp Abrogas eksplodował.

ROZDZIAŁ 15

Fala uderzeniowa, której źródłem była wybuchowa śmierć Beauchampa Abrogasa, zawałiła front komisariatu Adeptus Arbites. Ogromny obłok kurzu wzbił się w powietrze, a w promieniu kilometra ze wszystkich okien wyleciały szyby.

Kilka sekund później silniki zgromadzonych wokół miasta czołgów ożyły i pojazdy ruszyły w stronę murów. Dwa czołowe Lemany Russy z koszar Kharon otworzyły ogień, a ich pociski wysadziły w powietrze bramę. Spiżowe wrota zawałiły się z hukiem, podobnie jak ściana, w której były osadzone. Kiedy rozwiały się tumany pyłu, w fortyfikacjach ziała szeroka na dwadzieścia metrów dziura, przez którą kolumny pancerne zaczęły wdierać się do wewnętrznych rejonów miasta.

Bez żadnych przeszkód ponad dwa tuziny ciężkich czołgów wjechały na wyłożone brukiem ulice, kierując się ku pałacowi pani gubernator. Pozostałe oddziały pancerne zabezpieczyły lotniska i port kosmiczny, a piechota, przewożona transporterami opancerzonymi Chimera, obsadziła roгатki i drogi wiodące do centrum miasta. Zbuntowane oddziały SOP przejęły także kontrolę nad głównymi i szczególnie ważnymi fabrykami oraz arsenałami.

Niektórzy z mieszkańców miasta stawili zaciekły opór. Wybuchły walki pomiędzy robotnikami wiernymi kartelowi Shonai a najeźdźcami. W wyniku starć w płomieniach stanęły kontenery z chemikaliami, a niegaszone pożary zaczęły się rozprzestrzeniać na inne fabryki.

Tymczasem czołgi wjechały na Plac Oswobodzenia, gdzie przywitał je ogień zaporowy makro-dział. Pierwsze salwy zniszczyły kilka pojazdów i wyrwały ogromne dziury w asfalcie. Czołgi wybuchały jak fajerwerki, kiedy eksplodowały ich zbiorniki z paliwem i amunicją.

Jednakże serwitorzy, którzy obsługiwali działa, byli zbyt nieliczni i nie mogli dostatecznie szybko niszczyć nacierających pojazdów. Coraz więcej wrogów wlewało się na Plac Oswobodzenia, prąc ku pałacowi gubernatorskiemu i kwaterze głównej Adeptus Arbites.

Choć u wrót pałacu płonęło już kilkanaście czołgów, to nie było sposobu, aby zatrzymać resztę nacierających wrogów. Z nieznanых powodów nie została podniesiona tarcza ochronna i salwa za salwą równały z ziemią mury pałacu.

Wieżyczki obronne pierwsze padły ofiarą ognia rebeliantów. Działonowi czołgów obrali je za cel i jedną po drugiej zniszczyli. Resztki instalacji runęły na ziemię.

Kolejne ładunki spadały na ozdobne galeryjki i budynki ogrodów. Tysiącletnie zabytki obróciły się w pył, kiedy zaczęły pomiędzy nimi wybuchać pociski burzące. Szyby pękały w oknach, a pałac w jednej chwili obracał się w ruinę.

Dwa celne strzały zwały dzwonnice. Wieżyca zakotłosała się i przełamała na pół. Dzwon, który sprowadzili na Pavonis pierwsi osadnicy, zadźwięczał po raz ostatni i runął na bruk. Kiedy uderzył o ziemię, rozpadł się na tysiące drobnych odłamków.

Druga grupa czołgów zaatakowała komisariat Arbitratorów, gdzie napotkała znacznie zacieklejszy opór. Wewnętrzne tarcze ochronne, stanowiące część systemu zabezpieczeń, przetrwały wybuch i zdołały zneutralizować ostrzał. Niektórzy z celowniczych próbowali ostrzelać budynki ogniem pośrednim, ale ich wysiłki spęzły na niczym. Czołgi nie były przygotowane do takiego sposobu prowadzenia ognia i w efekcie ich pociski spadły daleko od celu.

Sędziowie wiedzieli, że każda eksplozja, którą powstrzymywały pola ochronne, skraca ich żywotność i tylko kwestią czasu jest, kiedy zapadną się pod nawalą kanonady. Czas nieubłaganie uciekał.

Ario Barzano wygrzebał się spod stosu gruzów, ocierając krew spływającą po policzku. Podniósł się na klęczki i schylony przeczołgał do miejsca, gdzie leżała Mykola Shonai. Jej bezwładne ciało spoczywało na biurku, przysypane odłamkami gipsu i cegieł. Inkwizytor precyzyjnie przycisnął palce do jej szyi, szukając tętna. Z ulgą stwierdził, że kobieta żyje i, trzymając się przy podłodze, odciągnął ją od okien. Ułożywszy nieprzytomną na podłodze sprawdził szybko, czy gubernator nie odniosła poważnych obrażeń. Najgorsze co ją spotkało, to kilka zadrapań i rozcięć skóry, pamiątka po latających wszędzie dookoła odłamkach szkła z rozbitych szyb.

Odetchnąwszy z ulgą, Barzano zaczął przeszukiwać zasłany szczątkami pokój. Jenna Sharben była lekko ranna, ale jej lewa ręka zwisała bezwładnie; najprawdopodobniej była złamana. Kiwnęła uspokajająco głową inkwizytorowi i pokazała brodą na Almerza Chandę, którego przywaliły resztki rozbitej szafy. Doradca pani gubernator zajęczał głucho, kiedy Barzano wyciągnął go spod sterty śmieci.

- Co się stało? - wychrypiał.

- Czołgiści z Placu Oswobodzenia zdecydowali, że należy dosłownie usunąć panią gubernator z urzędu - odparł Barzano. - Nic ci nie jest?

- Nic strasznego. To tylko kilka zadrapań.

- Dobrze, nie ruszaj się.

Inkwizytora najbardziej martwiły pęknięcia w suficie, które poszerzały się z każdym wstrząsem, jaki przechodził przez ostrzeliwany budynek. Podczołgał się pustego otworu okiennego i ostrożnie wyrzwał na zewnątrz.

Na placu roiło się od czołgów, zarówno tych zniszczonych jak i sprawnych. Kolejne jechały w stronę pałacu, a ich działa ziały ogniem. Pod wpływem eksplozji pokój ponownie się zatrzęsł, a z sufitu poleciał gruz i odłamki tynku. Niższe piętra pałacu stanęły w płomieniach, a imponująca brama, która prowadziła na wewnętrzne dziedzińce, zmieniła się w bezkształtną kupę poczerńiałego złomu.

Pod osłoną pierwszej fali czołgów transportery Chimera dowoziły na pole walki piechotę. Większość z nich kierowała się ku pałacowi, choć duża część jednostek została też rozlokowana w okolicach umocnień Arbitratorów.

Barzano podczołgał się do Mykoli Shonai. Kobieta zaczynała powoli dochodzić do siebie, więc otarł jej czoło i twarz z krwi.

Gubernator zakaszłała i rozejrzała się dookoła. Ku zadowoleniu inkwizytora, w jej spojrzeniu nie było ani krzty strachu. Usiadła i jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem swoje prywatne kwatery, oceniając zniszczenia.

- Dranie! - warknęła, próbując wstać. Barzano nakazał jej trzymać się nisko przy podłodze. Jakby na poparcie jego niewypowiedzianego ostrzeżenia, kolejna salwa pocisków trafiła w pałac. Budynek jeszcze raz zatrzęsł się w posadach.

Barzano spojrzął na Jennę Scharbem, która klęczała przy Chandzie i skinał głową.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Nie ma chyba wątpliwości, że sprawy przybrały bardzo niebezpieczny obrót, prawda?

Te ostatnie słowa były skierowane do pani gubernator. Mykola przytaknęła i blado się uśmiechnęła:

- Masz całkowitą rację - przycisnęła dłonie do rozciętego czoła i, bardziej do samej siebie niż do kogokolwiek innego, powiedziała: - Jedyne, co pamiętam, to huk i wstrząs. Potem obudziłam się, leżąc na podłodze.

Strząsnęła dłoń Barzano z ramienia, a potem wstała i zachwiała się na odmawiających posłuszeństwa nogach. Pomimo bólu wyraźnie widocznego na jej twarzy, utrzymała równowagę i stanęła pewniej. Pełnym godności ruchem otrzepała swoje szaty z kurzu.

Drzwi do komnat pani gubernator wyleciały z futryny, wyważone przez sierżanta Learchusa, którego ogromna sylwetka majaczyła teraz w wejściu. On oraz dwóch innych

Ultramarines, którym kapitan Ventris nakazał pełnić straż przy inkwizytorze i pani gubernator, wpadli do pomieszczenia.

- Wszyscy żyją? - spytał Kosmiczny Marine.

- Tak, sierzancie - zapewniła Mykola Shonai. Minęła olbrzymia w niebieskim pancerzu i wyszła ze zdemolowanego pokoju. - Musimy jednak działać szybko, bowiem wróg stoi u bram i nie pozostało nam wiele czasu.

Learchus podniósł jedną ręką kulejącego Almerza Chandę i wyszedł z pokoju. W jego ślady poszli Barzano i Jenna Sharben. Wycofującym się towarzyszyło ponad dwudziestu strażników. Ich kapitan zaczął nerwowo przeproszać, tłumacząc, że nikt nie spodziewał się ostrzału artyleryjskiego. Gubernator nagle stanęła, a oficer aż pobałdł ze strachu.

- Dlaczego tarcza energetyczne nie została podniesiona?

Barzano spojrział na nią, zastanawiając się nad czymś, po czym odpowiedział:

- To bardzo dobre pytanie.

Z zakamarków swojej szaty wy dobył komunikator i włączył go. Odnalazł odpowiednią częstotliwość i rzucił do mikrofonu:

- Lortuen, przyjacielu, nic ci nie jest?

Minęła dłuższa chwila, nim usłyszeli głos inkwizytorskiego doradcy.

- Wszystko w porządku, Ario, jesteśmy cali i zdrowi. Jak ty się miewasz?

- Żyjemy, co samo w sobie jest już sporym sukcesem. Kierujemy się ku „Vae Victus”.

Chcę, abyś zebrał wszystkich naszych ludzi i udał się na lądowisko. Tam się spotkamy.

Nie czekając na odpowiedź, wyłączył komunikator i rozejrzał dookoła. Przez chwilę nad czymś się poważnie zastanawiał, a potem powiedział do Learchusa:

- Sierzancie, chcę, żebyście sprawdzili, dlaczego tarcza ochronna nie została podniesiona. Zróbcie, co tylko w waszej mocy, aby została jednak włączona.

Potężny Ultramarine chciał zaprotestować, ale Barzano nie pozwolił mu nawet dojść do słowa. Wskazał ręką na strażników i powiedział:

- Nie martwcie się o moje bezpieczeństwo. Mamy dość żołnierzy, aby móc wyjść cało z każdej opresji.

Learchus nie wyglądał na szczęśliwego, ale złożył rannego Chandę w ramiona dwóch umundurowanych na szaro gwardzistów i skinął na swoich braci.

- Pokażemy panu drogę - zaoferował się młody szeregowiec.

Learchus mruknął coś w odpowiedzi i wraz z pozostałą dwójką Kosmicznych Marines ruszył w stronę centrum kontrolnego tarczy siłowej.

Ponura i budząca niepokój fasada kwatery Adeptus Arbites wyglądała tak, jakby wyładował na niej swoją wściekłość imperialny Tytan. Zachodnia ściana zawaliła się, a pomiędzy gruzów sterczały powyrywane kable wysokiego napięcia i pręty zbrojeniowe. Te mury, które nie runęły, upstrzone były dziurami i przestrzelinami.

Sędziowie ponieśli duże straty. Wnętrze budynku, które nie uległo zawaleniu, pełne było kurzu i ledwie dawało się tam oddychać. Pokrwawieni Arbitratorzy bez wytchnienia próbowali odkopać spod gruzów przywalonych towarzyszy, a medycy toczyli bezustanny bój o życie konających i rannych.

Virgil Ortega przepychał się przez zatłoczony korytarz, usiłując zrozumieć, co się właściwie stało. Budynek został praktycznie zniszczony. Detonacja nastąpiła w jego wnętrzu, tego Ortega był pewien. Nie było mowy o ostrzale. Ale jakim cudem ktoś zdołał przemycić bombę do środka?

Na wyjaśnienia i kary przyjdzie czas później. Jeżeli będzie w ogóle ku temu jakaś okazja. Wsłuchując się w głuchy dźwięk silników, Ortega szczerze w to wątpił. Ale jak mógł w ogóle tak myśleć? Przecież był Arbitratorem, ręką imperialnej sprawiedliwości! Dopóki krew płynie w jego żyłach, dopóty wrogowie porządku nie mogą spać spokojnie, upominał sam siebie w myślach.

Trzeba było działać szybko. Zamach na komisariat był pierwszym aktem otwartej rebelii, dlatego Ortega zebrał wszystkich sędziów, którzy mogli brać udział w walkach i zaczął wydawać rozkazy. Kiedy upadną mury okalające miasto, na nich spocznie ciężar prowadzenia obrony.

Choć nie chciał tego po sobie pokazać, czuł się fatalnie. Oddychał z trudem, a połamane żebra bolały go potwornie. Choć dopiero niedawno wypisał się z ambulatorium, to pewne było, że tych starć nie będzie mu dane oglądać biernie z boku.

Ortega wolałby dowodzić obroną prowadzoną z wnętrza budynku komisariatu, ale wybuch tak poważnie naruszył jego konstrukcję, że w każdej chwili groziła zawaleniem. Baterie dział umieszczone na wieżyczkach dodawały obrońcom trochę siły ognia, jednak i one ucierpiały w ataku, a kilka z nich po prostu się zawaliło.

Poczyniwszy wszelkie możliwe przygotowania do obrony, Ortega wrócił do bramy, gdzie zostawił Collixa z radiostacją. Sędzia był cały pokrwawiony, a jego pancerz pękł w kilku miejscach i był ubrudzony tynkiem. Virgil był pozytywnie zaskoczony tym, jak bardzo w ciągu ostatnich kilku dni wydorósł młody oficer. Zmiana była o tyle nagła, co niespodziewana, ale jak najbardziej pozytywna. Ortega z zadowoleniem stwierdził, że Collixowi nic się nie stało.

- Macie jakieś dobre informacje? - spytał.

- Jak do tej pory nic, sir. Jesteśmy zagłuszani i nie możemy połączyć się z innymi garnizonami.

- A niech to! - warknął Virgil. Sytuacja była znacznie gorsza, niż się spodziewał. - Spróbujcie częstotliwości SOP.

- Już to zrobiłem. Ona także nie działa.

- Fatalnie. Próbuje dalej i poinformujcie mnie, jeśli uda się nawiązać z kimś łączność.

Collix pokiwał głową i wrócił do radiostacji.

Ortega spoglądał na zasłany gruzem plac przed garnizonem. Perymetr obronny komisariatu ciągnął się na trzysta metrów dookoła. Goły plac usiany był zaporami przeciwczołgowymi, ukrytymi dołami, zasiekami i punktami obronnymi, w których właśnie lokowały się zebrane pośpiesznie oddziały.

Kiedy wróg przerwie mury, będzie go tu czekała ciężka przeprawa.

Ortega spojrzął za siebie, na wrota do hangaru. Z jego wnętrza dobiegał warkot silników trzech Lemanów Russów, które czekały na jałowym biegu. Jeśli dopisze im szczęście, zaskoczą nimi wrogów.

Ogromna eksplozja i trzask wyładowań elektrycznych obwieściły Arbitratorom, że pole ochronne w końcu się załamało. Duchy maszyny poddały się pod nawałę wrogiego ognia. Kilka sekund później betonowy mur, który otaczał garnizon, także wyleciał w powietrze.

To jest to, pomyślał Ortega. Początek końca. A jednak był zadowolony. Mając tak mało czasu i tak ograniczone środki uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby przygotować się do nadchodzącej walki.

Czas pokaże, czy zrobił wystarczająco wiele.

Danil Vorens opuścił dymiącą lufę pistoletu i jeszcze raz spojrzął na ekran przed sobą. W pokoju kontrolnym zapadła kompletna cisza, a wszyscy technicy jak oniemiała patrzyli na swojego przełożonego.

Lutricia Vijeon nie była wyjątkiem. Zakryła dłonią usta i niepewnie zerknęła na trupa, który leżał na podłodze. W jego głowie ziała ogromna dziura. Staruszek wpadł do centrum kontroli, krzycząc i wymachując dymiącą fajką. Kazał im natychmiast podnieść tarczę, klnąc w żywy kamień, że pozwolili zdrajcom dotrzeć aż pod mury pałacu.

Ona sama też się temu dziwiła i nawet chciała spytać Vorensa, dlaczego nie polecił

podnieść osłon, ale nim to zrobiła, zaczęła się awantura. Lutricia nie wiedziała, kim jest starszy mężczyzna, ale musiał być ważną osobą, bowiem miał dostęp do centrum kontroli.

Krzyczał na Vorensa i groził mu, a ten po prostu wyjął pistolet i go zastrzelił. Teraz ich przełożony schował broń do kabury i rozejrzał się dookoła.

- Czy ktoś jeszcze ma do mnie pretensje? - spytał zadziornym tonem.

W sali panowała cisza jak makiem zasiał. Lutricia czuła, że ogarnia ją wstyd. Jej przełożony dopuścił się morderstwa i zdrady. Ukryci bezpiecznie w fortecy ledwie czuli drżenia, które powodował ostrzał artyleryjski pałacu, ale żadne z nich nie miało odwagi sprzeciwić się Vorensowi. Lutricia zmówiła krótką modlitwę do Imperatora, aby wybaczył jej zaniechanie obowiązków.

Pomimo obecności ponad dwudziestu żołnierzy Sił Obrony Planetarnej, Ario czuł się bezradny. Korytarze trzęsły się raz za razem, kiedy kolejne salwy coraz liczniejszej floty czołgów zgromadzonej na Placu Oswobodzenia trafiały w pałac gubernatorski. Zewsząd docierały do jego uszu krzyki i wołania ludzi, którzy zbiegali do schronów lub uciekali w stronę platform lądowiska. Gdzieś pomiędzy nimi dało się wyłowić głosy zbuntowanych żołnierzy, którzy wdarli się już do wnętrza budynku.

Barzano widział, jak atakujący wlewają się przez wyważone bramy i zdawał sobie sprawę, że ataku nie da się już powstrzymać zbyt długo. Odcięci od posiłków, ponoszący potworne starty lojaliści skazani byli na porażkę. Upadek pałacu był jedynie kwestią czasu.

W chwili obecnej najważniejsze było przetransportowanie Mykoli Shonai na pokład „Vae Victus”. Dopóki gubernator będzie żyła, dopóty wierni jej żołnierze będą mieli za kogo walczyć. Wraz z jej ewentualną śmiercią ziszczą się plany Kasmira de Valtosa.

Z tych właśnie powodów Barzano ustawicznie przyśpieszał kroku, pomagając iść Mykoli. Za nimi kuśtykał Almerz Chanda, wspierający się na ramieniu Jenny Sharben. Jego obrażenia okazały się poważniejsze niż się na początku wydawało i doradca znacznie spowalniał ich marsz.

- Jak daleko jeszcze do wyrzutni wahadłowców? - spytał Barzano. Jego obawy podsyciły okrzyki ścigających ich buntowników, którzy z każdą minutą coraz bardziej się zbliżali.

- Jesteśmy już prawie na miejscu. Jeszcze kilka minut i będziemy bezpieczni.

Korytarz zatrzęsł się ponownie, kiedy kolejna salwa trafiła w pałac. Tylko łut szczęścia ocalił życie Barzano. Fragment sufitu zawalił się, grzebiąc pod tonami gruzu sześciu żołnierzy i o włos tylko minął inkwizytora. Kurz, pył i odłamki wypełniły powietrze

duszająca chmurą.

Ario podniósł się z ziemi i zaklął jak szewc, kiedy zorientował się, że przejście jest zablokowane.

- Czy jest inna droga do lądowiska? - krzyknął do kulącego się obok żołnierza. -
Mówże, człowieku!

Młodzieniec zakaszłał i pokiwał obsypaną tynkiem głową.

- Tak, sir. Musimy zawrócić kawałek. Będziemy szli dłużej, ale damy radę.

Odgłosy kanonady i krzyki zbliżały się z każdą minutą.

- Cholera - warknął Barzano. - Jest niedobrze. Bardzo niedobrze.

Ortega nie widział pierwszego pocisku, który trafił w budynek komisariatu. Zamiast tego z fascynacją obserwował, jak wieżyczka działka obronnego pęka w połowie i majestatycznie spada na ziemię, grzebiąc pod gruzami sędziów z plutonu wsparcia na prawej flance.

Pozostałe baterie otworzyły ogień, kiedy tylko pierwsze czołgi przedostały się przez wyrwy w murze. Prowadzący pojazd eksplodował, a jego wieżyczka pofrunęła wysoko w powietrze. Nie zdążyła jeszcze opaść na ziemię, kiedy trzy Conquerory staranowały zniszczony pojazd i zaczęły ostrzeliwać garnizon. Ogromne kawały betonu runęły na ziemię, a nadwreżony budynek w końcu poddał się i zawalił. Sędziowie rozpięchli się, szukając osłony, ale Ortega ryknął:

- Pozostać na pozycjach! My się nie poddajemy!

Ledwie wykrzyczał te butne słowa, pochłonęła go chmura wirującego pyłu i odłamków.

Jego głos został zagłuszony przez kanonadę działek i karabinów maszynowych. To działa garnizonowe i sędziowie na stanowiskach obronnych odpowiedzieli ogniem. Ich wysiłki były jednak skazane na niepowodzenie, bowiem czołgi miały doskonałe opancerzenie i uzbrojenie. Ponadto ich załogi znały się na swojej robocie: jeden z pojazdów strzelał, a potem ustępował pola innym i pod osłoną ich ognia szykował się do kolejnej salwy. Mimo to w końcu udało się je zniszczyć, nim zapewniły wsparcie buntownikom, rozstawiającym moździerze. Wkrótce deszcz pocisków spadł na pozycje Arbitratorów, niszcząc resztę działek obronnych.

Przez kłęby dymu i tumany kurzu Ortega dostrzegł masywne kształty transporterów opancerzonych. Rebeliancka Chimera przejechała tuż obok niego, strzelając z multilaseru umieszczonego na wieżycze.

Virgil przeskoczył za mur i krzyknął do najbliższego z oddziałów wsparcia:

- Chimera na jedenastej!

Okrzyk Ortegi dotarł do uszu dwóch zespołów broni ciężkiej. Skierowały one swoje granatniki na Chimere i odpaliły pociski. Pierwszy z nich ugodził transporter w przednią część pancerza, jednak nie zdołał go przebić. Eksplozja oderwała gąsienice i pojazd zawirował wokół własnej osi. Uderzył w zaporę przeciwczołgową, posypały się kolejne części zespołu napędowego, a tylna rampa z hukiem opadła na ziemię. Z wnętrza Chimery wysypali się żołnierze.

Ortega po raz pierwszy zobaczył napastników.

Żołnierze Sił Obrony Planetarnej Pavonis!

Gdzieś w głębi duszy sędzia od początku wiedział, z kim ma do czynienia, ale kiedy na własne oczy ujrzał wrogów, ogarnęła go prawdziwa wściekłość. Przez chwilę miał ochotę po prostu rzucić się na nich w dzikim szale i tłuc po tych durnych łbach, ale wiedział, że tak naprawdę nie ma to sensu. Musiał trzeźwo myśleć, nie mógł poddawać się emocjom.

Drugi pocisk poszybował wprost w otwarty luk desantowy i wybuchł we wnętrzu Chimery. Czołg eksplodował na tysiące kawałków, kiedy pocisk zdetonował także skład amunicyjny i zbiorniki paliwa. Płonący buntownicy rozpierzchli się z wrzaskiem, a sędziowie roześmiali się głośno.

Radość nie trwała zbyt długo, bowiem do uszu Arbitratorów dotarł niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym metaliczny dźwięk. Z takim szczękiem wystrzeliwane były tylko pociski z moździerzy.

- Kryć się! - krzyknął Ortega, padając na ziemię i przyciskając dłonie do głowy.

Z głuchym hukiem pociski spadły na linie obrońców. Eksplozje zmieszały się z krzykami rannych. Choć większość sędziów zdołała znaleźć schronienie, to ci, którym nie dopisało szczęście, zostali rozerwani na strzępy.

Virgil zagrzebał się w ziemi, usiłując przeczekać salwy, które jedna za drugą spadały na pozycje sędziów.

Dopóki będą kryć się przed ogniem, dopóty nikomu raczej nic się nie stanie. Jednak podczas gdy sędziowie będą szukać osłony, zbuntowani żołnierze SOP zbliżą się do ich pozycji. Ortega zaryzykował i szybko wystawił głowę poza mur, za którym się kulił. Zaklął pod nosem, widząc cztery chimery, zbliżające się do linii obrońców.

Nagle moździerze zaprzestały ostrzału. Virgil podniósł się na równe nogi, trzymając dubeltówkę w pogotowiu.

Sześciu żołnierzy, którzy kryli się dokładnie po drugiej stronie kupy gruzów, było

równie zaskoczonych jak on. Lata doświadczenia oraz instynkt pozwoliły Ortedze wyjść cało z opresji. Nacisnął spust i strzelił w grupę rebeliantów.

Niewielka odległość sprawiła, że amunicja rozpryskowa na miejscu zabiła dwóch żołnierzy, a trzeciego ciężko raniła. Ortega przeskoczył przez murek i kopniakiem powalił następnego żołnierza. Ten zatoczył się do tyłu i wyrzucił na swoich kamratów. Sędzia przeładował strzelbę i kolejnymi strzałami posłał ich do wszystkich diabłów.

Jeden z rannych pasażerów Chimery strzelił do Ortegi z karabinu laserowego. Sędzia jeszcze raz przypadł do ziemi i ruszył w jego kierunku. Mężczyzna rozpaczliwie próbował powalić zbliżającego się Arbitratora, ale chybiał raz za razem. Virgil dopadł do leżącego i ciosem kolby rozłupał mu czaszkę.

Patrząc wzdłuż linii obronnych Ortega uznał, że sytuacja jest ciężka, ale nie beznadziejna. Choć buntownicy mieli przewagę liczebną i uzbrojenia, to Virgil dowodził jednymi z najgroźniejszych żołnierzy Imperatora. Ich głównym atutem była żelazna dyscyplina, doskonałe uzbrojenie i świetne wyszkolenie. Adeptus Arbites udowodnili swoją wartość i powstrzymali pierwszy impet szturm zbuntowanych oddziałów SOP.

Rebelianci kryli się za transporterami i sporadyczne ostrzeliwali pozycje Arbitratorów. Jednak aby przełamać ich linię i zapobiec kolejnemu natarciu, trzeba było przygotować silne kontruderzenie.

- Collix! - krzyknął Ortega. - Szybko, do mnie!

Sierżant Collix podczołgał się do Virgila, strzelając co jakiś czas w kierunku buntowników.

- Kapitanie? - spytał, z trudem łapiąc oddech. Był zmęczony i podekscytowany walką zarazem.

- Powiadomcie drużynę Veritas, że ich potrzebujemy! Muszą zaatakować wroga z prawej flanki. Jeżeli dokopie im odpowiednio mocno, to zdołamy przełamać ich pierścień i zmusić ich do odwrotu!

Collix połączył się z parkiem maszynowym, a Ortega opróżnił magazynek strzelby i napelnił go nowymi nabojami.

- Kapitanie, sierżant Wallas donosi, że „Słuszna Sprawiedliwość” została odpowiednio poświęcona i jest gotowa do walki, ale „Boski Autorytet” i „Święte Prawo” wymagają jeszcze modłów. Musimy dać im jeszcze kilka minut.

Ortega warknął coś pod nosem i wyrwał Collixowi komunikator z dłoni.

- Wallas, wyprowadź natychmiast te cholerne czołgi! A może mam zejść na dół i wyrwać ci serce przez tyłek, co? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Kilka sekund później drzwi hangaru maszynowego rozwarły się i z rykiem silników „Słuszna Sprawiedliwość”, stary i wysłużony czołg Leman Russ, wyjechał na plac, strzelając ze wszystkich dział.

Dwie Chimery wyleciały w powietrze, trafione wielkokalibrowymi pociskami z działa głównego. Artylerzyści bezbłędnie określili słabe punkty transporterów i bezlitośnie wykorzystali wady pojazdów. Pierwsze szeregi szturmującej garnizon piechoty zostały zdiesiątkowane ogniem ciężkich bolterów. Jeden po drugim ludzie padali jak łany zboża ścinane kosą.

Ortega uśmiechnął się pod nosem. Na Imperatora, mogło im się udać!

Buntownicy rozpierzchli się. Ich karabiny laserowe nie były w stanie przebić pancerza czołgu. Nagle zza ich szeregów wyprysnął pocisk raketowy i trafił dokładnie w wieżyczkę Lemana Russa. Przez chwilę Virgil stał nieruchomo, spoglądając na obłok dymu, który spowił czołg. Ku swej radości zobaczył, że pojazd wyjechał z niego prawie nienaruszony. Pocisk nie przebił pancerza, a jedynie oderwał przednie działo laserowe.

Serce Ortegi przepełniło się nadzieją i krzyknął:

- Wierni Imperatorowi! Nadszedł czas! Do boju!

Jako pierwszy przeskoczył przez mur i poprowadził Arbitratorów do szturm. Sędziowie podążyli za nim, strzelając w biegu i prac naprzód. Opanowała ich bitewna gorączka, a widok „Słusznej Sprawiedliwości”, miażdżącej pod gąsienicami rebeliantów, natchnął nowymi siłami. Żołnierze SOP, na których z jednej strony napierali Adeptus Arbites, a z drugiej byli dziesiątkowani ogniem ciężkich bolterów, pierzchli panicznie do tyłu.

Ortega także nie próżnował. Strzelił jednemu z uciekających w plecy, drugiemu w twarz i wtedy zauważył kolejną trójkę Conquerorów, zbliżających się do wyrwy w murze.

Salwa dział laserowych oraz pociski z wyrzutni raket powstrzymały szarżę „Słusznej Sprawiedliwości”.

Zniszczenie „Słusznej Sprawiedliwości” zbiegło się z przybyciem „Boskiego Autorytetu” i „Świętego Prawa”. Ich załogi, nie dość, że nie zrażone śmiercią towarzyszy, ale jeszcze dodatkowo nią rozwścieczone, z furją przystąpiły do eksterminacji buntowników. Ciężkie boltery pruły raz po raz, dziesiątkując szeregi rebeliantów.

Ortega krzyknął ostrzegawczo, widząc jak dowódca zbuntowanych SOP szarżuje na „Boski Autorytet”. Choć z pozoru jego szaleńczy atak wydawał się być czystym samobójstwem, to wsparcie kamratów, a szczególnie rękawica energetyczna, która rozblęsnęła na jego ręce, dawały mu spore szanse w starciu z czołgiem. Pełgająca wokół pięści aureola

elektryczności zapewniała człowiekowi tak wielką siłę, że bez trudu mógł rozdrzeć płyty pancerza pojazdu.

Oficer rzucił się do przodu i w tej samej chwili działo laserowe zamontowane na przednim pancerzu czołgu wystrzeliło. Jeden z otaczających dowódcę żołnierzy wyparował, ale jego herszt i towarzysze nadal nacierali.

Kierowca „Boskiego Autorytetu” zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu zagrażało. Wcisnął gaz do dechy, chcąc rozjechać wrogi dowódcę, ale było już za późno. Oficer zamachnął się i grzmotnął z całej siły w boczny pancerz czołgu. Metal z jękiem pękł, rozerwane gaśnice poleciały na wszystkie strony, a czołg skreślił w miejscu w prawo i uderzył w resztki muru, miażdżąc kryjących się za nim buntowników. Jeden z towarzyszących dowódcy żołnierzy doskoczył do rozdartego poszycia burty i zaczął strzelać do wnętrza pojazdu. Nie mogąc uciec ani się schować, Arbitratorzy zostali wystrzelani jak kaczki.

Wokół buntowników zaczęły wybuchać granaty, kiedy sędziowie rzucili się, aby pomścić poległych towarzyszy. Wykorzystując zgiełk i zamieszanie, a w szczególności dym, który zasnuwał pole walki, rebeliancki oficer zbiegł. Ortega zaryzykował szybki rzut oka i to, co zobaczył, niemal sparaliżowało go strachem. Coraz więcej Chimer i piechoty ścigało pod oblężony garnizon. Wspierani ogniem trójki Conquerorów buntownicy zaczęli zyskiwać zdecydowaną przewagę nad sędziami. Ich z kolei z każdą salwą było coraz mniej.

W obliczu tak potwornych strat kontratak Adeptus Arbites załamał się. Nie mogąc znieść naporu wrogów i ognia trzech ciężkich czołgów, Arbitratorzy zaczęli się cofać.

Z początku Ortega próbował ich zatrzymać i na nawo sformować linię obrony, ale coraz silniejsza kanonada sprawiła, że i on zaczął oddawać pole.

„Święte Prawo” wykorzystało zasłonę, jaką dawały płonące wraki innych czołgów i prowadziło ogień zaporowy, dając sędziom czas na wycofanie sił. Buntownicy rozpierzchli się na widok kolejnego czołgu, który tym razem kierował się ku wspierającym ich Chimerom. Działo laserowe rozbłysło jasnym promieniem i ugodzony w tylny pancerz transporter eksplodował, zajmując się jasnożółtym płomieniem.

Siła wybuchu była tak wielka, że wyrzuciła pojazd do góry. Ten przekoziółkował w powietrzu i spadł na jadący za nim transporter, miażdżąc jego gaśnice. Impet uderzenia sprawił, że wał korbowy Chimery pękł i wbił się w ziemię. Czołg zawył jak zranione zwierzę, a jego tylna część została wyrzucona w górę. Przez chwilę balansował na krawędzi pancerza, a potem runął na ziemię i eksplodował w kuli pomarańczowego płomienia. Kilkudziesięciu żołnierzy SOP zginęło na miejscu, pochłoniętych falą eksplozji.

Pomimo strat buntownicy, nadal wspierani przez trzy Conquerory, nacierali na pozycje Arbitratorów. Większość sędziów już zginęła lub została ranna, a Ortega wiedział, że garnizon właściwie już upadł.

W pewnym momencie Virgil dostrzegł, że oficer, który rękawicą energetyczną rozplątał „Boski Autorytet”, szarżuje teraz na „Święte Prawo”. Arbitrator podniósł strzelbę i wypalił w jego kierunku, ale odległość była zbyt wielka i kula chybiła celu.

Także działka czołgu rozbłysły ogniem. Kierowca „Świętego Prawa” na własne oczy widział, co się stało z bliźniaczym czołgiem i nie zamierzał ginąć w taki sam sposób. Zdając sobie sprawę, że uratować go może jedynie szybkość, wcisnął pedał gazu i ruszył na oficera, mając nadzieję, że przejedzie go, zanim naładuje się wyzwalacz rękawicy energetycznej. Buntownik także wiedział, że tym razem nie będzie miał łatwego zadania. Skoczył do przodu i uderzył w gaśienice czołgu. Ich ogniwa nie pękły, ale wciągnęły rękawicę pomiędzy koła zębate.

Z mechanizmu napędowego czołgu posypały się iskry, kiedy do trzewi maszyny została wciągnięta ciskająca piorunami pięść i ręka człowieka. Cały pojazd trząsł się i drżał, kiedy silnik poruszający trybami napędu wciągał wrzeszczącego wniebogłosy rebelianta do środka. Ortega miał wrażenie, że przez bitewny zgiełk dosłyszał obrzydliwy odgłos, z jakim ramię zostało wyrwane z barku człowieka. Ten padł na ziemię, zawodząc z bólu, a pomiędzy trybów i kół zębatych gaśienicy trysnęła fontanna krwi. Agonia buntownika nie trwała długo, bowiem „Święte Prawo” ruszyło nagle z miejsca i rozjechało go na miazgę.

Ortega oderwał wzrok od tego okropnego spektaklu śmierci i zniszczenia. Ruszył biegiem w stronę budynku komisariatu. Bitwa została przegrana, teraz musiał zadbać o ewakuację podwładnych. Szanse na to, że wyjdą cało z opresji, były w najlepszym wypadku bardzo nikłe, ale Virgil nie należał do ludzi, którzy poddają się bez walki. Jeżeli mógł zrobić coś, co utrudniłoby zwycięstwo buntownikom, zamierzał tego dokonać.

Na początek musiał zebrać gromady wycofujących się Arbitratorów w jakiś porządnym oddział. Niestety buntownicy nie stracili ducha. Koszmarna śmierć dowódcy i zniszczenie Chimer nie odebrały im odwagi, choć na jakiś czas powstrzymały ich mordercze zapędy. Załogi czołgów obrały sobie za cel unieruchomione „Święte Prawo” i salwa z dział laserowych rozerwała je na strzępy, nim załoga zdążyła się ewakuować. Ortega zebrał wokół siebie tylu sędziów, ilu zdołał i poprowadził ich ku ruinom garnizonu. Miał nadzieję, że niższe poziomy piwniczne nie zostały zawałone na skutek eksplozji i będą mogli przedostać się stamtąd do kanałów, a nimi do pałacu gubernatorskiego.

Z grupy ocalałych wyłowił Collixa.

To dobrze, stwierdził w duchu. Mogą jeszcze potrzebować radiotelegrafisty.

Jedyną szansą na ocalenie życia była ucieczka. Jeśli zdołają opanować zbrojownię, to dzięki zmagazynowanej tam ciężkiej broni będą mogli stawić buntownikom skuteczny opór.

Ortega poprzysiągł sobie, że da rebeliantom taki wycisk, iż pożałują dnia, w którym weszli mu w drogę.

W głowie Lutricii Vijeon panował kompletny chaos. Bezszykownie usiłowała zrozumieć, co się wokół niej dzieje. Dlaczego Vorens zabił na ich oczach tego człowieka, a następnie pozwolił, aby pałac został zrównany z ziemią przez czołgi?

Była wierną poddaną Imperatora i wiedziała, że musi coś zrobić. Ale co? I dlaczego ona?

Cała trzęsła się ze strachu. Przecież doskonale wiedziała, że nie jest w stanie stawić czoła mężczyźnie, i to w dodatku uzbrojonemu w pistolet laserowy. Nie umiała przecież walczyć!

Pot perlił się na jej czole, a lodowato zimne dłonie drżały jak w febrze.

Kiedy usłyszała dudnienie w drzwi, podskoczyła nerwowo, podobnie jak reszta personelu. Nawet Vorens wydawał się być zaniepokojony. Podeszedł do ekranu kontrolnego i włączył go. Przed drzwiami stali Kosmiczni Marines. Tak! Święci wojownicy Imperatora wybawią ich z tego koszmaru. Lutricia poczuła, jakby ktoś zdjął jej z barków ogromny ciężar. Po chwili nadzieja zaczęła jednak topnieć jak śnieg w promieniach wiosennego słońca. Wejście do bunkra było tak skonstruowane, że mogło się oprzeć ostrzałowi artyleryjskiemu. Nawet trzech Kosmicznych Marines nie ma dość siły, aby je sforsować.

Uwagę Lutricii przykuł migający punkt na ekranie kontrolnym jej stacji roboczej. Jakiś pojazd latający zbliżał się szybko w stronę Wrót Brandona. Maszyny logiczne zakończyły telemetryczną analizę obrazu i zakwalifikowały statek jako przyjazny. Thunderhawk, lądowik szturmowy, używany przez Kosmicznych Marines, podchodził do miasta na niewielkiej wysokości, śmigając pomiędzy wzgórzami.

Technik zaryzykowała rzut oka na Vorensa. Jej przełożony uśmiechał się od ucha do ucha, spoglądając na daremne wysiłki Marines, którzy bezskutecznie próbowali sforsować drzwi. Lutricia zdała sobie nagle sprawę, że ma jedynie kilka sekund na działanie. Vorens sam niedługo spostrzeże nadlatujący statek i wtedy szansa na ocalenie zostanie zaprzepaszczona.

Ogarnęło ją bliskie odrętwieniu poczucie spokoju, kiedy zdała sobie sprawę, co musi zrobić i jakie będą tego konsekwencje.

Jak przystało na doskonale wyszkolonego specjalistę, kilkoma szybkimi ruchami wprowadziła do komputera dane o położeniu stacji i przesała je na pokład Thunderhawka. Nie było to wiele, ale dzięki tym informacjom Kosmiczni Marines będą w stanie opanować sytuację na Pavonis.

Vorens dostrzegł Thunderhawka i rzucił się w stronę panelu kontrolnego serwitörów przeciwlötniczych. Było już jednak za późno, a Lutricia wiedziała, że uczyniła wszystko, co było w jej mocy.

Niewielka grupka, której przewodził Barzano, wyszła na płytę lądowiska. Inkwizytor zmrużył oczy. Słońce świeciło jasno pomimo snujących się po niebie kłębów dymu. Ruszyli biegiem ku lądownikowi, którego pilot nawet nie wyłączył silników, chcąc poderwać maszynę do lotu, kiedy tylko pasażerowie znajdą się bezpiecznie na pokładzie. Przez otwarty luk wyglądał Lortuen Perjed i pozostali ludzie z otoczenia inkwizytora.

Widząc Thunderhawka Ultramarines, który zataczał kręgi nad ich głowami, Barzano uśmiechnął się pod nosem. Udało im się.

Jenna Sharben, podpierająca Mykolę, prowadziła grupę, a Barzano zamykał szyk. Wspierany przez jednego z gwardzistów Almerz Chanda potknął się i przewrócił. Ario minął go beznamiętnie i zrównał się z panią gubernator.

Huk pistoletowego wystrzału przedarł się nawet przez ryk silników wahadłowca. Barzano odwrócił się na pięcie, zaskoczony faktem, że buntownicy zdołali ich dogonić. Rozejrzał się dookoła. Opadł na jedno kolano, omiatając karabinem okolice, ale nie dostrzegł żadnego wroga.

Almerz Chanda stał z dymiącym pistoletem w dłoni, a u jego stóp leżały zwłoki gwardzisty. Wycelował w Barzano i sprawnie posłał kulę, która trafiła inkwizytora w ramię. Ario osunął się na płytę lądowiska.

Chanda przeniósł celownik broni na Mykolę Shonai, a drugą dłonią przesunął znacząco po gardle. Gubernator była pewna, że to już koniec, ale zamiast huku wystrzału usłyszała, że silniki wahadłowca zmniejszają gwałtownie obroty. Kątem oka zauważyła, że pilot wyłączył je na znak Almerza i rozpinał właśnie uprząż pasów bezpieczeństwa.

Kiedy otworzyły się drzwiczki kabiny, Chanda strzelił pilotowi twarz.

Barzano próbował się podnieść, ale opuściły go siły. Lądowisko zaroilo się od umundurowanych na szaro żołnierzy SOR Mykola Shonai stała dumnie wyprostowana, wpatrując się z wściekłością w Chandę.

- Dlaczego? - spytała bez ogródek.

- Bo już się nie liczyłaś - odparł butnie. - Jesteś słaba, śmieszna i wysługujesz się żalostnemu truchłu z planety, której nigdy na oczy nie widziałaś.

- Brzydzę się tobą, Almerz. Niesłusznie nazywałam cię przyjacielem - odparł Mykola i wymierzyła mu siarczysty policzek.

Chanda potarł się po szczęce, a potem mocno uderzył gubernator kolbą pistoletu w twarz. Pod impetem ciosu kobieta upadła na płytę lądowiska i choć krew spływała jej z rozbitego nosa, nadal z nienawiścią wpatrywała się w swego dawnego doradcę.

Barzano obserwował tę scenę i pomimo bólu usiłował podnieść się na równe nogi. Zawiodł, a teraz jedyne, co mógł jeszcze zrobić, to zabrać zdrajcę ze sobą. Uniósł dłoń i wycelował w Almerza z wyrzutnika zatrutych igieł, który miał ukryty w pierścieniu, ale Chanda wykręcił mu rękę.

- Długo czekałem na tę chwilę! - syknął, uderzając głową Barzano o pancierz lądownika.

- No dalej, kończ to - odciął się hardo inkwizytor.

- O nie, nie zabiję cię. Mój pracodawca umówił cię z chirurgiem, a jest to mistrz rzadkiego kunsztu. Już on się tobą zajmie.

Barzano zaniósł się kaszlem, ale odparł:

- Dlaczego nie wypowiesz jego imienia? Czyżby smak zdrady był ci wstrętny? Czy pojmujesz swoim małym mózdzkiem, czegoś się dopuścił? Czy zdajesz sobie sprawę z rozmiarów swojego błędu?

- Błędu? - Chanda zaniósł się śmiechem, spoglądając na żołnierzy SOP, którzy otoczyli lądownik. Pochylił się jeszcze bardziej ku inkwizytorowi i syknął: - to ty popełniłeś błąd. Nie powinieneś być tutaj przyjeżdżać. Już wkrótce będę jednym z nieśmiertelnych wojowników, walczących ramię w ramię z nowo przebudzonym bogiem!

Tym razem to Barzano wybuchnął niepohamowanym chichotem, choć każdy spazm okupiony był przeszywającym bólem.

- Czy to de Valtos naopowiadał ci takich głupot? Jeśli uwierzyłeś w jego brednie, to jesteś znacznie większym głupcem, niż przypuszczałem. Jeżeli powiesz mu się jego szalony plan, to wszyscy umrzecie. Ten nowy bóg wysie z was życie.

Chanda wyprostował się i rzucił Barzano jeszcze jedno gniewne spojrzenie. Z kieszeni wyciągnął miniaturowy nadajnik radiowy i zaczął coś do niego mówić. Barzano próbował podsłuchiwać, ale kanonada dział udaremniła jego zamiary.

- Z nadzieją spojrział w niebo, ale Thunderhawk Ultramarines został zmuszony do odwrotu przez nieustający ogień działek przeciwlotniczych. To wyjaśniało, dlaczego nie

została podniesiona tarcza ochronna. W jakiś sposób de Valtos zdołał umieścić swoich ludzi pomiędzy kontrolerami systemów bezpieczeństwa. Co się zatem stało z sierżantem Learchusem i pozostałymi Ultramarines?

Kolejny lądownik osiadł na platformie. Z jego dysz buchały płomienie, a kiedy tylko pojazd wylądował, natychmiast otworzył się luk i pośpiesznie wysiadła zeń grupa ludzi. Barzano dostrzegł Kasmira de Valtosa, który tulił do piersi niewielką walizkę z czarnej skóry. Za nim szedł Vendare Taloun. Na jego twarzy malował się rozpaczliwy grymas, właściwy osobie, która znalazła się w sytuacji znacznie ją przerastającej. Za nimi z gracją maszerowały dwie szczupłe i gibkie postacie. Barzano wzdrygnął się z odrazą, rozpoznając w nich wszetecznych eldarów. Ci obcy należeli do sekty, której nieobce były najmroczniejsze tajemnice wszechświata. Lepiej byłoby zginąć na miejscu, niż dostać się w ich szpony.

Kobieta poruszała się z eteryczną gracją, a z jej wdzięcznych ruchów emanowała niebezpieczna zmysłowość. Mężczyzna szedł sztywno, jakby światło słoneczne było dla niego obce i nieprzyjemne. Obydwoje mieli fioletowe oczy i cerę tak bladą jak wypolerowana kość słoniowa. Wiedźma ledwie obrzuciła inkwizytora wzrokiem, ale za to mężczyzna przyglądał mu się niezwykle uważnie. Zdawał się podziwiać sztukę mięsa lub kawałek marmuru, z którego wkrótce wydobędzie doskonałą formę rzeźby. Barzano poczuł, że zaczyna się bać.

Chanda oddał broń żołnierzowi. Gwardziści SOP wyglądali na zaniepokojonych obecnością eldarów. Żaden z nich nie spodziewał się takich sojuszników.

Kasmir de Valtos zbliżył się do leżącego inkwizytora, wyraźnie napawając się chwilą tryumfu.

- Oto oni, mój panie - powiedział służalczym tonem Almerz Chanda. - Jak obiecałem, tak uczyniłem. Są w twojej mocy.

De Valtos oderwał spojrzenie od Barzano i gubernator Shonai. Zmierzył wzrokiem Chandę i powiedział:

- Zaiste, Almerz. Dowiodłeś, że jesteś zdrajcą w każdym calu.

Barzano wyczuł, że Chanda jest zmieszany i zaniepokojony tymi słowami bardziej nawet od żołnierzy Sił Obrony Planetarnej.

- Panie, zrobiłem to, co kazałeś.

De Valtos spojrział na eldarską kobietę, a ona na ten znak wykonała ręką szybki, niedostrzegalny dla oka ruch. Chwilę później Chanda osunął się na lądowisko. Z jego szyi sterczała czarna, niewielka rzutka.

Almerz chwycił się za gardło, jakby próbując powstrzymać chorobliwą szarość skóry,

która promieniowała od zranionego miejsca.

- Mój drogi Almerz - powiedział Kasmir de Valtos. - Swoim postępowaniem udowodniłeś, że z łatwością potrafisz dopuścić się zdrady. Skoro złamałeś przysięgę lojalności wobec jednego pana, to jak mógłbym ci ufać i sądzić, że nie będziesz knuł przeciwko mnie? Lepiej zakończmy naszą współpracę już teraz.

Chanda próbował coś powiedzieć, ale musiał walczyć o każdy oddech, dlatego tylko wycharczał coś, a potem stracił przytomność i znieruchomiał. De Valtos spojrzął na eldara i powiedział:

- Zrób z nim, co ci się podoba. - Szturchnął butem nieprzytomnego i dodał: - z drugiej strony jednak Chanda oddał nam wielkie zasługi. Powinieneś go uhonorować.

Barzano nie czuł satysfakcji widząc, na jaki los zasłużył sobie właśnie Almerz Chanda. Odczuwał raczej przerażenie, bowiem wiedział, że i jego czeka podobny koniec. Co więcej de Valtos zamierzał uwolnić siły, których nawet inkwizytor nie będzie w stanie opanować.

Spojrzenie Kasmira padło na Ario i ten musiał użyć całej siły woli, aby nie pozwolić się zatruć szaleństwu, które toczyło duszę de Valtosa.

- Wiem, co zamierzasz - wycharczał Barzano. - Tak samo z twoich planów zdaje sobie sprawę kapitan Ventris Obiecuję ci, że albo ja, albo on położy kres twoim knowaniom. Już w tej chwili ku Pavonis leci flota Kosmicznych Marines.

Kasmir de Valtos roześmiał się głośno.

- Jeżeli naprawdę przejrzałeś moje plany, to wiesz, że to wszystko już na nic się nie zda.

Barzano chciał coś odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Wiedział, że szaleniec ma rację.

ROZDZIAŁ 16

Barzano przysłuchiwał się straszliwym wrzaskom Almerza Chandy, które odbijały się echem w więziennych korytarzach. Choć w celi tuż obok wszeteczny eldar torturował człowieka, inkwizytor nie dbał o jego los. Łamiąc przysięgę wierności wobec Imperatora, Chanda wyrzekł się swego człowieczeństwa. Nie należała mu się ani krztyna współczucia czy żalu.

Ario nie był w stanie powiedzieć, jak długo już pozostawał uwięziony. Ból promieniujący z odniesionych ran sprawił, że kilka razy tracił przytomność i poczucie czasu. Dopiero niedawno w pełni odzyskał świadomość i po przebudzeniu stwierdził, że leży w zimnej celi. Strażnicy zabrali mu całą broń, nawet tę przemyślnie ukrytą w pierścieniach. Na szczęście opatrzyli ranę po postrzale i pozostawili go na twardej pryczy. Z tą samą chirurgiczną precyzją opatrzone złamany nos Mykoli Shonai. Najwidoczniej eldarski oprawca nie lubił torturować rannych.

Poziom więzienny został utworzony w podziemiach pałacu. Jego łukowate sklepienia podtrzymywane były przez metalowe wsporniki i dźwigary. W celi znajdowały się jedynie prycze i prowizoryczna toaleta. Rozejrzawszy się dookoła Barzano musiał jednak przyznać, że to więzienie było lepsze od tych, do których zdarzało mu się wtrącać heretyków.

W celi naprzeciwko siedział Lortuen Perjed oraz skrybowie. Inkwizytor z radością stwierdził, że żaden z nich nie ucierpiał podczas pojmania.

W kącie celi siedziała Mykola Shonai. Jej twarz wykrzywił grymas wściekłości, która potęgowała się jeszcze bardziej, kiedy kobieta patrzyła na trzeciego więźnia przebywającego w celi. Jenna Sharben leżała na pryczy, nieprzytomna i trawiona gorączką. Nikt jej nie opatrzył i choć rana postrzałowa została wysterylizowana płomieniami wydobywającymi się z lufy, to dziewczyna wciąż nie odzyskała przytomności. Barzano był niemal pewny, że pogarszający się z każdą minutą stan jej zdrowia był spowodowany krwotokiem wewnętrznym. Jasne było, że jeżeli Jennie nie zostanie szybko udzielona pomoc, to umrze ona w przeciągu kilku godzin. Najwyraźniej jednak chirurg uznał, że ludzka kobieta nie jest warta jego skalpela i nie musi dbać o jej zdrowie.

Kiedy Mykola Shonai odzyskała zmysły, rzuciła się ku drzwiom celi, łomocząc w nie, kopiąc i uderzając pięściami. Przekleństwa, jakimi obrzucała swych oprawców, były tak

obsceniczne, że zawstydziłyby niejednego bosmana.

Obawiając się wtargnięcia strażników, Barzano odciągnął kobietę od drzwi, uspokajając ją obietnicami zemsty i ukarania winnych. Choć ze wszystkich sił starał się przekonać o tym Mykolę, sam nie był pewien, czy zdołają wydostać się z więzienia żywi, a tym bardziej, czy będą mogli zemścić się na buntownikach.

W końcu przyklęknął obok pryczy Jenny Sharben i otarł rękawem jej spocone czoło. Skóra dziewczyny była zimna i blada, a oddech ledwie wyczuwalny. Jedną nogą była już w grobie.

- Obiecuję ci, że wyciągnę nas z tej kabały, sędzio Sharben - szeptał jej do ucha. - Ale nie wolno ci umierać! Słyszysz? Nie pozwalam ci odchodzić!

- Kolejna obietnica, której nie zamierzasz dotrzymać? - cierpko spytała Shonai.

- Wręcz przeciwnie, Mykolo. Ja nigdy nie składam obietnic, których nie jestem w stanie zrealizować - zapewnił Barzano.

Pomimo ponurej sytuacji, w jakiej się znaleźli, gubernator nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Naprawdę wierzysz, że będziesz w stanie wyciągnąć nas z tego więzienia? Sama nadzorowałam jego przebudowę i wiem, jak ciężko będzie nam stąd uciec. Poza tym w mieście stacjonują co najmniej trzy regimenty żołnierzy, a samego pałacu pilnują pewnie ze dwie setki. Chyba tylko sam Imperator wie, ilu jeszcze kręci się po okolicy.

- Nie zapominaj, że po naszej stronie jest trzech Kosmicznych Marines - odparł Barzano, mrugając porozumiewawczo.

- Nie zapomniałam o nich, ale wydaje mi się, że sierżant Learchus i jego bracia prawdopodobnie już nie żyją.

- Szczerze mówiąc, śmiem wątpić. Jestem pewien, że gdyby tak było, de Valtos nie omieszkałby nas podręczyć widokiem ich ciał. Sierżant Learchus nie należy do ludzi, których łatwo wysłać na tamten świat. Jestem pewien, że w jakiś sposób zdołali skontaktować się z „Vae Victus” i przekazać na pokład informacje o sytuacji na planecie.

- Uważasz, że kapitan Ventriss będzie próbował nas odbić?

- O tak! I żadne demony ze spaczonych przestrzeni nie będą w stanie go powstrzymać.

- Ale próba odbicia nas z więzienia to samobójstwo!

- Niestety masz rację. Ale czy znasz jakiś sposób, żeby powstrzymać Uriela przed taką próbą?

- Nie. To chyba niemożliwe - odparła Mykolo, odchylając głowę do tyłu i opierając ją o kamienną ścianę celi. Zamknęła oczy, a Barzano pomyślał, że kobieta zasnęła. Jednak po

chwili, nie otwierając oczu, spytała: - Ten statek, którego szuka de Valtos. Czy on naprawdę może położyć na nim swoje łapy? Będzie w stanie go wykorzystać?

- Nie jestem pewien. Moja Kapituła dysponuje informacjami o starożytnej rasie, znanej C'tanami. Jeden z jej przedstawicieli zapadł w śpiączkę gdzieś w tym sektorze. Nie wiemy dokładnie, gdzie to się stało, ale mamy pewne podejrzenia. Jesteśmy przekonani, że „Zwiastun Nocy” był jego... jak by to powiedzieć... hm-m statkiem flagowym. To chyba najlepsze określenie. Istnieje wiele wzmianek o tym okręcie oraz o jego panu, ale prawdę mówiąc wiemy tyle, co nic. To opowieści z czasów, kiedy ludzie nie umieli jeszcze rozpalać ognia i nic nie możemy stwierdzić ze stuprocentową pewnością.

- Ci... C'tanowie. Jacy oni byli? - spytała zaciekawiona Mykola.

- Zwiastun Nocy to wcielona śmierć. Jego sny to nasiona wszelkich koszmarów, jakie trapiły ludzkość i inne rasy od zarania dziejów. Wszelki strach przed niebytem to jego dziedzictwo. On jest ostateczną zgubą. Kiedyś posiadał świadomość i kroczył pośród gwiazd, zostawiając za sobą szlak grozy, na którego ślady możemy natrafić nawet dzisiaj.

- Czy możemy pokonać takie monstrum?

- Chcesz znać prawdę?

- Tak, oczywiście.

Barzano zamilkł, czekając, aż kolejne wrzaski katowanego Chandy ucichną i odparł ponuro:

- Nie sądzę, abyśmy byli w stanie mu się przeciwstawić.

Majestatyczna bryła „Vae Victus” sunęła powoli przez kosmiczną pustkę, kierując się ku Pavonis. Potężne silniki pchały okręt wojenny przed siebie, wprowadzając go na orbitę geostacjonarną. Niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, jak potężne i śmiertelne siły drzemia zamknięte w tym okręcie. Działa, wyrzutnie torped i silosy pełne raket były w stanie zrównać z ziemią całe miasta, sprawić, że kontynenty popękają, a życie w mgnieniu oka zniknie z powierzchni planety. Choć w galaktyce nie brakowało szybkich, zwrotnych i doskonale uzbrojonych jednostek, to żadna z nich nie mogła się równać z krążownikiem Kosmicznych Marines.

Lasery obrony planetarnej raz po raz strzelały w kierunku okrętu. Umieszczone w betonowych silosach, rozrzuconych wokół Wrót Brandona i dowodzone z podziemi pałacu gubernatorskiego, nie miały szans uszkodzić krążownika. Ich obsługę stanowili serwitorzy, pół-ludzie, pół-maszyny, zlobotomizowane automaty, podłączone do systemów celowniczych dział. I choć raz za razem promienie lasera przecinały czerń kosmicznej przestrzeni, to

serwitorzy nie byli w stanie nadażyć z obliczeniami trajektorii lotu i ugodzić celu. Dopóki „Vae Victus” pozostawał na wysokiej orbicie, dopóty nie musiał się niczego obawiać z ich strony.

Obrona planetarna Pavonis nie ograniczała się jednak jedynie do laserów orbitalnych. Przestrzeni powietrznej broniły baterie przeciwlotnicze i choć nie były one w stanie zagrozić okrętom kosmicznym, to bez trudu mogły strącić każdy statek, który wszedłby w niższe warstwy atmosfery. Ich obsługę także stanowili sprzężeni z bronią serwitorzy, kontrolowani z centrum dowodzenia, znajdującego się w pałacu.

Dopóki systemy przechwytywania działały, dopóty każdy atak powietrzny na stolicę Pavonis był z góry skazany na porażkę.

Kasmir de Valtos potarł swój orli nos i zamruczał coś złowrogo do siebie.

- Lasko, jeżeli zaraz nie przestaniesz kręcić i nie dasz mi jednoznacznej odpowiedzi, to zamknę cię na najniższym poziomie jednej z twoich ukochanych kopalń i wyrzucę klucz. Powiedz mi, ale krótko i zwięźle, czy zdołałeś przebić się przez drzwi? Nie marnuj mojego czasu i nie wystawiaj mojej cierpliwości na niepotrzebną próbę.

Obraz zamigotał i na chwilę stracił ostrość. Źródło sygnału znajdowało się w Urobku Tembri, oddalonym prawie o sto kilometrów od Wrót Brandona, ale coś zakłócało działanie przekaźników.

- No więc, tak... Nasze ostatnie wiertło przebiło w końcu drzwi, ale zaraz po tym pękło. Są zbyt twarde, aby przebić je konwencjonalnymi metodami.

- A czemuż to? - spytał de Valtos, pochylając się ku monitorowi. Jego twarz przybrała jeszcze bardziej nieprzyjemny wyraz.

- Nie jesteśmy pewni, mój panie. Tech-kapłani mówią, że to niemożliwe, aby obiekt o takich wymiarach charakteryzował się taką gęstością. Aby się przez nie przebić, musieliśmy ściągnąć na dół największą piłę tarczową. Rozebraliśmy ją na kawałki i teraz składamy od nowa. Technicy już kończą, więc wystarczy tylko ją poświęcić i będziemy mogli zacząć wiercić.

- Kiedy? - syknął de Valtos, pocierając nerwowo czoło.

- Wydaje mi się, że dziś po południu.

- Lepiej, żeby tak było naprawdę - warknął do komunikatora Kasmir i zerwał połączenie. Obrócił się w skórzanym fotelu gubernatora i potarł skronie. W jego gardle zebrała się pokaźna gęstwa flegmy, więc odkaslnął i splunął na podłogę. Ból stawał się nie do zniesienia, a bez ambulatorium Chirurga nie mógł liczyć na jego pomoc. Przekleści

Ultramarines! Przez nich był skazany na cierpienie! Nie pozostawało zatem nic innego, jak szybko doprowadzić plany do końca. Jeżeli ten głupiec Lasko nie przebije się przez drzwi jeszcze dzisiaj, umrze w męczarniach.

Ale kiedy dostaną się do sanktuarium... Kasmir cieszył się już na samą myśl o zemście i nieśmiertelności...

Dzień, w którym dowiedział się z pism Corteswaina o istnieniu C'tana, pamiętał tak dobrze, jakby to było wczoraj. Większość swojej fortuny wydał na poszukiwania starożytnego grobowca. Jak na ironię, okazało się, że znajdował się on praktycznie w zasięgu ręki Kasmira. Los uśmiechnął się do niego, dając mu tym samym nieomylny znak.

Tego pamiętnego dnia Kasmir doznał objawienia... Grobowiec powstał w czasach, kiedy Pavonis było pozbawiona życia, gołą kosmiczną skałą. Czy to nie zabawne, że już wkrótce powróci do swego pierwotnego stanu? Rozbawiony Kasmir zachichotał.

Tak! Już wkrótce będzie się przechadzał dumnie po domostwie boga! Nie po zakurzonych korytarzach pałacu Terry, które były domem gnijącego trupa, udającego pana wszechświata, ale po domenie żyjącego, oddychającego Wszechmesjasza, który dysponuje mocą tworzenia i niszczenia.

Kiedy ostatni raz widziano Imperatora pomiędzy jego poddanymi? Gdzie był, kiedy heretycki kardynał Bucharis utopił we krwi całe sektory, prowadząc wojnę w jego imieniu? Gdzie był Imperator, kiedy tyranidzi pożerali jeden świat po drugim?

Gdzie był, kiedy eldarzy napadli na statek Kasmira i torturami prawie zamęczyli go na śmierć? No gdzie?!

De Valtos poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Krew popłynęła z ran na dłoniach, kiedy wbił sztuczne paznokcie w skórę. Otarł ją i przeciągał dłonią po mokrych od potu włosach. Serce waliło mu jak młotem, a oddech stał się urywany i płytki.

Wstał z fotela i ruszył przez gabinet, klucząc pomiędzy połamanymi krzesłami, zwałami gruzu i resztkami mebli. Nagle uderzył stopą w twarde, obły przedmiot.

Zdziwiony spojrział na podłogę i podniósł z niej popiersie Forlanusa Shonai. Poblążliwie poklepał go po głowie, zostawiając krwawe ślady na rzeźbie. Przeszedł przez prywatne kwatery, które jeszcze niedawno zajmowała Mykola Shonai i wyjrzał przez wybite okno.

Poniżej rozciągała się panorama miasta. Niebo zasnute było kłębam czarnego, smolistego dymu, a gdzieś widać było jeszcze błyski wybuchów. Walki w mieście jeszcze nie wygasły, a ludzie cały czas ginęli. Przez chwilę Kasmir nawet ich żałował, ale szybko zdał sobie sprawę, że to niewielka cena za uzyskanie boskości.

Spojrzał w marmurowe oczy Forlanusa Shonai, poklepał popiersie po policzku i cisnął je daleko przed siebie. Przez chwilę obserwował, jak rzeźba wzniosła się do góry, a potem łagodnym lukiem opadła na ulicę i roztrzaskała się na kawałki.

Admirał Lazlo Tiberius obserwował migający na mapie kontrolnej punkt. Zapalające się i gasnące na przemian światełko oznaczało Thunderhawka, na pokładzie którego znajdował się kapitan Ventris. Na mostku dawało się wyczuć aurę skupienia i oczekiwania. Była ona tak silna, że nawet chór astropatyczny zamilkł, a wszyscy wpatrywali się z oczekiwaniem w ekran kontrolny. Nawet Tiberius poddał się tej atmosferze. Czuł się tak, jakby to on sam ruszał do bitwy, co poniekąd było prawdą.

Choć osobiście nie był zagrożony i nie brał udziału w walkach, to szykował się do wojny.

Kapitan Ventris i jego przybocznicy lecieli prosto w paszczę śmierci. Astropaci „Vae Victus” wykryli potężne heksagramiczne runy, które do spółki z tarczą energetyczną chroniły stolicę Pavonis. Ich działanie uniemożliwiło teleportację Ultramarines, zmuszając ich do desantu z Thunderhawka.

Czas działał na niekorzyść wybrańców Imperatora.

- Jak długo jeszcze? - spytał admirał.

- Kilka sekund - odparł Philotas.

- Czy koordynaty zostały już wprowadzone do systemów synchronizacji ataku?

- Tak, panie admirale. Jesteśmy gotowi do otwarcia ognia, właśnie przyjmuję raporty z poszczególnych baterii.

Tiberius uśmiechnął się pod nosem, słysząc w głosie młodszego oficera nutę zniecierpliwienia. Podobnie jak on wiedział, że systemy celownicze i baterie „Vae Victus” są przygotowane do akcji bojowej, ale admirał wołał się zawsze dwa razy upewnić.

Już czas - pomyślał, modląc się, aby koordynaty, które Uriel odebrał w anonimowej transmisji, okazały się tym, czym zakładali, że są.

Jeśli się pomylili, niech Imperator ma w opiece Ultramarines na pokładzie Thunderhawka.

Tiberius przeszedł do swego stanowiska i oparł się o żeliwną barierkę. Włączył mikrofon i przemówił do załogi.

- Bracia! Nadeszła złowróżbna godzina! Tylko w jeden sposób możemy odnieść zwycięstwo i wypełnić wolę Imperatora! Dlatego wzywam was do boju. Z całą naszą zawziętością i determinacją będziemy walczyć za Jego sprawę! Wiem, że na pokładzie nie ma

nikogo, kto nie dołoży wszelkich starań, byśmy zwyciężyli, ani nikogo, kto pogodzi się z porażką. Stańcie ramię w ramię ze mną i walczcie, jak na Ultramarines przystało!

Tiberius wyłączył mikrofon i pochylił się w stronę Philotasa.

- Panie admirale - powiedział pierwszy oficer. - Thunderhawk jest na granicy pola ostrzału dział obrony planetarnej.

Tiberius pokiwał głową i wydał oczekiwany rozkaz:

- Oficer działonowy! Baterie dziobowe ognia!

Lutricia Vijeon prawie się rozplakała, kiedy na ekranie monitora zobaczyła Thunderhawk Kosmicznych Marines, który zbliżał się do Wrót Brandona. Pilot maszyny leciał tuż nad ziemią, bezbłędnie wykonując manewry uników, ale nie miał szans z serwitorami i komputerami systemu obrony przeciwlotniczej.

Ich wejście w atmosferę nie uszło uwagi Vorensa, który nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie mógł otworzyć ogień. Lutricia widziała, jak bardzo się przestraszył, kiedy trzech Kosmicznych Marines dobijało się do drzwi centrum, ale odkąd zniknęli, znów stał się arogancki i pewny siebie. Lutricia zachodziła w głowę, co się z nimi stało.

Większość techników cicho modliła się przy swoich stanowiskach. Tylko serwitorzy nie przejmowali się zdradą Vorensa i wykonywali swoje zadania. Lutricia otarła łzę i w tej samej chwili dostrzegła, że od krążownika Kosmicznych Marines oderwał się kolejny obiekt. Czyżby wysłali na pewną śmierć kolejnego Thunderhawk?

Nie. To było coś zdecydowanie mniejszego i poruszało się szybciej niż jakikolwiek lądowik Nagle Lutricia zdała sobie sprawę z tego, co właściwie dostrzegła na ekranie. Dokładnie wiedziała, dokąd zmierza tajemniczy obiekt.

W centrum dowodzenia zawyły syreny alarmowe, kiedy systemy obronne zauważyły to samo co dziewczyna. Obsłudze groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Danil Vorens zerwał się na równe nogi i spojrzał na monitor. Jego twarz wykrzywił grymas czystego przerażenia.

- Nie! - jęknął, spoglądając na bomby tektoniczne, które pędziły w kierunku centrum obrony planetarnej. Działonowi „Vae Victus” wykorzystali koordynaty, które podała im Lutricia i krążownik rozpoczął ostrzał orbitalny.

Nogi ugięły się pod Vorensem i mężczyzna opadł bezwładnie na krzesło.

Z dziwnym, podobnym do odrętwienia spokojem Lutricia obserwowała, jak pociski tną atmosferę Pavonis i pędzą w kierunku powierzchni planety. Nic, nawet pole energetyczne, nie było w stanie ich powstrzymać.

Pogodzona ze swoim losem wstała i podeszła do pulpitu dowodzenia. Vorens obserwował ją, siedząc nieruchomo. Nie zaprotestował nawet, kiedy wzięła z blatu pistolet laserowy i wycelowała w jego pierś. Choć nigdy wcześniej nie miała broni w ręku, instynktownie wiedziała, co musi zrobić.

Odbezpieczyła broń, wycelowała i strzeliła Vorensowi w pierś. Mężczyzna osunął się martwy na poręcz fotela, a pistolet wypadł z rąk dziewczyny. Alarm zbliżeniowy zawył przeraźliwie, zawiadamiając obsługę centrum o nadchodzącej nieuchronnie katastrofie.

Lutricia spojrzała na główny ekran kontrolny i ukłękła. Jej serce przepelniało poczucie satysfakcji, a na ustach zagościł blady uśmiech. Wiedziała, że zrobiła to, co do niej należało. Dane jej było służyć bezpośrednio Imperatorowi i była Mu za to wdzięczna.

Wyciągnęła dłonie ku technikom i powiedziała łagodnie:

- Chodźcie, bracia i siostry. Pomódlmy się.

- Reszta techników zbliżyła się do niej, pochlipując i rzucając przełknięte spojrzenia.

Wzięli się za ręce i po raz ostatni zaczęli wznosić modlitwę do Imperatora.

Bomby tektoniczne wybuchły jedna po drugiej.

Pierwsza z nich uderzyła w pole energetyczne. Siła eksplozji zniszczyła tarczę siłową i spowodowała wybuch maszynierii, która nie zdołała wchłonąć tak dużej ilości energii. Kolejne pociski uderzyły w skrzydło pałacu, rozrywając je na strzępy i złobiąc w ziemi dziurę głęboką na dziesięć metrów. Krater, wybity nie tylko w gruncie, ale i w zbrojonym żelbetonie, miał prawie sto metrów średnicy.

Dwie bomby nie trafiły w cel. Jedna odbiła się od górnych warstw atmosfery i zmieniła trajektorię lotu, uderzając na skraju Puszczy Gresha. W wyniku eksplozji spłonęło kilkadziesiąt tysięcy hektarów lasu oraz wiejskie posiadłości kartelu Abrogas. Drugi pocisk uderzył w morze, a jego detonacja nie spowodowała żadnych zniszczeń.

Reszta pocisków trafiła jednak dokładnie w krater. Mechanizm opóźnionego zapłonu sprawił, że wybuchły po wylądowaniu na ziemi. Płomienie strawiły całą materię nieożywioną oraz tych ludzi, którzy zdołali przeżyć pierwsze uderzenie. Nieliczne ruiny, które jeszcze stały, zawaliły się pod wpływem wstrząsów. Fala uderzeniowa odczuwalna była w promieniu wielu kilometrów, z równie daleka dostrzec można było słup dymu wznoszący się ze zniszczonego centrum obrony planetarnej.

Droga powietrzna do stolicy Pavonis stanęła otworem. Serwitorzy obsługujący baterie przeciwlotnicze czekali na koordynaty i rozkazy, które nigdy nie miały nadejść.

Uriel odetchnął z ulgą, słysząc głos pilota:

- Na Guillimana, popatrz tylko na to!

Rzeczywiście, nawet z oddali można było dostrzec błyski eksplozji bomb tektonicznych. Uriel wiedział, że furii okrętu błogosławionego przez samego Imperatora nie jest w stanie się przeciwstawić.

- Żadnych sygnałów o ogniu obrony przeciwlotniczej - zameldował drugi pilot, potwierdzając przypuszczenia Uriela. - Przygotowujemy się do ataku.

A więc dobrze odgadliśmy przesłanie, zakodowane w anonimowym sygnale, pomyślał Uriel. Jakże odważny i prawy był ów sługa Imperatora, który przesłał koordynaty centrum kontroli, przypieczętowując tym samy swój los.

Admirał Tiberius chciał zrównać z ziemią cały pałac, bombardując go z orbity, ale kapitan Ventriss wyperswadował mu ten pomysł. Gdyby „Vae Victus” przeprowadził atak z całą swoją mocą, w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od siedziby władz Pavonis nie pozostałby kamień na kamieniu. Bombardowanie pociskami tektonicznymi zapewniło precyzję ataku, choć i tak pośród cywilów na pewno będą zabici i ranni. Niestety, na wojnie ludzie giną, tego nie da się uniknąć. Uriel chciał zminimalizować starty, bowiem zadaniem Ultramarines była ochrona poddanych Imperatora, a nie ich zabijanie. Niech Krwawe Anioły albo Marines Malevolenturządzą czystki planetarne. Ultramarines byli narzędziem imperatorskiego gniewu, a nie rzeźnikami Jego poddanych.

Zbyt wielu z tych, którzy mienili się strażnikami Imperium, zapominało, że to jego poddani byli kośćcem, na którym zbudowano potęgę ludzkiej rasy. Bez tych niepoliczalnych miliardów Imperium runęłoby w okamgnieniu. Wola Imperatora, która jednoczyła wszystkich ludzi, sprawiała, że stali się oni najpotężniejszą rasą w całej galaktyce.

Dreszcz niepokoju przeszedł przez ciało Uriela, kiedy przypomniał sobie słowa Gedrika, konającego na Caernusie IV: „Śmierć Światów i Ten, Który Zwiastuje Ciemność czeka, aby narodzić się w tej galaktyce...”.

Dopiero teraz Uriel pojął prawdziwe znaczenie i wagę tych słów. Nie mógł zawieść, bowiem w jego rękach znajdował się los całych planet, jeśli nie wszechświata.

Thunderhawk zatrząsł się gwałtownie, kiedy przemknął pod resztkami tarczy ochronnej. Choć bomby tektoniczne zniszczyły centrum dowodzenia obroną, to w niektórych miejscach pole jeszcze się utrzymywało, a nieliczne baterie przeciwlotnicze były w stanie prowadzić ogień. Kilka pocisków dosięgło nawet lądowiska Ultramarines, ale nie mogły przebić grubego pancerza.

Pierwszy pilot wyjrzał z kabiny i krzyknął na całe gardło:

- Szykujcie się, bracia! Desant za dziesięć sekund!

Uriel powstał ze swojego miejsca i rozejrzał się dookoła. Ultramarines gotowali się do szturmu. Dotknął boltera i napierśnika, modląc się do ich duchów, aby nie zawiodły go w godzinie próby. Podeszedł do drzwi desantowych i otworzył luk. Opierając dłoń na rękojeści miecza energetycznego, spoglądał z fascynacją, jak ziemia zbliża się ku nim z każdą chwilą.

Thunderhawk z hukiem osiadł na brukowanym placu przed pałacem gubernatorskim.

- Honor i odwaga! - krzyknął Uriel, wyskakując z wnętrza pojazdu.

Ultramarines odpowiedzieli mu bitewnym zawołaniem i ruszyli za swym kapitanem.

Barzano i Shonai z niepewnością wpatrywali się w sufit celi, kiedy poziomem więziennym zatrzęśła fala, wywołana eksplozją bomb tektonicznych. Na ścianach pojawiły się szerokie pęknięcia, a kilka wsporników nie wytrzymało naprężeń i pękło, grzebiąc pod gruzami bezsilnych więźniów. Przez chwilę do ich uszu dochodził budzący lęk odgłos gnących się metalowych wsporników. Barzano zerwał się na równe nogi i zaczął przyglądać się drzwiom celi, które w widoczny sposób odkształciły się i odstawały od framugi.

- Najwyższy czas! - mruknął do siebie pod nosem.

- Co się dzieje? - spytała Mykola Shonai. Jej głos był ledwie słyszalny wśród huku walących się ścian.

- Sądzę, że to efekty pierwszej fali ostrzału orbitalnego - odparł Barzano, a potem włożył rękę do ust. Zaczął manipulować dłonią, a gubernator obserwowała go z mieszaniną niepokoju i fascynacji.

- Co ty wyczyniasz? - spytała w końcu.

- Staram się wyciągnąć nas z tarapatów - odpowiedział, wrywając sobie z jękiem bólu ząb. Z kącika jego ust ciekła krew. Pokrywała także bielutki trzonowiec. Zza drzwi celi dobiegały wrzaski uwięzionych, którzy błagali, aby ich wypuścić. Mieszały się one z pokrzykiwaniami strażników, którzy próbowali ich uciszyć.

Barzano podeszedł do drzwi i umieścił ząb w zamku, a potem szybko odciągnął Shonai za pryczę, na której leżała sędzia Sharben. Osłoniwszy je obie swoim ciałem, skulił się, czekając na eksplozję.

- Mykola, zamknij oczy, zatkaj uszy i otwórz usta. W ten sposób ochronisz bębni i nie pękną pod wpływem huku wybuchu.

Chwilę później ładunek wybuchowy ukryty w sztucznym zębie eksplodował, a zamek wyleciał w powietrze i grzmotnął o przeciwległą ścianę. Same drzwi pozostały na miejscu, zaklinowane przez wypaczoną framugę. Nim umilkło echo detonacji, Barzano zerwał się na

równe nogi i z całej siły kopnął w drzwi. Te uchyliły się na szerokość dłoni i dopiero drugi kopniak wyważył je z zawiasów.

- Zajmij się Sharben i czekaj tu aż wrócę! - polecił Barzano, po czym wyjrzał na korytarz.

- Bądź ostrożny - poprosiła Shonai.

Barzano uśmiechnął się chytrze i odparł:

- Zawsze jestem.

Podniósł z podłogi spory odłamek betonu i wyszedł na korytarz. Trzymając się blisko ściany i poruszając na ugiętych nogach, podkradł się do zakrętu, zza którego dobiegały przerażone głosy strażników. Telepatyczne zmysły podpowiadały inkwizytorowi, że ludzie byli spanikowani, zagubieni i nie wiedzieli, co mają robić.

Ściskając kamień w dłoni, krzyknął, siląc się na najbardziej pavonisjański akcent, na jaki go było stać:

- Szybko! Więźniowie uciekają!

Kilka sekund później trzech wartowników wybiegło zza rogu.

Pierwszego z nich Barzano powalił ciosem kamienia w głowę, miażdżąc czaszkę i zwalając mężczyznę z nóg w mgnieniu oka. Drugi zdołał podnieść karabin do strzału, ale Barzano rzucił się na ziemię, unikając śmiertelniego promienia lasera. Inkwizytor przetoczył się po podłodze i wbił łokieć w słabiznę trzeciego ze strażników. Mężczyzna jęknął i upadł, a Barzano wyrwał mu z omdlałych dłoni karabin. Kolbą rozbił głowę powalonego wartownika, a jedno pociągnięcie za spust wystarczyło, aby ostatni z mężczyzn padł bez ducha na podłogę.

Ario stanął na równe nogi i, przytrzymując karabin pod pachą zdrowej ręki, rozejrzał się dookoła. Rana postrzałowa promieniowała bólem, ale nie miał czasu, aby się nią zająć.

Za sobą usłyszał krzyki nadbiegających wartowników. Cała seria promieni lasera śmignęła mu nad głowę, ale on tylko opadł na kolano i odpowiedział ogniem. Dwóch strażników padło martwych, ale za nimi biegło jeszcze ponad tuzin żołnierzy. Barzano ukrył się za rogiem, zza którego wyszła wcześniej pierwsza trójka i powstał na nogi.

Biegiem ruszył wzdłuż korytarza, który rozwidlał się na dwie odnogi. O włos unikając kolejnego wystrzału, Barzano dał nura w lewo. Ten korytarz był ciemny i zimny, a kule jarzeniowe ledwie się świeciły. Zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie ścianę dekorowały takie same, porzewiałe drzwi do cel. Także na końcu korytarza znajdowało się podobne wejście, ale zza niego docierało do Barzano dziwne uczucie. Empatyczne zmysły inkwizytora podpowiadały mu, że znajdował się tam ktoś, kto był na granicy wytrzymałości fizycznej i

psychicznej.

Barzano zwalczył w sobie odrazę i ruszył ku ostatnim drzwiom, wiedząc, że ma tylko kilka sekund, aby znaleźć schronienie przed pościgiem. Otworzył je kopniakiem i rzucił się do środka. Jęknął z bólu, kiedy pod wpływem uderzenia z rany w barku ponownie trysnęła krew. Zdażył jeszcze strzelić do pierwszego ze ścigających go wartowników, a potem zatrzaskał drzwi, przesuając metalowy skobel.

Odwrócił się i wziął na muszkę gospodarza pomieszczenia.

Chirurg stał obok zakrwawionego stołu operacyjnego, na którym był i cierpiał Almerz Chanda. Mężczyzna jeszcze żył, choć wyjęto go z własnej skóry, a eldarski oprawca oddzielał nerwy od mięśni i ścięgien.

Barzano zadrżał, widząc, w jaki sposób Chirurg uhonorował i nagroził Chandę za jego zdradę.

Uriel skrył się za niewysokim murkiem, a po chwili powstał na równe nogi, ostrzeliwując pozycje buntowników. Fontanny krwi i krzyki rannych znaczyły miejsca, gdzie jego kule dosięgły heretyków. On także cierpiał. Pomimo zabiegów aptekarza Selenusa, rany zadane przez herszta mrocznych eldarów nadal sprawiały mu ból.

Wejście do kompleksu więziennego znajdowało się w najodleglejszym zakątku otwartego dziedzińca. Co prawda był on teraz zasłany gruzem i resztkami dopalających się sprzętów, ale i tak dwa strzegące go bunkry były w stanie odeprzeć atak z każdej strony. Jakby nie dość było tego, rebelianci zabezpieczyli się także kłębami drutu kolczastego i prowadzili zaciekły ogień z karabinów laserowych oraz ciężkich bolterów.

Ultramarines zajęli pozycje za prowizorycznymi umocnieniami z gruzu i raz po raz ostrzeliwali bunkry z bolterów, ale zaprojektowano je tak, aby wytrzymały nawet bezpośrednie bombardowanie. Nawet pociski z wyrzutni rakiet nie były w stanie przebić ich grubych, żelbetonowych ścian.

Ogień rebeliantów przybrał na sile, a Uriel wiedział, że czas działa na jego niekorzyść. Z pewnością heretycy wezwą posiłki i lada chwila na placu boju pojawią się czołgi. W obliczu takiego przeciwnika nawet Adeptus Astatres będą musieli się wycofać. Przywołał swoich sierżantów i spytał:

- Jakie mamy możliwości w tej sytuacji?

Pasanius schował do kabury bolter, poklepał miotacz ognia i powiedział:

- Możemy wezwać wsparcie z „Vae Victus”. Pod jego osłoną przedrzemy się przez umocnienia.

Uriel przez chwilę rozważał tę propozycję. Była kusząca, ale nierealna.

- Nie. Jeżeli urządzenia celownicze pomyślą się o chociaż tysięczną część, możemy sami stać się obiektem ostrzału. Jedna eksplozja za dużo i zrównamy z ziemią cały pałac, grzebiąc kompleks więzienny pod tonami skał.

- W takim razie musimy zdobyć bunkry w tradycyjny sposób - odparł Venasus, uśmiechając się szeroko.

Uriel pokiwał twierdząco głową. Sierżant nie uchodził za geniusza taktyki i zwykle rozwiązywał problemy za pomocą brutalnej siły, ale w tym przypadku miał rację. Strategie i podchody często się sprawdzały, ale na każdej wojnie przychodziła taka chwila, kiedy trzeba było wziąć byka za rogi i rozwiązać sytuację w najprostszy sposób. Taki moment właśnie nadszedł.

Kolejna salwa z ciężkiej broni wyrwała Uriela z zamyślenia. Żołnierze sił Obrony Planetarnej zdali się wyczuwać wahanie Ultramarines i strzelali, chcąc ich przepędzić z pałacu.

- Masz rację - zgodził się Uriel. - Oto, co zrobimy...

Barzano w ostatniej chwili zastawił się lufą karabinu, blokując cios Chirurga. Ostre zęby piły mechanicznej wgrzyły się w metal, krzesząc purpurowe iskry. Przed kolejnym pchnięciem inkwizytor usunął się i napał na szczuplejszego przeciwnika, zwalając go z nóg. Obaj runęli na podłogę, przetaczając się po niej jak tornado. Barzano wrzasnął przeraźliwie, kiedy ostrza piły musnęły jego biodro i prawie zagłębiły się w miednicę.

Wykorzystując tę nagłą i niepożądaną bliskość, uderzył czołem w twarz eldara. Pod siłą ciosu delikatny, wąski nos pękł z trzaskiem, a fontanna krwi zalała twarz obcego. Ario odskoczył do tyłu, jeszcze raz unikając piły i podniósł z ziemi resztki karabinu laserowego. Choć broń nie nadawała się już do strzelania, to mogła jeszcze posłużyć jako pałka.

Opierając się o drzwi i łapiąc z trudem oddech poczuł, jak nagrzewają się od kolejnych uderzających w nie promieni lasera. Żołnierze próbowali je przepalić, używając karabinów jak palników plazmowych.

Chirurg wstał z podłogi, wymachując wściekle piłą. Jego twarz była pokrwawioną maską wściekłości, a w fioletowych oczach płonęła czysta nienawiść.

Za jego plecami krwawa miazga, która kiedyś była ciałem Almerza Chandy, zadygotała. Z poharatanego gardła wydobył się jęk. Środki uśmierzające cierpienie i paraliżujące nerwy przestawały działać. Do mózgu torturowanego zaczynały docierać fale potwornego bólu, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznał.

Uriel skulił się za załomem muru i odmówił szybki pacierz do błogosławionego Pierworodnego. Prosił go, aby ten atak się powiódł, aby Ultramarines zdobyli pozycje rebeliantów i zdołali wdrzeć się do kompleksu więziennego. Zgromadzeni wokół bracia czekali na jego rozkazy. Nieustraszony kapelan Clausel zaintonował Psalm Bitewny. Jego potężny i donośny głos niósł się przez pole bitwy, przepełniając serca Kosmicznych Marines nadzieją i chęcią do dalszej walki. Uriel wiedział, że oto nadeszła dla niego godzina próby. Musiał własnym przykładem poderwać Ultramarines do boju i osobiście poprowadzić ich do zwycięstwa.

Kiedy fala granatów dymnych i oślepiających pokryła przedpole zasłoną z kłębow gęstego, szarego oparu, zbuntowani żołnierze Sił Obrony Planetarnej przestali cokolwiek widzieć. Sztuczna mgła przesłoniła całe przedpole bunkrów. Uriel zerwał się na równe nogi i krzyknął:

- Naprzód! Na chwałę Terry!

Dając przykład swoim podkomendnym, pierwszy przeskoczył przez mur i ruszył w kierunku wrogich umocnień.

Ultramarines poderwali się jak jeden mąż i z okrzykiem bojowym na ustach ruszyli za swoim kapitanem. Serie z ciężkich bolterów i promienie śmiertelnych laserów raz po raz przecinały dym, ale Kosmiczni Marines parli do przodu, nie zważając na nawałę wrogiego ognia.

Kiedy tylko opuścili osłonę ruin, rozproszyli się, aby skoncentrowany ogień nieprzyjaciela nie był w stanie zdziatkować ich formacji. Odległość, która dzieliła ich od wrogich linii, każdy musiał pokonać sam. Uriel biegł w milczeniu, pokonując metr za metrem. W gęstym dymie płomienie jaśniały nienaturalnym blaskiem. Przeskakiwał nad spalonymi ciałami, całymi połaciami strawionej ogniem ziemi i porozrzucanymi resztkami ekwipunku. Jego nerwy były napięte jak postronki.

Systemy automatycznego wspomaganie wzroku próbowały przebić się przez zasłonę sztucznej mgły. Z ich pomocą Uriel stwierdził, że od zbuntowanych żołnierzy dzieliło go jakieś sto pięćdziesiąt metrów.

Gdzieś za sobą dostrzegał rozmyte sylwetki pozostałych Ultramarines. Lufy ich bolterów pobłyskiwały ogniem. Biegając, ostrzeliwali buntowników.

Sto metrów.

Do uszu Uriela dotarły krzyki rannych i przekleństwa rebeliantów. Warknął z wściekłości i jeszcze bardziej przyspieszył kroku.

Nagle ziemia wokół niego eksplodowała. Kawałki betonu rozgrzane do czerwoności

kule i odłamki zaczęły śmigać tuż obok głowy kapitana Ultramarines. Któryś z nich roztrzaskał naramiennik pancerza i prawie zerwał hełm z głowy Uriela.

Kosmiczny Marine, ogłuszony uderzeniem, zakręcił się dookoła i upadł. Jak w koszmarnym śnie obserwował pocisk, który uderzył w spojenie miecza energetycznego z rękojeścią, roztrzaskując je na tysiące drobnych kawałków.

Uriel upadł na ziemię i przetoczył się w bok. Resztki systemów optycznych przekazywały mu dane z pola bitwy, ale większość ikon, które oznaczały stan pancerza, połyskiwała na czerwono. Odpiął mocowania hełmu i cisnął go na bok. Otarł zakrzepłą krew i z wściekłością spojrział na osmaloną rękojeść i miecza, którą trzymał w dłoni.

Poza jelec wystawał jedynie krótki ułamek ostrza. Przez obwody elektryczne, które kiedyś podtrzymywały esencję ducha wojny, nie płynęła już niszczycielska energia. Ostatni łącznik pomiędzy dawnym a obecnym dowódcą Czwartej Kompanii rozpadł się na drobne fragmenty. Dar Idaeusa przestał istnieć.

Wściekły Uriel schował złamane ostrze do pochwy i powstał z ziemi. Przez rzednący dym widział, że od linii umocnień dzieli go niecałe sto metrów. Teraz jednak, kiedy nawała ognia spowolniła szturm Ultramarines, nie mogło być mowy o tym, aby przedrzeć się do pozycji rebeliantów.

Nagle kapitana Kosmicznych Marines ogarnął niezwykle spokój. Jak we śnie ruszył przez pole bitwy, aby przyklęknąć przy zabitym bracie zakonnym. Kule śmigały wokół Uriela, a ten szedł pewnie, aby wyjąć z dłoni zabitego miecz łańcuchowy

- Kapitanie, niech pan uważa! - krzyczał Pasanus.

Uriel powstał z mieczem w dłoni i, nadal nie zważając na wrogi ostrzał, krzyknął:

- Bracia! Ultramarines! Za mną!

Promień lasera trafił go prosto w pierś.

Uriel zachwiał się, ale nie upadł. Ze zdziwieniem spojrział na napierśnik zbroi energetycznej. Zdobiający go orzeł stopił się, ale pancerz wchłonął śmiertelny promień. Widząc to, kapelan Clausel zerwał się na równe nogi i unosząc crozius arcanum nad głowę, ryknął:

- Patrzcie, Marines! W tej bitwie Imperator jest po naszej stronie! - Jego głos przetoczył się nad polem bitwy jak grom. - Dalej, bracia! Do ataku! Do ataku!

Uriel wcisnął runę aktywującą broń i ostrze ryknęło jak rozjuszone zwierzę.

Spojrział w kierunku okopów i wiedział, że nic już nie uratuje kryjących się w bunkrach buntowników.

Nie będzie litości.

Biegiem ruszył przez nawałę ognia.

Barzano cudem zszedł z linii pchnięcia. Obrócił się na pięcie i wbił łokieć w żołądek Chirurga. Kolejne szerokie cięcie piłą sprawiło, że inkwizytor musiał rzucić się na podłogę i przetoczyć po niej. Barzano źle wyliczył odległość i wstając, zawadził o stół. Z ogłuszającym hukiem i brzękiem wywrócił go, a na podłogę posypały się wszelkiego rodzaju noże, skalpele, haki oraz inne instrumenty chirurgiczne. Almerz Chanda ponownie zawył, ale Barzano nie miał czasu przejmować się jego agonią. Chwycił zaostzony hak i ponownie spojrzał na Chirurga, który z żądzą krwi w fioletowych ślepiach zbliżał się do niego.

Barzano wiedział, że nie może przeciągać tego starcia w nieskończoność. Siły uchodziły z niego z każdą minutą i czuł, że niedługo zemdleje. Tymczasem eldar okrążył go podstępnie, szykując się do kolejnego pchnięcia chirurgiczną piłą.

Tego ciosu nie zdołał uniknąć. Co prawda w ostatniej chwili zasłonił się dłonią, ale z jego ust wyrwał się wrzask bólu, kiedy ostrze zagłębiło się w mięśniach ręki. Piła zawyla opętańczo, kiedy jej ruchome zębiska dotarły do kości przedramienia. Nadludzkim wysiłkiem woli Barzano machnął ręką w bok, otwierając sobie drogę do morderczego pchnięcia. Skalpel ukryty w jego zdrowej dłoni pomknął na wprost, mierząc w podstawę czaszki Chirurga.

Eldar nagle zeszywniał. Z jego ust, nosa i uszu trysnęła krew, kiedy piętnaście centymetrów stali wbiło się w jego mózg. Pod obcym ugięły się kolana, a on sam z jękiem padł jak długi na kamienną posadzkę. Zaciśnięte w ostatnim skurczu palce dłoni wyszarpnęły piłę z ramienia Barzano, który sam o mało nie upadł przy tym na ziemię.

Inkwizytor oparł się o ścianę, dysząc ciężko. Czuł, że piła Chirurga rozerwała skórę i mięśnie, oddzielając je od kości. Pomimo stalowych nerwów nie potrafił zmusić się, aby spojrzeć na swoje rany.

Drzwi aż zadygotały, kiedy żołnierze ponowili próby sforsowania ich. Jęcząc z potwornego bólu, Ario przyklęknął obok ciała eldara i wyszarpnął z kabury jego pistolet.

Poczuł raczej niż zobaczył, że za jego plecami coś się poruszyło. Obrócił się na pięcie, gotów stawić czoła nowemu niebezpieczeństwu, ale zamarł nagle, zdjęty strachem.

Almerz Chanda zdołał podnieść się ze stołu operacyjnego i, cały czas zawodząc z bólu, usiadł wyprostowany. Jego sprofanowane ciało po raz ostatni zmobilizowało się do niesamowitego wysiłku. Czy pchała go żelazna wola, czy też może zwierzęcy instynkt, tego Barzano nie wiedział. Wyraźnie natomiast dostrzegwał, że ten człowiek zaznał niewyobrażalnego cierpienia, które odjęło mu zmysły. Chirurgiczna sztuka tortur pchnęła Almerza Chandę w odmętę czystego szaleństwa.

Telepatyczne zmysły inkwizytora podpowiadały mu jednak, że gdzieś w głębi duszy tego nieszczęśnika pozostały jeszcze drobinki człowieczeństwa. Ta resztkę ludzkiej natury pragnęła odkupienia, więc teraz niewyobrażalnym wysiłkiem woli podźwignęła umęczone ciało ze stołu operacyjnego i pchnęła je ku wyjściu.

Barzano próbował ustać na nogach, kiedy drzwi do sali operacyjnej wyleciały z zawiasów i do pomieszczenia wpadli żołnierze.

Uriel trzasnął pięścią w wizjer hełmu, rozbijając go na kawałki i miażdżąc twarz żołnierza. Promień lasera uderzył w napierśnik kapitana Ultramarines, ale nie zdołała przebić zbroi. Jeden celny strzał wystarczył, aby posłać do piekła mężczyznę, który ośmielił się podnieść broń na jednego z wybrańców Imperatora. Cios mieczem łańcuchowym pozbawił życia kolejnego ze zdrajców, a trzeci zginął od kuli z boltera, wystrzelonej prosto w twarz. Uriel wydał z siebie dziki okrzyk radości i ze zdwojoną siłą napał na przeciwników.

Okopy stały się dla broniących ich żołnierzy Sił Obrony Planetarnej śmiertelną pułapką.

Gniew Ultramarines nie znał granic. Kiedy dotarli do okopów, impet ich natarcia dosłownie zmiotł pierwsze szeregi obrońców. Reszta próbowała walczyć, ale wkrótce podała tyły i rzuciła się ku bunkrom. Paniczna ucieczka na nic się jednak nie zdała. Żądni zemsty Kosmiczni Marines kulami z bolterów i ciosami mieczy dobili rebeliantów. Okopy stały się ich zbiorowa mogiła.

Nie chcąc stracić impetu natarcia i pozwolić buntownikom na ochłonięcie, Uriel poderwał swoich żołnierzy do kolejnego szturmu. Wskoczył z okopów, ale przywitał go huraganowy ogień ciężkich bolterów. Uriel odskoczył w bok i biegł naprzód. Ani się obejrzał, a już od umocnień dzieliło go zaledwie dziesięć metrów. Kątem oka dostrzegł, że Pasanius dopadł do bunkra i przez jeden z wykuszy wetknął lufę miotacza ognia. Chwilę później rozpętało się piekło. Płynny ogień wypełnił wnętrze fortyfikacji, a płonący żywcem ludzie wrzeszczeli wniebogłosy.

Uriel dobiegł do drugiego bunkra i rzucił się płasko na ziemię. O włos uniknął kolejnej salwy z ciężkiego boltera. Pociski wystrzelone z tak małej odległości z pewnością przecięłyby go na pół. Z doświadczenia wiedział, że granaty były w tej sytuacji zupełnie bezużyteczne. Zapewne bunkier posiadał specjalne pomieszczenie, do którego obrońcy mogli wrzucić pociski i przeczekać ich eksplozję.

Żołnierze SOP nie żałowali amunicji, ale Uriel cierpliwie czekał, aż usłyszy charakterystyczny odgłos opróżnianego magazynka. W końcu do jego uszu dobiegł głuchy

trzask. Uriel zebrał się w sobie i słysząc, że nowa taśma została wprowadzona do komory amunicyjnej, zerwał się na równe nogi i pchnął mieczem przez wąską szczelinę wykuszu. Ostrze dosięgło strzelca, rozcinając jego twarz na pół. Nie przebrzmiał jeszcze wrzask rannego, gdy Kosmiczny Marine wsadził ramię do wnętrza bunkra, chwycił karabin i wyciągnął go na zewnątrz.

Ku zaskoczeniu obrońców lufa ich własnej broni została skierowana w ich stronę i chwilę później seria śmiertelnych pocisków rozerwała ich na strzępy. Uriel ze wszystkich sił próbował zapanować nad bronią, ale mimo to karabin kopał i podskakiwał przy każdym wystrzale.

Kiedy opróżnił magazynek, cisnął broń na bok i otarł z twarzy krew i pot.

Bunkry zostały zdobyte, a droga do kompleksu więziennego stała przed nimi otworem.

Kiedy strażnicy wylamali drzwi do kazamatów Chirurga, w progu powitał ich wcielony koszmar. Gnany zwierzęcym strachem lub rozpaczliwym pragnieniem odkupienia, Almerz Chanda rzucił się na nich, roztrącając i gnając przed sobą przerażonych rebeliantów. Każdy ruch umęczonych członków sprawiał, że ze sponiewieranego gardła dobywał się żalostny skowyt, przypominający o dreszcze grozy każdego, kto miał nieszczęście go słyszeć. W końcu któryś z żołnierzy wystrzelił i chwilę później na Chandę posypał się grad pocisków. Pokrwawione i zbezczeszczone ciało runęło na gwardzistów, zraszając ich deszczem krwi.

Ostatnie tchnienie Almerza Chandy było pełne ulgi, bowiem śmierć wyrwała go z okowów nieludzkiego cierpienia.

Oczy wszystkich żołnierzy skierowały się na jedyną żywą istotę, jaka znajdowała się jeszcze w sali operacyjnej. Pokrwawiony i ranny Barzano zachwiał się, ale nie zamierzał zmarnować cennych sekund, które swoim ostatnim aktem woli zyskał dla niego Almerz Chanda. Inkwizytor podniósł pistolet Chirurga i nacisnął spust.

Chmura ciemnofioletowych igieł wytrysnęła z lufy i położyła trupem pierwszego znajdującego się na jej drodze buntownika. Jego kamrat, który stał kawałek dalej, nie miał tyle szczęścia. Ostre, kryształowe drobinki straciły impet i nie zabiły go na miejscu. Zamiast nich zrobiła to trucizna, która sprawiła, że krew w jego żyłach zapłonęła żywym ogniem.

Barzano rzucił się ku drzwiom. Roztrącił strażników, z których wielu konało wskutek trafienia zatrutymi pociskami, a inni oszołomieni losem towarzyszy nie byli w stanie zatrzymać uciekającego adepta. Ario resztkami sił zatrzaskał drzwi i oparł się o nie, czując, że krew ponownie płynie z jego ran.

Z korytarza dobiegał odgłos kanonady i krzyki umierających. Drzwi zatrzęsły się od uderzenia, a Barzano zabrakło sił, żeby je przytrzymać. Osunął się na podłogę, zbyt słaby aby sięgnąć po eldarski pistolet, który wysunął się z jego omdlałych dłoni.

Sierżant Learchus stanął nad inkwizytorem i kopnął w kąt dziwaczną broń. Za nim tłoczyli się dwaj Ultramarines, Mykola Schonoai, Lortuen Perjed oraz skrybowie i pomocnicy adepta. Jeden z nich niósł Jennę Sharben, która nadal nie odzyskała przytomności. Ultramarine skinął na jednego ze swoich braci i rzucił krótko:

- Zobacz, co z nim.

Kosmiczny Marine posłusznie wykonał rozkaz, a w tym czasie sierżant uruchomił swój komunikator i zameldował:

- Kapitanie Ventris, znaleźliśmy inkwizytora Barzano. Żyje, ale jest ciężko ranny. Jeśli chcemy ocalić mu życie, musimy jak najszybciej przetransportować go na pokład „Vae Victus”.

Uriel przedzierał się przez zadymione ruiny, w jakie zmienił się kompleks więzienny. Bombardowanie orbitalne zabiło większość ludzi, którzy mieli nieszczęście znajdować się w obrębie jego murów i teraz dało się słyszeć jedynie jęki konających i błagalne wołania o pomoc rannych.

Kiedy Learchus zameldował o odnalezieniu inkwizytora, Ventris poczuł ogromną ulgę. A więc nie pomylił się, każąc sierżantowi pozostać w pałacu i osobiście dopilnować bezpieczeństwa Barzano.

Teraz pozostało mu tylko przedrzeć się przez kilka poziomów, na których roiło się od rebeliantów i wydostać braci oraz ochranianych przez nich ludzi. Pasanius raz po raz oczyszczał miotaczem ognia podejrzane zakamarki, pałac każdego, kto stanął mu na drodze.

Uriel poprowadził Ultramarines jeszcze niżej, a jego ślad znaczyły krzyki umierających i odgłosy walk.

Learchus nacisnął spust boltera. Dwóch atakujących rebeliantów zginęło, a trzeci runął na podłogę ranny. Jak do tej pory Ultramarines odparli trzy ataki, jednak kończyła im się amunicja, a drogocenny czas bezpowrotnie uciekał. Co gorsza, w komnacie, którą zajmowali, znajdowały się trzy wejścia, dlatego każdy z Ultramarines musiał samodzielnie powstrzymywać nacierających rebeliantów. Mykola Shonai i Lortuen Perjed toczyli inną bitwę. Ze wszystkich sił próbowali powstrzymać krwawienie z ran adepta Barzano, ale ich wysiłki były daremne. Ostrze Chirurga pozostawiło po sobie głębokie rozcięcie, ciągnące się od nadgarstka aż do łokcia. Puls Barzano był coraz słabszy, a jego ciało przybrało siną barwę.

Raz za razem kolejne fale żołnierzy szturmowały pozycje Ultramarines tylko po to, by za chwilę znów się cofnąć przed ciosami mieczy i nawałą ognia z bolterów.

Learchus jako pierwszy usłyszał złowieszczy trzask broni. Cisnął pusty magazynek na podłogę, wraz z nim odrzucając także bolter. Przez chwilę powstrzymywał jeszcze napór strażników ciosami miecza, ale kilka promieni lasera dosięgło go w końcu, zwalając masywnego Kosmicznego Marine z nóg. Kontrolki stanu zbroi rozbłysły na czerwono, ale Learchus tylko przetoczył się na bok i ciął mieczem po nogach przeciwnika. Opancerzoną pięść wbił w lędźwie kolejnego i potężnym kopniakiem powalił trzeciego. Choć żołnierze dźgali go bagnietami, to większość ostrzy ześlizgiwała się po pancerzu, nie czyniąc Kosmicznemu Marine żadnej szkody.

W końcu Learchus zdołał wstać na nogi i odepchnąć przeciwników w głąb korytarza. Przez chwilę w uszach dudnił mu huk wystrzałów i krzyki wycofujących się buntowników.

Odparli kolejny szturm, ale czy zdołają przetrzymać następny, tego nie wiedział.

Pchnięcie miecza wysłało kolejnego z buntowników do piekła. Uriel z Pasaniusem u boku parli coraz głębiej w zakamarki kompleksu więziennego. Prowadził ten drugi, bowiem urządzenia nawigacyjne i lokalizator kapitana pozostały na górze, tam gdzie leżał jego pęknięty hełm.

Gdzieś z powierzchni dobiegały odgłosy walki: kanonada, chrzęst gąsienic i krzyki umierających. Kiedy Ultramarines wyłonili się zza rogu korytarza, ich oczom ukazały się podwójne, szerokie wrota, przez które wybiegali buntownicy. Pasanius nawet nie czekał na rozkaz. Nacisnął spust miotacza płomieni i płynny ogień pochłonął rebeliantów w mgnieniu oka. Wrzaski palonych żywcem ludzi niosły się echem przez korytarze. Ultramarines natarli od tyłu na rebeliantów, którzy osaczyli oddział sierżanta Learchusa.

Schwytani między młotem a kowadłem, nie mieli dokąd uciekać. Próbowali błagać o łaskę, ale nie została im udzielona. Wkrótce wszyscy buntownicy leżeli martwi. Ciężko dysząc i ocierając twarz z krwi, Uriel wszedł do komnaty tortur Chirurga. Wszędzie leżały trupy, a smród był wprost nie do zniesienia. Przez chwilę kapitan stał nieruchomo, czując, że nagła cisza huczy mu w uszach. Learchus zamrugał oczami, jakby właśnie zbudził się z głębokiego snu i opuścił okrwawiony miecz.

Ventris podszedł do niego i uściskał jego ramię.

- Dobrze cię widzieć, bracie.

Learchus pokiwał głową i odparł:

- Ciebie również, kapitanie.

Z rykiem silników Thunderhawk wznosił się w górę. Jego śladem pomknęło kilka ornitopterów i myśliwców. Zaprojektowane do zwalczania celów naziemnych, nie były w stanie nawiązać równorzędnej walki z pojazdem Kosmicznych Marines. Kiedy siódmy ze ścigających myśliwców został strącony na ziemię, reszta szwadronu zrezygnowała z dalszego pościgu.

Odbicie inkwizytora Barzano zostało okupione śmiercią trzech Ultramarines oraz dwóch skrybów, którzy zginęli podczas desperackiej obrony w komnacie tortur. Lortuen Perjed osobiście dopilnował uroczystości pogrzebowych.

Aptekarz Selenus usunął z ciał braci organy produkujące ziarno genetyczne, któremu Kosmiczni Marines zawdzięczali swoje nadludzkie możliwości. Zabezpieczywszy dziedzictwo Zakonu, przystąpił do opatrywania rannych.

Barzano został przeniesiony do polowego ambulatorium. Selenus zaordynował transfuzję krwi. Skryba, który został wybrany do tego zadania, zaoferował swoje życie, aby ratować inkwizytora. Aptekarz zapewnił go jednak, że tak wielkie poświęcenie nie będzie konieczne.

Stan Jenny Sharben, choć ciężki, był jednak stabilny. Rana okazała się poważna, ale nie śmiertelna. Choć czekało ją wiele dni rehabilitacji, to jej życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Obrażenia, jakie odnieśli Ultramarines, były powierzchowne i niegroźne.

W końcu Thunderhawk znalazł się na orbicie Pavonis i zakodował do „Vae Victus”. Ultramarines wrócili do domu.

Oficerowie dowodzący misją na Pavonis zebrali się w pokoju odpraw. Zasiedli wokół okrągłego stołu, wyciętego z bazaltu, w którym została wykuta Forteca Hera na Macragge.

Admirał Tiberius siedział oparty o ścianę, a nad jego głową zwieszał się imponujący sztandar, na którym wypisano wszystkie bitwy i zwycięstwa jego okrętu. Obok nich ciągnęła się długa lista dowódców, którzy stąpali po pokładach „Vae Victus”. Obok niego zasiedli zmęczeni bojem kapitan Uriel Ventris, sierżanci Learchus, Dardino i Venasus oraz Pasanius. Naprzeciwko nich miejsca zajęli Mykola Shonai i Lortuen Perjed.

Przy stole pozostało jeszcze jedno wolne miejsce. Co jakiś czas któryś ze zgromadzonych spoglądał na nie, zastanawiając się, dlaczego narada jeszcze się nie rozpoczęła.

Ku zaskoczeniu wszystkich do pokoju wkroczył Barzano. Rozszerzone źrenice i niepokojący blask w oczach mówiły, że na nogach utrzymują go stymulanty i środki pobudzające. Usiadł naprzeciwko Uriela, a zranioną rękę opuścił delikatnie na blat.

- Możemy zaczynać - powiedział cichym, ale stanowczym tonem. - Sytuacja jest bardzo poważna, nikt nie ma chyba co do tego najmniejszych wątpliwości. Kasmir de Valtos przejął całkowitą kontrolę nad Pavonis i w każdej chwili może zdobyć broń, której siła rażenia jest zdolna obrócić w perzynę całe systemy. Ktoś chciałby coś jeszcze dodać?

Nikt nie zabrał głosu.

- Skoro wszyscy się zgadzamy, uważam, że należy wysłać zakodowaną wiadomość na Macragge i wezwać barkę wojenną, uzbrojoną w torpedy wirowe.

- Nie! - wykrzyknął Uriel, uderzając opancerzoną pięścią w stół. - Nie pozwolę na to! Mieliśmy tych ludzi ocalić, nie zabijać!

Tiberius położył dłoń na jego ramieniu, chcąc uspokoić kapitana. Mykola Shonai spoglądała to na Uriela, to na Barzano, a na jej twarzy malowało się zakłopotanie.

- Chyba czegoś nie rozumiem - powiedziała pani gubernator. - Czym są torpedy wirowe?

- To tak zwani „zabójcy planet” - odparł Uriel. - Powodują spalenie atmosfery. Ogniste burze spopiela powierzchnię Pavonis, niszcząc wszelkie życie. Morza wyparują, a z kwitnącego świata nie pozostanie nic prócz nagiej skały.

Zdjęta grozą Shonai spojrzała na Barzano i spytała szeptem:

- Chcesz zniszczyć mój świat?

Inkwizytor z wolna pokiwał głową.

- Jeżeli w ten sposób ocaleją tysiące innych planet, to jestem w stanie poświęcić Pavonis. Imperator jeden wie, jak wielkich spustoszeń może dokonać odrodzony potwór.

- Nie wolno nam zabijać niewinnych ludzi - warknął Uriel.

- Musimy ochronić ludzkość - odparł Barzano. - Koszty nie grają roli. Jeżeli statek obcych wpadnie w ręce de Valtosa, setki innych systemów planetarnych mogą być zagrożone. Na takie ryzyko nie możemy sobie pozwolić. Urielu, ta decyzja nie przychodzi mi łatwo, ale muszę myśleć logicznie. Niech Imperator sprawi, abym podjął słuszną decyzję.

- Nie uwierzę, że Imperator godzi się na mordowanie Jego poddanych.

- A kim ty jesteś, żeby wiedzieć, czego pragnie Imperator? - syknął inkwizytor. - Jesteś jego wojownikiem, walczysz na polu bitwy z mieczem i bolterem w dłoni. Moimi przeciwnikami są heretycy, odstępcy i szaleńcy. Więcej wrogów ludzkości czai się pomiędzy mieszkańcami Imperium niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Na walkę z nimi muszę patrzeć z szerszej perspektywy.

- Nie pozwolę ci na to, Barzano - warknął Uriel. - Moi ludzie walczyli i ginęli, aby ocalić ten świat. Nie poddamy się tak łatwo.

- Urielu, żaden z nas nie zamierza się poddawać - tłumaczył inkwizytor, który zdołał jakoś opanować narastającą złość. - Chodzi o ocenę zagrożenia. Nie wiemy, gdzie się teraz znajduje de Valtos ani jakie ma plany wobec tego statku. Jeśli będziemy się wahać i pozwolimy mu osiąść „Zwiastuna Nocy”, mogą umrzeć miliardy ludzi. A co, jeśli ten szaleniec zniszczy nie jeden, a dziesięć, sto czy tysiąc systemów?

- Na pewno istnieje jakiś inny sposób, aby go powstrzymać, prawda? - spytała Shonai.
- Pavonis zamieszkują miliony ludzi, nie będę stała bezczynnie i patrzyła, jak skazujecie ich na śmierć.

- Mykole, nie jestem bezdusznym potworem. Decyzja o Exterminatus nie przychodzi mi łatwo. Gdyby istniał inny sposób rozwiązania tej sprawy, wierz mi, z chęcią bym się go podjął. Jeszcze nigdy nie musiałem skazywać całego świata na śmierć. Nie chcę tego robić, ale okoliczności zmuszają mnie do podjęcia takiej decyzji.

Uriel siedział bez ruchu, a w jego myślach pobrzmiwało echo ostatnich słów Gedrika: „Śmierć Światów i Ten, Który Zwiastuje Ciemność czeka, aby narodzić się w tej galaktyce.... Powstanie z grobu i wszyscy umrą, wybór należy do ciebie.”

- Naprawdę tak uważasz, inkwizytorze? - spytał, przerywając nagle milczenie.

- O czym mówisz?

- O innym sposobie rozwiązania tej sprawy.

- Tak, chciałbym ją inaczej zakończyć.

- Jest wyjście, które pozwoli nam zażegnać niebezpieczeństwo i ocalić Pavonis.

Barzano spojrział na Uriela i przez chwilę nic nie mówił. Patrzył z powątpiewaniem na kapitana Kosmicznych Marines, a potem zapytał:

- Co proponujesz?

Uriel zdawał sobie sprawę, że czeka go kolejna próba. Od jego siły przekonywania i pomysłowości zależał los milionów ludzi. Zebrał się w sobie i powiedział:

- Kiedy byliśmy w posiadłości de Valtosa, w piwnicach znaleźliśmy dwóch szkieletowych wojowników. Zauważyłem, że do ich elementów zasilających podłączone były akumulatory.

- I co z tego wynika?

- Zauważyłem też oznaczenia na naklejkach. Być może pani gubernator będzie wiedziała, co się za nimi kryje. Mówi pani coś nazwa Urobek Tembra?

- Urobek Tembra? To pasmo górskie, ciągnące się około stu kilometrów na północ od Wrót Brandona. Na południu sięgają oceanu, a od wschodu graniczą z puszcza Gresha. Zajmują kilkadziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych. To teren górniczy, większość karteli

posiada własne odwierty w tych górach. Sam de Valtos ma ich kilkanaście.

- Skoro te metalowe szkielety pochodzą z jednej z kopalń, to czy nie jest logiczne, że i sam „Zwiastun Nocy” jest pogrzebany w tej okolicy?

- Całkiem możliwe, Urielu - przytaknął Barzano. - Musimy jednak wiedzieć, gdzie dokładnie się znajduje, zanim zaczniemy celebrować zwycięstwo.

Choć ton inkwizytora był sarkastyczny, to Uriel wiedział, że Ario dostrzegł światelko w tunelu. Być może eksterminacja Pavonis nie będzie konieczna.

- Jak głębokie są odwierty w kopalniach? - spytał, zwracając się do Mykoli Shonai.

- To zależy, ale najgłębsze sięgają na trzy, niekiedy cztery tysiące kilometrów w głąb planety. Nie ma reguły, zależy to głównie od tego, jakie minerały się wydobywa i jak bardzo opłacalny jest proces.

- Wystarczy, że znajdziemy kopalnie, które należą do kartelu de Valtos i zbombardujemy je z orbity - wtrącił Uriel.

- Lortuenie? - spytał Barzano, spoglądając na swego sługę. Ten kiwnął głową i zamknął oczy, a jego oddech stał się wolniejszy i bardzo spokojny. Przez mózg inkwizytorskiego pomocnika zaczęły przepływać liczby, fakty i dane, które do spółki z pomocnikami zebrał w trakcie pobytu na Pavonis.

Uriel z fascynacją przyglądał się zamkniętym oczom mężczyzny, które poruszały się pod powiekami jak w niespokojnym śnie. Dopiero teraz Kosmiczny Marine zauważył, że za uszami Perjeda znajdują się wystające ze skóry gniazda kabli. A więc starszy mężczyzna miał wszczepy cybernetyczne, podobne do tych, które wspomagały w pracy lex-mechaników czy serwitorów.

Nie otwierając oczu, Perjed zaczął recytować pozbawionym emocji, mechanicznym tonem:

- Na obszarze Urobku Tembra znajdują się cztery kopalnie, które należą do kartelu de Valtos. W każdej z nich wydobywa się metale, które później używane są do produkcji czołgów i łusek amunicji. Kopalnia położona najbardziej na północ jest najgłębsza. Odwierty są tam prowadzone szczególnie intensywnie, co ma związek z wypadkami w innych kopalniach. Straty materiałowe są rekompensowane przez intensywną eksploatację złóż.

Oddech Perjeda wrócił do normy, a staruszek otworzył oczy i zamilkł.

- Widzisz? - powiedział Uriel. - Znamy lokalizację „Zwiastuna Nocy” i możemy go zniszczyć bez eksterminacji całej populacji planety.

- Obawiam się, że sytuacja nie jest tak prosta, jak ci się wydaje - wtrącił nagle admirał Tiberius.

- Dlaczego?

- Bo nawet z całym uzbrojeniem „Vae Victus” nie jesteśmy w stanie zagrozić kopalniom. Są zbyt głębokie.

- W takim razie musimy uciec się do tradycyjnych metod. Tech-marines twierdzą, że mamy do dyspozycji dwa sprawne Thunderhawki. Kiedy tylko uzupełnią paliwo i zapasy amunicji, bezpośrednio zaatakujemy oddziały de Valtosa. Jeśli będzie trzeba, przetrząśniemy kopalnię kawałek po kawałku.

Uriel wyzywająco spojrział na Barzano, czekając na jego reakcję.

Jednak inkwizytor tylko pokiwał głową.

- Dobrze, Urielu. Myślę, że warto spróbować, ale wiedz, że jeśli zawiedziesz, cała Pavonis umrze. Jej los przypieczętuję albo ja, albo de Valtos.

- Nie zawiedziemy - zapewnił go Uriel. - Jesteśmy Ultramarines!

ROZDZIAŁ 17

W ostatniej chwili Virgil Ortega rzucił się na ziemię, unikając śmiertelnej serii pocisków, która rozpruła ścianę za jego plecami. Kiedy tylko opadł pył, sędzia przeczołgał się wzdłuż barykady i wyrzucił pusty magazynek. Sięgnął ręką do pasa i odpiął od niego kolejny, po czym załadował go do komory i zatrzasnął zamek karabinu.

Kiedy ponownie wstał i oparł broń o barykadę, zza załomu wypłynęła kolejna fala żołnierzy. Ortega unieruchomił kolbę pod pachą i nacisnął spust. Z perforowanej lufy ciężkiego karabinu maszynowego plunęły metrowej długości strugi ognia. Huk towarzyszący wystrzałom był ogłuszający, a hałas mógł być porównywalny jedynie do tego, który powodowały eksplodujące pociski. Rebelianci z pierwszego szeregu zginęli na miejscu, kiedy tylko dosięgły ich kule, a Ortega zacisnął zęby, próbując utrzymać szarpiącą się broń.

Siła ognia karabinu sprawiała, że nie musiał się martwić o celność. Wystarczyło tylko odpowiednio szybko zmieniać magazynki i z jednym takim działkiem mógłby utrzymywać pozycje przez cały dzień.

Z dwudziestu siedmiu sędziów, których wyprowadził z ruin komisariatu, przy życiu pozostało osiemnastu. Ewakuowali się przez sekretne tunele pod pałacem, o istnieniu których nie wiedziała nawet gubernator Shonai. Po krótkiej, ale zażartej walce opanowali zbrojownię. Zaopatrzeni w broń i amunicję rebelianci mogli w nieskończoność odpierać ataki z zewnątrz, jednak przed niespodziewanym szturmem, który nadszedł z sekretnych przejść, nie byli zabezpieczeni.

W ciągu niespełna godziny sędziowie zajęli i ufortyfikowali składy amunicji. Już wkrótce miał nadejść kontratak. Rzeczywiście, niedługo potem zbuntowani żołnierze Sił Obrony Planetarnej uderzyli na ich pozycje.

Zbrojownia położona była głęboko pod pałacem gubernatorskim i z tego powodu w próbie jej odbicia mogła wziąć jedynie piechota. Biorąc pod uwagę zapasy broni i amunicji, jakimi dysponowali ludzie Virgila Ortegi, stróże prawa stali się bardzo uciążliwą drobiną soli w oku zdobywców Pavonis. Bez dostępu do ciężkiego uzbrojenia oraz gigantycznych zapasów amunicji, buntownicy skazani byłiby na porażkę, gdyby doszło do konfrontacji z próbującymi przywrócić porządek siłami imperialnymi.

Ortega rozkazał Collixowi oraz sześciu innym sędziom, aby podłożyli ładunki

wybuchowe w newralgicznych punktach zbrojowni. Przy odrobinie szczęścia będą mogli je zdetonować i uciec, grzebiąc pod gruzami buntowników i niszcząc drogocenne uzbrojenie.

Jedyny korytarz, jaki prowadził do zbrojowni, usłany był trupami. Ciała leżały w stosach tak wysokich, że zapewniały osłonę napastnikom. Ilekroć Ortega dostrzegał choćby najdrobniejszy ruch w ciemnościach, otwierał ogień, a wtórowali mu inni sędziowie, którzy obsadzili barykadę. Ich dubeltówki, boltery i rewolwery siały śmierć i zniszczenie pośród atakujących.

W pewnej chwili Ortega usłyszał za sobą potok siarczastych przekleństw. Odważył się zerknąć do tyłu i zobaczył Collixa, który z wysiłkiem ciągnął podwójne działko automatyczne na wózku. Choć broń została zaprojektowana jako uzbrojenie jakiegoś pojazdu, najprawdopodobniej Sentinela, i nie była przeznaczona do noszenia, to uparty sędzia zdołał ją przytaszczyć na barykadę.

Salwa wrogiego ognia sprawiła, że Ortega ponownie przypadł do podłogi, ciągnąc za sobą Collixa.

- Schyl się, zanim ci łeb odstrzelą! - krzyknął.

- Tak jest, sir!

- Kiedy będziemy mogli się stąd wynosić?

- Nie jestem pewien, czy to będzie w ogóle możliwe, sir.

- O czym ty do cholery jasnej gadasz?

- Detonatory do ładunków wybuchowych muszą być składowane w zupełnie innym miejscu - wyjaśnił Collix. - Wygląda na to, że ktoś przewidział to, co próbujemy zrobić i postanowił nie ułatwiać nam zadania.

Ortega zaklął jak szewc i odstawił swoją broń. Trzymając się nisko przy podłodze, zaczął wraz z Collixem ciągnąć działko na barykadę.

- W takim razie musimy znaleźć inny sposób na wysadzenie tego miejsca w powietrze.

- Ładunki można zdetonować ręcznie - powiedział Collix.

Ortega spojrzał mu prosto w oczy, zdając sobie doskonale sprawę z tego, co się kryje za słowami sierżanta.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Racja - ponuro przytaknął Collix.

- Ustawcie je tutaj - rozkazał sędziom, pokazując działko i wyłom ziejący w barykadzie.

Collix posłusznie podtoczył wózek, zablokował go ręcznym lewarem i rozstawił nóżki

stabilizujące łoże. Patrząc na jego starania, Ortega pytał sam siebie, czy to wystarczy. Odrzut działek automatycznych był ogromny i taka prowizoryczna stabilizacja mogła okazać się niewystarczająca.

Kolejne krzyki od strony umocnień wyrwały go z zamyślenia. Virgil jeszcze raz zaklął, widząc umundurowanych na szaro sędziów, którzy starli się z atakującymi rebeliantami. Wszyscy zgromadzeni w korytarzu walczyli z niespotykaną zajadłością, która charakteryzuje ludzi przypartych do muru i zdających sobie sprawę, że mogą albo się bić, albo zginąć.

Choć Adeptus Arbites należeli do najbardziej zdyscyplinowanych żołnierzy w Imperium, to naprzeciwko siebie mieli żadnych krwi zabijaków, którzy wiedzieli, że w razie porażki czeka ich gniew dowódców lub zemsta wrogów.

Ortega wyszarpnął z kabury pałkę energetyczną i rzucił się w wir bitwy. Collix znalazł się tuż obok niego, tnąc ostrzem elektrycznym na prawo i lewo. Choć w zbrojowni mogli przebierać między mieczami i toporami energetycznymi, rękawicami łańcuchowymi i innymi równie egzotycznymi broniąmi, Ortega postanowił zostać przy wypróbowanej, metalowej pałce.

Ciosem na odlew rozbił czaszkę pierwszego z rebeliantów, który nawinął mu się pod rękę. Do tej pory Ortega zużył siedem baterii energetycznych, ale mając do dyspozycji zapasy zgromadzone w zbrojowni, nie musiał się martwić o brak amunicji. Nawet nie biorąc pod uwagę paralizatora, pałka była groźną bronią. Półmetrowy kawał żelaza, dzierzony we wprawnej dłoni, mógł być naprawdę śmiertelny.

Ramię w ramię Ortega i Collix zabijali kolejnych buntowników, powalając ich na ziemię, tnąc, łamiąc kości i rozbijając czaszki.

- Oto imperatorska sprawiedliwość, szumowiny! - krzyczał Collix, kopiąc jednego z rebeliantów w krocze, a potem odrąbując mu głowę od karku. Ortega dźgnął pałką w brzuch innego, a następnie z półobrotu uderzył go w twarz.

Trysnęła struga krwi, a sędziowie walczyli dalej, wiedząc, że muszą jak najwięcej zyskać na czasie. Ortega wykorzystał chwilową przerwę i ponownie chwycił za karabin maszynowy. Nacisnął spust i poczuł, jak broń szarpie się w jego rękach. Połamane żebra bolały jak diabli, ale nie przerywał ognia nawet na sekundę.

Pociski dużego kalibru cięły szeregi żołnierzy SOP tak, jak kosa tnie łąny zboża. Ludzie padali martwi, nim jeszcze dotknęli podłogi. Choć rebelianci ubrani byli w lekkie kamizelki kuloodporne, to były one bezużyteczne w obliczu zmasowanego ognia z broni ciężkiej. Ortega krzyczał i strzelał, dając upust gniewowi, bólowi i rozpacz.

- Śmierć, złoczyńcom! Oto kara za grzechy!

Przełknął ślinę i poczuł w ustach metaliczny smak krwi. Klatka piersiowa pulsowała tęnym bólem, co było niezawodną oznaką, że jego żebra zostały znów połamane.

Nagle zapadła cisza.

Wszyscy napastnicy polegli lub zawrócili, nie mogąc przełamać zacieklego oporu sędziów. Ortega nie zamierzał okazywać łaski i niemiłosiernie strzelał w plecy uciekających. Ledwie garstka żołnierzy zdołała ująć z życiem z placu boju.

Jeden z nich miał jeszcze tyle odwagi, aby przystanąć, odwrócić się i strzelić. Promień lasera trafił Ortęgę prosto w pierś. Pod sędzią ugięły się nogi. Jak przez sen poczuł, że pada, jego twarz uderza o betonową podłogę, a czyjeś mocne ręce ciągną go za mundur.

W tej chwili liczyło się tylko to, że utrzymali pozycje.

Na jak długo?

Uriel i Pasanius biegli w górę zbocza, pędząc ku budynkom o ścianach wzmocnianych żelazem. Temperatura panująca w górach była wprost nie do zniesienia, a blask bijący od białych, podobnych do wapiennych skał, był wprost oślepiający.

W ślad za swoim kapitanem Ultramarines z Czwartej Kompanii obsadzali teren, który należał do kopalni TR-701 Rejonu Urobku Tembra. Tak nazwał ją Lortuen Perjed i choć nazwa nie miała w sobie ani odrobiny heroicznego patosu, to Uriel miał nadzieję, że tutaj właśnie rozegra się ostatni akt rebelii Kasmira de Valtosa.

Sześć kilometrów dalej na zachód Ario Barzano czekał niecierpliwie w jednym z Thunderhawków Zakonu. Inkwizytor bacznie wyglądał sygnału od kapitana Ventrisa, mając nadzieję, że właściwie wytypowali kopalnię, w głębi której ukryty został „Zwiastun Nocy”.

Tereny wokół kopalni zostały opanowane przez sześć oddziałów Ultramarines. Wspinaczka po kamienistych, stromych zboczach była dla nich równie łatwa, jak parada na placu ćwiczebnym. Oddziały wsparcia zajęły odpowiednie pozycje, gotowe osłaniać przemarsz braci. Uriel był pewien, że ich przybycie musiało zostać zauważone. Na tle białych zboczy górskich nie sposób było nie dostrzec ciemnoniebieskich pancerzy energetycznych Ultramarines.

Kapitan z zacięciem obserwował kominy, które wystawały spod ziemi. Buchały przez nie kłęby dymu i gazów wylotowych. Odprowadzane z ogromnych głębokości, gorące i zmieszane z płomieniami, przypominały dowódcy Kosmicznych Marines wulkany z rodzinnej planety.

Drużyna Dardino osłaniała lewą flankę i wspinała się po największej stromiźnie

zbrocza. Na szczęście ten oddział był wyposażony w plecaki odrzutowe, które w razie potrzeby mogły znacznie ułatwić podejście do pozycji nieprzyjaciela. Oddziały Vesaniusa, Pasaniusa, Elena, Niveaneusa i Daedalus maszerowały w rozproszonej formacji, a członkowie jednego czuwali nad braćmi z drugiego.

Kompleks kopalniany błyszczał w promieniach słońca. Z tej odległości żaden z Ultramarines nie był w stanie powiedzieć, czy wewnątrz znajdowały się jakieś rebelianckie wojska, czy też obiekt pozostawiono bez ochrony. Zza budynków okalających główne konstrukcje wznosiły się kłęby czarnego, tłustego dymu, ale nie sposób było stwierdzić, czy to wyziewy industrialne, czy też gazy spalinowe oczekujących na jałowym biegu czołgów.

Od szczytu dzieliło ich trzysta metrów.

Kasmir de Valtos szedł za głównym nadzorcą kopalni, Jakobem Lasko. Korytarz rozświetlała długa linia migoczących bez przerwy w nieregularnych odstępach czasu kul jarzeniowych. Lasko co jakiś czas ocierał pot z czoła, ale jego pan był zbyt podekscytowany bliskością upragnionej nagrody, aby zwracać uwagę na panujące w trzewiach Pavonis gorąco.

Dwójce ludzi towarzyszyli ciężko opancerzeni eldarzy, jednak ich oblicza pozostawały ukryte za ozdobnymi, szkarłatnymi maskami hełmów. Nieśli srebrzysty, sporych rozmiarów pojemnik, którego wieko było magnetycznie zamknięte.

Pomiędzy swymi wojownikami kroczył przywódca Łoży Złamanego Ostrza, straszliwy archon Kesharq. Podobnie jak oni, twarz skrywał za przyłbicą, której jadeitowa powierzchnia pozbawiona była jakichkolwiek ozdób czy znaków szczególnych. Na ramieniu niósł ogromny topór, a u boku miał piękną wiedźmę, która do tej pory bez przerwy towarzyszyła Kasmirowi de Valtos.

Do stóp archona łaśliły się twory medycznej sztuki Chirurga, pełzając, podskakując, człapiąc i idąc, w zależności od tego, w jaki sposób ich twórca chciał, aby się poruszały. Bestie syczały i pluły jadem, nieprzyzwyczajone do tak wysokich temperatur. Być może resztki inteligencji, jakie pozostały w nich z poprzednich wcieleń, ostrzegały je przed potwornym złem, które czaiło się w tym miejscu.

Za orszakami eldarów szli żołnierze z regimentów Sił Obrony Planetarnej, utworzonych za pieniądze de Valtosa. Ci wierni mu do końca najemnicy otaczali Vendare Talouna, który w obliczu nowej sytuacji zupełnie stracił rezon. Poruszał się jak automat, idąc krok za krokiem jak skazaniec, prowadzony na egzekucję. Co jakiś czas ocierał rękawem szaty pot z czoła i rzucał ukradkowe spojrzenia na boki.

Powietrze było ciężkie od pyłu i wysokiej temperatury. Wszyscy ludzie mieli kłopoty

z oddychaniem, tęsknie spoglądali na maski przeciwgazowe i kombinezony górnicze, które wisiały we wnękach. Wykuto je w skale, aby na wypadek erupcji trujących gazów lub zacczadzenia stanowiły zabezpieczenie pracujących tu ludzi.

Ten przedziwny pochód kierował się coraz głębiej i głębiej pod powierzchnię Pavonis. Z wolna goła skała ustępowała wypolerowanemu, gładkiemu obsydianowi. Prymitywnie wykute górnicze korytarze zmieniły się w wysokie, łukowato sklepione tunele, które osiągały wysokość nawet czterech metrów.

De Valtos zatrzymał się w niewielkim, kwadratowym pomieszczeniu. W ścianie naprzeciwko znajdowały się drzwi, odgradzające go od upragnionej zdobyczy. Na twarzy Kasmira pojawiły się wypieki, a jego oddech stał się urywany i płytki.

Nerwowo oblizął wargi i skłonił się czterem nieruchomym strażnikom przedsionka, którzy tkwili w alkowach. Choć w ich ślepiach połyskiwały dziwne ogniki, nie sposób było powiedzieć, czy w ogóle zauważyli intruzów.

Tam, gdzie jeszcze niedawno były drzwi, teraz znajdowała się poszarpana wyrwa w niewiarygodnie odpornej płycie metalu. De Valtos zaczął drzeć, czując, jak ogarnia go podniecenie na samą myśl o tym, co ma się za chwilę zdarzyć. W sąsiednim pomieszczeniu spał prawdziwy bóg, a delikatny powiew powietrza, wydobywający się z poświęconej mu sali, niósł ze sobą namiastkę nieprzeliczonych eonów, które musiały oglądać jego oczy.

Archon Kesharq podszedł do de Valtosa i rzucił ostro:

- Na co jeszcze czekamy, człowieku? Skoro nasza nagroda tam czeka, to czemu zwlekamy?

Głos eldara miał obrzydliwie bulgoczące brzmienie. W jego ustach słowa wysokiego gotyku były praktycznie niezrozumiałe, a kula Uriela, która przeszła gardło eldara, jeszcze pogorszyła jego możliwości artykułowania obcej mowy.

- On tam na nas czeka - odparł de Valtos. - Nie czujesz tego brzemienia na barkach? Stoimy na skraju wieczności. Kiedy przekroczymy ten próg, nic już nie będzie takie samo.

- Gadasz bzdury i niepotrzebnie marnujesz czas. Adeptus Astatres odbili człowieka nazwiskiem Barzano i teraz depczą nam po piętach. Jeśli nasza nagroda jest w tej komnacie, to chodźmy tam i weźmy ją.

- Zaiste, jesteś istotą pozbawioną duszy, Kesharq - syknął de Valtos.

Minął eldara i wkroczył do ukrytej komnaty.

Pierwsza rakietka pomknęła ku Ultramarines, kiedy byli w połowie wysokości zbocza i trafiła w sam środek oddziału Niveaneusa. Siła eksplozji odrzuciła Kosmicznych Marines na

boki, ale żaden z nich nie ucierpiał i szybko dołączyli z powrotem do formacji.

Nim zdążyło przebrzmieć echo pierwszego wybuchu, żołnierze broniący kompleksu otworzyli ogień w stronę nacierających.

Uriel przypadł do podmurówki jednego z kominów i rozejrzał się dookoła, próbując ocenić siły obrońców. Sądząc po ilości błysków z luf, strzelających musiało być ze dwie setki.

Kapitan Ventris musiał przyznać, że oficer dowodzący obroną znalazł się na swojej robocie. Doskonale rozlokował żołnierzy i, wykorzystując przewagę terenu, był w stanie kontrolować każde podejście do kopalni.

Stojąc w obliczu szturm na doskonale okopanego przeciwnika, Uriel wspomniał swoje buńczuczne zapewnienia o powstrzymaniu de Valtosa. Łatwo było słuchać opowieści, mówiących o bohaterach Zakonu i samobójczych atakach na przeważające siły wroga, lecz trudniej przychodziło samemu wziąć udział w takiej misji.

Jednak Ultramarines nie poddawali się tak łatwo. Znalazłszy osłonę przed wrogim ogniem, odpowiedzieli strzałami z bolterów. Choć Codex Astatres opisywał podobne sytuacje, to Uriel nie miał ani czasu, ani środków, by stosować się do jego zaleceń.

W niebo trysnął gejzer pyłów i gazów z wnętrza kopalni. Gorący deszcz spadł na Uriela, który zakaszlał i otarł twarz z pyłu. Kiedy oczyszczał skórę, receptory w jego gardle badały drobinki, które przedostały się do wnętrza organizmu Kosmicznego Marine, analizując ich skład chemiczny i neutralizując potencjalne trucizny.

Zanieczyszczenia były śmiertelnie niebezpieczne dla zwykłych ludzi, jednak Kosmicznemu Marine tylko trochę przeszkadzały. Uriel chwycił kratkę wentylacyjną i zacisnął dłoń na rozgrzanych, metalowych prętach, gnąc je i łamiąc. Wnętrze komina było ciemne i gorące. Choć z dołu bił potworny smród, to jednak można było w nim oddychać. Szyb opadał w dół łagodnym łukiem i niknął w ciemnościach. Uriel wywołał częstotliwość drużyny Dardino, układając jednocześnie w głowie pewien plan.

* * *

- Niech to diabli! - zaklął major Helios Bextor z 33 Tarmegańskiego Pułku Sił Obrony Planetarnej. Na jego oczach opancerzeni na niebiesko Kosmiczni Marines rozpierchli się, szukając osłony za skałkami.

Zbyt wcześnie dał rozkaz, aby otworzyć ogień i teraz przeklinał swoją niecierpliwość. Walka przeciwko straszliwym Aniołom Śmierci przerażała go, ale nie miał do siebie o to pretensji. Nawet znacznie śmielsi żołnierze obawialiby się stanąć do tak nierównego boju.

Choć major nie należał do najodważniejszych, to był jednak kompetentnym taktykiem. Wiedział, że powierzone mu pozycje zabezpieczył tak dobrze, jak tylko było możliwe. Kopalni broniły dwie kompanie żołnierzy, wzmocnione drużyną moździerzy, wyposażonych w pociski odłamkowe i zapalające. Od momentu, w którym usłyszał swoje rozkazy, dręczyła go myśl, co takiego ważnego znajduje się w tej okolicy, że obsadzono ją takimi wielkimi siłami. Przecież od wieków nie dochodziło do otwartych starć pomiędzy kartelami. Teraz, w obliczu szturmujących Kosmicznych Marines, odsunął od siebie te myśli, skupiając się na zadaniu, które miał do wykonania. Skoro Kasmir de Valtos nakazał mu zabezpieczenie kopalni, jego obowiązkiem było dopilnować wypełnienia woli przełożonego.

Przez kilka chwil obserwował zbocze, jednak nie dostrzegł niczego podejrzanego. To wzmogło jego czujność. Przełączył interkom na częstotliwość drużyny moździerzy i wydał rozkaz:

- Oddział wsparcia, nakazuję ogień zaporowy. Cele, odległość dwieście metrów lub więcej. Ognia!

Kilka sekund później Uriel usłyszał głuchy huk, jaki zwykle towarzyszy wystrzałowi z moździerza. Na tle nieba zdołał dostrzec czarne plamki. Pociski osiągnęły szczytowy punkt trajektorii lotu i runęły w dół, ku ziemi.

- Kryć się! - krzyknął, jeszcze bardziej kuląc się za skałką.

Pod wpływem wybuchów zdawała się trząść cała góra. Drżenie przeszło ją od posad do szczytu. Na zboczu rozpętało się piekło, kiedy fragmenty szrapneli, płonącego fosforu i rozgrzanych do czerwoności odłamków skał zaczęły śmigać dookoła Kosmicznych Marines.

Co gorsza, za tą pierwszą falą przyszły kolejne. Żołnierze SOP nie strzelali na oślep, ale metodycznie i dokładnie bombardowali przedpole fortyfikacji, uniemożliwiając Ultramarines skuteczny szturm. Uriel trzymał głowę nisko, opuszczając ją za każdym razem, kiedy ziemię przechodziło kolejne drżenie.

Nie miał innego wyboru, jak tylko czekać na sygnał od drużyny Dardino. Dopiero wtedy będzie mógł dobrać się do skóry dowódcy buntowników. Gdyby w tej chwili nakazał atak, skazałby siebie i swoich podkomendnych na pewną śmierć w ogniu ciężkich bolterów, karabinów laserowych i eksplodujących pocisków moździerzy. Jeśli nie chciał zostać zapamiętany jako najgłupszy dowódca Czwartej Kompanii, musiał czekać.

Choć ciężko było w to uwierzyć, każda salwa powodowała, że zbocze góry zaczynało płonąć jasnym ogniem. Z kraterów wydobywały się kłęby gęstego dymu. Uriel wciągnął powietrze głęboko do płuc i przez chwilę smakował jego zapach. Środki zapalające? Fosfor?

Czyżby przecenił dowódcę zbuntowanych oddziałów SOP? W starciu z lekko opancerzonymi wojskami taka amunicja spowodowałaby potworne straty i panikę, jednak przeciwko ciężko opancerzonym Kosmicznym Marines była całkowicie bezużyteczna. Zapewne dowodzący rebeliantami oficer nigdy nie miał do czynienia z wybrańcami Imperatora i dlatego wierzył w skuteczność pocisków zapalających.

Coraz gęstsze kłęby dymu przesłoniły w końcu całe zbocze. To była chwila, na którą czekał Uriel. On i jego Ultramarines mieli wreszcie osłonę, której tak bardzo potrzebowali.

Sierżant Dardino uderzył zaciśniętą pięścią w kratkę wentylacyjną, wybijając ją z ramki. Kilkoma silnymi szarpnięciami wyrwał ją z oprawy, z zadowoleniem obserwując światło słoneczne, wpadające do wnętrza rury przepływowej. Przed sobą miał jeszcze większą sztolnię, pełną ciągnących się kabli, rur, przewodów, łańcuchów i kół zębatach. Precisnąwszy się przez otwór, zeskoczył na szeroką rurę odpływową i gestem nakazał swoim żołnierzom, aby podążali za nim. Jeden za drugim Marines z drużyny szturmowej wychodzili z tuby i kierowali się w głąb kopalni. Ich pancerze były poczerńałe od sadzy, a ekran dowodzenia sierżanta Dardino pokazywał, że filtry powietrza były prawie całkowicie zapchane.

Znaleźli się w centralnym szybie kopalni, a jasny skrawek nieba widniał jakieś pięćset metrów ponad ich głowami. Było to zbyt wysoko, aby użyć plecaków odrzutowych.

Dardino ostrożnie wyjrzał poza krawędź rury, na której stał. Choć nie bał się wysokości, to wolał nie spoglądać w dół. Do dna sztolni było dobre dziewięć kilometrów. Schował pistolet do kabury i krzyknął do Ultramarines:

- Bracia! Mamy tylko jedną drogę! W górę!

Nie czekając na resztę, skoczył przed siebie i chwycił kable, które zwisały się z krawędzi tuneli pół kilometra nad nimi.

Metr za metrem, sierżant Dardino i jego ludzie zaczęli pięć się w górę.

Uriel poderwał się na równe nogi i krzyknął:

- Wojownicy Imperatora, do boju!

Pierwszy wyskoczył zza osłony skał i, gnany żądzą walki, pobiegł do przodu. Serwomotory pancerza energetycznego i genetycznie wzmocnione mięśnie sprawiły, że odległość dzielącą go od zabudowań kopalni przebył w zastraszająco szybkim tempie. Ultramarines z okrzykiem na ustach parli za nim do przodu, unikając kul i przeskakując przez kraterę, w których dopalały się resztki białego fosforu.

Choć pociski z moździerzy nadal spadały z nieba ognistym deszczem, to celowniczy nie byli w stanie nadażyć za szarżującymi Kosmicznymi Marines i płomienie eksplozji wykwiwały daleko za plecami atakujących.

Uriel słyszał dudnienie ciężkich bolterów i syk promieni lasera, jednak rebelianci strzelali sporadycznie i nieskoordynowanie, co uniemożliwiało im skuteczną obronę. Zabłąkana kula ugrzęzła w naramienniku Uriela, jednak pozostałe pociski śmigwały wysoko ponad jego głową.

Kiedy kapitan Ultramarines wybiegł z chmury dymu, która przesłaniała pobojowisko, w pierwszej chwili oślepiło go jasne słońce. Szarżujących powitał ogień broni maszynowej i kilku wojowników padło na ziemię, jednak wszyscy szybko podnieśli się na nogi i kontynuowali szturm.

Jednak szczęście nie mogło im sprzyjać przez cały czas. Pocisk z wyrzutni trafił sierżanta Niveaneusa, weterana kampanii na Thracian, dokładnie w pierś, zabijając go na miejscu. Krzyżowy ogień działek automatycznych powalił czterech Marines z drużyny Elena. Jedynie dwóch z nich powstało, aby walczyć dalej. Jeden z nich, choć kula urwała mu rękę, podniósł bolter drugą i biegi dalej, strzelając.

- Rozproszyc się! - krzyknął Uriel, kiedy działko ponownie plunęło gradem pocisków.

Major Bextor śmiał się ile sił w płucach, kiedy pociski z działka automatycznego powaliły kilku Ultramarines na ziemię. Sam zajął miejsce przy spuście broni i strzelał do szarżujących Kosmicznych Marines. To była jego pierwsza bitwa i otrząsnąwszy się z początkowego strachu, zaczął się nią naprawdę cieszyć. Walka jednak sprawiała mu przyjemność! Co więcej, stawiali zaciekły opór Kosmicznym Marines i wygrywali. Euforia i podniecenie przesłoniły jakąś jeszcze logicznie myślącą część jego osobowości, która podpowiadała, że wrogów było teraz dziwnie mniej niż na początku bitwy. Zapewne to strach wyolbrzymał wcześniej siły Ultramarines. Teraz, kiedy im się dokładniej przyjrzeć, okazywało się, że nie są ani tacy silni, ani tacy twardzi jak się wydawało.

Bextor postanowił zostać bohaterem! Człowiek, który pokonał Kosmicznych Marines. Opowieści o jego czynach będą powtarzane w kantynie przez pokolenia! Sięgnął po kolejny magazynek i mrugnął okiem do żołnierza, który kulił się tuż obok niego.

- Ale daliśmy im bobu, nie, synu?

Chłopak nie zdążył odpowiedzieć, bowiem jego głowa eksplodowała jak rozbity arbuz, zraszając Bextora fontanną krwi, fragmentów czaszki i mózgu. Major krzyknął, poślizgnął się i upadł na podłogę. Pomimo bólu zdołał przewrócić się na brzuch i ujrzał, jak z

głębi szybu kopalnianego wyłaniają się czarne, masywne postacie. Kosmiczni Marines zdradziecko zaatakowali ich od tyłu i teraz rozpoczęli regularną rzeź.

Zaskoczeni rebelianci nie byli w stanie stawić czoła nowemu zagrożeniu. Tnąc mieczami i strzelając z pistoletów, Marines z drużyny Dardino zadali decydujący cios obrońcom kopalni.

Bextor podniósł się na klęczki i otarł krew, która spływała z szerokiej rany na czole. Z przerażeniem spoglądał na czarnych gigantów, którzy wyłonili się z trzewi kopalni. Wyjące miecze łańcuchowe i grzmiące boltery dziesiątkowały obrońców. Bextor poprzysiągł sobie, że chociaż jednego z nich weźmie ze sobą do piekła. Wstał chwiejnie na nogi i podniósł karabin laserowy. Dookoła ludzie konali lub wzywali pomocy.

Usłyszawszy za sobą jakiś hałas, major odwrócił się na pięcie i stanął oko w oko z Kosmicznym Marine w czarnej zbroi. Jego twarz była upiorną maską, ukształtowaną na podobieństwo szczerzącej zęby czaszki. Bextor ponownie opadł na kolana, widząc jak monstrum unosi do góry broń, której złote ostrze ukształtowane było na podobieństwo dwugłowego orła.

Jego oczy były czerwone jak krew i połyskiwały w słońcu, kiedy broń opadała w dół, aby rozszcześcić czerep nieszczęsnego majora.

Virgil Ortega starał się nie zwracać uwagi na ból w klatce piersiowej. Teraz był już pewien, że złamał więcej niż jedno żebro.

Korytarz, który prowadził do zbrojowni, zaścielały trupy i gęsty, siwawy dym. Walczący po obydwu stronach barykady strzelali na oślep, licząc na łut szczęścia lub przypadek, że kogoś trafią.

Podwójnie sprzężone działko automatyczne okazało się być większą przeszkodą niż pomocą. Zgodnie z przewidywaniami Ortegi, siła odrzutu wyrwała je z łożyska, a miotająca się dziko broń rozbiła barykadę i raniła kilku sędziów. A jednak dzięki temu nieprzewidzianemu obrotowi sprawy obrońcy składu amunicji zyskali krótką przerwę w walkach. Rebelianci z Sił Obrony Planetarnej za nic w świecie nie zamierzali szturmować pozycji, których obrońcy dysponowali tak śmiertcionośną bronią. Dobrych kilkanaście minut zajęło buntownikom zrozumienie, że wcale nie muszą się obawiać siejącego spustoszenie działka.

W międzyczasie Ortega i Collix odciągnęli ostatnich dwóch ocalałych sędziów do zbrojowni. Obydwaj doskonale wiedzieli, że sami nie mają szans obronić zniszczonej barykady.

Ortega cisnął w korytarz dwa granaty, a potem padł na podłogę, unikając eksplozji i odłamków. Krzyki rannych i jęki konających powiedziały mu, że trafił w dziesiątkę. Collix podczołgał się do niego, podając mu broń i amunicję.

- Przynajmniej nie musimy się martwić o to, że się nam skończy - mruknął z ponurym uśmiechem Ortega.

Collix pokiwał twierdząco głową i dodał:

- Podobnie jak o to, że zabraknie nam tych zdradzieckich skurwieli, żeby do nich strzelać.

Ortega wstał z podłogi, słysząc za drzwiami zbrojowni krzyki podchodzących pod nie buntowników.

- Nawet śmierć nie uchroni was przed ręką imperatorskiej sprawiedliwości! - krzyknął, krzywiąc się z bólu. Połamane zebra dokuczały mu coraz bardziej, ale starał się nie zwracać na to uwagi.

Ramię w ramię sędziowie podbiegli do kolejnej barykady, skonstruowanej pośpiesznie z pustych skrzynek po amunicji. Skryli się za nią i w milczeniu oczekiwali kolejnego, nieuniknionego ataku. Za nimi piętrzyły się stosy broni i amunicji, których tak desperacko pożąдали buntownicy. Karabiny laserowe i maszynowe, boltery, dwie wyrzutnie pocisków raketowych, granatnik, sześć ciężkich bolterów, a nawet działo laserowe. Wszystkie czekały, aby ich użyć. Szkoda, że nie było nikogo, kto mógłby wziąć je w ręce i skierować przeciwko wrogom Imperatora.

Cała czwórka pracowała w pocie czoła, aby przygotować zbrojownię do samozniszczenia. Choć nie mieli detonatorów, byli zdeterminowani, aby nie zaprzepaścić ofiary, jaką złożyli bohaterscy Arbitratorzy. Granaty można było zdetonować ręcznie, jednak było to samobójcze zadanie.

Mimo to sędziowie pieczołowicie układali ładunki w otwartych skrzynkach z amunicją, pomiędzy pociskami do dział i materiałami wybuchowymi. Każdy z granatów podłączony był metalowym kablem do baterii akumulatora, wyciągniętego z bezużytecznej radiostacji. Jeden ruch przełącznika wystarczy, aby je zdetonować i wysadzić zbrojownię w powietrze.

Jeszcze kilka chwil i ten prosty, ale efektywny mechanizm samozniszczenia będzie gotów do działania.

Komnata poświęcona bogu była znacznie mniejsza, niż spodziewał się de Valtos, ale wypełniała ją dziwna i potężna energia. Jej ściany zbiegały się u góry, tworząc połączony

punkt, wyznaczający dokładnie centrum pomieszczenia. Poniżej znajdował się czarny, obsydianowy sarkofag. W ścianach umieszczono specjalne nisze, mieszczące szkieletowe, metalowe postacie, przypominające te, które kilka miesięcy temu górnicy de Valtosa wydobyli z korytarza prowadzącego do komnaty.

Nawet eldar i Vendare Taloun wyglądali na poruszonych widokiem pomieszczenia. Ze zdziwieniem patrzyli na budowlę obcych, która przetrwała pod powierzchnią Pavonis prawie sześćdziesiąt milionów lat.

- Niesamowite - powiedział de Valtos, stając przed jedną z wnęk. Szkieletowy wojownik był tak samo martwy i nieruchomy jak ten, którego Kasmir trzymał w domu. Zasadniczą różnicą było jednak to, że strażnicy grobowca mieli broń: dziwnie wyglądające karabiny, których fosforyzujące lufy pokrywała warstwa kurzu i pyłu. Dla Kasmira był to fascynujący widok. Kiedy już uwolni się z okowów śmiertelności, będzie miał czas bliżej poznać te dziwne istoty.

Choć szkieletowe postacie ogromnie go fascynowały, to w tej chwili jego uwagę zaprzętał głównie sarkofag. De Valtos poddał się ciekawości i podszedł do niego szybkim krokiem.

Płyta nagrobna była ogromna. Jeden bok mierzył prawie pięć metrów długości i kiedy Kasmir się do niej zbliżył, spostrzegł, że nie jest tak gładka, jak mu się początkowo zdawało. Jej powierzchnię zdobiły delikatnie wycięte runy, układające się w skomplikowany wzór. Serce podeszło mu do gardła, kiedy rozpoznał te same znaki, które odczytał w ruinach na Cthelmax. To od nich wszystko się zaczęło.

Każda z alków połączona była z sarkofagiem skomplikowanym wzorem, pieczołowicie wyłobionym w podłodze.

Kesharq, który dotąd stał nieruchomo jak skała, podniósł wizjer hełmu i rozejrzał się po komnacie. Twarz eldara była nieruchoma, ale de Valtos widział w jego oczach gorączkę.

- Ty też to czujesz, prawda? - spytał chrapliwym głosem.

Kesharq tylko parsknął i pokręcił głową.

- Jedyne, co mnie interesuje, to zdobycz. Chcę ją jak najszybciej posiąść i zniknąć stąd.

- Kłamiesz - zachichotał de Valtos. - Widzę to w twoich oczach. Jesteś nim równie zafascynowany jak ja.

- A jakie to ma znaczenie? Przejdźmy do interesów.

Błyskawicznym ruchem De Valtos chwycił eldara za podbródek i obrócił jego głowę w stronę srebrnego pojemnika.

- Dobrze. Daj mi kawałki statku, które odzyskaliście, a ja sprawię, że broń wpadnie w nasze ręce.

Kesharq przez chwilę spoglądał w oczy de Valtosa i dopiero po chwili skinął głową. Eldarzy podnieśli pojemnik i ustawili go przed swoim wodzem, nie spuszczać wzroku z Kasmira. Kesharq otworzył skrzynkę i spytał:

- Skąd mogę mieć pewność, że nie zamierasz mnie oszukać?

- Ach, mój drogi archonie! Możesz mi zaufać tak bardzo, jak ja ufam tobie!

Ręka Kesharqa drgnęła, ale eldar nie sięgnął po broń. Dopóki „Zwiastun Nocy” pozostawał w swoim królestwie cienia, dopóty archon nie zamierzał dopuścić się zdrady.

Antyczny statek pozostawał pusty i cichy od dnia, kiedy został pokonany przez flotę obcych. Teraz nadchodził czas przebudzenia.

De Valtos nie posiadał się z radości. Dzisiaj za jego sprawą odrodzi się prawdziwy bóg, a galaktyka gorzko pożąda jego powrotu.

Collix umierał. Wybuch granatu rozerwał jego trzewia i wnętrzności wypływały przez ranę. Zbroja sędziego była lepka od krwi, a jego ciałem wstrząsały przedśmiertne drgawki. Sierżant zaparł się o barykadę i raz po raz pociągał za spust ciężkiego boltera, choć siła odrzutu przeszywała jego ciało spazmami bólu. Ortega był w niewiele lepszym stanie. Jego lewa ręka zwisała bezwładnie, po tym jak promień lasera trafił go powyżej łokcia. Mimo to strzelał nadal, dzierżąc w jednej dłoni dubeltówkę i przeładowując ją zębami. Raz za razem wykrzykiwał Litanię Sprawiedliwości na przemian z przekleństwami pod adresem buntowników. Po raz kolejny atak rebeliantów załamał się, ale tylko kwestią czasu było, kiedy kolejny szturm przełamie ostatnią barykadę.

Wszystkie ładunki wybuchowe zostały podłożone i teraz pozostawało tylko je zdetonować. Ortega z początku miał nadzieję, że utrzyma zbrojownię do czasu kontrataku lojalistów, ale już dawno porzucił tę myśl. Nieuchronnie nadchodził koniec.

Przy życiu pozostali tylko oni dwaj. Inni sędziowie albo już nie żyli, albo dogorywali po ostatnim ataku.

Ortega wiele razy zastanawiał się, jak to będzie, kiedy nadejdzie śmierć. Teraz już wiedział, że to dziwne uczucie. Z jednej strony trawił go strach, a z drugiej pogodził się ze swoim losem i z radością myślał o tym, że odchodzi, wypełniwszy swój obowiązek. Ukarał zdrajców, uniemożliwił rebeliantom zdobycie zbrojowni.

Zza rogu korytarza dobiegały pokrzykiwania zbuntowanych oficerów, którzy szycowali żołnierzy do ostatniego ataku. Collix jęknął i z bólem wyraźnie wypisanym na

twarży sięgnął po kolejną taśmę z amunicją. Załadował ją do komory, z której unosiła się para. Nie zdołał poprawnie zatrzasnąć zamka i taśma upadła na podłogę. Ortega chwycił ją i umieścił we właściwym miejscu. Amunicja była lepka od krwi Collixa.

- Dziękuję, sir - powiedział sierżant. - Coś nie jestem dzisiaj w formie.

- Świetnie się spisujecie, sierżancie - zapewnił go Virgil.

Collix musiał dosłyszeć coś w głosie Ortegi, bo zerknął na detonator, który wisiał na piersi sędziego.

- To już koniec?

- Tak mi się wydaje.

Collix wyprostował się na tyle, na ile pozwalało mu umęczone ciało i uśmiechnął się blade. Drżącą dłonią zsalutował i powiedział:

- To był dla mnie honor, służyć pod pańskimi rozkazami.

Virgil odpowiedział na salut i uścisnął dłoń Collixa.

- Byłby z ciebie doskonały oficer, sędzio Collix.

- Wiem. Liczyłem na stopień kapitana w ciągu czterech lat. Taki przynajmniej miałem plan.

- Cztery lata? No, powiedziałbym, że sześć. Mam wrażenie, że sędzia Sharben byłaby dla ciebie sporą konkurencją.

- Racja - przytaknął Collix. - Myślę jednak, że moje bohaterskie poczynania przyspieszą awans.

- Celny argument. Przypomnijcie mi o tym, kiedy się stąd wydostaniemy.

- Trzymam pana za słowo.

Zapadła cisza. Ortega i Collix spowaźnieli i w końcu Virgil wypowiedział zdanie, którego obawiał się od samego początku:

- Daj mi dość czasu, żebym mógł wysadzić tę norę w powietrze.

Collix pokiwał twierdząco głową i oparł ciężki bolter o ramię. Raz po raz omiatał lufą wejście do zbrojowni.

Ortega podszedł do radiostacji. Kiedy usłyszał za plecami kanonadę, nawet się nie obejrzał. Nadciągała nowa fala atakujących.

Wokół niego zaczęły znów śmigać kule, a jedna z nich ugodziła go w udo. Kolejny pocisk trafił w plecy i z jękiem bólu Ortega upadł na twarz. Zranione ramię bolało potwornie i Arbitrator tylko wysiłkiem woli obronił się przed utratą świadomości.

Przez huk kanonady docierał do niego głos Collixa, który wykrzykiwał pod adresem buntowników groźby i przekleństwa. Jeszcze chwila - myślał Ortega, czołgając się po

betonowej podłodze. Jego drogę znaczyła smuga krwi, ale on uparcie kierował się ku radiostacji.

Potworna eksplozja wstrząsnęła zbrojownią. Ze ścian posypał się tynk i fragmenty zbrojeń. Najwidoczniej przeciwnicy podciągnęli w końcu ciężką broń i z jej pomocą rozsadzili resztki barykady.

Do pomieszczenia wlała się fala buntowników.

Ortega warknął pod nosem i czołgał się dalej.

Kolejna kula ugodziła go w plecy.

Pomimo bólu chwycił radiostację i przytulił ją do piersi jak nowonarodzone dziecko. Kolejne kule i promienie lasera kąsały go jak rój rozwścieczonych pszczół. Ostatnią rzeczą, jaką zrobił, było naciśnięcie przycisku, aktywującego zapalnik sześćdziesięciu granatów podłożonych w kluczowych punktach zbrojowni.

Virgil Ortega był już martwy, nim fala wstrząsowa eksplozji dotarła do jego ciała. Rezultaty jego heroicznych czynów przeszły najśmielsze oczekiwania sędziego.

W ciągu sekundy od aktywacji prowizorycznego zapalnika sześćdziesiąt granatów, które on oraz inni Arbitratorzy podłożyli w zbrojowni, zdetonowało cały skład amunicji, który znajdował się pod pałacem gubernatorskim.

Zanim jeszcze umilkły odgłosy pierwszych eksplozji, została zainicjowana śmiertelna reakcja łańcuchowa.

Czujniki termiczne i wykrywacze ruchu zarejestrowały wywołaną przez wybuch falę sejsmiczną, ale jej skala wymykała się ich przyrządom pomiarowym.

Z początku mieszkańcy Wrót Brandona myśleli, że to „Vae Victus” bombarduje miasto z orbity. Z niepokojem i obawą czekali na kolejną salwę bomb tektonicznych, która miała spaść z niebios.

Wstrząsy, które targały miastem, miały siłę trzęsienia ziemi. Rury wodociągowe pękały i tryskały gejzerami wody. W ulicach pojawiały się szerokie wyrwy, a budynki waliły się jak domki z kart. Gruz grzebał ludzi, czołgi i pojazdy cywilne. Obrazu zniszczenia dopełniały szalejące wokoło pożary.

W składzie amunicji raketowej doszło do potężnego wybuchu. Gorąco spowodowało, że niektóre z pocisków zostały wystrzelone i uderzyły w miasto. Dowódcy oddziałów, które należały do poszczególnych karteli, wzięli to za kontratak sił lojalistycznych lub zdradę ze strony innych buntowników.

Czołgi kartelu Vergen otworzyły ogień do żołnierzy Abrogasów. Ci z kolei

zaatakowali de Valtosów, którzy walczyli z Honanami. Ci ostatni strzelali do każdego, kto pojawił się w zasięgu wzroku. Wywołane eksplozjami zamieszanie i popłoch wśród Sił Obrony Planetarnej udało się stłumić dopiero po godzinie. W wyniku starć zginęło wielu żołnierzy i zostało zniszczonych pięćdziesiąt czołgów.

Naruszony w wyniku wybuchu budynek komisariatu Adeptus Arbites ostatecznie runął, grzebiąc pod gruzami wielu buntowników i liczne czołgi. Ich kierowcy próbowali wycofać maszyny, ale nie zdążyli umknąć przed niebezpieczeństwem. Ogromne kawały betonu miażdżyły maszyny jak zabawki, grzebiąc pod szczątkami załogi i zwykłych żołnierzy piechoty.

Posągi na Placu Oswobodzenia zatrzęsły się w posadach i wszystkie oprócz jednego runęły na ziemię. Tylko statua Imperatora przetrwała trzęsienie ziemi, zupełnie jakby ochroniła ją jakaś boska siła.

Spore fragmenty pałacu gubernatorskiego zawaliły się, kiedy osłabiona budowla została wystawiona na działanie sił, których nigdy nie miała zaznać. Pod gruzami wschodniego skrzydła zostało żywcem pogrzebanych kilka regimentów zbuntowanych żołnierzy SOP.

Pomiędzy pałacem a komisariatem Arbitratorów ział ogromny krater, wewnątrz którego rozpętało się istne piekło. Płonęły resztki zbrojowni. Spod ziemi buchały ogromne jęzory ognia, a w niebo wzbijał się gigantyczny słup dymu.

Za jednym zamachem Virgil Ortega w dwójnasób osłabił siły rebeliantów: odebrał im największy skład broni na Pavonis i wprowadził dezorganizację w ich szeregi.

* * *

Uriel zaglądał do głównego szybu kopalni. Sztolnia była szeroka na ponad sto metrów i ciągnęła się wiele kilometrów w głąb. Dwa Thunderhawki, które się do nich zbliżały, mogłyby bez trudu schować się w jego wnętrzu. Wnętrze komina pełne było kabli, przewodów, szyn i torów zębatych. Dzięki nim windy osobowe i towarowe były w stanie transportować w obydwie strony ludzi, sprzęt i wydobyte surowce.

Kilka z tych wind, które bardziej przypominały autobusy i były w stanie pomieścić ponad setkę ludzi, czekało na powierzchni na załadunek.

Ponad główną sztolnię zwieszały się kołowroty, podtrzymujące liny wind. Grube pęki przewodów i kabli huśtały się luźno niczym liany industrialnej dżungli. Nad nimi mieściło się zbudowane na stalowych wspornikach centrum kontrolne.

Kiedy oddział Dardino zaszedł obrońców od tyłu, ich los był już przypieczętowany.

Uwięzieni między młotem a kowadłem, nie mieli najmniejszych szans w nierównej walce.

Serce Uriela przepelniała duma, kiedy wspominał, jak jego żołnierze ruszyli przez nawałę wrogiego ognia i nie zważając na granaty i świszczące kule, szturmowali budynki kopalni. Gniew i żądza zemsty Ultramarines były nie do opanowania. Bez cienia wątpliwości ruszyli za swoim kapitanem, jak nigdy dotąd pokazując, że ufają mu bez zastrzeżeń. To był honor dowodzić tak oddanymi ludźmi i Uriel czuł się z tego powodu wręcz onieśmielony.

Pierwszy z Thunderhawków osiadł na ziemi. Ryk silników był praktycznie nie do zniesienia, a wzbijane przez gazy wylotowe tumany kurzu zatykały nosy i ciskały piaskiem w oczy. Niemalże w tej samej chwili, w której maszyna dotknęła gruntu, opuściła się przednia rampa.

Ario Barzano oraz cała rzesza jego pomocników wysiedli i ruszyli w stronę Uriela. Na twarzy inkwizytora malowała się duma i uznanie. U jego boku wisiał pistolet plazmowy i miecz energetyczny, który zarekwirował ze zbrojowni „Vae Victus”.

- Wspaniale się spisałeś, Urielu. Wprost niesamowicie! - wykrzyknął, spoglądając na pobożowisko, w które zmieniły się budynki kopalni.

- Dziękuję, inkwizytorze, ale nasze zadanie nie jest jeszcze skończone.

- To prawda, Urielu, ale już wkrótce będzie po wszystkim, prawda?

Ventris z przekonaniem pokiwał głową. Choć duma rozpierała mu serce, wiedział, że ma przed sobą jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Przekrzykując ryk silników, zawołał:

- Zabrać sprzęt do wspinaczki. Szybko!

- Sprzęt do wspinaczki? - spytał zdziwiony Barzano. - Żartujesz sobie, Urielu? Ta kopalnia ma dziesięć kilometrów głębokości. To zbyt daleko, żeby opuścić się na linach. Może powinniśmy skorzystać z nich? - dodał, wskazując dłonią na windy towarowe.

Uriel przecząco pokręcił głową.

- Nie, to zbyt niebezpieczne. Buntownicy z pewnością ich pilnują, spodziewając się, że zechcemy ich użyć. Każdy, kto z nich skorzysta, zostanie rozstrzelany lub uwięziony w połowie drogi.

- Więc jak zamierzamy dostać się na dół kopalni?

Uriel uśmiechnął się szeroko i ruszył w stronę Thunderhawków, gdzie Ultramarines szykowali się już do akcji. Każdy z nich miał w dłoni dziwne urządzenie, którego uchwyt był dopasowany do kształtu rękawicy pancerza energetycznego. Kiedy Uriel wziął je ręką, Ario zauważył, że przeciwległa krawędź rękojeści składa się z zębatej części i prasy dociskowej.

- Tych przyrządów używamy do szybkiego desantu z Thunderhawków, kiedy nie możemy skorzystać z plecaków odrzutowych - wyjaśnił Uriel. - Linę wkłada się tutaj -

wskazał na otwór w cylindrze i docisnął ją zębatką. - Dzięki nim możemy szybko zjechać na dół.

- Zamierzacie się opuścić dziesięć tysięcy metrów w dół, trzymając się tego urządzenia jedną ręką? - spytał z niedowierzaniem inkwizytor.

Uriel przytaknął, uśmiechając się dumnie.

- Ja nie dam rady, jestem zwykłym człowiekiem.

- Idziesz z nami, inkwizytorze?

- Oczywiście. Po tym wszystkim, co przeszedłem, mam pozwolić, abyście dopadli de Valtosa beze mnie?

- Cóż, niech tak będzie - zgodził się Uriel i pokazał na jedną z wind. - Dołączysz do nas, opuszczając się w windzie. Szacuję, że przebycie tych dziesięciu kilometrów zajmie nam pięć minut, więc kiedy one upłyną, możesz zacząć zjeżdżać w dół. Zresztą będziemy musieli wrócić w jakiś sposób na górę.

Choć Barzano w widoczny sposób nie aprobował pozostawania w drugiej linii, to wiedział, że nie ma innego sposobu, aby mógł się dostać na sam dół kopalni. Wiedząc, że nie może się mierzyć z Ultramarines, niechętnie pokiwał głową:

- Dobrze, Urielu, masz rację - wy dobył pistolet z kabury i wskazał podbródkiem na sztolnię. - Ruszamy?

- Natychmiast - warknął dowódca Ultramarines. - Doprowadźmy tę sprawę do końca.

* * *

Ultramarines mieli uderzyć w czterech falach, każda następna pięć sekund po poprzedniej. Uriel wszedł na przecinającą sztolnię rurę i spojrzał w głąb kopalni. Tuż obok jego naramiennika znajdowało się ogromne koło zębate, na które nawinięto grube łańcuchy i kable.

Jako dowódca kompanii musiał prowadzić pierwszą falę Ultramarines. Wziął prowadnicę w dłoń i zacisnął ją na kablu. Odetchnął głęboko i nagle opanował go dziwny niepokój, tak jakby na dole szybu czaiło się znacznie większe niebezpieczeństwo niż zbuntowani żołnierze. Szybkie spojrzenie na Kosmicznych Marines powiedziało mu, że są gotowi do ataku.

Uriel obliznął wargi i odchrząknął, czując w gardle dziwną suchość. Wiedziony jakimś impulsem spojrzał na Barzano, który właśnie wsiadał do windy. Oddali sobie wzajemnie salut, a Uriel po raz ostatni rozejrzył się na prawo i lewo.

Choć był pewien rynsztunku, jeszcze raz sprawdził jego stan i zaczerpnąwszy głęboko

tchu, krzyknął:

- Teraz!

Jak jeden mąż Ultramarines rzucili się w głąb trzewi świata.

Stal była w dotyku miękka i ciepła. Choć Kasmir de Valtos wiedział, że jest twardsza od adamantium, i tak prawie uległ wrażeniu, że może ją rozgnieść w palcach. Jak we śnie wyjmował z pojemnika jeden fragment po drugim, oglądał każdy z nich dokładnie i odkładał na bok. Całe swoje dotychczasowe życie spędził, szukając ich po świecie i poza nim. Teraz wreszcie doprowadzi swoje plany do końca.

Niechętnie oderwał wzrok od metalowych odłamków i spojrzał na sarkofag. W jego wnętrzu kryła się moc, a metal lgnął do niej jak muchy do miodu. Drobinki gwiazdnej stali drżały i przesuwwały się po płycie nagrobnej. Niczym rtęć płynęły na swoje miejsce, z którego zostały wyrwane całe eony temu. Kasmir de Valtos wziął do ręki ostatnie okruchy i podszedł z nimi do sarkofagu, by złożyć je na kamiennym blacie. Sam nie wiedział, kto jest bardziej niecierpliwy i oczekuje tej chwili - on czy ożywiona stal?

Drobinki metalu przybrały formę płaskiego dysku, któremu daleko było jednak do ideału. Coś niemożliwego do opisania sprawiało, że spoglądając na jego powierzchnię de Valtos odnosił wrażenie, iż sam kształt bluźni świętej geometrii i zasadom, wedle których stworzono wszechświat.

Klękając przed nagrobkiem, de Valtos spoglądał na swoje zniekształcone odbicie. Metal sam popłynął z jego placów i odnalazł przeznaczone mu miejsce. Znalazłszy się w specjalnie wyłobionych rowkach pomknął jak strumienie rtęci, rozlewając się w skomplikowany wzór, który pokrył całą powierzchnię.

W najmniej spodziewanym momencie całe widowisko się urwało. De Valtos wiedział jednak, co należy teraz uczynić. Podniósł pojemnik do góry, słysząc, jak pozostałe w nim drobinki stali grzechoczą i klekoczą, niecierpliwie czekając powrotu na swoje miejsce.

Kasmir pracował jak szalony. Wyjmował kolejne grudki, gorączkowo szukał miejsca, gdzie powinny się znaleźć i wkładał je tam. Z każdym fragmentem umieszczonym w odpowiednim otworze wzór pokrywający bazaltowy obelisk stawał się dokładniejszy i bardziej wyrazisty.

W końcu w pojemniku pozostał ostatni kawałek metalu. Kasmir ujął go delikatnie w palce i przyglądał się srebrnemu półksiężycowi. Obszedł sarkofag dookoła, ale nie znalazł żadnego pasującego do srebrnego okruchu otworu. Przystanął, zastanawiając się przez chwilę, ale potem uśmiechnął się do siebie i podszedł do krawędzi wieka grobowca. Delikatnie

umieścił ostatni fragment układanki na miejscu i spojrzał na sarkofag z zadowoleniem. Z wyrazem natchnienia na twarzy podziwiał jego asymetryczne piękno, skąpane w blasku jaśniejącego, żywego metalu.

- I co teraz? - syknął Kesharq.

- Czekamy - odparł de Valtos.

- Na co?

- Na odrodzenie istoty starszej niż sam czas.

- A co ze „Zwiastunem Nocy”?

- O nic się nie martw, mój drogi archonie. Wszystko przebiega dokładnie tak, jak zaplanowałem - odparł ze złowieszczym uśmiechem. - Już wkrótce statek będzie nasz, a wtedy...

Odgłosy wystrzałów przerwały jego przemowę. Żołnierze SOP, których nerwy i tak zostały wystawione na ciężką próbę, podskoczyli gwałtownie, rozglądając się panicznie dookoła. Zaciskając dłonie na rękojeściach karabinów, zerkali lękliwie ku wyjściu.

- Co to ma znaczyć? - warknął Kesharq.

De Valtos nie odpowiedział. Jego uwagę całkowicie zaprzątnęły srebrne linie, które ciągnęły się już od grobowca prawie do ścian. Strumienie ożywionego, płynnego srebra wiły się przez rowki w podłodze, oplatając gęstą siecią całą komnatę, znajdujących się w niej ludzi oraz sięgając dalej, na zewnątrz.

Każda ze strużek prowadziła ku jednej z nisz, które wykuto w ścianach.

Vendare Taloun opadł na kolana i zaczął modlić się do Imperatora, pochlipując pod nosem.

- Stać na miejscach! Nie opuszczać pozycji! - ryknął sierżant Sił Obrony Planetarnej, widząc, że niektórzy z jego podkomendnych zaczynają zerkać ku wyjściu z komnaty.

De Valtos czuł prastarą moc, która zaczynała tętnić w pomieszczeniu. Temperatura spadała, a sufit pomieszczenia zaczął jaśnieć dziwną poświatą.

Archon Kesharq zacisnął dłonie na rękojeści topora, szukając źródła tego dziwnego blasku, ale nie mógł go zlokalizować. De Valtos zbliżył się do sarkofagu, położył dłonie na jego wieku i czekał.

Rozległ się krzyk strachu.

Na niewypowiedziany rozkaz szkieletowi wojownicy, którzy do tej pory stali nieruchomo w alkowach, teraz wykonali jeden krok naprzód, opuszczając swój wieczysty posterunek. Ich ruchy były zsynchronizowane w najdrobniejszym szczególe, tak jakby kierowała nimi jakaś potężna siła lub żelazna wola. Czy był to zwiastun przebudzenia tego,

któremu poświęcono to sanktuarium?

De Valtos zauważył poruszenie u wejścia do komnaty. Czterech strażników z przedsonka także się przebudziło, choć ich oblicza pozostały tak samo nieruchome i pozbawione wyrazu jak wtedy, gdy bardziej przypominali posągi niż żywe istoty. Jedyne miedziane kostury, które dzierżyli w dłoniach, zdradzały, iż są w stanie zabić każdego, kto ośmieli się stanąć im na drodze.

Gdzieś z wnętrza metalicznych ciał strażników biło zielonkawe światło. Pulsowało jak błuźniercza imitacja tętna, ale strażnicy tylko obserwowali ludzi, którzy ośmielili się naruszyć spokój sanktuarium.

Z hurgotem podobnym do przetaczającego się gromu, w sarkofagu pojawiło się pęknięcie. Biegło dokładnie przez jego środek, a z wnętrza grobowca buchnęły kłęby czarnego dymu. De Valtos cofnął się i padł na kolana, zaciskając powieki i zakrywając dłońmi oczy. Przez jego umysł przemknęły obrazy niewyobrażalnych okropieństw, cierpienia, mordów i śmierci. Nawałnica zła i bólu, jaka była od grobowca, prawie pozbawiła go zmysłów.

Z wolna ponad sarkofagiem zaczął się formować kształt z dymu, lewitujący w powietrzu i spoglądający na ludzi, wijących się poniżej w konwulsjach.

ROZDZIAŁ 18

Ultramarines opadali niżej i niżej, zagłębiając się w katakumby jaskiń pod powierzchnią Pavonis. Przebyli dziewięć tysięcy metrów i w dalszym ciągu zjeżdżali w dół, kiedy Uriel dostrzegł niewielkie światełko na dnie sztolni i nakazał spowolnić tempo opadania.

Kiedy zacisnął dłoń na hamulcu prowadnicy, spomiędzy jej zębów trysnęły snopy iskier. Metal tarł o metal, kiedy plecione z żelaznych nici liny zaczęły zahaczać o zębiska hamulca. Tempo, w jakim Ultramarines opadali na dno kopalni, znacznie się zmniejszyło i Uriel był już w stanie rozróżnić poszczególnej lampy jarzeniowe, wejścia do tuneli, a nawet ludzi, którzy ze zdziwieniem spoglądali w górę, na krzeszące się nad nimi iskry. Ultramarines nie dali im czasu na reakcję. Rozluźniwszy uchwyty hamulcowe, ostatnie dziesięć metrów swobodnie spadli, rozpoczynając tym samym szturm na najniższy poziom kopalni.

Opancerzony but Uriela trafił dokładnie w łuk brwiowy pierwszego żołnierza, rozbijając czaszkę i kładąc nieszczęśnika trupem na miejscu. Nim którykolwiek z jego kamratów zorientował się, co się właściwie dzieje, kapitan Ultramarines przetoczył się po podłodze i wyszarpnął pistolet z kabury. Coraz więcej Kosmicznych Marines opadało na dno sztolni, zabezpieczając teren i wykańczając niedobitki buntowników. Ogień bolterów i ciosy mieczy łańcuchowych położyły kres ich życiu.

Choć pierwsi strażnicy zginęli praktycznie bez walki, to ich towarzysze, zabezpieczeni workami z piaskiem i mający wsparcie broni ciężkiej, stawili zaciekły opór. Powietrze wypełniło się dymem, kule śmigły we wszystkie strony, a promienie lasera przecinały ciemność. Gazy i prochowe wyziewy sprawiły, że ludzie zaczęli się dławić.

Trzema potężnymi susami Uriel przesadził barykadę i znalazł się pośród żołnierzy, którzy obsługiwali działko automatyczne. Niemal natychmiast zabił dwóch buntowników, ale trzeci zdążył chwycić za karabin laserowy.

Pierwsze cięcie miecza rozszczepiło lufę, drugie przepołowiło zarówno broń jak i głowę buntownika. Uriel ruszył dalej, czując, jak radość bitwy i chęć zabijania przepelniają jego serce. Parł naprzód, kładąc trupem każdego, kto stanął mu na drodze. Dziesięciu ludzi wyzionęło ducha, zanim kapitan Ultramarines zatrzymał się, zdając sobie sprawę, że żadnego z przeciwników nie ma już pośród żywych. Furia, z jaką Ultramarines zaatakowali

rebeliantów oraz całkowite zaskoczenie obrońców sprawiły, że ich pozycje zostały opanowane w ciągu niecałej minuty.

Uriel całym swym jestestwem chłonał radość płynącą z walki. Przed oczyma jego wyobraźni przemykały obrazy pól bitew, stosów trupów, setek, tysięcy zabitych, ich jęków i zawodzeń, przemieszanych z bitewnymi zawołaniami. W gardle Kosmicznego Marine zaczął się rodzić potężny ryk. Chciał zabijać, torturować, zadawać ból i cierpienie. Pragnął kroczyć pomiędzy zwłokami, na których uctować będą ptaki ścierwojady. Chciał...

Uriel padł na kolana, wypuszczając z dłoni miecz i pistolet. Przed jego oczyma malowały się potworne obrazy niehumanicznych rzezi i okropieństw, jakich nie byłby w stanie dopuścić się nawet najbardziej zdeprawowany człowiek. Zaciśnięwszy powieki, zaczął odmawiać modlitwę do Imperatora, starając się przywołać całą siłę umysłu i dyscyplinę, z której słynęli Ultramarines, aby odegnać te koszmary.

Z wolna odzyskał panowanie nad sobą i odetchnął z ulgą. Siła charakteru i wierność zasadom, wyłożonym przez błogosławionego Pierworodnego, sprawiły, że odegnał nieczyste myśli. Niezlomna wola broniła go przed zakusami zła jak grube mury. Uriel powstał z podłogi i rozejrzał się dookoła. Wyraźnie dostrzegał, że jego podkomendni zmagali się z identycznymi koszmarami. Chcąc im pomóc, krzyknął:

- Odwaga i honor! Ultramarines, jesteście uosobieniem szlachetności! Koszmary, które was trapią, zostały zesłane przez wroga, którego przybyliśmy zniszczyć. Nie poddawajcie się!

Jeden po drugim Kosmiczni Marines wstawali z podłogi, otrząsając się z przerażających wizji. Byli zaskoczeni i nie wiedzieli, co się dzieje, ale ich niezłomna wola pozwoliła im wyjść zwycięsko z tej próby.

Uriel uruchomił komunikator i połączył się z Ario Barzano. Inkwizytor uruchomił windę i zaczął zjeżdżać w dół. Uriel obserwował kontrolki windy, które nagle ożyły i zaczęły migotać wielobarwnymi światełkami.

Pasanius i Dardino zabezpieczyli perymetr, a drużyna Venasusa upewniła się, że żaden z buntowników nie przeżył strzelaniny. Tak jak spodziewał się Uriel, żaden z obrońców nie pozostał przy życiu. Zaciekłość ataku, podsycona dziwnym wpływem tego miejsca, sprawiła, że wszyscy rebelianci zostali rozniesieni w pył. Uriel czuł głęboki wstyd. Poddał się bitewnemu szałowi, a świadomość tego, że działał pod wpływem obcej woli, przepełniała go złością. Postanowił wyciągnąć wnioski z tej lekcji. Potęga nieprzyjaciela, z którym mieli się zmierzyć, była naprawdę ogromna.

Jeszcze raz potrząsnął głową i zmówił w duchu uspokajającą modlitwę.

Wykorzystując chwilę ciszy, Uriel rozejrzał się uważnie dookoła. System wentylacyjny kopalni działał nadal, pomimo walk, jakie toczyły się na jej terenie. Gazy i spaliny wysysane były z dolnych poziomów i nie stanowiły żadnego zagrożenia dla Kosmicznych Marines. Zwykli żołnierze mogli się jednak znaleźć w niebezpieczeństwie, jeśli przebywaliby w oparach przez dłuższy czas.

Od głównego szybu odchodziły cztery korytarze, ciągnące się na wschód, zachód, południe i północ. Z tego pierwszego emanowała niepokojąca aura, którą dawało się wyczuć nawet bez talentów psionicznych. Uriel poczuł, że narasta w nim obawa, jednak zmusił się do opanowania emocji.

Ponownie w jego myślach zaczęły się przewijać echa obrazów, które widział poprzednio. Śmierć, zniszczenie, pożoga i męczarnie te wizje wywoływały strach nawet w sercu Kosmicznego Marine. Gdyby Barzano nie powiedział mu, co czai się w korzeniach tych gór, teraz Uriel sam odkryłby straszliwą prawdę.

Stojąc u wejścia do tunelu, Uriel spoglądał na śmierć, upadki starodawnych cywilizacji i światy odarte z wszelkiego życia. To nie były jego myśli. Obca świadomość, wroga i nieprzejednana, emanowała przedwiecznym złem, przerażając go, ale i mobilizując do działania.

Odwrócił się na pięcie i krzyknął do swoich żołnierzy:

- Wojownicy Ultramaru! Dowiedliście, że jesteście ludźmi honoru i siły, ale wkrótce staniemy do walki z wrogiem, jakiego dawno nie widziano w domenie Imperatora! Jego moc możecie odczuć nawet teraz, kiedy nasącza wasze myśli jadem i strachem. Musicie być silni i zwalczyć pokusy, którymi was zwodzi. Pamiętajcie, że jesteście Kosmicznymi Marines, wybrańcami Imperatora, a służba jemu, pod auspicjami naszego błogosławionego Pierworodnego, daje nam siłę, odwagę i wiarę w zwycięstwo! Przed nami ciężka bitwa i musicie wiedzieć, że będzie to starcie, w którym przyjdzie nam stanąć twarzą w twarz z własnymi słabościami. Naszą bronią jest odwaga! Każdy z nas jest w tej bitwie tak samo ważny, bowiem w jego rękach może spoczywać los wielu innych ludzi - uniósł broń do góry, spoglądając na pokrwawione ostrze, połyskujące w świetle lamp jarzeniowych i zawołał jeszcze raz: - Czy jesteście gotowi? Czy bierzecie to brzemię na swoje barki?

Odpowiedział mu zgodny ryk Kosmicznych Marines.

Kilka sekund później przejmujący pisk hamulców oznajmił przybycie windy towarowej. Uriel opuścił miecz i skinieniem głowy przywitał wysiadającego Barzano. Ledwie inkwizytor przestąpił próg windy, a już poczuł wpływ istoty, która od wieków była uwięziona w najgłębszych czeluściach kopalni. Zachwiał się i omal nie upadł. Kurczowo przycisnął dłoń

do czoła, próbując odegnąć od siebie psychiczny ból, który musiał teraz odczuwać.

Idąc w kierunku dowódcy Kosmicznych Marines, Ario próbował się uśmiechnąć, jednak jego twarz była maską cierpienia i bólu. Skoro zwykli, pozbawieni empatycznych zdolności ludzie odczuwali wizje zsyłane przez obcego w tak dojmujący sposób, to jak musiał je odbierać psionik?

- Na Imperatora, czujesz jego moc? - spytał zachrypniętym głosem Barzano.

Uriel pokiwał głową.

- Tak, im szybciej załatwimy tę sprawę, tym lepiej dla nas wszystkich.

- Masz całkowitą rację, przyjacielu - przytaknął Inkwizytor, spoglądając w głąb wschodniego tunelu. Zacisnął szczęki i głęboko odetchnął, a potem nacisnął runę, która aktywowała miecz energetyczny i wy dobył pistolet z kabury.

- Zatem czas na wielki finał, nieprawdaż, Urielu?

- Tak, zaiste.

Stawiając bezustanny opór naciskowi, który wywierał na ich umysły i dusze Zwiastun Nocy, Ultramarines ruszyli w kierunku komnaty grobowej.

Najpierw ujrzeli pocerniałe, długie szpony, które zacisnęły się na krawędzi płyty nagrobnej. Potem wyłoniły się wąskie, chude ramiona, otulone całunem utkany z ciemności. Nie odrywając spojrzenia od Zwiastuna Nocy, Kasmir de Valtos stanął na nogi, rozkoszując się wizjami potworności, których istnienia nawet nie podejrzewał. Krew, śmierć, cierpienie, agonია i udęczenie, które sięgały milionów lat wstecz, oto była prawdziwa rozkosz.

Żołnierze SOP tarzali się po podłodze, nie mogąc znieść koszmarnych widziadeł, jakie stawały przed ich oczyma. Vendare Taloun zemdlął i runął jak długi na ziemię. Nawet archon mrocznych eldarów zdawał się być pod wrażeniem dziwnej istoty, która wyłaniała się z grobowca.

Kesharq zacisnął dłoń na ramieniu de Valtosa i wyszeptał:

- To wspaniałe.

Kasmir tylko pokiwał głową. Jego uwagę niepodzielnie zaprzętał Zwiastun Nocy, który jednym szarpnięciem poderwał się do góry. Z wnętrza sarkofagu wyłoniła się głowa, a człowiek i eldar pospołu spojrzeli w oczy wcielonej śmierci.

* * *

Uriel zacisnął dłoń na rękojeści miecza, ze wszystkich sił próbując odpędzić

złowróźbne wizje, które wciskały się do jego umysłu. Z głębi korytarza, gdzie zapewne znajdował się grobowiec Zwiastuna Nocy, dobiegały potępięcze wrzaski. Kapitan Ultramarines szykował się w duchu na rozprawę z potworem, który krył się w tych lochach. Podobnie czynił Barzano, który biegł tuż obok niego z twarzą wykrzywioną grymasem bólu.

Tunel opadał łagodnie w dół, a skalne ściany ustąpiły niepostrzeżenie miejsca gładkim blokom z obsydianu. Krzyki cierpiących stały się jeszcze głośniejsze i wyraźniejsze, a coś złego, co od zawsze zdawało się kryć w podświadomości Uriela, drgnęło i przebudziło się do życia.

Znaleźli się w kwadratowym pomieszczeniu, w ścianach którego ziały dwie puste alkowy. Uriel wiedział doskonale, że źródło zła kryje się w następnym pomieszczeniu.

Ostrożne podkradanie się w ciszy było w tej sytuacji pozbawione sensu. Ultramarines mogli zyskać przewagę tylko dzięki szybkiemu uderzeniu, które nie pozwoli przeciwnikowi na zorganizowanie obrony. Niczym grom z jasnego nieba, Kosmiczni Marines wpadli do komory grobowej Zwiastuna Nocy, gdzie przywitał ich widok rodem z najczarniejszych koszmarów.

Wszędzie na podłodze leżały ciała żołnierzy Sił Obrony Planetarnej. Większość z nich jeszcze żyła, ale żaden nie pozostał przy zdrowych zmysłach. Prawie wszyscy własnoręcznie wyłupili sobie oczy, chcąc uciec przed potwornymi wizjami, które rodziły się w ich głowach. Te desperackie akty samookaleczenia okazały się nic niewarte i niektórzy z nieszczęśników tłukli głowami w ściany tak długo, aż padli martwi.

W centrum pomieszczenia stał czarny sarkofag, który teraz otoczony został przez równy krąg metalowych robotów-wojowników. Pośrodku, tuż obok bloku z obsydianu, stała grupa eldarów, skupiona wokół odzianego w zielony pancerz przywódcy. Uriel od razu rozpoznał w nim tego samego obcego, z którym walczył na pokładzie statku kosmicznego nieopodal Caernusa IV. Tuż obok archona stała czarnowłosa wiedźma i Kasmir de Valtos.

Uriel tylko przez moment spoglądał na pomieszczenie. Jego uwagę przykuła ogromna istota, do tej pory uwięziona w sarkofagu. Z wolna, atom po atomie, płyta nagrobna rozpadała się, dając początek czarnej chmurze ciemności. Tak naprawdę z dawnego grobowca pozostała już tylko kamienna tablica, na której pulsował żywy metal, rozświetlający upiornym blaskiem całe pomieszczenie.

Uriel tylko przez moment spoglądał na tę koszmarną postać, ale zdążył dostrzec, że zamiast oblicza ma ona smugę cienia i żółtawe ślepia, w których czał się bezmiar szaleństwa oraz głód, którego nic nie mogło zaspokoić. Całą postać miłosiernie okrywał całun ciemności, spod którego wystawały jedynie szpony. Jedno z ramion zakończone było długimi pazurami,

drugie zaś przechodziło w drzewce, zakończone wykrzywionym, morderczym ostrzem ogromnej kosi.

Kiedy Zwiastun Nocy wyprostował się na pełną wysokość, stało się jasne, że wielokrotnie przewyższa wzrostem śmiertelników. Wirujące opary ciemności myszkowały po komnacie, wysysając życie z tych, którzy nie byli dość szybcy i sprawni, aby im umknąć.

Płaszcz ciemności zawirował, porywając dwóch eldarów do góry. Nim zdążyli opaść na podłogę, ostrze kosi przeniknęło przez ich ciała i pancerze tak łatwo, jak nóż przecina masło. Na ziemię runęły dwa zasuszone trupy, przypominające rozpadające się ze starości mumie.

Eldarzy rozpierzchli się na wszystkie strony, kiedy kolejny ich kamrat został porwany przez ciemność. Przywódcy robotów-wojowników, uzbrojeni w kostury zbudowane ze światła, zajęli miejsce u boków swego pana, obojętnie obserwując to, co działo się w komnacie grobowej.

- De Valtos! - krzyknął Barzano. - Na Imperatora, czy wiesz, co uczyniłeś?

Kasmir de Valtos roześmiał się tylko, a Zwiastun Nocy rozwinął swój płaszcz, zasnuwając ciemnością całe pomieszczenie. Przed oczyma de Valtosa przesuwiał się korowód najwspanialszych okropieństw, jakich można się było dopuścić w materialnym uniwersum. Eldarzy wyraźnie stracili animusz i zaczęli wycofywać się w kierunku Ultramarines, gotowi wywalczyć sobie drogę ucieczki z piekła, które sami rozpętali.

Ale Zwiastun Nocy nie zamierzał pozwolić, aby zdobycz tak łatwo wymknęła mu się z rąk. Ciemność zawirowała raz jeszcze, jakby targana niewidzialnymi wichrami. Od ścian komnaty grobowej odbiło się echo kroków, kiedy metalowi wojownicy ruszyli wreszcie ku intruzom, tłoczącym się w komnacie ich pana.

Uriel otrząsnął się z zamyślenia w ostatniej chwili, aby przypaść nisko do podłogi i ciąć mieczem. Roboty uniosły broń do strzału. Działając jak jeden mąż, wycelowały, szykując się do egzekucji tych, którzy wtargnęli do wnętrza grobowca. Uriel ciął nisko mieczem, celując w nogi najbliższego robota. Ostrze trafiło tuż ponad kolanami, rozszczepiając odnóża stwora na dwie części. Kiedy zerwał się na równe nogi, metalowi wojownicy otworzyli ogień.

Ku przerażeniu Uriela, jeden z pierwszych strzałów trafił sierżanta Venasusa prosto w pierś. Niewidzialna energia rozerwała pancerz na strzępy, rozdarła mięśnie i ścięgna, pozostawiając nagi szkielet, który z grzechotem upadł na ziemię.

Uriel nie zdążył jeszcze otrząsnąć się z szoku, jaki wywołała śmierć sierżanta, a już kolejny Ultramarine zginął w mękach z rąk szkieletowego wojownika. Nagle szponiasta łapa pochwyliła Uriela za ramię, wbijając się w płyty zbroi. Ku jego przerażeniu, potwór, którego

przed chwilą powalił, wstał z podłogi, a jego odrąbane nogi na oczach Kosmicznego Marine zrosły się z korpusem.

Seria z pistoletu prosto w pierś i kolejne ciosy miecza ponownie powaliły robota na ziemię, ale tym razem Uriel nie dał mu szans na zmartwychwstanie. Maltretował stalowe ciało dopóty, dopóki nie miał pewności, iż ten szkielet już mu nie zagrozi. Kiedy rozejrzał się dookoła, wszędzie panował kompletny chaos.

Kosmiczni Marines starli się z metalowymi wojownikami i w znacznej mierze wygrywali tę walkę. Ogień bolterów i ciosy mieczy łańcuchowych okazały się skuteczne przeciwko ożywionym maszynom. Sierżant Learchus rozerwał jednego z wrogów na pół gołymi rękoma, a jego czaszkę rozbił o podłogę.

Wielu z tych nieludzkich wrogów powstawało z martwych, choć rany, jakie im zadano, zabiłyby niejednego Kosmicznego Marine. Maszyny nic sobie z nich nie robiły i walczyły dalej.

Barzano walczył ramię w ramię z Ultramarines, tnąc mieczem i strzelając raz po raz z pistoletu. Uriel widział, że inkwizytor jest u kresu sił ponownie dały o sobie znać rany, jakie otrzymał w trakcie rebelii we Wrotach Brandona, a przytłaczająca obecność Zwiastuna Nocy nie poprawiała jego sytuacji.

Na razie eldarzy walczyli po stronie Ultramarines, dając odpór mechanicznym potworom. Uriel miał jednak na nich baczenie, gotów obrócić się przeciwko obcym, kiedy tylko padnie ostatni sługa koszmarnego pana komnaty grobowej. Odziany w zielony, jodeitowy pancerz wódz mrocznych eldarów tańczył i zabijał z fascynującym wdziękiem. Jego topór zataczał mordercze kręgi. Gdziekolwiek sięgał jego cios, maszyna padała martwa, czemu towarzyszył jęk, dobiegający z ciemności wirującej pośrodku komnaty. Jednak według Uriela był to bardziej odgłos rozkoszy niż cierpienia.

Pomimo dużych strat maszyny walczyły dalej, nie zważając na rany czy śmierć. Ich dziwna broń siała spustoszenie pośród żywych, odzierając ich z pancerzy i ciał. Każdy, eldar czy Kosmiczny Marine, który został trafiony niewidzialnym promieniem, ginął w męczarniach.

Uriel walczył jak nigdy wcześniej. Ciął i dźgał mieczem, strzelał z pistoletu z precyzją, o jaką nigdy sam siebie nie podejrzewał. Jego zmysły i refleks sięgnęły doskonałości. Unikał ciosów z nadludzką szybkością, odbijając ciosy pazurów i rozbijając metalowe czerepy.

W końcu padł ostatni z robotów. Resztki ich ciał leżały porozrzucane po podłodze komnaty. Uriel ciężko dyszał, a rana po strzale z obcej broni, którego ledwie uniknął, paliła

żywym ogniem. Od stóp do głów skąpany był we krwi. W jego pancerzu ziały dziury, ślady po pazurach metalowych wojowników, które rozerwały stalowe płyty.

Dziwny spokój opanował obydwie strony, które pozostały na placu boju. Kosmiczni Marines i eldarzy spoglądali na siebie w milczeniu. Zwiastun Nocy stał nieruchomo obok grobowca, w którym uwięziony był przez ostatnie millenia, a dziwny wzór z żywego metalu płonął na podłodze.

Barzano stanął obok Uriela. Jego oddech był płytki i nierówny, rana na ramieniu ponownie się otworzyła i płynęła z niej krew. Nawet bandaże z syntetycznej skóry nie były w stanie zatamować krwawienia.

W cieniu przebudzonego boga stał Kasmir de Valtos, a na jego twarzy malował się wyraz opętańczego uwielbienia, przemieszany z czystym szaleństwem, płonącym w jego oczach. Spojrzał na Ultramarines i nagle wyciągnął w ich kierunku palec, krzyząc:

- Zabij ich! Rozkazuję ci, załatw ich!

Uriel nie wiedział, czy te słowa były skierowane do wodza mrocznych eldarów, czy do Zwiastuna Nocy, faktem było jednak, że to ten pierwszy rzucił się do ataku. Z toporem uniesionym wysoko nad głowę skoczył do przodu, chcąc się zmierzyć w pojedynku z kapitanem Ultramarines.

Kosmiczni Marines nie czekali z założonymi rękoma. Z okrzykiem wojennym na ustach ruszyli do boju. Komnata grobowa rozbrzmiała szczękiem żelaza, hukiem wystrzałów i krzykami umierających, kiedy bitwa rozgorzała na nowo.

Kesharq i Uriel Ventris spotkali się na środku pomieszczenia. Kapitan Kosmicznych Marines zablokował cięcie archona ostrzem miecza, a potem grzmotnął na odlew w bok jego hełmu. Eldar uniknął ciosu i zdradziecko uderzył od dołu, mierząc hakiem, którym zakończone było drzewce topora, w podbrzusze człowieka. Ostrze sięgnęło celu i zdołało przebić pancerz, złościąc w nim długą bruzdę.

Uriel jęknął z bólu, ale zdołał uderzyć jeszcze raz. Kesharq, trafiony w plecy rękojeścią miecza, upadł na podłogę. Nim zdołał cokolwiek zrobić, Uriel obrócił miecz i dźgnął, mierząc w szyję archona.

Przed śmiercią uchroniła eldara tylko nieludzka zręczność i szybkość. Przetoczył się po podłodze, wstał i zdążył jeszcze ciąć toporem, mierząc w głowę kapitana. Byłby to koniec pojedynku, gdyby nie miecz energetyczny Barzano, którym inkwizytor w ostatniej chwili zablokował cios. Uriel dobrze wykorzystał szansę, jaką dał mu Ario. Ciął wysoko mieczem i tym razem trafił wreszcie Kesharqą w głowę.

Eldar przewidział i ten atak. Uchylił się z gracją, dzięki czemu uderzenie straciło

impet i nie zabiło go na miejscu. Zęby miecza łańcuchowego przecięły przyłbicę hełmu i pochwytyły fałdy zwisającej luźno skóry jego twarzy. Trysnęła krew, a wódz mrocznych eldarów wrzasnął przeraźliwie.

Ranny i na wpół oszalały z bólu, Kesharq zatoczył się do tyłu. Jakimś cudem uniknął pchnięcia miecza Barzano i zdołał jeszcze zadać cios, mierząc w pierś inkwizytora.

Siła uderzenia była ogromna, zebra pękły, a z głębokiej rany, ciągnącej się aż do bioder, obficie trysnęła krew. Barzano runął jak długi na podłogę, a miecz energetyczny wypadł z jego omdlałej dłoni.

Uriel krzyknął, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie zobaczył. Jak oszalały ruszył do natarcia, zasypując eldara gradem ciosów. Każde z jego uderzeń Kesharq zdołał sparować ostrzem lub drzewcem topora. W pewnym momencie uwięził ostrze miecza łańcuchowego w ornamentach swojej broni, obrócił ją nagle i wyrwał oręż z dłoni Uriela. Ten nie marnował jednak czasu i rzucił się do przodu. Wylądował na podłodze i przetoczył się obok ciała Barzano, chwytając jego miecz. Kiedy wstawał, instynktownie zastawił się przed cięciem, które miało pozbawić go głowy.

Archon nadal atakował z furją, a topór zdawał się kreślić srebrzyste kręgi wokół Uriela. Ten zdołał w końcu powstrzymać nawałę ciosów, a ostrze jego broni rozblysło nieziemskim światłem.

Kesharq wyciągnął błyskawiczną nauczkę z tej lekcji i atakował teraz bardziej rozważnie, czujnie obserwując poczynania swojego przeciwnika. Jego twarz była przerażającą, nieruchomą maską nienawiści, skapaną we krwi, spod której ziała otwarta rana, odsłaniająca mięśnie i ścięgna.

Uriel nie czekał, aż Kesharq ponownie zaatakuje. Kiedy archon wziął zamach do kolejnego ciosu, Kosmiczny Marine rzucił się do przodu. Przyjął na ramię potężne uderzenie topora, a pod jego wpływem pancerz pękł w kilkunastu miejscach. Uriel zawył z bólu, ale zdołał pochwytać rękę eldara i przyciągnąć go do siebie. Wykorzystując impet szarży Kesharq, Uriel przerzucił przeciwnika przez ramię i posłał go na podłogę. Szybkim ruchem obrócił miecz w dłoni i z całej siły pchnął w napierśnik eldara. Pancerz pękł z trzaskiem i broń wbiła się w ciało. Buchnęła ciemna posoka, a Kesharq jęknął i skonał. Uriel, cały czas opętany bitewnym szałem, przekreślił ostrze w ranie, wyszarpnął je i wbił ponownie, upewniając się, że wódz mrocznych eldarów już nie powstanie.

Choć wszędzie dookoła rozbrzmiewały odgłosy bitwy i pokrzykiwania walczących, to Uriel słyszał jedynie opętający śmiech Kasmira de Valtosa, który odbijał się od ścian komory grobowej.

Wyrwawszy miecz z trupa eldara, ruszył przed siebie, aby policzyć się z człowiekiem, który stał za wszystkimi nieszczęściami, jakie spadły na Pavonis.

Kasmir de Valtos z rozkoszą obserwował toczącą się wokół walkę. Widząc tyle przelewanej krwi, nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. W dodatku przed jego oczyma rozwijały się kolejne wizje, zsyłane przez Zwiastuna Nocy, a one były dla Kasmira niczym mroczne objawienie. To wspaniałe, stać u boku nowonarodzonego boga i być obdarzonym jego łaską. A przecież to były zaledwie drobne dary, przedsmak rzezi i cierpienia, jakie Zwiastun Nocy potrafił wywołać samą swoją obecnością. Choć nadal był bardzo osłabiony po wielowiekowym uwięzieniu, to i tak biła od niego aura mocy, która dla człowieka była wprost nie do ogarnięcia. Kasmir czuł jego obecność, choć nie wiedział, z jakiej przyczyny obdarzany był tak silnymi wizjami. Czy to fizyczna bliskość przebudzonego boga, czy może jakaś osobliwa, duchowa więź sprawiała, że oczyma wyobraźni oglądał sceny, jakie nie zrodziłyby się w głowie żadnego człowieka. Jedno było pewne, Zwiastun Nocy nie okazywał wobec Kasmira nawet cienia tej wrogości, jaką w momencie jego przebudzenia odczuli na sobie eldarzy.

Wiedźma stała dokładnie za Kasmirem. Bił od niej strach, przerażenie i panika, które dla de Valtosa były niczym najśłodszy nektar. Kobieta opadła na kolana i szlochała. Jej skóra łuszczyła się i odchodziła całymi płatami, mięśnie wiotczały i wkrótce całe jej ciało obróciło się w proch. Jej energia życiowa i dusza zostały wchłonięte przez Zwiastuna Nocy. Z jej ust wyrwał się ostatni, żałosny jęk i eldarska wiedźma szczyła, pochłonięta przez boga.

De Valtos spoglądał na nią beznamietnie i zastanawiał się, kiedy on sam stanie się nieśmiertelny. Czy to był pierwszy z nowych darów, jakie już wkrótce posiadzie?

Cała przemoc i gwałt, jakie miały miejsce dookoła, były dla niego źródłem odbudowania potęgi i mocy. Nienawiść oraz agresja przypominały płomienie ogniska, które ogrzewały jego zmrożone członki. Z każdą sekundą stawał się coraz silniejszy. Czyż to nie wspaniałe, że mógł wreszcie zakosztować prawdziwych emocji, pożywić się agonią, śmiercią i cierpieniem? Cudownie było czuć ich smak po tylu milionach lat uwięzienia i wegetacji na zimnych, pozbawionych smaku energiach wszechświata.

Zbity z tropu Kasmir potrząsnął głową. Miliony lat? Skąd u licha przyszła mu do głowy taka myśl? Nagle zdał sobie sprawę, gdzie znajduje się jej źródło. Wszystkie te odczucia, jakich doświadczał, strach, przerażenie, groza, były emocjami, którymi żywił się Zwiastun Nocy. Kasmira ogarnęła nagła złość, kiedy pojął, że został po prostu wykorzystany, użyty jako narzędzie do zaspokojenia głodu.

Jakby wyczuwając zmianę w sercu de Valtosa, Zwiastun Nocy z wolna obrócił się ku niemu i Kasmir poczuł na sobie spojrzenie żółtych ślepi. Palily go jak żywy ogień, odzierając duszę z resztek tego, co czynilo go człowiekiem.

Ale Kasmir de Valtos nie był mężczyzną, który łatwo rezygnuje z raz obranego celu. Kiedy istota starsza niż sam czas ruszyła w jego stronę, stawil jej czoła. Z całą butą i uporem, na jakie było go stać, krzyknął:

- Uczyń mnie podobnym sobie! Uwolniłem cię i żądam w zamian nieśmiertelności! Jesteś mi to winien!

Zwiastun Nocy przystanął i ponownie wbił spojrzenie w de Valtosa. Kasmir czuł się tak, jakby pochłonęła go międzygwiezdna pustka. Ogarnęła go pierwotna groza, mająca źródło jeszcze w czasach, kiedy ludzie byli zwykłymi małpami. W oczach Zwiastuna Nocy dostrzegł świt obcej rasy, jej czyny i zbrodnie. Obserwował skutki wszystkich okropieństw, jakich się dopuściła, smakował cierpienie, na jakie skazała galaktykę i na koniec zdał sobie sprawę, jak młodym i nic nie znaczącym gatunkiem jest ludzkość.

Kasmir opadł na kolana, chowając twarz w dłoniach. Nagle pojął, jak mizernym i słabym jest stworzeniem, jak niewiele znaczy wobec niemożliwej do ogarnięcia ludzkimi zmysłami istoty Zwiastuna Nocy. Tego było już dla de Valtosa za wiele. Resztki zdrowych zmysłów stopniały w konfrontacji z jaźnią boga, którego przebudził. Zdał sobie nagle sprawę, że Zwiastun Nocy istniał i niszczył całe cywilizacje, nim jeszcze narodziła się ludzkość. Do czego mógł być mu potrzebny jeden, słabowity człowiek?

- Proszę... - załkał. - Błagam... Chcę żyć wiecznie!

Zwiastun Nocy wyciągnął przed siebie rękę i zacisnął czarną dłoń na głowie de Valtosa. Kasmir zawył przeraźliwie, czując, jak wysysane jest z niego życie. Jego umęczone ciało starzało się w przyspieszonym tempie, więdło i marniało.

Czarna kosa opadła na pochylony kark skazańca, który chciał być nowym bogiem.

Przez jedną, krótką chwilę Kasmir de Valtos czuł, jak umiera. Jego agonia, strach i przerażenie nie przysłużyły się Zwiastunowi Nocy w najmniejszym nawet stopniu. Nie dbał o nie, czerpiąc znacznie więcej siły z walczących w jego grobowcu wojowników niż z człowieka, który go uwolnił. Zwiastun Nocy zabił de Valtosa dla samej przyjemności pozbawienia go życia.

Ostrze przecięło szyję i oddzieliło głowę od korpusu.

Zwiastun Nocy pozwolił zmaltretowanemu ciału upaść na posadzkę, po czym skoncentrował swoją uwagę na płonącym wzorze z żywego metalu, który żarzył się na podłodze.

Gdzieś daleko w przestrzeni kosmicznej statek w kształcie półksiężyca wyłonił się z mrocznego miejsca poza czasem, gdzie przez ostatnie sześćdziesiąt milionów lat oczekiwał na wezwanie swojego pana.

Uriel beznamiętnie patrzył, jak obcy pozbawia głowy Kasmira de Valtosa. Nie czuł nawet cienia satysfakcji, w tej chwili gra toczyła się o znacznie wyższą stawkę niż osobista zemsta. Wiedział doskonale, że jego zadaniem jest zniszczyć tę dziwną istotę, a jeśli to będzie niemożliwe, przegnać ją lub odesłać w miejsce, z którego przybyła.

Na drodze do Zwiastuna Nocy stanęło mu dwóch alabastrowych strażników przedsonka. Uriel, do którego dołączyli Pasanius, Learchus i Dardino, uderzyli na nich z całą mocą. Z kosturów obcych trysnęły strumienie szmaragdowej energii. Uriel odbił pierwszy z nich ostrzem miecza energetycznego, a przed drugim się uchylił. Pasanius wycelował i nacisnął spust boltera. Kule dosięgły wroga, krzesząc skry i wyrywając kawałki alabastru z jego członków. Learchus wykorzystał okazję i pchnął mieczem energetycznym w brzuch istoty. Ich wysiłki poszły na marne, bowiem strażnik jednym ciosem kostura odrzucił ich obu do tyłu.

Dardino ciął mieczem od dołu, celując w nogę przeciwnika. Uriel zamaszystym kopniakiem uderzył w drugą i choć trafił, to miał wrażenie, jakby jego stopa zetknęła się z kamiennym murem. Ich przeciwnik zachwiał się, ale nie upadł. Odpowiedział pchnięciem kostura, którego Ventris ledwie zdołał uniknąć. Kolejny cios przyjął na ostrze miecza, ale siła uderzenia była tak ogromna, że całe ramię kapitana przeszły silny ból. Mimo to nie przestawał atakować. Parł przed siebie i kolejne pchnięcia kierował w podbrzusze istoty. W końcu wysiłki Uriela zostały nagrodzone sukcesem: odrąbał nogę przeciwnika, który runął na posadzkę. Nim zdążył nacieszyć się zwycięstwem, już musiał unikać ciosów drugiego z wrogów, który zaatakował go świetlistą laską.

W sukurs przyszedł mu Pasanius. Jego bolter wypluwał serie pocisków jedna za drugą. Z ciała ostatniego ze strażników posypały się alabastrowe odłamki, a kiedy zrobił krok do tyłu, Learchus jednym cięciem miecza energetycznego pozbawił go głowy. Jakby w odpowiedzi na ten cios, Zwiastun Nocy wyciągnął dłoń przed siebie i powalił Kosmicznego Marine zdradzieckim ciosem. Sierżant jęknął głucho, ale nadal próbował wstać na nogi.

Uriel, Pasanius i Dardino stanęli oko w oko ze Zwiastunem Nocy, spoglądając w jego straszliwe oblicze. Z bronią w ręku i odwagą w sercach stawiali czoła falom przerażenia i grozy, jakie były od ich przeciwnika. Pomimo śmiertelnego niebezpieczeństwa, które nad nimi zawisło, Uriel spoglądał z fascynacją na swego wroga. Ciemność, z której utkany był płaszcz

Zwiastuna Nocy, wirowała hipnotycznie, a żółte ślepie pulsowały, spozierając z miejsca, gdzie powinna się znajdować głowa istoty.

Ostrze czarnej kosi spadło bez ostrzeżenia, tnąc powietrze, pancerz i ciało. Sierżant Dardino krzyknął, bardziej ze strachu niż z bólu, a potem upadł na podłogę. Był martwy, nim jeszcze dotknął posadzki. Jego korpus został odcięty od nóg, a podłogę zalała krew i zasłały wyprute wnętrzności.

Pasanius nacisnął spust boltera, posyłając długą serię pocisków w wirujący mrok, który tworzył sylwetkę obcego. Zwiastun Nocy roześmiał się tylko, kiedy kolejne pociski przeszywały jego ciało, nie czyniąc mu żadnej szkody. Kosa opadła jeszcze raz, przecinając broń Pasaniusa na dwie części. Sierżant cofnął się o krok, ale nie zdążył uniknąć kolejnego uderzenia, które trafiło go w rękę powyżej łokcia. Pancerz energetyczny nie zdołał powstrzymać ostrza Zwiastuna Nocy, które przecięło metal, ciało i kość pospołu, odrąbując rękę Kosmicznego Marine.

Uriel skoczył do przodu i ciął mieczem energetycznym przez pierś obcego. Zamiast jednak wbić ostrze w ciało, poczuł, jak przez jego ręce przechodzi fala potwornego zimna. Z krzykiem cofnął się, nie dość szybko jednak, aby uniknąć kolejnego ciosu.

Długie pazury obcego rozorały napierśnik Uriela i sięgnęły ciała. Przebiły płuco i główne serce, a siła ciosu odrzuciła kapitana do tyłu. Uriel upadł na podłogę nieopodal płyty nagrobnej, a jarzący się wzór z żywego metalu wypalił swój ślad na plecach jego zbroi. Jęcząc z bólu, który promieniował od klatki piersiowej i ramienia na całe ciało, zmusił się, aby wstać na równe nogi. Zwiastun Nocy zaatakował pozostałych Ultramarines. Rozpoczęła się prawdziwa rzeź.

Inkwizytor Barzano z dumą obserwował, jak kapitan Ventris i jego ludzie stawiają czoła Zwiastunowi Nocy. Choć nie mieli nadziei na zwycięstwo, walczyli bez cienia strachu. Ario zmusił się do jeszcze jednego wysiłku i czołgał się nieustępliwie w kierunku płyty nagrobnej, choć każdy kolejny ruch przybliżał go o krok do grobu. Wyraźnie czuł, że od dziwnego wzoru na podłodze bije ogromna moc i nawet koszarne wizje, jakich doświadczał za sprawą bliskości Zwiastuna Nocy, nie były w stanie stłumić tego fenomenu. Poza tym, było tam coś jeszcze...

Bezgłośny zew, oszłamiający czystością swego niemego dźwięku, wzywał z głębin kosmosu zagubiony statek. Żywy metal, z którego został stworzony, odpowiedział na wezwanie i przybywał, wydobywając okręt z dziwnego królestwa, w którym spędził ostatnie tysiąclecia.

Siła sygnału była tak wielka, że Barzano niemal mógł zobaczyć tworzące go fale. Ich źródłem był roztrzaskany grób C'tana, a raczej jaśniejący wzór na podłodze.

Choć siły opuszczały go w zastraszającym tempie, Barzano czołgał się, chcąc dotrzeć do resztek grobowca. Kiedy zobaczył, jak Pasanius pada na ziemię, a Uriel zostaje odrzucony w przeciwny róg komnaty, jęknął. Tylko upór i siła woli sprawiały, że jeszcze żył. Póki życia, póty nadziei, powiedział sobie przez zaciśnięte zęby, zmuszając się do ostatniego, desperackiego wysiłku. Nagle, zobaczył, że Uriel wstaje z podłogi. Inkwizytor wiedział, że ma tylko jedną szansę.

Uriela ogarnęła wściekłość. Widząc, jak Zwiastun Nocy dziesiątkuje jego ludzi, z rykiem podniósł się z podłogi. Choć wiedział, że nie ma najmniejszych szans na pokonanie tej istoty, nie zamierzał się poddawać. Pasanius chwycił jakiś porzucony miecz i ciął na oślep, usiłując trafić wymykającego mu się wroga.

Oszołomiony Learchus próbował zebrać pozostałych przy życiu Kosmicznych Marines.

Nagle potworna kakofonia zgrzytów, pisków i ryków wypełniła komnatę grobową. Uriel zdał sobie sprawę, że Zwiastun Nocy naśmiewa się z nich, czerpiąc radość z cierpienia, jakie im zadawał.

Gniew i złość dały Urielowi nową siłę do działania. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza i ruszył do przodu. Nim zdążył zrobić dwa kroki, poczuł, że do jego umysłu wdziera się jakaś obca wola. Przez chwilę sądził, że to znowu Zwiastun Nocy, ale zamiast kolejnego potoku obrzydliwości, w jego głowie powstała myśl.

Było w niej coś znajomego, coś bardzo bliskiego.

Uriel rozejrzał się dookoła i zobaczył Barzano, który wbił weń naglące spojrzenie. Po jego twarzy spływał pot, a przez skórę widać było nabrzmiałe żyły.

- Metal, Urielu. Metal!

Choć myśl znikła tak samo szybko, jak się pojawiła, to Uriel wiedział, że taki wyczyn musiał kosztować inkwizytora bardzo wiele wysiłku. Barzano, ciężko ranny, prawie umierający, miał w sobie jeszcze dość sił, aby wyraźnie przekazać tę wiadomość.

Uriel opadł na kolana i spojrzał na płytę nagrobną. Blask, który bił od żywego metalu, był wprost oślepiający. Nawet przez izolowany termicznie pancerz energetyczny Uriel był w stanie poczuć żar, który towarzyszył blaskowi. Co miał robić? Lepiej strzelać, czy może ciąć mieczem? Krzyki ginących Kosmicznych Marines pomogły mu podjąć decyzję.

Biorąc głęboki zamach, Uriel wbił miecz pomiędzy lśniący metal a kamień płyty

nagrobnej. Ledwie podważył drobny fragment żywej stali, natychmiast wyraźnie poczuł zmianę, jaka zaszła w polu energetycznym, które zostało wytworzone w komnacie grobowej. Uriel zaryzykował rzut oka za siebie i zauważył, że Zwiastun Nocy wbił dwóch jego braci na ostrze kosi i uniósł ich wysoko w powietrze.

Rozsierdzony kapitan Ultramarines naparł na miecz, ale nie zdołał bardziej podważyć metalu. Zgięło się za to ostrze, które nie wytrzymało naporu.

Zwiastun Nocy odrzucił obydwu Kosmicznych Marines na boki i ruszył w kierunku Uriela. Ten czuł bijącą od obcego nienawiść i wściekłość, że oto zwykły śmiertelnik ośmielił się spróbować pokrzyżować jego plany.

Umysł obcego musnął myśli Uriela, który tym razem nie opierał się mu, a wręcz przeciwnie, pozwolił, aby frustracja Zwiastuna Nocy rozbudziła w nim jeszcze większą chęć do walki.

Jego własna nienawiść i obca żądza mordu zmieszały się w jedno, potężne uczucie, które dało Urielowi siłę, aby jeszcze raz naprzeć na miecz i tym razem z powodzeniem przerwać więź pomiędzy ożywioną stalą a kamieniem.

Metal upadł z brzękiem na podłogę, a Zwiastun Nocy ryknął wściekle, kiedy połączenie z jego zdolnym niszczyć gwiazdy statkiem zostało przerwane. Okręt raz jeszcze zaginał w odmętach Immaterium, w których spędził wiele milionów lat.

Uriel nie czekał na to, co zrobi obcy. Chwycił odłamek metalu w dłoń i cofnął się, naciskając przycisk podajnika granatów. W tym samym momencie Pasanius jeszcze raz zaatakował.

Jeden, jakby przypadkowy ruch pazurzastej łapy posłał go z powrotem na podłogę, ale dzięki jego poświęceniu Uriel zdobył kilka cennych sekund. Kiedy Zwiastun Nocy zbliżał się do niego, kapitan Ventris wyciągnął przed siebie dłoń, w której trzymał odłamek metalu.

Uriel wątpił, aby Zwiastun Nocy wiedział, czym jest bomba termiczna, ale miał pewność, że obcy pojął, co mu grozi.

C'tan wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość i odrzucił ramiona na boki, koncentrując na Urielu mordercze spojrzenie.

Ten tylko się roześmiał, choć czuł nacisk, jaki wywierała na jego myśli wola obcego. Ponownie przed oczyma człowieka zaczął wirować koszmarny kalejdoskop śmierci i zniszczenia, ale tym razem wojownik Imperatora nie okazał strachu. Zwiastun Nocy zamarł, zbity z tropu.

Ciemność zawirowała groźnie, ale Uriel przyłożył palec do runy, aktywującej bombę. Uśmiechnął się pomimo bólu i powiedział:

- Nie jesteś dość szybki, żeby mnie powstrzymać.

Zwiastun Nocy lewitował tuż przed nim, zaciskając i rozwierając na przemian pazury. Uriel wyczuwał jego złość, od której powietrze stawało się aż gęste. Jednak oprócz niej było coś jeszcze...

Obawa? Wątpliwości?

W swym zadufaniu Zwiastun Nocy pozwolił Urielowi zajrzeć w głąb własnej duszy. Teraz dla kapitana stało się jasne, że choć obcy bez trudu pokonał eldarów i Kosmicznych Marines, to był tylko cieniem swojej dawnej potęgi, osłabionym przez tysiącletnie więzienie. Musiał się pożywić, a każda sekunda przywracała mu niewielką część dawnej mocy. Zwiastun Nocy już czerpał energię z żywych istot, zamieszkujących tę planetę.

Choć szanse na zwycięstwo były nikłe, Uriel musiał zaryzykować. Starając się przemawiać wyraźnie, powoli i głośno, powiedział:

- W kopalniach jest pełno materiałów wybuchowych. Jeśli naciśnę ten guzik, wszyscy zostaniemy pogrzebani dziesięć kilometrów pod powierzchnią ziemi. Nie wiem, kim jesteś ani skąd pochodzisz, ale zdaję sobie sprawę z jednej rzeczy. Jesteś zbyt słaby, żeby samemu wydostać się z zawalonej kopalni. Czy jesteś gotów spędzić kolejne sześćdziesiąt milionów lat w więzieniu bez niczego, co pozwoli ci przeżyć? Nawet ty nie zdołasz przetrwać. Czy tego chcesz? Jeżeli naprawdę potrafisz czytać w ludzkich myślach, wiesz, że nie zawaham się pogrzebać nas żywcem, byle tylko cię powstrzymać. Nie odzyskasz swojego okrętu.

Nacisk, jaki Zwiastun Nocy wywierał na jego umysł, przybrał na sile, a Uriel pozwolił obcej świadomości przeniknąć przez barierę wiary i myśli. Bez wątpienia jego wiara była silna i niezachwiana. Zwiastun Nocy poznał jej moc i determinację Uriela. W bezsilnej złości uniósł pazury w górę i opuścił je na dół, zaciskając pięści. Ciemność zawirowała wokół rozmytych konturów jego ciała. Siła wściekłości obcego odbiła się echem od ścian komnaty. Wstrząs był tak potężny, że skała pękła, a przez szczeliny zaczęła się wsypywać do pomieszczenia czerwona ziemia.

Uriel nie wiedział, co to wszystko może znaczyć i podejrzliwie obserwował caun ciemności, który wirował wokół Zwiastuna Nocy. Fale mroku zalewały i pochłaniały jego postać, a także pozostałości strażników grobowca.

Jeszcze jeden raz spojrzął w żółtawe ślepia obcego, a potem widmowa kotara przesłoniła jego przerażające oblicze. Dał się słyszeć przedziwny syk i czarne tornado wystrzeliło w górę, rozbijając złotawe sklepienie na tysiące kawałków.

Zapadła kompletna cisza.

Uriel opuścił ręce, ciesząc się niezmaconym spokojem, który zapanował w jego myślach w chwili, kiedy Zwiastun Nocy opuścił komnatę grobową. Uśmiechnął się pod nosem, choć czynił to wbrew sobie. Daleko mu było do wesołości, ale nagłe uwolnienie od ciągłych wizji śmierci sprawiło mu niewypowiedzianą ulgę.

Rzuciwszy bezużyteczny już kawałek metalu na podłogę, podszedł szybko do inkwizytora Barzano, który leżał na podłodze w kałuży krwi. Uriel klęknął obok i zaczął szukać oznak życia. Ponownie prawie roześmiał się w głos, kiedy odnalazł słaby puls.

- Wezwijcie Aptekarza Selenusa!

Barzano uśmiechnął się blado i powoli otworzył oczy. Pomimo cierpienia, na jego twarzy malowała się wyraźna ulga. Dla telepaty, którym był inkwizytor, obecność Zwiastuna Nocy musiała być szczególnie trudna do zniesienia.

- Zniknął? - wychrypiął Barzano.

Uriel pokiwał głową i odparł cicho:

- Tak, odszedł. Powstrzymałeś go dostatecznie długo, abyśmy mogli go przepędzić.

- Nie, Urielu. Ja wskazałem ci tylko sposób. Sam go pokonałeś...

Ciałem Barzano wstrząsnął dreszcz. Z każdą mijającą sekundą uchodziło z niego życie.

- Świetnie się spisałeś. Jestem z was bardzo dumny. Byliście...

Inkwizytor nie dokończył, bowiem chwycił go kaszel, a z rany w klatce piersiowej ponownie buchnęła krew.

- Aptekarz! - krzyknął Uriel.

- Gubernator... - szepnął ostatkiem sił Barzano. Drżał na całym ciele i wstrząsały nim spazmy. - Opiekuj się nią, ona ci ufa. Będzie cię słuchać... Inni także... Ona będzie potrzebować twojej rady i pomocy. Zrobisz to dla mnie, Urielu?

- Wiesz, że tak, Ario.

Inkwizytor Barzano pokiwał głową, powoli zamknął oczy i umarł w ramionach Uriela.

Zabrawszy swoich poległych, Ultramarines opuścili komnatę grobową Zwiastuna Nocy. Oprócz nich tę rzeź przeżył jedynie Vendare Taloun, który na początku starcia zemdłał. Tylko to ocaliło go od szaleństwa, jakim było doświadczenie wizji zsyłanych przez C'tana. Uriel osobiście odstawił go do windy, choć Talouna nie trzeba było pilnować. Wydarzenia, których był świadkiem, kompletnie go przerosły. Szedł potulnie, nie próbując uciekać. W obawie przed działaniem kopalnianych wyziewów podano mu maskę tlenową. Uriel nie chciał, aby Vendare Taloun umarł i uniknął kary.

Oprócz ciał zmarłych Uriel zabrał też ze sobą kawałek metalu, który wyłamał ze lśniącego wzoru. Choć nie jarzył się on już tak intensywnym blaskiem, to nie było na nim widać śladu po uderzeniu miecza energetycznego. Artefakt miał polecieć na Macragge, gdzie będzie przechowywany w lochach po wieki wieków.

Kiedy Ultramarines zgromadzili się w pobliżu windy, którą Barzano zjechał na dno kopalni, Uriel przekazał więźnia blademu Pasanusowi i powiedział.

- Zaczekajcie na mnie.

Szybkim krokiem wrócił do komnaty pogrzebowej, przed oczyma mając twarze tych, którzy zginęli w walce. Pewną ulgę przynosił mu fakt, że ich poświęcenie nie poszło na marne.

Stojąc samotnie w grobowcu, Uriel obserwował, jak przez szczeliny w ścianach do wnętrza wsypuje się ziemia. Już wkrótce komnata zostanie na nowo pogrzebana, ale Uriel musiał mieć całkowitą pewność.

Podszedł do resztek katafalku i położył na nim kilka bomb termicznych. Nastawił mechanizm zegarowy i uśmiechnął się pod nosem.

Tak jak obiecał Zwiastunowi Nocy, już wkrótce po jego komnacie grobowej nie zostanie nawet ślad. Na zawsze pogrzebią ją dziesiątki tysięcy ton skały.

Uriel odwrócił się na pięcie i wolnym krokiem ruszył w kierunku windy.

ROZDZIAŁ 19

Trzy miesiące później...

Egzekucja Vendare Talouna odbyła się dokładnie trzy miesiące po bitwie o Urobek Tembra. Podczas nadzwyczaj jawnego procesu podsądny wyjawiał szczegóły swojego układu z Kasmirem de Valtosem, przyznał się do zamordowania własnego brata oraz wielu aktów kryminalnych, jakich dopuścił się, kierując swoim rodzinnym kartelem. Łkającego i błagającego o litość, zaprowadzono na zasłany gruzami Plac Oswobodzenia i powieszono na wyciągniętym ramieniu statuy Imperatora.

Nim władza Imperium została przywrócona na Pavonis, stoczono jeszcze wiele bitew. Niektóre z oddziałów, sponsorowanych przez prywatne organizacje lub gildie, pozostawały im wierne i odmówiły powrotu pod imperialne dowództwo, stawiając opór siłom lojalistycznym. Same kartele, pozbawione przywództwa i kierownictwa, znowu zaczęły podejrzliwie na siebie patrzeć i dawny sojusz zastąpiła wrogość.

Wraz z podaniem do publicznej wiadomości informacji o śmierci Solany Vergen, Taryna Honana, Kasmira de Valtosa i Beauchampa Abrogasa, kartele pograżyły się w chaosie. Spadkobiercy przywódców walczyli o schedę po poprzednikach, usiłując zagarnąć dla siebie jak najwięcej finansowej i politycznej władzy.

Dowódcy wojskowi, którzy zachowali autorytet pośród żołnierzy i zdołali utrzymać oddziały w dyscyplinie, wycofali je do koszar, oczekując dalszego rozwoju wypadków. Oddziały kartelu Shonai musiały niektórych z nich siłą doprowadzić pod sąd, ale żaden nie umknął sprawiedliwości.

Resztki oporu stopniały, kiedy do starć włączył się orbitujący nad Pavonis „Vae Victus”. Koszary regimentów sponsorowanych przez kartel de Valtos zostały zbombardowane ładunkami tektonicznymi, a na wieść o tym pozostałe ogniska oporu poddały się bezwarunkowo. Krążownik Ultramarines odniósł jeszcze jedno zwycięstwo. Ku szczególnemu zadowoleniu admirała Tiberiusa zdołał wytropić, przechwycić i zniszczyć statek eldarskich piratów, nim ci zdążyli uciec z systemu Pavonis.

Mykola Shonai powróciła na swoją rodzinną planetę w towarzystwie Lortuena Perjeda i Ultramarines. Na ich czele stał Uriel Ventris. Jego rany zostały wyleczone, a pancerz

naprawiony, choć tech-marines nie byli w stanie usunąć wypalonego śladu na plecach, który pozostawił po sobie żywy metal.

Kiedy po egzekucji Vendare Talouna pani gubernator zasiadła na swoim miejscu w sali obrad, powitały ją okrzyki poparcia i radości, dobiegające z każdego zakątka sali.

Uriel siedział na kamiennym murku. Jego powierzchnia była popękana i osmalona. Resztką murów, jakie otaczały pałac, leżała teraz w gruzach, zniszczona ostrzałem artyleryjskim lub wybuchami, które nastąpiły po zniszczeniu zbrojowni. W pobliżu resztek bramy czekał Pasanius, cały czas zaciskając i rozprostowując na rękojeści boltera palce nowej, bionicznej dłoni.

Zapach świeżo ściętej trawy przywodził na myśl górskie stoki rodzinnego Macragge. Spojrzenie Uriela raz po raz wędrowało ku prostemu nagrobkowi, znaczącemu miejsce wiecznego spoczynku inkwizytora Ario Barzano. Pod imieniem i nazwiskiem wyryta była krótka inskrypcja:

Człowiek jest niczym iskra w ciemnościach

Obyśmy wszyscy rozpromieniali ją wiecznym światłem.

Uriel wykuł ją samodzielnie, mając nadzieję, że Ario doceniłby wymowę tych słów.

Kiedy Mykola Shonai weszła do ogrodu, kapitan Ventriss wstał, ale ten nagły ruch spowodował spazm bólu. Rany, które odniósł w trakcie potyczki pod górami, goiły się, jednak potrzeba było jeszcze wiele czasu, aby mógł o nich wreszcie zapomnieć.

Włosy Mykoli były w nieładzie i powiewały na wszystkie strony, kiedy z małym bukietem kwiatów szła w stronę grobu Barzano. Towarzyszyło jej trzech ochroniarzy, jednak taktownie trzymali się w pewnej odległości z tyłu.

Mykola skinęła głową Urielowi i przyklękła obok grobu. Położyła kwiaty obok nagrobka i po chwili wstała, prostując fałdy długiej sukni.

- Cieszę się, że pana widzę, kapitanie Ventriss - powiedziała z uśmiechem, siadając obok Ultramarine na murku. - Czy możesz poświęcić mi kilka chwil?

Uriel skinął głową i przez kilka długich minut siedzieli w milczeniu, nie chcąc zbędnymi słowami niszczyć nastroju tej chwili. W końcu gubernator Shonai spojrzała na Uriela i zagadnęła:

- A więc dzisiaj odlatujecie?

- Tak. Nasza misja dobiegła końca, a na Pavonis jest teraz tak dużo wojsk imperialnych, że nie grożą wam żadne rozruchy.

- To prawda - przytaknęła smutno Mykola.

Cztery dni temu transportowce 44 Regimentu Huzarów Lavrentiańskich Gwardii Imperialnej wylądowały nieopodal Wrót Brandona. Miasto zaroilo się od żołnierzy, w krótkim czasie przeobrażając się w obóz wojskowy. Ich śladem przybyły okręty Adeptus Administratum i Adeptus Ministorum, który mieli przywrócić na Pavonis ład polityczny i duchowy.

Kaznodzieje i spowiednicy od nowa krzewili wiarę, wykorzeniając zdradzieckie myśli i bluźnierstwa.

Z rekomendacji Lortuena Perjeda Administratum zezwoliło Mykoli Shonai pełnić obowiązki gubernatora do końca kadencji, pod warunkiem jednak, że po złożeniu urzędu wycofa się z polityki. Sam Perjed został mianowany dożywotnim obserwatorem Administratum na Pavonis, zastępując na tym stanowisku Balliona Varle. Tego ostatniego oskarżono o korupcję i zdradę, został aresztowany i skazany na śmierć, a wyrok wykonała sędzia Jenna Sharben, ostatnia ocalała Arbitratorka na planecie.

Zbuntowani rebelianci z Sił Obrony Planetarnej zostali spacyfikowani przez żołnierzy kartelu Shonai, osadzeni w obozie więziennym, a następnie przetransportowani na barki kosmiczne, które powiozły ich do kompanii karnych, walczących w różnych częściach Segmentum Obscurus.

Przyszłość Pavonis została zabezpieczona, jednak już nigdy planeta nie miała być rządzona przez kartele. Administratum uznało ten system za wysoce niebezpieczny i narzuciło planecie własną administrację.

Uriel doskonale rozumiał gorzyc Mykoli Shonai. Stoczyła najcięższą batalię w swoim życiu i wyszła z niej obronną ręką, a teraz odbierano jej owoce zwycięstwa.

- Już od dawna chciałam tutaj przyjść - powiedziała po kolejnej chwili ciszy, wskazując dłonią grób. - Ale bałam się, bo nie wiedziałam, co będę czuła.

- Co masz na myśli?

- Tobie i Ario zawdzięczam ocalenie mojego świata. Jednak gdyby wypadki potoczyły się inaczej, on nie zawahałby się zniszczyć Pavonis. Tego mu nie mogę zapomnieć.

- Rzeczywiście, ale jednak tego nie zrobił. Broniąc ciebie i twojego świata, poświęcił swoje życie. O tym warto pamiętać. Reszta jest milczeniem.

- Masz zupełną słuszność, dlatego też tutaj przyszedłam. Chciałam oddać mu cześć i przyrzec, że zostanie zapamiętany jako bohater Pavonis.

- Pewnie by się z tego bardzo ucieszył - zachichotał Uriel. - To by przemówiło do jego próżności.

Mykola także się uśmiechnęła, po czym wstała z murku, pocałowała Uriela w policzek

i, kładąc mu dłoń na ramieniu, powiedziała:

- Dziękuję, Urielu. Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla mnie i dla Pavonis.

Kapitan Ventris wstał ze swojego miejsca, ciesząc się z tego, jak potraktowała go Mykola.

- Co zamierzasz zrobić, kiedy już ustąpisz ze stanowiska? - spytał poważnym tonem.

- Nie wiem. Zaszyję się pewnie w jakiejś głuszy.

Podala mu dłoń, a on uściskał ją zdecydowanie.

- Do widzenia, Urielu. Niech ci los sprzyja.

- Dziękuję, pani gubernator. Oby Imperator nad tobą czuwał. i Mykola Shonai uśmiechnęła się jeszcze raz, a potem odeszła i zniknęła we wnętrzu zrujnowanego pałacu gubernatorskiego.

Uriel stał jeszcze przez chwilę przed grobem Barzano, a potem zsalutował duchowi inkwizytora, uderzając pięścią w napierśnik. Odwrócił się na pięcie i ruszył ku bramie, gdzie czekał na niego Pasanius.

- Nadal nie mogę się przyzwyczać - powiedział z krzywą miną sierżant, napinając biomechaniczne mięśnie.

- Przywykniesz do niej, mój przyjacielu.

- Być może - burknął Pasanius.

- Ludzie gotowi do odlotu? - spytał Uriel.

- Tak. Twoi wojownicy nie mogą się już doczekać powrotu do domu.

Uriel uśmiechnął się pod nosem, słysząc rzucone mimochodem słowo „twoi”. Położył dłoń na rękojeści miecza Idaeusa i zacisnął palce wokół złotej czaszki.

Kiedy zdławiono opór rebeliantów, Uriel przeszukał całe pole bitwy wokół kompleksu więziennego i w końcu odnalazł wszystkie fragmenty ostrza. Z początku chciał je przekuć na nowo, ale z jakiegoś powodu do tej pory tego nie uczynił. Teraz już wiedział, dlaczego.

Broń była symbolem, materialnym wyrazem woli Idaeusa, który wraz z nim przekazał dowództwo nad Czwartą Kompanią. Teraz jednak, kiedy w ogniu walki Uriel udowodnił, że zasługuje na rangę kapitana, nie potrzebował już żadnego symbolu.

Ostatni dar kapitana Idaeusa miał znaleźć swoje miejsce w relikwiarzu Zakonu.

Sam Uriel zamierzał wykuć własny miecz, tak samo jak zahartował samego siebie jako dowódca Ultramarines.

Kompania należała do niego. Uriel obrał dla niej nowy kierunek i nie musiał już wspierać się autorytetem mężnych poprzedników.

Kapitan Ventris z Zakonu Ultramarines obrócił się na pięcie i ramię w ramię z

Pasaniusem ruszył w kierunku Thunderhawka, który miał zabrać ich na pokład „Vae Victus”.

- Chodź, przyjacielu - powiedział Uriel. - Wracajmy do domu.

EPILOG

Siedemdziesiąt tysięcy lat świetlnych od Pavonis, gwiazda znana imperialnym astronomom jako Cyclo wkroczyła w ostatni etap swego istnienia. Była czerwonym gigantem o średnicy dziewięćdziesięciu milionów kilometrów i świeciła od ośmiuset milionów lat. Gdyby nie dziwny, czarny cień, który przecząc wszelkim regułom fizyki unosił się w jej fotosferze i wysysał z niej resztki energii, Cyclo przetrwałaby jeszcze około dwóch tysięcy lat.

Konające gwiazdy spalają w reakcjach jądrowych wodór i hel, jednakże rdzeń tego słońca nie był w stanie podtrzymać sił, jakie działały na jego wnętrzu.

Kolejne fale elektromagnetyczne formowały się w poszarpanej otoczce gwiazdy, promieniując chorobliwym blaskiem.

Głęboko w sercu konającego słońca Zwiastun Nocy pożywił się i ponownie rósł w siłę.